[Koźmian Stanisław]

Anglia i Polska.

Tom II.

Treść.

Anglia i Polska.

ANGLIA

i

POLSKA.

Druk na grzbiecie pierwszego tomu był w trzech wierszach — jak obok!

TOM II.

2

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1862.

Poznań, czcionkami M. Zoerna.

SPIS RZECZY.

O'Connell w więzieniu.

Wieczorem 23 sierpnia (1844) wypłynąłem z Liverpool do Dublina w towarzystwie jednego z naszych kapłanów, a mego dawnego kolegi i przyjaciela. Przybywał on z Francyi. Gdy wyjeżdżał z Paryża powierzono mu adres katolików francuzkich do wręczenia O'Connellowi, siedzącemu podówczas w więzieniu dublińskiém za parę zbyt śmiałych pogróżek przeciw Anglii na jakiemś zgromadzeniu ludowem wypowiedzianych. Od dawna pragnąłem poznać Irlandyą. Tem więc skwapliwiéj teraz podejmowałem tę podróż, że mi się nadarzała sposobność odwiedzić O'Connella choć za kratami więziennemi i wynurzyć mu należne współczucie w jego strapieniu.

Lekko, rzesko było w powietrzu, ani mgły na dole ani chmurki nad głową. Jasne słońce, jakiego tu rzadko, ciągnęło nasz statek złotą po wodzie koleją ku zielonemu Erinowi. Od chwili wstąpienia na pokład już byliśmy w Irlandyi. Na przodzie bowiem naszego okrętu znajdowało się blisko 300 wieśniaków irlandzkich, wracających z Anglii po żniwach. Jedni leżeli pokotem na słomie, drudzy stali w kupkach gwarząc o rozmaitych wypadkach, inni co weselsi siedzieli kołem, a pośrodku nich albo jaki muzykant lub śpiewak, albo kobieta rozdająca jadło i trunek. Zdało mi się żem patrzał na cygańskie koczowisko płynące po wielkim oceanie. Każdy był wesół, bo wracał do ukochanéj ojczyzny, bo niósł kilkanaście zarobionych szylingów do swéj ubogiéj chatki, dla zgłodniałéj żony i dziatek. Trzeba było widzieć te wybladłe ale pogodne

twarze, te wielkie, jasno - niebieskie, wiecznie śmiejące się oczy, ten ruch poskoczny, a przytem jakiś niewypowiedziany smutek i tęsknotę, które z pod wesołości od czasu do czasu wyzierały, żeby poznać od razu ile to dobroci, cierpliwości i poezyi w tym poczciwym ludzie. A ubiór? Co za mięszanina strojności i nędzy. Żółte, krótkie spodnie przy niebieskich pończochach, kamizelka ze świecącemi guzami, szaraczkowy, połatany fraczek, kapelusz niecały ale za to na bakier, na jednem ramieniu jakby zbroja po wojnie sierp słomą okręcony, na drugiem kij i chudy węzełek. Śpiewu, hukania, tańcu i skoków tyle, ile tylko przyzwoitość i szczupłe miejsce dozwalało.

Zbliżyłem się do jednego kółka, z pośród którego brzmiała jakaś wesoła piosnka i głuszyła wszystkie inne. Długom się przysłuchiwał nim zdołałem rozróżnić wyrazy. Nareście udałem się do najpokaźniejszego ze śpiewających z prośbą o wytłomaczenie osnowy, i dopierom zrozumiał, gdy ten mi zwolna słowo po słowie każdy wiersz wyłuszczył. Była to bardzo dziś popularna w Irlandyi piosnka *Chruskeen Lawn* czyli Pełna szklanka. Występują w niéj po kolei Aleksander Wielki, Napoleon, Matka Boska, O'Connell. Trudno się odważyć na przekład tak dziwnego utworu. Oto ostatnia zwrotka: „Hej! Jeszcze jedną pełną szklankę! Wszakże i Najświętsza Panna na godach weselnych, na których dużo piwa wyciągnięto, gdy już goście wszystko wypróżnili, poprosiła syna by nalał jeszcze jedną pełną szklankę, pełną, pełną, pełną.“ To mięszanie i wprowadzanie Matki Boskiéj i Zbawiciela do najpospolitszych scen życia, jakżeż przypomina powieści, których nad portem w Neapolu nasłuchać się można.

Wiek nasz ma przynajmniéj tę zasługę, że w braku czynniejszego poparcia cierpiących i z niedoli wyłamujących się narodów, stara się przynajmniéj poznać je, odgadnąć ich ducha, przeniknąć w ich przyszłość. Zaniedbana Irlandya dopiero w ostatnich czasach wystąpiła na widownię świata ze wszystkiemi swemi zasługami. Polityczne jéj ruchy wydobyły na wierzch dawną jéj historyczną wielkość. Zaczęto badać jéj legendy, dawne pieśni i martyrologie. Przekonano się z nich jak znakomitem było jéj powołanie w pierwszych wiekach chrze-

ścijańskich. Colgan mówi, że ona wtedy była *Communis Europae bonarum literarum officina*, *communeque ascetarum saediarium*. Jakoż z Irlandyi rozchodził się po Europie poczet i uczonych mężów i świętych męczenników. Święty Beat, który nawracał w Szwajcaryi, był z Erinu. Zewsząd téż zbierali się tam znakomici ludzie. Litania św. Aengusa wylicza długi szereg cudzoziemskich Świętych pochowanych w Irlandyi. Na wyspie Aran utrzymuje się dotąd grobowiec siedmiu Rzymian nawróconych. W mieście Cell Belaigh było siedem ulic zamieszkanych przez uczącą się młodzież cudzoziemską. Alfred Wielki, Saksończyk, tu odbierał wychowanie. Do irlandzkich klasztorów uciekali się młodzi monarchowie po naukę, starzy na odpocznienie po trudach. Na wyspie Jonie przez kilka wieków chowano królów irlandzkich, szkockich i duńskich. Tamże przez 700 lat po św. Kolombanie nie było opatów z żadnego innego kraju jeno z Irlandyi. Aengus ułożył żywoty świętych irlandzkich w pięciu księgach. Zaraz pierwsza zamyka 345 biskupów, 299 kapłanów a 78 dyakonów. Nie dziw więc, że w początkowych czasach chrześcijańskich zwano Irlandyą wyspą Świętych. Ztąd irlandzkie martyrologie i legendy są dziś przedmiotem skrzętnych poszukiwań. Montalembert dobrze powiada: La moindre petite legende catholique a gagné plus de coeurs à ces immortelles verités que toutes les dissertations des philosophes. Ztąd również ta ciekawość, z jaką obecnie każdy podróżnik, chcący poznać ducha narodowego Irlandyi, przysłuchuje się jéj balladom nowoczesnym. I ja téż prawie całą tę noc spędziłem na uczeniu się pieśni, które wkoło mnie śpiewano.

Skoro około 7. rano przybiliśmy do lądu, ledwie powstrzymać było można niecierpliwość biednych wieśniaków. Każdy chciał naprzód wyskoczyć, bo każdemu było pilno do domu. Ale choć w różne i często przeciwległe mieli się udawać kierunki, choć niejednego daleka czekała droga, wszyscy pociągnęli najprzód jednym gościńcem, a ten prowadził wprost do więzienia, w którym pokutował wielki ich rzecznik i ulubieniec.

Nas zaprowadzono do hotelu Gresham. Zaraz pospieszyliśmy napisać do O'Connella z prośbą o przyjęcie naszych

odwiedzin. Syn jego Jan bardzo grzecznym listem natychmiast nam odpowiedział, zapraszając do Richmond Penitentiary na drugą godzinę w poniedziałek, a razem wynurzając żal ojca, że reguły więzienia, wedle których trzy dni tylko w tygodniu są przeznaczone na odwiedziny dla obcych, nie pozwalały mu wcześniéj nas przyjąć. Dwa te dni, pomimo nowości miejsca i ciekawych przedmiotów w tak slynnem mieście, niezmiernie mi się długiemi wydały. Chodziłem po ulicach, patrzałem na wspaniałe gmachy, alem mało co widział, bo mi wszystko zasłaniała wielka postać O'Connella, a wspomnienia o nim, kiedym go raz pierwszy ujrzał, w ilu i w jakich okolicznościach stykałem się z nim następnie, przerywały mi wątek wszelkich innych myśli. Towarzysz mój zgadując czemu wpadłem w takie zadumanie, wypytywał mię o szczegóły mych dawniejszych stosunków z O'Connellem. Opowiedziałem mu pierwsze me z nim spotkanie.

Było to na początku 1833 roku. Po krótkim pobycie w Londynie udałem się do Birmingham, miasta podówczas bardzo głośnego w Anglii, a to z powodu że się głównie w poprzednim roku przyczyniło do przeprowadzenia bilu reformy. Opatrzony polecającemi listami od Campbella i Niemcewicza, znalazłem tam od razu jak najprzychylniejsze przyjęcie, osobliwie u dwóch członków nowego parlamentu: Joshua Scholefield i Tomasza Attwood. Pierwszy odznaczał się wielką zacnością i serdecznością, ale skromny, małomowny, nie posiadał obszernego wpływu. Trzeba było poznać go bliżéj w kole rodzinnem żeby się przekonać ile ma zdrowego sądu i wzniosłości w pojęciach. Z synem jego Wilhelmem zawarłem od razu przyjaźń, która przez cały ciąg mego pobytu w Anglii była mi zawsze największą osłodą w smutkach i bodźcem do wytrwałości. Tomasz Attwood był wtedy bożyszczem ludu. Jemu bowiem przypisywano prawie całą zasługę odniesionego zwycięztwa. W istocie, on to ten długi spór o reformę parlamentu rozstrzygnął na stronę wolności groźbą, że jeźli Izba Lordów ociągać się dalej będzie z przyjęciem bilu, on na czele stu kilkudziesiąt tysięcy robotników wyruszy z Birmingham i zebrawszy tłumy po drodze wejdzie do Londynu, sta-

nie przed królem i przed parlamentem, i przedstawi im żądania narodu. Tak Maryusz zostawszy trybunem wchodził do senatu i grożąc przeciwnikom zmuszał go do przyznania ludowi większéj wolności w kreskowaniu. Ale Attwood więcéj ryzykował. Wązki to i śliski przesmyk między zaszczytem wybawiciela ludu a hańbą buntownika. Na szczęście, król się uląkł. Kazał oznajmić poufnie Lordom, że w razie dalszego oporu zamianuje z pomiędzy zwolenników reformy tylu nowych członków do Izby wyższéj, ilu będzie potrzeba by większość wniesionemu bilowi zapewnić. Lordowie ustąpili, żaden z przeciwników reformy nie przybył gdy bil odczytywano po raz trzeci i ostatni i tym to prawie rewolucyjnym sposobem przeszło prawo, którego przez lat tyle nie mogły wyjednać ani najwymowniejsze głosy, ani najistotniejsza potrzeba kraju.

Porównałem w tym razie Attwooda do Maryusza, ale lubo pierwszy przypomina nieco ostatniego z wysokiéj a niezgrabnéj postaci, z niewykwintnego a pracowitego wychowania, z prostéj a jędrnéj wymowy i dziwnéj umiejętności prowadzenia pospólstwem, tu się całe podobieństwo kończy, gdyż mało ludzi posiada tak czułe serce i tak tkliwą duszę jak Attwood. Serdeczność tę zwrócił osobliwie ku Polsce. Na odwrót katońskiéj zwrotki każdą on mowę w sprawie naszéj kończy zawsze słowami: *Restauranda est Polonia.* Często powtarza: Mam czterech synow i nie tylko usługi ale życie wszystkich czterech chętnie poświęciłbym dla Polski. Cała téż jego rodzina gorącem tchnie dla nas uczuciem. Jeden z jego braci James, miał dom handlowy w Odessie. Po wybuchu powstania listopadowego, gdy patrjoci na Podolu i Ukrainie porozumiewać się z sobą poczynali, James, który kilku z nich znał dobrze, napisał o ówczesném położeniu rzeczy do jednego z swych braci w Anglii mieszkających w nadziei że się list dostanie do wiadomości rządu angielskiego. List ten powierzony kurjerowi angielskiemu, odjeżdżającemu do Petersburga, został w drodze przejęty przez Moskali. Kurjerowi zabrano tekę pod jakimś pozorem, podobno dla okadzenia jéj, gdyż wtedy cholera grasowała, i nienaruszywszy depeszy konsula angielskiego, zręcznie podejrzany list wyjęto. James musiał wydalić się

z Rossyi. Cały majątek mu zabrano. Inny nasz przyjaciel, także kupiec angielski w Odessie, Fryderyk Cortazzi, podobnież stracił w owym czasie wszystką swą fortunę z powodu związków z Sobańskiemi. Z synów Tomasza Attwooda najstarszy De Bosco, przydomek znaczący po włosku to samo co Attwood tak jak Dubois po francuzku, najwięcéj się historyczną i literacką stroną naszego kraju zajmował. Badał nasze nadzieje, wyszukiwał materiały do wniosków w parlamencie, przetłomaczył pięknym angielskim wierszem nasz hymn narodowy *Jeszcze Polska nie zginęła.* Mieli oni bank w mieście, który im znaczne przynosił dochody. Mieszkali zaś w Harborn, uroczéj wiosce, o małą milę od miasta odległéj. Dom ich był wzorem serdecznéj gościnności. Polakowi mogło się w nim poniekąd zdawać, że jest między swojemi. Poważna matka zawsze ze łzami w oczach ubolewała nad Polską, córki uczyły się naszéj mowy, grały i śpiewały nasze pieśni, w salonach było pełno polskich pamiątek, a rozmowa najczęściéj toczyła się o naszéj sprawie. Zajęcie to głównie w nich wzbudził Niemcewicz, który pod koniec maja 1832 bawił dni kilka w Birmingham. Tyle on czci wzniecił tam dla siebie, że mu komitet politycznéj unii, zawiązanéj w celu popierania reformy, postanowił ofiarować medal, jako hołd należny jego zasługom i jako rękojmię że stowarzyszenie to niczego nie zaniedba by wyjednać sprawiedliwość dla Polski.

Otóż teraz, na początku 1833, przed samem otwarciem nowego parlamentu pomienione stowarzyszenie wyprawiało pożegnalny obiad swemu naczelnikowi, a że pod tę porę miał O'Connel przejeżdżać do Londynu przez Birmingham, zaproszono go na tę olbrzymią biesiadę, i z wielkiem natężeniem ciekawości podwójnie świetnego oczekiwano festynu. Oczewiście że i mnie nie pominięto. Ponieważ O'Connell miał dopiero na noc przyjechać, odłożono ucztę do późnéj godziny. Gdym o naznaczonym czasie wszedł do sali, znalazłem już wielu zgromadzonych. Salę, najobszerniejszą jaka była w mieście nawykłem do wyprawiania monstrualnych biesiad i zbierania potwornych mityngów, oświecono rzęsiście i przystrojono w rozmaite godła i chorągwie. Między temi z rozrzewnieniem

ujrzałem jedną z orłem białym, drugą z napisem *Łza dla Polski.*

Tłum coraz bardziéj się zwiększał. Przybył nareście i Attwood, którego zbliżanie się zapowiedziały nam okrzyki ludu, rozlegające się po ulicach. Zabierając coraz liczniejsze znajomości, odpowiadając na tysiączne pytania, nie spostrzegałem jak czas prędko upływał. Widzę wreście, że już stoły zastawiono zimnemi mięsiwami, że wszyscy co chwila na zegarki poglądają, a spodziewanych gości irlandzkich jak niema tak niema. Mija jedna i druga godzina na coraz niecierpliwszem oczekiwaniu. Attwood daje nareście znak by zajęto miejsca u stołów. Siadają wszyscy zostawiając tylko u przodu cztery puste krzesła dla O'Connella i jego trzech synów. Następuje jeszcze chwila zawieszenia. Wtedy nie było kolei żelaznych z wyjątkiem najbliższych okolic Londynu i między Liverpool a Manchester. Drogi zwirowe w zimie nie zawsze są dobre, szybkowozy często się opóźniają, więc chciano do ostatka cierpliwość wyczerpnąć. Gdy się i téj przebrało, Attwood uderza nożem na znak że już wolno się wziąść do nożów i widelców. W jednéj chwili znika jedno, drugie i trzecie danie. Służba zmiata obrusy i zastawia deser i wino. To hasło, że mają nastąpić mowy. Powstaje najprzód solenizant biesiady. W długiéj częstemi oklaskami przerywanéj oracyi opowiada historyą dokonanego zwycięztwa, i zachęca do dalszych usiłowań i baczności by się bezowocnem nie stało. W jednym ustępie tkliwie wspomina o Polsce. Po nim zabierają głos po kolei wymowniejsi przywódzcy stowarzyszenia. W powszechnem uniesieniu zapomniano już trochę o O'Connellu, gdy w tem zadyszany wartownik przybiega i oznajmuje że tak długo oczekiwani goście już przyjechali do pobliskiego hotelu i że za chwilę przybędą do sali.

Nasłuchawszy się tyle o Liberatorze Irlandyi, o jego potędze władania ludem, jak jednym powiewem ręki umie uciszać stotysięczne tłumy, a znowu jednem grzmiącem słowem pobudzać je prawie do szaleństwa, wyobrażałem sobie, że jego postać musi przedstawiać w każdym ruchu i wyrazie olympijską siłę, spokój i uroczystość. Teraz przeto oczekiwałem, że

wejdzie w nasze zgromadzenie jak komandor w Don Juanie lub jak senator rzymski wspaniałym krokiem wstępujący na kapitol. Aż tu wpada kilku wesołych, poskocznych, gestykulujących, giętko na wszystkie strony kłaniających się niby Francuzów czy Włochów. Uderzający ten kontrast z poważnymi, wyprostowanymi aż do sztywności Anglikami, dał mi od razu poznać różnicę dwóch plemion. „Któryż tu między niemi wielki Daniel?“ zapytałem mego sąsiada. „A ten najżwawszy,“ była odpowiedź. Nie taję że w pierwszéj chwili uczułem jakby przykre rozczarowanie. Do tego przyczynił się nieco i ubiór O'Connella. Miał obcisły surdut, krojem niby mundurowym zrobiony, a w ręku zieloną czapkę ze złotym galonem. Nie wiem dla czego wydał mi się jak celnik, lub nadgraniczny poborca, lub wreście jaki major w pozasłużbowem ubraniu. Dopiero późniéj dowiedziałem się że kolor zielony był narodowym w Irlandyi, że takie czapki nosili wszyscy przywódzcy ludu, i że cały ten przybór przypominał sławnych strzelców irlandzkich.

Attwood poprowadził O'Connella na przeznaczone mu miejsce po prawéj stronie prezydenckiego krzesła. Koło mnie siadł Morgan O'Connell, przystojny o jasnych włosach młodzieniec. Był on przez jakiś czas adjutantem przy Boliwarze. Mówił więc ze mną wiele o wojnie i wypytywał się o szczegóły naszéj kampanii. Opowiadał mi także przygodę, która w roku poprzednim wydarzyła się jednemu z naszych rodaków podróżującemu w Irlandyi. Wtedy jeszcze każdy cudzoziemiec przybywający na ziemię angielską musiał się zapisywać w *Alien Office*. Który tego zaniedbał, podlegał karze 50 funtów szterlingów. Znajdował się podówczas w Irlandyi Napoleon Czapski z Poznańskiego i na niektórych mityngach miewał mowy. Nie podobało się to władzom miejscowym. Zapytano się go o kartę dowodzącą że swój paszport złożył w biurze cudzoziemców. Gdy téj okazać nie mógł, skazano go na wyżéj wymienioną karę. W lot tę kwotę złożyli Irlandczycy, i aby rządowi dokuczyć, wypłacili mu ją samą najdrobniejszą miedzianą monetą.

Gdy się goście posilali zastawionym dla nich na nowo

obiadem, Anglik któremu ich przybycie przerwało mowę, ciągnął ją daléj. Wtedy to pierwszy raz poznałem co się znaczy mówić *against time*, sposób bardzo często używany w parlamencie a zależący na tem że mówca rozprawia do pewnéj godziny póki nieobecni członkowie nie nadejdą. Jakoż orator, rozwodzący się teraz nad błogosławieństwami reformy, tak zręcznie swój wykład prowadził, że właśnie skończył szereg swych argumentów gdy z przed O'Connella ostatni talerz sprzątniono. Oczewiście że głos swój zamknął wzniesieniem toastu na cześć Irlandyi i jéj oswobodziciela.

Skoro wzniecone tym toastem okrzyki ucichły, powstał O'Connell. Postać jego już i tak wysoka, wzrosła jakby o głowę, nos wydął się wzbierającem natchnieniem, czarne oko zagrało piorunnym ogniem. Inny to już całkiem był człowiek. Sama postawa nakazywała cześć i posłuszeństwo. Od pierwszych słów zaraz znać było *quod erat dux verbi.* I Attwood posiada znakomitą wymowę, ale rubaszną, ciężką, spadającą ołowiem na dół, nieco nawet grubą i bełkotającą, jaką musiał mieć Demostenes kiedy jeszcze kamyki wkładał w usta. Wymowa zaś O'Connella jest dźwięczną, polotną, pryskającą iskrami, unoszącą się po nad głowy słuchaczów, jak gdyby nie tylko do nich się odzywał, ale słał swe słowa na cztery wiatry, by je po świecie rozniosły. Cudzoziemiec daleko prędzéj zrozumie Irlandczyka, bo ten każdą literę wymawia dobitnie. Naprzykład litera *r*, którą Anglicy zwykle połykają, ślicznie jak drżenie metalu brzmi w ustach irlandzkich. Wogóle, samym dźwiękiem głosu O'Connell dziwnem przejął mię wzruszeniem. Widać jednak było, że się nie znajdował w swoim żywiole, że nie czuł koło siebie tych serc gorących i tych dusz wrażliwych, do których nawykł był przemawiać. Hamował się co chwila jak gdyby wstrzymywany jakimś przymusem lub niedowierzaniem. W słowach jego i oczach przebijała ironia. Uczucie krzywd doznanych nie tak łacno się zaciera. W najprzychylniejszych na pozór stosunkach między dawnymi nieprzyjaciołmi zawsze zostaje *amari aliquid*. Między plemionami które rodowa nienawiść od wieków rozłącza, sojusze są krótkie. Miałem nieraz późniéj sposobność słyszeć O'Connella

w parlamencie, na mityngach, przy biesiadach politycznych, i uważałem że ilekroć głos podnosił do Anglików, zawsze go na ten ton ironii nastrajał.

Po nim jeszcze kilku się odezwało, ale już ich nikt nie słuchał. Gdy wstano od stołu, Attwood wziął mię za rękę by mię O'Connellowi przedstawić. W ustach zamarły mi słowa, któremi mu chciałem wezbrane we mnie uczucia wyrazić. On też uścisnął mię tylko i rzekł podnosząc w górę oczy: „Ah Polska!“ Obu nam w oczach łzy stanęły i zrozumieliśmy się że nie było to miejsce dla Irlandczyka i Polaka by mogli sobie swobodnie wynurzyć co im na sercu ciężyło.

Dopiero w rok późniéj ujrzałem znowu O'Connella, gdym do Londynu powrócił. Często odtąd widywałem go i na publicznych zebraniach i przy domowem ognisku. U siebie jest on niezmiernie uprzejmym, ale zwykle małomownym, chyba gdy się go weźmie na ubocze, by rady w jakim przedmiocie zasięgnąć. Otacza go zawsze liczna rodzina, córki, synowe, kuzynki i pełno wnucząt. Lubi on przedewszystkiém bawić się z dziatkami, pieści się z niemi i pustoty wyprawia. Dla dam wielce ugrzeczniony, daje im się zazwyczaj nakłonić do opowiadania jakiéj romansowéj przygody z walk i prześladowań które Irlandya tak jeszcze niedawno ponosiła. Wtedy w tak poetyczny ton zarywa i tak rzewnym przemawia głosem, że trudno się od łez wstrzymać. Słyszałem nieraz wielkich wieszczów i mówców opisujących tragiczne wypadki, ale nigdy nikt mię tak nie wzruszył jak O'Connell, zwłaszcza raz, gdy opowiadał o ostatnich chwilach jednego z patrjotów irlandzkich, którzy na początku bieżącego stulecia krwią przypłacili swe przywiązanie do ojczyzny. Ten, gdy został na śmierć skazany, przemyśliwał jakimby sposobem odebrać sobie życie by ujść rąk oprawcy. Jego życzenie odgadła kochanka, i obciąwszy swój bogaty warkocz uplotła zeń powróz, który jeszcze przed świtaniem dnia fatalnego doszedł do rąk więźnia. Czy już było za późno, czy że taka ofiara pobudziła go do wznioślejszych myśli, więzień swego zamiaru nie wykonał, ale złożywszy drogi upominek na sercu, odważnie wstąpił na rusztowanie i umarł z pogodą natchnionego męczennika.

O'Connellowi nie brakło także żartobliwego humoru. W parlamencie czasem nawet figlował. Raz gdy czekając na wniosek, który miano wnieść w sprawie polskiéj, siedziało nas kilku na galeryi Izby niższéj, O'Connell równie jak my znużony długiemi mowami w jakiéjś innéj a poprzedzającéj ten wniosek kwestyi, zwinąwszy długi papier w trąbkę wciąż poglądał przez nią na przemiany to na nas, to na nudnych retorów, którzy swem gadulstwem opóźniali oczekiwane przez nas rozprawy. Do Izby nie zawsze łatwo się dostać, osobliwie na dolną galeryę, przytykającą do ławek, na których siedzą członkowie. O'Connell zwykle nas wprowadzał na najlepsze miejsca. Skoro zobaczył na galeryi znajomego Polaka, nigdy nie omieszkał usiąść przy nim i często długo rozmawiał. Wtedy to najskłonniejszym był do słuchania naszych przedstawień. Ile razy i jak mówił w parlamencie za Polską, to Polacy w troskliwéj i wdzięcznéj chowają pamięci. Na główniejszych mityngach zbieranych w sprawie naszéj bywał zawsze. Raz czy dwa prezydował. Okrucieństwa dokonywane w naszym kraju, cierpienia więźniów, męczeństwa syberyjskich wygnańców, porywanie dziatek, dostarczały mu wątku do najwymowniejszych okresów. Gdy nad tém się rozwodził, wrzało zawsze zgromadzenie rzewnem wzruszeniem, gdy skończył trzęsła się sala od stokrotnie powtarzanych oklasków.

Takie to i tym podobne wspomnienia były przedmiotem naszych pogadanek wpośród przechadzek, któreśmy przez te dwa dni odbywali w Dublinie i za Dublinem. W sobotę zaprosił nas na obiad kanonik Cooper, znajomy mego towarzysza. Tam zastaliśmy arcybiskupa dublińskiego Murray. Kapłan to bardzo uczony i świątobliwy. Sami nawet protestanci wielce go szacują. Papież Grzegorz XVI powiedział o nim: é vero santo. Arcybiskup mówił nam z wielką prostotą, że się codzień za Polskę modli. Obiad był mięsny. W Irlandyi poszczą tylko w piątek. Nad wieczorem poszliśmy do Phoenix Park. Część onego zajmuje ogród zoologiczny. Tam są słonie i gazelle, i inne ciekawe zwierzęta, ale mnie jedynie zajęło dwanaście orłów w żelaznéj klatce więzionych. Szponami rwały kratę, a trzepocząc się ciągle, daleko na okół

rozmiatały swe pierze. Istny to obraz Irlandyi, a jeszcze prędzéj obraz Polski. I mnie, jedno z tych piórek, gdzież to wichry zagnały! W niedzielę poszliśmy na mszę do katedry. Dawną metropolę, kościół św. Patricka, zabrali protestanci. Zbudowali sobie nową katolicy, skromną jak na czasy ucisku przystało. Mszę śpiewaną miał kanonik Cooper, kazanie zaś sam arcybiskup na tekst o dziesięciu trętowatych. Wymownie rozbierał znaczenie słów: „Wstań i idź, wiara twoja cię uzdrowiła.“ Mnie się zdało że pod obrazem Samarytanina opisywał Irlandyą i Polskę. Przyszedł poniedziałek. Z niecierpliwości tém bardziéj wzmagającéj się, im bliżéj byliśmy głównego celu naszéj podróży, wstaliśmy bardzo rano. Wyszliśmy na okoliczne za miastem pagórki. Złote połyskujące zdala morze pociągało nas ku sobie. W pobliżu była przystań kolei atmosferycznéj. Jest to pierwsza na małą skalę próba czy para nie da się zastąpić siłą powstającą z parcia powietrza na stempel posuwający się w rurze, z któréj zostało wyciągnięte. Właśnie pociąg odchodził. Wsiedliśmy więc i w 10 minut stanęliśmy w Dalkey. Tu są ogromne łomy kamieni. Weszliśmy na górę z któréj je staczano. Zatoka dublińska przedstawiła się nam w całym przepychu dnia pogodnego. Przypomniał mi się Neapol. Piętrząca się góra wyglądała jak La Somma, piękna wyspa przeglądająca się w morzu jak Capri, a obok nas powiększały złudzenie i te urodziwe ale obdarte chłopcy, które jak jaszczurki wygrzewały się wśród kamieni na słońcu, i te uwijające się po drogach jaunting cars, tak podobne do corricolów neapolitańskich i z niepewności siedzenia i z szaleństwa woźnic i z wychudłych koni na zabój cwałujących. Wogóle Irlandczycy wiele przypominają plemiona południowe. Już i ztąd nie dziw, że taka sprzeczność między niemi a Anglikami we wszystkiem zachodzi. Na przeciw nas świeciła pięknym zameczkiem mała wyspa Dalkey. Tu w 1575 wielu mieszkańców dublińskich schroniło się przed morowem powietrzem. Odtąd na pamiątkę tego wypadku co rok tam obchodzono uroczystość przypominającą nieco naszą rzeczpospolitę babińską. Wybierano bowiem króla, marszałka, arcybiskupa, wedle charakterów i usposobień wręcz przeciwnych tym dosto-

jeństwom. Bylibyśmy jeszcze długo poili się widokiem tak okazałego krajobrazu, gdyby nas nie był znaglił do powrotu odchodzący pociąg do Dublina.

Towarzystwo sprzymierzone ku odwołaniu unii (*Repeal Association*) odbywa zawsze w poniedziałki o godzinie pierwszéj tygodniowe swe posiedzenie. Trzeba nam było i tego nie opuścić i stawić się na czas naznaczony w Richmond Penitentiary. Wysiadłszy więc z pociągu pospieszyliśmy zaraz w stronę miasta, w któréj stoi nowy lokal Towarzystwa. Spieszące tłumy wskazały nam drogę do niego, tak że nie potrzebowaliśmy się rozpytywać. Nowy ten gmach zwie się Conciliation Hall czyli przybytek zgody. Wpuszczono nas bez trudności na pierwsze miejsce. Sala była pełna. Na galeryi siedziały damy, pięknie jak w święto przystrojone. W koło powiewały chorągwie z napisami: *Porządek*, *Umiarkowanie*, *Wytrwałość*. Kiedyśmy weszli prezydent Sir Valentine Blake już był rozpoczął swą mowę. Właśnie wspominał o tym haniebnym statucie wydanym przez Edwarda III. w Kilkenny, na mocy którego, by oddzielić dwie rasy i przeszkodzić iżby osiedlające się w Irlandyi angielskie rodziny nie przyjęły z czasem tamtejszéj narodowości, zabroniono im brać do dzieci mamek i piastunek irlandzkich. Między innemi gwałtami, wtedy także zagrożono najsurowszą karą tym, którzyby śmieli tańczyć po irlandzku lub przy muzyce irlandzkiéj. „Śmiało można twierdzić, rzekł ku memu zdziwieniu mówca, że ta polka, za którą świat teraz przepada, była jednym z zagubionych wtedy tańców.“ Po panu Blake wstał Daniel, najmłodszy syn O'Connella, i zdał sprawę ze stanu zdrowia uwięzionych. Zaczęto następnie czytać listę nowych członków i wykaz składek tygodniowych. Te szczodre ofiary pieniężne, ten zapał, to życie w Stowarzyszeniu pomimo prześladowań i zabiegów przeciwnych ze strony rządu, przypomniały mi rycinę, która tylko co była wyszła w Londynie. Ministrowie, jako wielcy inkwizytorowie, ogłaszają wyrok uwięzionemu O'Connellowi, który jak Galileusz wygląda z za krat więziennych i na wyrok odpowiada: *E pur si muove.*

Godzina druga dochodziła, więc, choć nie bez żalu, opu-

ściliśmy zgromadzenie, i jednym z owych lekkich i szalonych wózków pospieszyliśmy co koń mógł wyskoczyć do Richmond Penitentiary. Przed bramą stało pełno ludu i wozów wiejskich a między niemi kilka eleganckich pojazdów. Jak ów giermek który pieśnią narodową szukał po Niemczech swego pana, Ryszarda Lwie Serce, tak lud irlandzki zdawał się błąkać pod murami tego więzienia, żeby okrzykami i śpiewami dodawać otuchy swemu ulubieńcowi, i przysłuchiwał się czy mu powiew wiatru nie przyniesie jakiego dźwięku dobrze znanéj mowy.

Richmond Penitentiary jest to budynek kwadratowy o dwóch piętrach, otoczony nie zbyt wysokim murem ale tak rozległym, że po dwóch bokach gmachu dwa znajdują się ogrody. Nad wejściem jest napis: *Learn to do good*, *cease to do evil*, naucz się czynić dobrze, a przestań źle czynić. Skoro do żelaznych podwoi zastukaliśmy, wybiegł główny nadzorca Purdon. Dzienniki francuzkie choć nieumyślnie, bardzo szczęśliwie przekręciły jego nazwisko na Pardon, gdyż się nadzwyczaj łagodnie i przychylnie ze znakomitemi swemi więźniami obchodził. Już wiedział że mamy przybyć i natychmiast wskazał nam drogę do ogrodu na prawo.

Ledwieśmy weszli, zaraz wpadła nam w oko górująca postać O'Connella. Chodził szybko opierając się na dwóch osobach, z któremi żwawą toczył rozmowę. Żeby mu nie przeszkadzać usunęliśmy się na bok, a ta chwila zwłoki dozwoliła nam rozpatrzeć się w całym obrazie rozsnuwającym się przed nami. Ogród dzielił się na kwatery, pełne kwiatów i drzew owocowych. Ścieżki zbiegały się z pomiędzy kwater do środka, gdzie stał namiot pod którym spostrzegliśmy stołki i stoliki, znać dla przyjmowania gości w razie niepogody. Gdzieniegdzie altanki lub samotne siedzenia, to znów kwieciste inspekta, urozmaicały już i tak ożywioną scenę. Goście chodzili po środkowych ścieżkach, zostawiając wyłącznie wielkiemu gospodarzowi tę, która biegła wzdłuż muru ustrojonego w rozpięte pełne owoców krzewiny. Owoce dojrzeją i opadną, przyjdzie zima, długie smutne noce grudniowe ścisną i napoją goryczą samotne serce więźnia zanim znów wiosna powróci. Tak my-

ślałem i westchnąłem: oby te drzewa jak najdłużéj swe owoce i liście przechowały.

Ogród roił się gośćmi rozmaitego stanu i wieku. Najwięcéj było kobiet i dzieci. Współwięźniów O'Connella poznać było można od razu po ciekawości i uszanowaniu, z jakiem na nich przybysze spoglądali. Jan, najstarszy i najzdolniejszy z jego synów, skromny, cichy, potulny, siedział z książką przy jednéj z altanek. Dr. Grey igrał ze swemi pięknemi dziatkami. Poeta Duffy pilnie czytał jakąś gazetę. A stary Tom Steele w taratatce, w kaszkiecie wojskowym, biegał, krzątał się jak gdyby w imaginacyi odbywał przegląd wojennych zastępów.

Przyszła nareście kolej na nas. Skoro się pożegnali z O'Connellem dwaj panowie, z którymi zastaliśmy go tak żwawo rozmawiającego, zaczął on nas szukać, bo już wiedział żeśmy przybyli. Poskoczyliśmy więc ku niemu. Uścisnął nas serdecznie, i wziąwszy pod ręce począł znowu szybkim krokiem mierzyć ścieżkę kołującą wdłuż muru ogród opasującego. Na wstępie podziękował nam najczulej za odwiedziny. Mnie pytał o lorda D. Stuarta i innych wspólnych znajomych i przyjaciół. Następnie mówił o narodach sprzyjających Irlandyi lub zostających w podobném do niéj położeniu. Dotykając kwestyi polskiéj z przejęciem po kilkakroć powtarzał jak niezłomną ma nadzieję, że niebawem wypełni się miara naszych nieszczęść i że wnet wrócimy do oswobodzonéj ojczyzny. Prosił aby wtedy o Irlandyi nie zapominać. Trafiwszy nakoniec na ulubiony sobie przedmiot o religii, nakazywał potrzebę jedności i wzajemnéj miłości między katolikami. Tu mój towarzysz znalazł dobrą sposobność oznajmienia mu, że przywozi mu adres współczucia od katolików francuzkich. Bardzo się tem uradował O'Connell, ale adresu wziąść nie chciał, tłomacząc się danem rządowi przyrzeczeniem, że żadnych zbiorowych manifestacyi a zatem i adresów przyjmować w więzieniu nie będzie. Prosił więc abyśmy ten szacowny dokument złożyli u syna jego Daniela. Dowiedziawszy się że na czele podpisanych był hrabia Montalembert, mówił wiele o jego talencie i zasługach. Myśmy się rzadko odzywali, tak byliśmy ucieszeni i odurzeni zarazem i tą żywością myśli, i tą złotą wy-

mową, i tą swobodą która równie na licach jak w każdym jego wyrazie panowała. Kilka miesięcy pierwéj, w czasie sądowych szykan i niepewności jak proces wypadnie, spotkałem go był w Londynie na wschodach do Reform Club. Na me wyrażenie współudziału w jego strapieniach, odpowiedział mi z przytłumioną boleścią i z przygaszonem wejrzeniem: *What cannot be cured, must be endured*, czemu niemożna poradzić temu poddać się trzeba. Ścisnęło mi się wtedy serce. Jużem myślał że i ta żelazna natura chwiać się poczyna. Teraz widziałem go przed sobą znów czerstwego, z ogniem w oku, z piersią swobodnie oddychającą, z gromem na ustach.

Ubrany był tak, jak wówczas kiedym go pierwszy raz widział, w surducie pod szyję zapiętym, na którym teraz błyszczał jeden tylko guzik metalowy, godło członka towarzystwa *Repealu*, na głowie miał zielony kaszkiet ze złotym lampasem. Lata go nieco pochyliły, twarz trochę obwisła, tuszy przybyło, ale krzepkość była zawsze ta sama.

Od czasu do czasu przerywały nam rozmowę to damy z dalekich stron przybywające i przywodzące mu po błogosławieństwo swe dziatki, przyszłych *repealers*, jak to widać było po guziku na sukienkach, to ubodzy wieśniacy których on jak Aleksander Wielki swych żołnierzy poznawał od razu i po imieniu nazywał, a którzy przychodzili z ostatnich krańców wyspy, by tylko mu złożyć hołd i ponieść swéj rodzinie wiadomość o jego zdrowiu, to nareście wysłańcy od obradującego w téj chwili Stowarzyszenia z raportem o postępującéj sumie składek tygodniowych. Tych ostatnich zdawał się oczekiwać z niecierpliwością a nawet z pewnym odcieniem trwożliwéj niespokojności. Na 300 funtów zmarszczył brwi, na 400 nic nie powiedział, na 500 zupełnie rozjaśnił czoło, a na 600 nie mógł już pokryć uśmiechu. Drobna to okoliczność, ale kto wie, że w Anglii miarkują potęgę polityczną według skali pieniężnéj, ten się nie zdziwi czemu on tak wielką ważność przywięzywał do tego aby składki się nie zmniejszały ale owszem co tydzień powiększały.

Gdyśmy się już nachodzili, zapytałem się troskliwie czy go to nie nużyło. „Gdybyś, rzekł, widział mię z psami ska-

czącego przez płoty i rowy po mojéj włości i to dzień cały, tobyś się przekonał jak wiele mogę chodzić. „Jakoż, jak gdyby go moje pytanie bardziéj jeszcze orzeźwiło, poprowadził nas do drugiego ogrodu. Przechodząc koło bramy ujrzeliśmy szereg pijaków, których dopiero co przywieziono z jarmarku odbywającego się na jednem z przedmieści dublińskich, sławnem z bitew i pijatyki. Było to jedyne niemiłe zdarzenie w całym ciągu naszych odwiedzin. O'Connell odwrócił oczy, a że właśnie nadwinęła się córeczka dozórcy, porwał ją na ręce, ściskał i bawił się z nią, dopóki nie pozbył się smutnego wrażenia.

W drugim ogrodzie, prawie w całości warzywnym, stały słupy do gimnastyki. Tej ćwiczenia O'Connell namiętnie polubił. W środku wznosił się pagórek, a na nim altanka, którą mu pozwolono wybudować. Ztamtąd widać było całe miasto i okolicę. Tłomaczył nam topografią Dublina, wskazywał między lipami bieg wielkiego kanału. Dwoma dniami wprzódy, spostrzegło go w téj altance płynące z dalekich stron grono wieśniaków, i taki nagle okrzyk wzniosło, że myślano iż jacy powstańcy do więzienia szturmują. O'Connell raz ręką powionął żeby im podziękować, drugi raz żeby się uciszyli, i cała trwoga strażników wnet minęła. Nazwał on ten kopiec pagórkiem Tara od sławego miejsca, gdzie się w dawnych wiekach książęta i wodzowie irlandzcy zbierali na naradę, po któréj następowały świetne uczty i zabawy rycerskie.

Zaledwie zeszliśmy z altanki, godzina czwarta, o któréj zamykają bramy przed obcemi, wybiła. Odprowadził więc nas do samego progu, podziękował raz jeszcze i uścisnął z prawdziwie polską serdecznością. Wzruszeni do głębi, wychodząc z tych posępnych murów, które nagle się stały dworcem zasługi i wielkości, ani przypuszczaliśmy, że tak wkrótce, bo za dni kilkanaście, zanim z owych drzew w więziennym ogrodzie jeden owoc opadnie lub listek uwiędnie, święta opieka która musi nad takim człowiekiem szczególniéj spoczywać, wybawi go niespodzianie z domu niewoli, i że on z tego progu od razu wsiędzie na wóz tryumfalny. Izba lordów, przed którą uczyniono wniosek o uchylenie wyroku z powodu jakiejś dro-

bnéj nieformalności zaszłéj w czasie sądu, umorzyła całą sprawę. Łatwo sobie wystawić z jakiem uniesieniem musiał być wszędzie witanym wypuszczony na wolność O'Connell. Pochód jego po Irlandyi był jednym ciągiem narodowych uroczystości. Nieraz go jeszcze późniéj w Londynie widziałem, ale mi się nigdy już nie wydał tak czerstwym i swobodnym jak w więzieniu.

Młoda Anglia.

(1844.)

Czem się to dzieje, że w téj wielkiéj, mądréj i potężnéj Anglii jest przecie tak ckliwo, ponuro i boleśnie? Skąd w niéj te walki i te przeciwieństwa: przepych obok największéj nędzy, najsurowsza moralność i razem najczarniejsze zbrodnie, pomimo równości cywilnéj a prawie i politycznéj otchłanie odrębności między najdrobniejszemi towarzystwa oddziałami, przy najwyższem rozwinięciu sił umysłowych dziwnie uporne zakołowacenie głów? Gdzie klucz do labiryntu sprzeczności, w pośród których religia stała się sektą, arystokracya fakcyą, lud motłochem, literatura i sztuki rzemiosłem, a każdy nowy wynalazek przemysłu klęską dla milionów zgłodniałego gminu? Z jakiejże to może pochodzić przyczyny? Odpowiem: oto w téj rozmaitości niema zgody, w pojęciach i dążeniach niema spójni i jedności, przemysłowi i materialnéj potędze brak wielkiego celu a nawet względu dla ludzkości, siłom myślenia brak wzniosłego kierunku, w około pełno formułek ale w formułkach ogromna anarchia.

Zagadnie kto: przecież Anglia jest przedmiotem podziwu, przykładem, który inne narody na wyścigi i nie bez korzyści naśladują, przecież tam cywilizacya wygórowała do stopnia, jakiego ani w starożytnych ani w nowych nie widziano wiekach. Nie przeczę. Jest jedność w ubieganiu się za pomyślnością w materialnym bycie, jest zgodność między siłami ilekroć idzie o wzajemny pożytek, jest odporne przymierze przeciw wszystkiemu co nie produkuje, samolubna federacya interesów ziemskich, ład i porządek by dla ubiegających się nie

brakło miejsca a dla szczęśliwych bezpieczeństwa ku wyłącznemu używaniu osiągnionych korzyści. Wyrobiono siły, wydoskonalono wszelkie funkcye, przewidziano wszelkie trudności, podzielono ludzi i ich zdolności na odpowiednie kratki i kondygnacye. Ta to okazała strona zewnętrzna wpada najprzód w oczy, i jest przedmiotem podziwu, z jakim cudzoziemcy spoglądają na Anglią. Zwłaszcza dziś, przy tak szybko rozwijających się i gmatwających stosunkach społeczeńskich, nic naturalniejszego że inne narody patrzą na nią z uwielbieniem, pragną korzystać z jéj doświadczenia i od razu przyswoić sobie doskonałość urządzeń, które ona trudem wieków zdobywała. Olśnione wspaniałą powierzchownością, nie sięgają głębiéj, nie badają czy pod tą świetną powłoką znajdują się niezbędne warunki podnioślejszego życia, prawdziwego szczęścia i wielkości. Rozmiar i barwa są tu powodem złudzenia, osobliwie dla patrzących z daleka. Ale ani wielkość rozmiaru ani nadobność barwy nie stanowią rękojmi trwałości a tem mniéj szczytności istnienia. Siła żywotna nie jest przeto trwalszą i pewniejszą w olbrzymie niż niedorostku, że budowa olbrzyma może być wzorem piękności i doskonałości organicznéj człowieka. Uczony anatomik nie mniéj od prostaczka podlega niebezpieczeństwom i śmierci, choć wie wybornie jak muszkuły działają, jak krew opływa po żyłach. Anglia jest olbrzymem, zna doskonale każdy muszkuł w swym organizmie i onego użycie, lecz za tem jeszcze nie idzie, iżby w niéj żywotność była potężniejszą niż w narodach uboższych i mniéj ucywilizowanych, i bezpieczniejszą przeciw zepsuciu i upadkowi. Owszem, cywilizacya podnosząc życie na obszerniejsze wymiary, rozwija złe i dobre zarówno, a niezawodnie rozwija prędzéj pierwsze od drugiego tam, gdzie nią nie kieruje coś wyższego, niezależnego od zmian i przygód ziemskich. Otóż właśnie z postępem bogactwa i potęgi materialnéj coraz dolegliwiéj dojmuje Anglię brak wyższego, duchowniejszego kierunku, a ztąd rozstrój w umysłach, tęsknota w szlachetniejszych sercach, i w pośród przepychu oblewającéj światłości przerażające zaćmienie. Wszyscy czują, że im czegoś niedostaje, podobni Izraelitom, którzy w nie-

woli stracili arkę przymierza, i po dziś dzień szukają jeszcze laski Aarona.

Atoli wśród najbystrzejszych nawet umysłów w Anglii, rzadko który dotąd domyśla się czem właściwie jest ów zgubiony kierunek i jak go odnaleźć. Zimne, uczone głowy szukają ratunku ale w ciasnym obrębie dawnéj rutyny. Pobijają ciągle machinę polityczną coraz nowemi sztabami. Gdzie się śrubka odkręci lub gwoździk wypadnie, natychmiast przedsiębiorą skrzętne naprawki i ulepszenia. Nie widzą że środki ostrożności, choćby i najmędrsze, na mało się przydadzą, jeżli siła w ruch machinę wprawiająca psuje się i słabnie. Są przecież gorętsze serca i żarliwsze dusze, które przeczuwają na daléj, i pomykają się ku prawdzie choć bardzo powoli, jakby omackiem i przypadkowo. Już wyzwolenie się z zastarzałéj rutyny, które ludzi do téj kategoryi należących wystawia na szyderstwo większości, już żądza czegoś wznioślejszego, już nieokreślony smutek ich ducha, są pierwszemi promieniami wychodzącego słońca z zaćmienia, są zwiastunami zbliżającéj się przemiany. Smutek ten, niepokój, gdy się zniżył do rozpaczy, zrodził Byrona w literaturze a Owena i Socyalistów w filozofii praktycznéj, gdy się wzniósł do nadziei, zrodził Puzeizm w religii a w polityce *Młodą Anglię*. O téj ostatniéj mówić zamierzam.

Jakie miała początki ta nowa polityczna szkoła, skąd jéj imie, gdzie pierwsze prace, to częścią może być tylko domysłem, częścią rzeczą obojętną, wyjąwszy dla malowniczego kronikarza naszych czasów. Gorączka *bilu reformy* sprawiła oddziałanie, zwątlenie i niesmak z zawodu. Całą winę rzucono na półśrodkowców whigów. Na nich padły wszystkie razy. Przez ich to niepopularność raczéj jak przez własną zasługę lub miłość swych stronników przyszli do władzy torysowie pod świeżem nazwiskiem konserwatorów. I zaraz w kilku pierwszych tygodniach pokazało się, że nowi sternicy muszą naprzód w tym samym kierunku co dawniejsi płynąć. Jakoż w istocie przyswoili oni sobie zupełnie tym razem systemat przeciwników politycznych. Ztąd ciche, najprzód tłumione, daléj coraz widoczniejsze nieukontentowanie nawet w szykach

zwycięzców. Ministrowie nie dbali na szemrania, bo mieli w parlamencie niezmierną większość, która przez sam wstyd tak prędko odstąpić ich niemogła. Zdawało im się że w zastępie konserwatorskim posiadali dziedziczném prawem głosy młodszych synów parowskich, bogatych paniczów, dorabiających się literatów, którzy wszyscy albo wykarmieni mlekiem arystokracyi, albo nęceni do jéj przybytku to nadzieją zaszczytów to pociągiem mody, winni im byli ślepe wedle ich mniemania posłuszeństwo. Jakżeż się zdziwili, gdy w tym tłumie, który za dobrych czasów Percevala, Liverpoola, Castlereagha zbiegał się prosto z balów po północy, by wotować za rządem nie pytając o co idzie, teraz zaczęły się podnosić krnąbrne głosy, wyrzuty, napomknienia opozycyi. Czas było pomyśleć o zaradzeniu niebezpieczeństwu. Użyto najprzód broni szyderstwa. Ktoś nazwał młodych, niepodległych torysów, młodą Anglią, wiedząc jaki wstręt naród czuje do młodéj Francyi, do młodych Włoch i t. d. i ta nazwa im się została.

Policzeni w poczet nowéj szkoły znakomici są nie liczbą ale talentem. Darmo szukać między nimi jedności pomysłów, nie wywiesili jeszcze żadnego godła, mają tylko wspólnictwo niewyraźnych uczuć, niesmaku ku temu co jest, żalu za przeszłością, i łączą się w szukaniu ratunku za obrębem znanych dotąd sposobów. Nie utworzyli więc dotąd partyi, lecz ktokolwiek podniesie głos przeciw dzisiejszemu układowi towarzystwa zaraz go liczą do tego kółka. Do młodéj Anglii należą: Smythe, syn dyplomaty lorda Strangford, autor bardzo młodocianego dzieła pod tytułem: *Urojenia historyczne;* lord John Manners, poeta, nowoczesny Sydney; Milnes, który niedawno powrócił z Rzymu, a teraz Niemcy zwiedza, przyjaciel Montalemberta, pierwszy z protestantów, co śmiał w izbie oddać hołd religii katolickiéj i radzić ministrom, aby posłali ambasadora do papieża, i jeszcze inni członkowie parlamentu. Na czele, o ile podobna szkoła może mieć przywódzcę, stoi Disraeli, znakomity publicysta, autor romansów i mówca. W pograniczu téj drobnéj kolonii przebywają z jednéj strony lord Ashley, obrońca ubogich i klasy wyrobniczéj, a z drugiéj Dawid Urquhart, apostoł nowego systematu w rzeczy

związków Anglii z obcemi narodami. W izbie wyższéj posądzają dwóch parów, a co większa jednego z biskupów, że są im przychylni. Na wielkim świecie, kilka dam modnych i kilkunastu młodych literatów stanowią pierwszy szereg wyznawców. Dziennik Times bierze młodą Anglię często w opiekę na zasadzie, że młodość ma szlachetniejsze popędy i lepiéj widzi potrzeby przyszłości, równie jak przez wdzięczność za ich opór przeciw nowemu prawu ubogich. Inne dzienniki rade ich pracom najprzód dla tego, że mają modę za sobą, a późniéj z powodu że trudno gniewać się na tych, którzy wszystkich po kolei cenzurują. Księgarz Bentley ogłosił, że od nowego roku wydawać będzie Tygodnik pod tytułem *Młoda Anglia.* Ale za najpoważniejszy organ nowéj szkoły uważać należy kwartalny przegląd *The New Quarterly Review.* Co dziwniejsza że jednym z jego założycieli i współwydawców jest Gladstone, aż do tegorocznego otwarcia parlamentu minister handlu. Już wspomniałem o dziele historycznem Pana Smythe, o poezyach lorda John Manners i Milnesa. To szkoda, że jak ci panowie nie mogą się pozbyć elegancyi w ubiorze, co na osoby ciągle bywające w wielkim świecie nie byłoby śmiesznością, gdyby nie sprzeciwieństwo batystowych chustek i białych rękawiczek z płaczliwem rozczulaniem się nad nędzą ubogich, tak téż nie zdołali jeszcze uniknąć trefnisiostwa w literaturze. Noworoczniki keepseki, sztambuchy na rok 1845, pełne są ich sielanek, miłośnych poezyi, akrostychów i sonetów. Biada że są w modzie i że im kobiety pochlebiają. Ostatnim ich politycznym manifestem były mowy na październikowém zebraniu w Manchesterskiém Ateneum, literackim klubie dla robotników. Najgłośniejszym i najznakomitszym Romans Pana Disraeli pod tytułem Coningsby, czyli Nowe pokolenie.

W przeciągu sześciu miesięcy wyszły trzy edycye romansu Coningsby; księgarze nie pamiętają takiego pokupu. Tło, zarys powieści niema żadnéj wartości. Autor wprowadził na scenę do sześciu działaczy tak wyraźnie nakreślonych, że niepodobna nie rozpoznać żyjących osób, z których brał wzory. Od pięknéj osobistości księcia Rutland do brzydkiéj i pluga-

wéj figury pana Croker, dawnego faktotum torysów a dzisiaj jednego z wydawców pisma Quarterly Review, przesuwają się przed nami wszyscy prawie ludzie czy złéj czy dobréj sławy, którzy w ostatnich czasach mieli udział w grze politycznéj. Coningsby, człowiek nowego pokolenia, kryje pana Smythe. Ale główną figurą jest Sidonia, żyd hiszpański, który z sardonicznym uśmiechem na ustach, otwiera niedoświadczonym oczy, niby mentor téj złotéj młodzieży. Jedni mówią że to ma być któryś z Rotszyldów, drudzy że sam Disraeli. W rzeczy saméj wiadomo, a przynajmniéj łatwo poznać z nazwiska, że przodkowie autora byli starozakonnego pochodzenia, z tém się on bynajmniéj nie tai, owszem, gdzie może, wynosi nad wszystko czystą krew i genjusz żydów, a dając za przykład Soulta, Kankrina, Mendizabala, im zarząd świata przyznaje.

Niebawem wyszła książka, haniebna spekulacya księgarska z kluczem do całego romansu, a dziś o niczem nie mówią w Londynie tylko o zapowiedzianéj odpowiedzi pod tytułem: Anti-Coningsby czyli nowe pokolenie jak się zestarzeje.

Autor jakby mimochodem, choć to jest głównym celem jego dzieła, wprowadza zadania społeczne o konstytucyi, o historyi, o stanie całego kraju. Pytaniem jest, czy się godziło dla ogłoszenia choćby i najzbawienniejszéj teoryi używać za narzędzie, za sposób wzbudzenia ciekawości, tak dotkliwéj a często nawet złośliwéj satyry na osoby dotąd żyjące? Czy moralność w Anglii zeszła tak nisko że potrzeba Juwenala? Mamyż policzyć romans Disraelego do rzędu utworów jak les Amours des Gaules, albo Matylda? Niestety, obojętność, zakołowacenie umysłowe, o którem wprzódy mówiłem, doszły w Anglii do tego stopnia, że prawdy skromne, po prostu powiedziane, już nie robią ogólnego wrażenia. Zestarzałym narodom prawdę, żeby się przyjęła, zwykle podają malowniczo, chyłkiem, od niechcenia, a nawet zdradziecko. Młode, w czerstwości ciała i umysłu, obejdą się bez przydatków i omamień. Zgrzybiałość ludów podobna do ich niemowlęctwa, oba te wieki lubią mimiczność, ubiegają się więcéj za cieniem jak za istotą. Dziecie szaleje za obrazkiem, starzec za karykaturą.

Coningsby czy całkowicie przetłomaczony, czy tylko w treści podany, nie zająłby czytelników polskich. Trzeba znać dobrze osoby, żeby zrozumieć tysiące przycinków, napomknień, obrazów. Ale zasady i opinie wyłożone, są niezmiernie ciekawe jako najzupełniejsze wyznanie wiary nowych reformatorów. Wezmę pod uwagę najważniejszy przedmiot, to jest, jak Disraeli uważa przeszłość historyczną Anglii. Ważniejsze spostrzeżenia, jakie w dziełach innych członków szkoły wyczytać mi się dało, posłużą do dopełnienia rozbioru.

„Wielkim celem whigów w Anglii, mówi Disraeli, od pierwszego poruszenia pod Hampdenem, aż do ostatniéj, pomyślnéj rewolucyi w 1688 roku, było założenie arystokratycznéj rzeczypospolitéj na wzór weneckiéj, wtedy przedmiotu nauki i uwielbienia teoretycznych statystów. Czytaj Harringtona, czytaj Sydneya, a obaczysz jak dusze głównych polityków angielskich w XVII. wieku były przejęte tym pierwotworem weneckim. I w końcu udało im się. Wilhelm III. od razu odgadł dążenia ukryte. Powiedział naczelnikom whigowskiego stronnictwa: „Niechcę być Dożą“ i ostał się jedynie na równowadze partyi, a tak pomięszał szyki polityków jak purytanie 50 lat przedtém. Panowanie jego w Anglii trzeba uważać jako walkę między weneckim a angielskim systematem. Dwaj wielcy whigowie Argyle i Shrewsbury, godni krzesła w radzie dziesięciu, zmusili królowę na łożu śmiertelném do zmienienia ministerium. Doszli oni do zamierzonego celu. Przyzwali na tron nową familię i to na warunkach przez siebie podyktowanych. Jerzy I. był dożą; Jerzy II. był dożą; byli tém czém Wilhelm III. wielki człowiek być nie chciał; Jerzy III. usiłował, by nie był dożą, ale nie mógł się oprzeć rzeczy na tak głębokich spoczywającéj fundamentach. Łatwo mu przyszło pozbyć się whigowskich wielkich ludzi, ale nie konstytucyi weneckiéj. I tym sposobem wenecka konstytucya rządziła Anglią od wstąpienia na tron domu hanowerskiego aż do roku 1832.“

Oto jest założenie, bardzo dziwne zapewne dla wielu czytelników. Pożyczywszy teraz téj soczewki od nowéj szkoły,

spojrzyjmy na przeszłość historyczną Anglii w ciągu trzech ostatnich wieków.

Wojny róży białéj i róży czerwonéj złamały, zniszczyły prawie do szczętu starą normandzką arystokracyę. Kiedy Henryk VII. przywołał do siebie dawnych baronów, 29 tylko przy tronie się znalazło. Przyszła reformacya: na łupieztwie kościołów zbogacili się liczni faworyci dwóch z porządku królów i dwóch królowych. Powstał nowy podział ziemi, powstała nowa arystokracya, ale arystokracya bez uroku, bez powagi. Sydney wspomina o niéj z pogardą; a o kommonerach (commoners) mówi, że są tak niepodlegli jak tytułowani panowie, że wielu kommonerów równa się wychowaniem i nauką patentowanym lordom a majątkiem przewyższa prawie ich wszystkich. Ci to kommonerowie pokusili się za Jakóba I. o wszechwładztwo w państwie. Każdy z nich był dostojnym kawalerem, każdy w młodości kołysał się na gondoli, każdy czytał Machiavellego i Giannottego. Napatrzyli się na naczelnika państwa, który tylko służył do wystawy i uroczystości, na wielką radę magnatów, którzy stanowili wszystko. Jakże nie uwielbiać politycznéj konstytucyi, wedle słów Harringtona, tak nieśmiertelnéj, tak dobroczynnéj ze swojéj natury, że dotąd stoi Wenecya, dźwigając tysiąc lat pokoju na swoich barkach. Z téj to szkoły wyszli naczelnicy rewolucyi za drugiego Stuarta. Urodzeniem, wychowaniem, charakterem godni byli zapisu w złotéj księdze. Eliot, Wentworth, Hampden, Fiennes, St. John, Hazelrigge, mogli stanąć bez sromu przy Mocenigach, Grimanich, Contarinich. Tylko, jak zwykle, rewolucya ich ubiegła i daléj poszła. Poszukano wzoru nie w marmurowych pałacach i złotych przybytkach Wenecyi, ale w ubogiéj, posępnéj Genewie. Atoli zapał czy republikancki czy religijny przemija w ludzie, instynkta polityczne w szlachcie nigdy. Powrót Karola II. na tron był powrotem monarchizmu angielskiego, i na chwilę ucichła antimonarchiczna oligarchia; wszakże, gdy późniéj władza duchowna kościoła zaczęła odzyskiwać dawną przewagę, kiedy poszedł postrach że może trzeba będzie zwrócić dawną grabież kościołowi, uknowano nowy spisek i o mało co zupełnego nie osiągnięto zwycięztwa. Wypędzono angielskiego monarchę za

pomocą holenderskiego przybysza, i dotąd, jak mówi w jednéj z swych poezyi lord John Manners, osierocona religia śpiewa ponure requiem w królewskich grobach Stuartów.

Skoro książę Oranii zwyciężył, oświadczono mu, że miał tylko służyć dla przepychu, dla reprezentacyi. Lecz angielscy patrycyusze znaleźli w nim nie ślepe narzędzie ale pana. Zagroził im że ich porzuci, zostawi samych na zapasy z narodem, któremu byli nienawistni. „Nie chcę stać się Dożą“ zawołał i potężném berłem odsunął ich od władzy. Trudno powiedzieć który system przeważał za Anny. Dopiero w ostatnich jéj latach narodowa partya, pod naczelnictwem Bolingbroka, przemogła. Wszakże przed samą ostateczną chwilą patrycyusze zdobyli się na szalone natarcie i jednym zamachem zniszczyli przygotowania do przywrócenia narodowéj monarchii. Elektor hanowerski słaby, rozlazły, nie mający ani jednego przymiotu wspólnego z holenderskim Statuderem, przybył i poddał się od razu. Rząd postawiony został na podstawie która do dzisiaj dnia dotrwała, króla wypędzono z rady, i szalona mistyfikacya odpowiedzialności ministrów przed parlamentem z ich własnych partyzantów złożonym po raz pierwszy spadła na naród.

Nie polenili się zwycięzcy korzystać z odniesionego zwycięztwa. Odtąd skierowali wszystkie dążenia, aby ograniczyć prawa ludu a podnieść przywileje arystokracyi. Weźmy trzy najgłówniejsze bile, wprowadzone przez whigów za nowego króla. Zaraz pierwszy rok jego panowania został na zawsze pamiętny ustanowieniem monopolu na zboże, które dotąd toczy wnętrzności najżywotniejszéj części narodu. Potém przyszedł siedmioletni akt, który przedłużył do lat siedmiu trwanie parlamentu, by tym sposobem osłabić kontrolę wyborców nad wybranymi, a wzmocnić władzę ministrów. Czemże był ten trzeci bil, na mocy którego po pewnym czasie miano ograniczyć liczbę parów, jeżeli nie zamiarem utworzenia złotéj księgi jak w Wenecyi. Kto się opierał, kto ten ostatni zamach zniweczył? Oto torysowie: Bolingbroke, Wyndham, Shippen.

Za Jerzego II. nastało nowe pokolenie dilettantów liberal-

nych, którzy wzięli izbę niższą za świątynię bogini wolności, a siebie za jéj kapłanów ogłosili. Dla króla byli to Horacyusze Koklesy, dla królewicza usłużne kajmakany. Whigowski patryota owego czasu, z izby, gdzie obsypywano oklaskami przypomnienia klasyczne, któremi wzywał cieniów Brutusa, Deciusza, Regulusa, i odwoływał się do surowych cnót i wstrzemięźliwości spartańskiéj, wychodził by zasiąść przy wspaniałéj wieczerzy u kochanki następcy tronu. Tam wśród gwaru biesiadników naradzał się on z nim, jak skłonić parlament do zapłacenia długów królewiczowskich, nagromadzonych rozrzutnością i swawolą. Polityka stała się dla aspirantów tém, czém była wojna przed wieki. Nikt nie mógł dojść do znaczenia, kto się nie przywiązał do jakiego wielkiego, potężnego domu. Niedziw więc, że za dwóch pierwszych Jerzych, tory i patryota stało się synonimem. Nienawiść przeciw domowi hanowerskiemu, zgroza na przedajność i przekupstwo, któremi Walpole ustalił nową dynastyę, niechęć ku wdzierającemu się w anglikanizm nowotworstwu religijnemu z zagranicy, wszystko to zrobiło torysów ze wszech miar popularnymi. Przeciwnicy nazywali ich stronnictwo chłopcami, *the Boys*, przez szyderstwo, tak jak dziś podobna zawiść podobnéj zasłudze rzuca na pośmiewisko nazwisko Młodéj Anglii.

Jerzy III. starał się zrzucić jarzmo. Zużyli się na téj próbie i Bute i Bedford i Grenville. Stary Pitt powiedział mu: „Wasza Królewska Mość bezpiecznie i korzystnie tylko z wielkich domów rewolucyjnych możesz ministrów wybierać. Te wyrazy malują cały ciąg polityki od 1688 do 1783; a pewnie się nie mylił mąż, który całe swe życie sterał na walce z intrygami i niecnotą przeciwników. Synowi Pitta zostawione było złamać, skruszyć więzy oligarchii. Przyzwał on średnią klasę na pomoc. Marzenia Bolingbroka zdały się być bliskiemi urzeczywistnienia. Anglia miała wreszcie króla patryotę i monarchiczną demokracyę. Ale nie długo trwała pogodna chwila. Trzeba było i podnoszące się głowy przeciwników poskromić i nagrodzić pomocnikom. Pitt młodszy otworzył na rozcież podwoje izby wyższéj dygnitarzom handlu i przemysłu. Niesłychaną dotąd pomyślnością i wzrostem handlu przekupił

na swoją stronę wszystkie niższe stany. Czarnoksięskim fortelem długu narodowego pozwolił im wzbogacić się i wzrość na pany kosztem potomstwa. Złoty Paktolus, który płynął ze skarbu rządowego, dzielił się na mnogie gałęzie i nie było tak nędznéj wioski w królestwie, do którejby jaka z jego błyszczących smug nie zaciekała. Haniebnego użył środka, ale może koniecznego. Starzy magnaci musieli znowu pomyśleć o zasadach, o dobru państwa. Młoda arystokracya równie potężna w obu izbach, wprowadziła znowu surowego ducha partyi. Pitt nagradzał talenta, gdzie się tylko pojawiły, i téj zmianie, temu przełamaniu dziedzicznéj władzy kilkudziesięciu domów, winni są wyniesienie późniejsze Huskisson, Canning, Robert Peel. Pitt jak Perykles zgniótł oligarchię, a na jéj gruzach wywyższył średnią klasę do władzy, bogactwa i dostojeństw.

Nowi arystokraci wkrótce zasmakowali w przywilejach, w wyłączności. Zaledwie Pitt umarł, pożyczyli oni płaszcza od dawnych patryciuszów. Przesadzali się w naśladowaniu przywar starszego bractwa. Obrócili się przeciw ludowi. Ci, których z tłumu wywołał minister, który zreformował izbę wyższą, który porzucił miejsce u steru że nie zdołał wyemancypować Irlandyi, który pierwsze zasady wolnego handlu położył w traktacie z Francyą 1785 roku, — ci mówię, zaparli wrota izby przed nowymi przybyszami, rozbudzili znowu nienawiść przeciw katolikom irlandzkim i napełnili swe worki najszkaradniejszym monopolem na zboże. Patrząc na nich, niepodobna ich nieporównać do téj części weneckiéj szlachty, którą zwano szlachtą z wojny kandyjskiéj. Kiedy bowiem w XVII. wieku Wenecya poczęła upadać a skarb wypróżnił się wojnami, dla znalezienia środków na koszta wojny z Kandią, sprzedano tytuł szlachectwa stu domom, za 100,000 cekinów każdemu, i stało się to samo, co w Anglii. Nowa arystokracya zamiast podparcia, wzmocnienia ojczyzny, poczęła starą naśladować, przyjęła wszystkie jéj wady, żadnéj cnoty nie przejmując. Ostatni Doża, Manini, który podpisał dekret śmierci rzeczypospolitéj, z téj plebejuszowskiéj arystokracyi pochodził.

Brakło nareście cierpliwości ludowi. Klasa kupiecka obróciła się przeciwko tym, którzy się wspólnego z nią początku wyparli. Starzy magnaci, pałając zawsze nienawiścią ku nowym tytułom, skorzystali ze sposobności i stanęli na czele narodu. Aktu reformy, który postanowionym został w 1832, głównymi autorami byli członkowie najcelniejszéj arystokracyi whigowskiéj. Izba niższa stała się wszechwładną, wyższa spadła do znaczenia bióra mającego na celu zaciągać ukazy pierwszéj na listę aktów publicznych. Zwyczajną koleją nowi możnowładzcy, nie czując nad sobą wędzidła, poczynają zapominać swego pochodzenia. Naród widzi, że kołując bezprzestannie w jednym zakresie stanął w końcu u przełomu niebezpiecznéj pochyłości, przyzywa więc nowych żywiołów, wzdycha do zupełnie nowéj przyszłości, staje za obrębem dzisiejszych stronnictw i formułek. Śmierć położyła palec na czole dziś walczących partyi. Whigowie się zużyli, Konserwatyzm jest obłudą, Radykalizm plugastwem. Izba niższa stała się niewolnicą zręcznego Judasza (Roberta Peela). Arystokracya złożyła panowanie i trudno się jéj podnieść, bo niema za sobą ani uroku dalekiéj przeszłości, ani miłości ludu w obecnéj chwili. Wszystko to są stosunkowo nowi ludzie. Z 29 rodziu, których reprezentanci stanęli przy tronie Henryka VII, pięć tylko po dziś dzień zostało. Dzisiejszą arystokracyę składają: 1) Ci co powstali na łupiestwach kościoła, 2) Nabywcy dostojeństw za dwóch pierwszych Jerzych, 3) Spanoszeni na handlu i przemyśle plebejusze, którym Pitt otworzył wrota do przybytku westminsterskiego. Zejdźmy przypatrzyć się bliżéj machinie rządowéj; czem jest dzisiejsze ministerium, czem dwaj główni jego naczelnicy, czem w ogólności konserwatyzm? Peel matacz, hipokryta, namiestnik whigów, pod innym tytułem ich rządy sprawuje. Z Wellingtona dobry jenerał, zły statysta. Wojskowi są zawsze najgorszymi politykami. Przyzwyczajeni do brania prędkiéj decyzyi na razie, nie dają baczności ani na wolno, zdaleka działające przyczyny, ani na znaki przybliżających się wypadków. Dzień dzisiejszy wszystkiém jest dla nich, sąd ich zależy najczęściéj od ostatniéj

wieści, od ostatniego podsłuchu, który im adjutant przyniesie.

„Konserwatyzm, mówi Disraeli, utrzymuje w teoryi, że trzeba zachować wszystko co istnieje; w praktyce, że cokolwiek istnieje tego bronić niepodobna. By pogodzić tę teoryę z praktyką wynalazł on to co się zwie „*the best bargain*“ to jest sposób uzyskania jak najwięcéj od przeciwnika, układ, przymierze, które niema ani zasady ani celu, chyba tylko żeby wytargować chwilę dla pokutnego odetchnienia, dopóki duch konserwatorów bez przewodnika, bez zamiaru, durzony, kuszony, obłąkany, nie przygotuje się do nowego układu, równie mądrego jak pierwszy. Konserwatyzm dzisiejszy pokazuje jak można rządzić niewypełniając funkcyi rządu, ale kładąc na ich miejsce ścisłe wykonywanie obowiązków biurowych, i jak utrzymać bierny systemat prostym wpływem majątku, znaczenia i dobréj reputacyi. Usuwa on na bok przedawnienie, wzdryga się na zasady, wyklina postęp, pozbywszy się wszelkiéj czci dla przeszłości nie podaje żadnego środka na dolegliwości obecne, nie krząta się około przygotowań na przyszłość. Na czas przy pomyślnych okolicznościach konfederacya taka udać się może; ale skoro nadejdzie wstrząśnienie, jakiemu wszystkie państwa peryodycznie podlegają a jakie zimna i martwa polityka rodzi i przyspiesza, wtedy zaraz brak wszelkiéj siły do oporu, przekleństwo politycznéj niedołężności sparaliżuje wszelkie działanie i popęd do czynu, i w końcu pokaże się, że ta zachowawcza konstytucya nie była niczém inném tylko caput mortuum.“

Dolegliwe są słowa podobne, osobliwie w ustach jednego z tych, którzy na swych barkach ponieśli do steru naczelnika dzisiejszéj polityki.[1])

Atoli niedosyć wytykać błędy, znajdować przywary, trzeba coś postawić na miejscu tego, co się chce rozwalić. Tu się dopiero prawdziwa trudność i mozoły poczynają. Jakiejże to

---

[1]) Nie zaszkodzi tu przypomnieć, że Disraeli, niegdyś żarliwy poplecznik Sir Roberta Peel, dziś w rozbracie z nim, zaciętym jest nieprzyjacielem konserwatyzmu, przechowując w parlamencie swą wierność czystemu toryizmowi.

przyszłości żąda nowa szkoła? Oto urzeczywistnienia pięknéj myśli Bolingbroka: monarchicznéj demokracyi i króla patryoty, z dodatkiem teraz jednego kościoła otoczonego miłością i zaufaniem całego narodu.

Król patryota, podług Bolingbroka, jestto jakaś czysta boska istota, bez wędzidła, bez ograniczeń, wnikająca ciągle w całą organizacyę społeczności, bez ustanku wsumieniająca się w naród. By jednak téj doskonałéj natury nie stracił, filozof takie daje mu rady: „Król patryota — mówi on — powinien pamiętać że jest sternikiem okrętu, należącego jako własność do załogi. Największe dobro dla ludu wolność stanowi, bez niéj niema szczęścia dla społeczeństwa; bronić jéj uważamy za najświętszy monarchy obowiązek. Niech pomni, że konstytucya jestto jedno prawo, złożone z dwóch tablic, jeden system sklejany z rozmaitych części i władz w tak doskonałym stosunku i harmonii, że każda zosobna do piękności i bezpieczeństwa ogółu musi się przykładać. Ta jednak zachodzi różnica że króla prawa są pośrednie, pożyczone, prawa zaś narodu bezpośrednie, nieustające, istotne.“ Podobnych rzeczy aż nadto nasłuchaliśmy się w naszych czasach, przytoczyłem to jednak, żeby wykazać na co się młoda Anglia powołuje. Daléj, kościół ma być jeden a kapłani zarazem trybunami ludu. Pośrednictwo między monarchą a życzeniami ludu oddaje nowa szkoła opinii publicznéj reprezentowanéj przez dzienniki; zaś powagę, urok, władzę króla nad ludem, odnosi do jakiegoś wpływu nadziemskiego, pokrewnego mocy, którą monarchowie dawni uzdrawiali nieuleczone choroby przez proste rąk położenie.

Takie to są pia desideria Młodéj Anglii. Non meus hic sermo, nic nie dodałem, tylko wypowiedziałem bez ogródki to, co jeszcze w jéj pismach bywa zasłonioném, i ułożyłem pewną całość. Choć może nie wszyscy z téj szkoły zgodziliby się na takowe zestawienie ich pomysłów, trudno mi było inaczéj postąpić z ludźmi, którzy piszą pojedyńczo, a żadnych zasad korporacyjnie nie obwieszczają. Wszakże tylko co poważniejsze zdania przytoczyłem. Łatwo dojrzeć, jak wiele jest talentu w tém nowém uważaniu historyi. Ten co dotąd szedł za

Humem, Hallamem, a nawet Lingardem, ujrzy z nowego stanowiska pełno prawd niespodzianych. Widoki na przyszłość nie są tak zaspokajające. Ale to już wina wszystkich szkół poczynających. Największą wadą Młodéj Anglii (kiedyż młodość w ten sposób nie grzeszyła?), że obiecuje wszystkie razem doskonałości: króla patryotę z nieokreśloną władzą i demokracyą wszechmocną; kościół nierozdwojony żadną schyzmą ani rozdzielony żadnemi sektami, a przytém wolność myślenia nieograniczoną. Uczucia jéj są torysoskie, przeczucia radykalne. Każdy z wyznawców drapuje się, stawia jak paladyn, a siada do rady z republikanami. To pewna, że już form parlamentarskich nie chcą, ani konstytucyi czy to nadanych przez króla, czy wyrobionych przez arystokracyą. Wszystko jest może tylko marzeniem, które pierwszy wiatr rozwieje. Ale co jest pocieszającém, co się ostoi i ostać się tam musi, to coraz głębsze przekonanie równie z doświadczenia historycznego jak z teoryi płynące, że wszystkie choroby w Anglii poczęły się od odstąpienia kościoła, że brak wiary musiałby w końcu rozbić nawet tak potężną organizacyę jak angielska, i że powrót do jednego kościoła i wiary są jedynym ratunkiem.

Więzienia.

(1845.)

Gdyby który z mocarzów niedawnéj przeszłości, — gdyby Filip hiszpański lub Karol angielski wstał z grobu i pojrzał na dzisiejsze społeczne urządzenie Europy, toby zapewne nie tyle się zadziwił nad zmianą dokonaną przez nowe wynalazki, — nad tą naprzykład siatką dróg żelaznych po niegdyś pustych i nieprzebytych obszarach, — ile nad zupełném przeistoczeniem domowego porządku w więzieniach i trybu obchodzenia się z więźniami. Jakoż dawniéj przemyśliwano jak przysporzyć, dziś jak ująć cierpień uwięzionym; a jeźli równie teraz jak i przedtém sędzia surową karę ściśle wedle praw wymierza, to groźna sprawiedliwość odprowadza winowajców nie daléj jak do progu więzienia; za wrotami czekają na ich przyjęcie litość i dobroczynność. Nie dość na tém. Społeczeństwo wymaga od administratora nie tylko, żeby ujął karze co można, ale nadto, żeby złe nałogi i skłonności grzeszących wykorzenił i bez skazy towarzyskiemu życiu ich wrócił. Przed laty odpowiednim napisem na każdéj niemal bramie więziennéj był ów słynny wiersz Danta:

Lasciate ogni speranza voi ch'entrate;

dziś w wielu już krajach zastąpić go mogą słowa wypisane nad wejściem do La Galera w Madrycie:

Odia el delito y compadece el delicuente.

Same nawet nazwisko więzów i więzień powoli znika a natomiast mamy domy poprawy i pokuty. Anglia jak we wszystkiem gdzie trzeba materyalnych zasobów, wolnego doświadczenia, ładu i systematyczności, tak i na téj drodze wyprze-

dziła inne kraje europejskie. Ale i tu dopiero 70 lat temu jak Howard pierwszy głos podniósł przeciw niedbalstwu, srogości i nadużyciom w więzieniach. Jego to usilnym staraniom przy pomocy Williama Blackstone winna ludzkość założenie pierwszych domów poprawy, uprawnione aktem parlamentu z 1776 roku. Kto wie jak trudno przebić pierwszą powłokę przesądów, nie zdziwi się, że prace Howarda nie otrzymały najprzód pomyślnego skutku. Rzecz się rozbiła o to, w któréj części Londynu zakład wedle jego planu wybudować. Dopiero w 1785, i to nie w stolicy Anglii ale w Gloucester, wzniósł się pierwszy dom pokuty (penitentiary). W kilka lat późniéj sławny Bentham, nowy, obszerniejszy plan zakreślił. Osobista niechęć króla Jerzego III. stanęła na przeszkodzie wykonaniu. Wprawdzie, projekt za nadto grzeszył pierworodną winą u autora, zbyt był przesiąkły *utilitarianizmem* [1]) aby pożądane cele reformy na téj drodze osięgnąć się dały. Byłby on zmienił więzienia w wielkie rękodzielnie, w obwarowane falanstery, dając światu próbkę systematu Owena lub Fouriera *in corpore vili.* Nie dziw więc, że kiedy Romilly podjął tę myśl na nowo i rozwinął ją przed parlamentem w 1810, nie zdołał uzyskać poparcia pomimo swéj wymowy i wielkiego wpływu. Obudzona jednak baczność narodu i izb bez skutku nie pozostała. Założono w Londynie w 1812 wielki dom pokuty (Millbank Penitentiary) na 1000 osób — 600 mężczyzn, a 400 kobiet. Odtąd reforma szybszym zaczęła postępować krokiem. Literaci, filantropi, statyści, to piórem to wymownemi głosy przed rozlicznemi zgromadzeniami, malowali okrucieństwa i zdrożności popełniane w więzieniach; rząd wysyłał komisye rozpoznawcze po kraju i za granicę, a parlament co rok prawie wydawał nowe ustawy.

W innych téż krajach przedmiot ten nie leżał odłogiem. Głośno rozlegały się po Europie pochwały oddawane przez podróżnych urządzeniu domów pokuty w Ameryce. Rząd francuzki w 1831 polecił panom de Beaumont i de Tocqueville

---

[1]) *Użyteczność* jest kamieniem węgielnym układu filozofii moralnej Jeremiasza Benthama.

zbadać je. Owocem ich podróży był ów powszechnie znany raport, który stanowi fundament sławy literackiéj tych dwóch pisarzy. Nowych odkryć, faktów długiém doświadczeniem popartych skrzętnie szukano to po świeżych rejestrach domu poprawy w Genewie, to po starych archiwach w gandawskim Maison de force. Pan Karol Lucas we Francyi, a pan Crawford w Anglii, pilnie obejrzeli całe pole doświadczeń i spostrzeżeń, ujęli je w całkowity systemat i rządom swoim gruntowne plany do zmian podali. Prace Dra Juliusa w Prusiech, pana Edwarda Ducpetiaut w Belgii, że nie wyliczę długiego katalogu imion ludzi, którzy się w innych krajach odznaczyli, pokazały, że przedmiot ten stał się europejskim, i że już niczem niewstrzymaną szybkością do ostatecznego rozwiązania postępował.

Przerażające opisy Howarda wielu dziś kładzie na karb przesadzonéj drazliwości płaczliwego filantropa. Na odpowiedź podobnym niedowiarkom i dla pokazania, jak wielkie zaszły zmiany w kilku latach ostatnich, ważną jest rzeczą rozebrać raport pięciu komisarzy wysłanych przez rząd angielski w 1835 dla obejrzenia wiezień po kraju. Znaleźli oni budowy niegodziwe, wystawione i urządzone nietylko bez uwagi na zdrowie, wygodę, przyzwoitość, ale z zaniedbaniem względu na obyczaje i poprawę więźniów. Cała baczność zwrócona była tylko na to, aby uwięziony nie uciekł. Tym sposobem po odbyciu kary najczęściéj wychodził on gorszym, niżli był przed wstąpieniem do tych jaskiń zepsucia i sromoty. Aresztantów trzymano razem bez względu na wiek, na stopień przewinienia, na płeć nawet. Niedorosły winowajca siadywał obok starego, zatwardziałego zbrodniarza; włóczęga lub drobny złodziej chadzał w parze z mordercą; nieosądzony, a jak się często pokazało, niewinny więzień sypiał w jednéj celi z osądzonym łotrem; kobiety mieszkiwały na jednym korytarzu z mężczyznami. Oto są główne zdrożności, które komisya wylicza w swojém zdaniu sprawy o Newgate, tyle historycznie sławném więzieniu, będącém pod ciągłą i bezpośrednią pieczą Lorda Mayora i Aldermanów londyńskich: gromadzenie więźniów bez różnicy wieku, stanu i stopnia winy, — zupełna

ich nieczynność, — szulerstwo, kłótnie, bitwy i bezwstyd, — brak wszelkiego starania o instrukcyę moralną i religijną, — nieograniczona łatwość w przypuszczaniu odwiedzających, najczęściéj spólników zbrodni, pozwolenie czytania gazet i sprowadzania trunków aż do upowszechnienia pijaństwa, — zgoła wszelka sposobność do utwierdzenia złych nałogów, żadnéj do ich poprawy. Nie dziw, że komisarze do niektórych więzień ledwie śmieli wstąpić. W edymburskiém nawet, dziś jedném z najlepiéj urządzonych, książę Richmond przyjęty został takim zgiełkiem i tak po brutalsku, że się cofnął bez wykonania swego polecenia.

Pomyślano przeto najprzód o zbudowaniu nowych domów, lub o takiém urządzeniu starych, aby zdrożnościom zapobiedz. Następnie wzięto się starannie do rozklasyfikowania więźniów. Oddalenie kobiet od mężczyzn, dzieci od starych, osądzonych od dopiero obwinionych tylko, żadnéj nie przedstawiało trudności, skoro stosownie opatrzono budynki. Ale podzielenie przestępców na klasy wedle stopni ich przewinienia napotkało tyle zawad i sprzeczności, że po daremnych trudach przez lat kilka, odstąpiono zupełnie od pierwotnego planu, a natomiast przyjęto inny, całkiem odrębny. O tym ostatnim wypada mi obszerniéj pomówić: dla tego najprzód, że on jest źródłem i zasadą wszelkich nowych dziś popraw, a powtóre że się z niego wyrodziły dwie teorye. Która z nich lepsza? To jest w obecnéj chwili główne zadanie.

Dwa oddziały systematu odosobnienia, o jakim tu mowa, tém się różnią, że w pierwszym odosobnienie jest zupełném, bezwarunkowém, w drugim obcowanie z innymi w dzień, w czasie pracy lub przechadzki, dozwala się wprawdzie, ale pod ścisłém zastrzeżeniem milczenia.

Zasada zupełnego odosobnienia już od lat 50 znaną była w Anglii. W części służyła ona za podstawę zakładowi domu pokuty w Gloucester. Wszakże rozwinięcia jéj i ogólnego zastosowania pierwszy wzór dała Ameryka. Urządzenie domu pokuty w Filadelfii urzeczywistniło w najszerszy sposób cały system, dla tego nazwano go filadelfijskim. W domu pokuty w Filadelfii więzień pędzi długie lata, często życie całe, w jednéj celi

i nikogo nie widzi oprócz przełożonego i dozorców, doktora w chorobie lub duchownego w ostatniéj godzinie. Jeźli dadzą mu co do pracy, to nie z przymusem, ale owszem w nagrodę za dobre sprawowanie się. Samotności tak tam ostro przestrzegają, że gdyby nie brzęk kluczy i odgłos kroków po korytarzu, nie domyśliłby się nawet nieszczęśliwy, że tylu innych cierpi pod tym samym dachem.

Jeszcze za czasów Howarda system milczenia znany był i praktykowany w Maison de force w Gandawie. Lecz szczegółowe rozwinięcie otrzymał dopiero w urządzeniu wielkiego więzienia w Auburn, przy Nowym Yorku. Ztąd nazwano go auburnskim dla odróżnienia od filadelfijskiego. Jest on wielce ceniony u Amerykanów, tak że w największéj liczbie więzień w Stanach Zjednoczonych zasadę milczenia wprowadzono. Wedle niéj więźniowie na noc zamykani są po osobnych celach, w dzień pracują razem, ale im ani spoglądać na siebie, ani przemawiać nie wolno. Tym sposobem choć znajdują się razem cieleśnie, dusze ich pozostają rozdzielone, a samotność duszy, nie ciała, koniecznym jest warunkiem skutecznego zapobieżenia złemu wpływowi jednych na drugich.

Oba systemata mają korzyści i niedogodności, oba téż nieugiętych stronników i zapalczywych przeciwników liczą. Doświadczenie jeszcze nie wyrzekło, z któréj strony jest jeźli nie całkowita to przynajmniéj większa prawda. Zapewne prawda znajduje się gdzieś po środku. Niewątpliwie z połączenia dwóch teoryi powstanie kiedyś jeden stały, ogólny systemat, ale na to długich lat potrzeba. Tymczasem obie strony skrzętnie podają do publicznéj wiedzy każde zdarzenie, które jednéj nad drugą może pierwszeństwo zapewnić.

Bez zaprzeczenia w teoryi, Filadelfia ma niezmierną przewagę nad Auburnem. Cóż bowiem za cel reguły więzienne na pierwszym winny mieć względzie? Oto najprzód, zapobieżenie wszelkiemu podobieństwu zgorszenia; powtóre, radykalną poprawę winowajcy; potrzecie, postawienie go w możności poczęcia od razu przykładnego życia, skoro wróci na świat, przez oddalanie wrażeń, któreby go z dobréj drogi zbić potrafiły; nakoniec, przy dobroczynnéj pieczy nad zdrowiem, tak fizy-

czném jak i umysłowém, a nawet nad wygodą uwięzionego, baczną uwagę, aby zbyt łagodne obchodzenie się nie ujęło powagi prawu, a grozie wyobrażeniom o więzieniu, i nie dawało zachęty do nowego upadku.

Co do pierwszego, zbytecznćm byłoby dowodzić, że tam tylko może być nieograniczona pewność, że najmniejszego porozumienia się między uwięzionymi nie ma, gdzie tego fizyczne zachodzi niepodobieństwo, to jest przy zupełném odosobnieniu. W Auburn pomimo tego, że batoga często i nielitościwie używają, porozumiewanie się mało znajduje przeszkody. W więzieniu filadelfijskiem nie znają batoga ani broni. Nieszkończenie trudną jest rzeczą utrzymać milczenie między pracującymi razem w jednéj sali, na jednéj ławie, przy jednym warsztacie, gdy sam rodzaj pracy może wymagać, a lada odwrócenie się strażnika nastręczyć sposobność przemówienia choćby słów kilka. Kiedy Pan Dupin zwiedzał londyńskie więzienie Coldbathfields, które winno swą zasłużoną sławę dzisiejszemu swemu naczelnikowi, majorowi Chesterton, i ujrzał 20 praczek razem przy jednéj balii myjących więzienną bieliznę, a zupełną cichość zachowujących, wzniósł ręce do góry i wykrzyknął, że to ósmy cud świata. Jakże znowu skutecznie zapobiedz, aby towarzysze przy wspólnéj pracy, na przechadzce, podczas obiadu, nie udzielali sobie spostrzeżeń na migi, za pomocą nieujętych często znaków. Drobne dzieci zdołają oszukać w szkole i najbaczniejszego pedagoga, a miałożby to być trudném dla ludzi, u których najczęściéj zręczność obok bezwstydu się mieści. Warsztatowy pedał pod nogami, młotek w ręku, łatwo mogą dostarczyć najdobitniejszego alfabetu i do najobszerniejszego porozumienia się posłużyć. Uchybienie sprowadza częste kary, albo groźbę kar, ztąd w razie łagodności wypływa niepodobieństwo poprawy, zaś przy surowości nieugiętéj więzień łatwo może zapomnieć o swém głównem przestępstwie i pomięsza wyobrażenie winy przeciw ustawom więzienia z wyobrażeniem winy przeciw praw świętości. Zresztą dość spojrzeć na wykaz kar dyscyplinarnych w więzieniach jednego i drugiego rodzaju, żeby się przekonać nie o tém, że uchronienie od zarazy moralnéj za po-

mocą odosobnienia zupełnego najskuteczniejsze, bo na to niepotrzeba dowodu, ale o tém, że system milczenia co do tego punktu stoi daleko niżéj.

Nie dość jest mieć na uwadze, aby przestępca nie pogorszył się, trzeba jeszcze użyć wszelkich środków, aby się stał lepszym, jeźli można, całkowicie dobrym. Czy podobna do gruntownéj poprawy dojść inaczéj, jak na drodze długiéj skruchy i rozmyślania w samotności? O tém trudno stanowczo wyrzec. Niezawodnie często łaska Boża nawiedza najzapamiętalszego nawet grzesznika i pozwala mu w jednéj się chwili odmienić. Najmniejsza okoliczność przerabia człowieka tak, że go potem najpotężniejsza pokusa wstrząść nie może. Ale przykłady takie są rzadkie. Statysta rozmyślający nad urządzeniem domu poprawy, nie powinien brać w rachubę jak tylko pospolite usposobienia ludzi. Zkąd inąd potoczne życia wypadki, równie jak doświadczenie regligijne uczą nas, że najprędzéj w samotności zdobyć się można na prawdziwą skruchę, na ścisły rachunek sumienia, na mocne powzięcie dobrych postanowień na przyszłość. Musi być ten zatwardziałym winowajcą, kto oddzielony od świata, zostawiony sam z myślami swojemi, nie uczuje po pewnym czasie głębokiego żalu i żarliwéj chęci ku poprawie. Powoli odezwie się w nim szlachetniejszy pierwiastek miłości własnéj, stopniami odzyszcze szacunek dla siebie samego i to do takiego stopnia, że słowo pogardy, uśmiech szyderstwa albo spojrzenie wątpliwości nie zachwieją go w dobrym zamiarze. Ci, których mu jedynie wolno widywać, kapłan duchowną nauką, przełożony przyjazną troskliwością, strażnik ciągłą uprzejmością, umocnią go w chwalebném przedsiewzięciu. Z czasem przywiąże się do swojéj celi, na jéj czterech ścianach powypisuje dobre postanowienia, nowym się światem otoczy i wymarzy naokoło siebie przychylne twarze. W końcu za murami warowni ujrzy towarzystwo wyciągające ku niemu dłoń przebaczającą, pojednawczą, przyjmujące go z radością rodzica, któremu syn marnotrawny powraca. Przejdźmy teraz do domu, w którym panuje milczenie. Przypuśćmy równie dobre u więźnia usposobienie, możebność poprawy. Ileż tu przeszkod, ile zniechęceń. Przy pracy w samotności można rozmy-

ślać, trudno w towarzystwie, całkiem niepodobna tam, (a w znacznéj liczbie pracujących razem więźniów, zwłaszcza pod draźliwą regułą, wykroczenia co chwila zdarzać się muszą,) gdzie ustawiczne napominanie strażnika, lub wymierzanie surowéj kary przerywa tok swobodnéj myśli. Choć sam więzień nie stara porozumieć się z innymi, wejść z nimi w tajemne związki, to się nie ustrzeże, by sąsiedzi nie doświadczali go, nie kusili. Choć sam na karę nie zasługuje, to cierpi na jéj widok, czuje upodlenie w karze, którą jego współtowarzysz odbiera. W nocy, kiedy powróci do samotnéj celi, wypadki dzienne, przypomnienia twarzy innych winowajców nie pozwolą mu rozmyślać, albo nie łatwo dadzą schwycić przerwaną nić rozmyślań przeszłego wieczora. Dozorca ani go poznać dobrze, ani zyskać jego zaufania, ani wejść w bliższe z nim stosunki nie zdoła, bo ten co z pojedyńczym więźniem mógłby być łagodnym i wyrozumiałym, w gromadzie musi grać rolę surowego i nieprzystępnego Argusa. Nawet słowo nauczyciela duchownego nie działa z tą samą siłą, kiedy do wielu razem jak kiedy do każdego z osobna jest wyrzeczone. Co tu przeszkod! Wszakże choćby pomimo nich winowajca zdołał wewnątrz siebie wyrobić innego człowieka, to skoro spojrzy na przyboczne znamiona ohydy i potępienia, przypomną mu one kim jest i jak go inni uważają, przygniecie go znowu ciężar, który z taką trudnością z siebie zrzucił, złe zewnętrzne ja stanie przeciw dobremu ja wewnętrznemu. Jest fałszywy wstyd zbrodni, jest podlejsza strona miłości własnéj, która daje bez ustanku wstręt do zmiany na lepsze. Lada spojrzenie spół-winowajcy, samo przypuszczenie jego obecności obudzi to uczucie. Można śmiało wyrzec, że sama atmosfera unosząca się nad zgromadzonym tłumem złoczyńców już jest moralną trucizną i zarazę rozprowadza. Braterstwo zbrodni czy rzeczywiste, czy tylko na cichém porozumieniu się i domyślności oparte, nieprzełomne poprawie stawia przeszkody.

Żeby poprawiony mógł po powrocie na świat od razu wejść w tryb porządnego i pracowitego życia, trzeba nie tylko moralnie go przygotować, ale nadto dać mu materyalny zasób, pieniądze na zaczęcie pracy, na odzież, na podróż w strony

gdzie przewinienia jego nie znają. Wielka jest różność zdań, skąd wziąść tę summę, jak ona ma być znaczną i jak nią rozporządzić. Jedni twierdzą, że dość już dobrodziejstwa, kiedy się więzień rzemiosła nauczy; drudzy, że cały zarobek z pracy w więzieniu przy wyjściu jemu się należy; inni nakoniec, że to tylko dla niego iść powinno, co sobie po odrobieniu zadanéj pracy w wolnych godzinach zapracuje. W większéj liczbie angielskich domów poprawy więzień nic przy opuszczeniu więzienia nie dostaje; w Genewie, gdzie księgi zarobkowe z wielką troskliwością są utrzymywane, otrzymuje znaczną część funduszu przez siebie zarobionego; w Szkocyi, a mianowicie w Glasgowie, to tylko mu oddają co robota z własnéj jego woli podjęta przyniosła. Niewątpliwie', szkocki sposób jest najpożyteczniejszy. I tak, w pierwszym razie obawiać się wypada, aby dobre postanowienia wypuszczonego od razu się nie rozbiły o brak funduszu na gwałtowne potrzeby do życia. W drugim, więzienie otwierałoby drogę do pewnego rodzaju spekulacyi. Za trzecim środkiem przemawia długie doświadczenie osobliwie w Glasgow Bridewell, więzieniu tak zręcznie urządzoném pod względem zarobku, że niesłychanym dotąd przykładem samo zwykle swe koszta opłaca, wtedy kiedy w innych szkockich więzieniach koszt na głowę do 30 f. (1200 złtp.) dochodzi. Wprawdzie nie wszędzie taka rzecz w równym stopniu udać się może. Pomyślność glasgowskiego domu poprawy w wielkiéj części stąd pochodzi, że cała ludność miasta jest rękodzielniczą, że zatém więźniowie już usposobieni do pracy przychodzą. Wszakże gdzie tylko spróbowano tego trzeciego środka, wielkie odniesiono korzyści. Pan Fryderyk Hill, nadzorca szkockich więzień, przytacza wiele ciekawych przykładów. W Glasgowie więźniowie wstają zwykle o trzeciéj rano, aby coś dla siebie zapracować. W Edymburgu kobieta jedna, przeznaczona do darcia kłaków, przez kilka miesięcy co dzień po 3 godziny nad czas wyznaczony pracowała, żeby na dzień *penny* jeden (5 groszy) zarobić. Inny więzień w tém samém miejscu zbił summę, która mu wystarczyła po odsiedzeniu kary na opłatę podróży do Ameryki i założenie tam małego handlu. W Glasgowie mały chłopiec był wstanie posłać funta

szterlinga choréj biednéj matce swojéj. W Aberdeen winowajca osadzony za szalbierstwo po niejakim czasie złożył tyle, że skrzywdzonéj osobie zdołał całe oszukaństwo nagrodzić. Czytając o tych wydarzeniach pamiętajmy, że więźniowie do 12 godzin na dzień na rzecz rządową pracować muszą, i że niektóre gałęzie przemysłu dozwolonego, jak robienie mat, koszyków, darcie kłaków i t. d. przynoszą bardzo mało. Pan Hill, który najmocniéj cały sposób zaleca, radzi, aby w niektórych przypadkach nie oddawać wypuszczonemu całéj zarobionéj summy, ale zostawić dozorcy wolność rozłożenia jéj na raty. Tym sposobem nowa korzyść przybywa. Przedłuża się nad więźniem, aczkolwiek już dobrowolnie opieka ze strony tego, który najlepiéj zna usposobienie, zwykle posiadł jego zaufanie, wreszcie przyrzeczenia i dobre zamiary w każdéj chwili gotów mu jest przypomnieć. W niektórych miejscach zdarza się, że koło więzienia tworzą się jakby kolonie z uwolnionych. W Montrose dozorca pomimo wielu trudności, często nawet pomimo straty, dostarcza ciągle roboty wielkiéj liczbie z wypuszczonych więźniów.

Co się tyczy zapytania, jaki z dwóch systematów, których ocenienie przedsiewziąłem, więcéj pracy sprzyja, rozstrzygnąć tego jeszcze niepodobna. Mówię tu o ilości i o dobroci pracy. Przeciwnicy zupełnego odosobnienia twierdzili, że człowiek w towarzystwie daleko więcéj wyrabia. Minister Duchâtel w przeszłorocznym raporcie izbom francuzkim podanym najmocniéj temu przeczy. Powiada on, że przykłady więzień francuzkich i cudzoziemskich, szczególniéj doświadczenie w Maison de la Roquette w Paryżu uzyskane na względzie mając, dowodzą: qu'il n'est pas exact de dire que dans les prisons construites pour le systême cellulaire de nuit et de jour le travail soit moins productif. Zdaje się nawet, że więcéj daje zachęty do wytrwania, więcéj możności do wydoskonaleń przedstawia praca w samotności. Prócz tego warsztat, przybory i pamięć postępów w robocie wiele się przyczyniają do umilenia i rozweselenia celi. Może kto powie, że praca w towarzystwie rodzi emulacyę. Zgoda. Aleć trudno przypuścić współubiegania się tam, gdzie zasadą jest przerwanie milczeniem wszelkiego

związku, wszelkiéj wiedzy jednego o drugim. W towarzystwie ludzi uczciwych emulacya często się przeradza w zazdrość i nienawiść, cóż dopiero w gromadzie złoczyńców. Daleko większy i trudniejszy do rozwiązania jest inny zarzut stronników systematu milczenia. Utrzymują oni, że człowiek stworzony jest do towarzyskiéj pracy, że tylko w obcowaniu z bliźnimi może nawyknąć do ładu, ciągłéj baczności na innych, ciągłego posłuszeństwa, że przeto odosobnienie robi go niezdolnym na późniéj do porządku i zgody, czyni go dzikim niejako. Tocqueville powiada: *urządzenie w Auburn zgadza się może bardziéj z usposobieniem ludzi przeznaczonych do życia w towarzystwie, z tego powodu skuteczniéj działa i sprowadza więcej popraw, które nazwać należałoby legalnemi, ponieważ z nich rodzi się baczność na zewnętrzne wykonywanie obowiązków socialnych; ztąd jeżli system filadelfijski tworzy uczciwszych ludzi, to auburnski wydaje posłuszniejszych obywateli.* Odrzućmy na bok tę kwestyą, potrzebuje ona potwierdzeń dłuższego doświadczenia, a teraz ponieważ mowa o epoce po wypuszczeniu więźnia, wspomnę o największém niebezpieczeństwie, jakie poprawionego czeka, a któremu jedynie tylko system filadelfijski zapobiedz zdoła. Tem niebezpieczeństwem jest podobieństwo odnowienia znajomości między dawniéj współ-więzionymi. A. i B. pracowali razem w więzieniu. A. po wypuszczeniu udał się w dalekie strony i osiadł w miejscu, gdzie go ani posądzają skąd się wziął i powoli zarobił sobie na powszechny szacunek. W tém B. nieszczęściem do tego samego miejsca przybywa. Spotykają się przypadkiem. Cały nawał bolesnych wspomnień, cała gorycz ohydy powraca; własny szacunek, tak długo skarbiony, niknie od razu; serce truchleje z obawy, żeby się sąsiedzi nie dowiedzieli o przeszłości; najlepsze zamiary upadają i nieszczęśliwy rzuca się na nowo w otchłań bezprawia. Być może, że się A. oprzeć i téj próbie zdoła, ale jak to trudno, szczególniéj jeżli przypuścimy, że B. niepoprawiony ze zwykłą złemu zawiścią użyje wszelkich środków groźby i pokus do odciągnięcia dawnego towarzysza z dobréj drogi. Ktoby wielkości tego niebezpieczeństwa nie wierzył, niech zajrzy w dzieje band złoczyńców

grasujących po Paryżu. Związek łotrów często od epoki wspólnego uwięzienia datuje, a częściéj jeszcze rodzi się z przypadkowego odnowienia zabranéj wtenczas znajomości.

Wypada jeszcze dotknąć kwestyi urządzeń i zastanowić się nad sposobem zachowania w nich miary, tak aby przez zbytnią surowość nie szwankowały zdrowie, wygoda lub spokojność uwięzionych, zaś łagodność za wielka żeby nie stawała się zachętą do wykroczeń. Trudno postawić ogólnego prawidła na zapytania, jakiéj cele mają być obszerności, jakiéj natury i ilości pokarm, jaki ubiór, jaki rodzaj pracy? Odmienne potrzeby, obyczaje, usposobienia, co kraj, co miejscowość, odmiennéj wymagają reguły. Ustanowienie jéj zaś nie tak do prawodawcy jak do administratora należy. Że reguły czasem bywają za łagodne, że się za nadto dobrze więźniom w niektórych miejscach dzieje, tego codzienne dowodzą przykłady. Są ludzie, którzy, żeby się dostać do więzienia, często umyślnie dopuszczają się przekroczeń. Wielu, skoro tylko wróci na wolność, szuka sposobu, jakimby znowu dostać się za kratę. W Glasgowie, uwolnieni z płaczem wychodzą na świat. W r. 1842 czterdziestu dobrowolnie pracowało tam w więzieniu, poddając się całemu rygorowi systematu odosobnienia. W 1843 dwustu uwolnionych w kilka miesięcy za nowe przewinienie do Bridewell wróciło, była to trzecia część całéj liczby uwięzionych. Pan Hill wspomina o 13 letniéj dziewczynce, bardzo skrzętnéj i zręcznéj do pracy, która tak się była przywiązała do swéj celi i do przełożonéj matrony, że po odbyciu kary żadnym sposobem wypędzić ją za próg więzienia nie było można. Skoro ją nareście wypędzono, niebawem na nowo coś zbroiła aby powrócić. Na nieszczęście zbroiła nad miarę i na Botany Bay wywiezioną została. Dziś wszyscy się już na to zgadzają, że największy postrach bojaźń zupełnéj samotności sprawia. Osoby przyzwyczajone do czynnego życia, żołnierze naprzykład, nadzwyczajnie się boją kary tego rodzaju. Wielu z nich wyznało, że wolą się poddać najcięższéj chłoście, niż kilka tygodni w odosobnieniu przesiedzieć. Postrach jest najlepszą skazówką skuteczności kary. W istocie, skoro jest żal prawdziwy i chęć poprawy, człowiek niema wstrętu do

samotności. Trzeba się tylko zdobyć na dobrą wolę, a to dla winowajcy niełatwo, choć i to wielka prawda że *nihil tam facile bonae voluntati quam ipsa sibi.* Grzesznika najciężéj na rekolekcye zapędzić. Jest u niego obawa stania się lepszym, jest strach utracenia we własném sumieniu wolności do grzechu. Otóż winowajca najwięcéj się boi zostać z myślami swojemi, żeby przypadkiem na prawdę nie potrzebował się poprawić. Ale to ściąga się tylko do nieco wyższych usposobień. Dusze do szczętu podupadłe, serca zatwardziałe, umysły zupełnie rozstrojone, względów takich nie czują. Wszelka nadzieja odstępuje podobnych nędzarzy, ogarnia ich nieskończony smutek, niemoc do złamania się w czemkolwiek napada, i wtedy ścisła samotność nieraz do utraty zmysłów przywodzi. Zbyt częste przykłady utraty zmysłów stanowią główny zarzut przeciw systematowi zupełnego odosobnienia; zarzut to tyle ważny, że w obec niego, gdyby został niezawodnemi dowodami popartym, wszystkie korzyści musiałyby upaść. W ostatnich latach dodały mu siły smutne doświadczenia w Filadelfii zebrane.[1]) Lubo w wykazach i opisach, ztamtąd w téj mierze pochodzących, może się nieco przesady znajduje, to tak wielkiém nieszczęściem jest utrata zmysłów, że wszelki wzgląd inny na bok ustąpić powinien. Wytknąłem zalety systematu zupełnego odosobnienia, pokazałem przy jakich okolicznościach i warunkach może on skutecznie i zbawiennie działać, tem więc naglejszą czuję powinność wystawić odwrotną stronę w całéj dobitności. Oskarżenie przeciw filadelfijskiemu systematowi uobrazował sławny powieściotwórca Dickens w następującym opisie:

„Przechodząc koło samotnych cel (pisarz mówi o więzieniu w Filadelfii), kiedym patrzał na twarze ludzi tam osadzonych, usiłowałem wystawić sobie myśli i uczucia, jakie w więzienném odosobnieniu stopniowo w nich powstają.“

„Z razu uwięziony czuje się oszołomionym. Niewola zdaje mu się straszném widziadłem; a przeszłe życie rzeczywisto-

[1]) Wprawdzie jedni twierdzą, że to jest tylko przypadkowém; drudzy, że i po innych więzieniach równie częste, jeżli nie częstsze wypadki pomięszania zmysłów wydarzają się. Godzi się wątpliwość na korzyść uwięzionych obrócić.

ścią. Rzuca się na łoże i oddaje się rozpaczy. Stopniami nieznośna samotność i pustość kryjówki budzi go z tego letargu, i gdy zasuwka w zakratowanych drzwiczkach się otworzy, prosi i błaga pokornie o robotę. „Dajcie mi robotę, inaczéj oszaleję.“

„Dali mu pracę. To ją weźmie, to ją znowu porzuci. Co chwila ogarnia go gorące przeczucie lat, które będzie musiał napróżno strawić w téj kamiennéj trumnie. Wspomnienie tych, których widzieć, o których słyszeć mu nawet nie wolno, napełnia go tak dolegliwą męczarnią, że się porywa ze stołka i przechodząc się w szerż i wzdłuż ciasnéj celi z załamanemi na w tył przegiętéj głowie rękoma, słyszy duchy kuszące go, aby rozbił swój mózg o ścianę.“

„Znowu rzuca się na łoże i leży jęcząc głęboko: nagle zrywa się i z zadziwieniem pyta, czy jaka inna żyjąca istota oddycha w pobliżu, czy po obu stronach jego kryjówki są podobneż cele, i słucha z natężeniem.“

„Najmniejszego nie może schwycić dźwięku. Wszakże pomimo tego mógą być w podle inni więźniowie. Przypomina sobie, słyszał dawniéj, kiedy jeszcze ani myślał, że się tu sam dostanie, że cele tak są zbudowane, iżby głos jednego więźnia nie mógł drugiego dolecić, a dozorcy lada szmer schwycić zdołali. Gdzież jest najbliższy człowiek, na prawo? na lewo? czy po obu stronach? Jakże on siedzi w téj chwili? Czy z twarzą obróconą ku światłu? Czy może przechadza się tam i nazad? Jaki na nim ubiór? Oddawnaż on już zamknięty? Znędzniałyż bardzo? Bladyż jak upiór? Myśliż on także o swoim sąsiedzie?“

„Zaledwie śmiejąc oddychać i wciąż natężając ucha kiedy tak rozmyśla, wywołuje postać obróconą tyłem ku niemu i wystawia sobie, że widzi ją przesuwającą się po przyległéj celi. Nie ma wyobrażenia o twarzy, ale pewny jest, że widzi czarną figurę pochylonego człowieka. W celi po drugiéj stronie stwarza sobie inną postać, któréj twarz także przed nim zakryta. Dzień po dniu, a często i śród nocy, gdy się przebudzi, myśli on o tych dwóch ludziach, aż mu się ćmi w głowie. Nigdy nie zmienia ich. Tam oni stoją tacy sami, jak ich

sobie w pierwszéj wyobraził chwili, stary człowiek na prawo, młodszy na lewo, zakryte ich twarze śmiertelnie go dręczą, a tajemnica dreszczem go przejmuje.“

„Ckliwe dni przechodzą uroczystym krokiem jako płaczki na pogrzebie. Pomału poczyna doświadczać, że białe ściany celi mają w sobie coś okropnego, że ich kolor jest straszny, że ich gładka powierzchnia krew mu w żyłach ścina, że jeden z kątów obrzydł mu i dręczy go nielitościwie. Rano, kiedy się przebudzi, co żywo z głową pod kołdrę umyka, bo mu strach spojrzeć na grobowy pułap, co na niego z góry spogląda. Po chwili dobroczynne dnia światło, słońce, zaziera przez lichą szparę, która dla niego jest oknem. Jemu się nawet słońce brzydkiém upiora obliczem wydaje.“

„Powolnemi, ale pewnemi stopniami strachy nienawistnego kąta wzmagają się, wzmagają, aż go całkiem obsaczą, wedrą się do jego spoczynku, straszne mu sny przywiodą i noce okropnemi uczynią. Z razu dziwną czuł odrazę do kąta; zdało mu się, że on mu mózg wtłoczył w coś podobnego do siebie, w coś co tam być niepowinno, a od czego głowa mu pękała. Potém zaczął się strachać tego czegoś, późniéj śnić o tém, o ludziach, którzy to po imieniu zwali i palcem wytykali. Daléj nie miał już siły ani patrzeć na kąt, ani téż odeń się odwrócić. A teraz co noc tam kryje się upiór, — cień — coś milczącego — strasznego dla oka. Czy to ptak, czy zwierze, czy osłoniona ludzka postać, więzień powiedzieć nie umie.“

„Kiedy w dzień jest w swojéj celi, boi się małego podwórka. Kiedy jest na podwórku stracha się powrócić do celi. Gdy noc nadejdzie, upiór tam stoi w kącie. Jeżli zdobędzie się na odwagę, by stanąć w jego miejscu, wyrugować go (jak to raz z rozpaczy uczynił), widziadło usuwa się i przypada na jego łoże. Ze zmrokiem, zawsze o téj saméj godzinie, jakiś głos po imieniu go woła. W miarę jak się ciemność zwiększa, warsztat poczyna się ożywiać, i ten jego przyjaciel, ta pociecha, zmienia się w szkaradną postać, która mu przypatruje się aż do świtu.“

„Znowu wolnemi stopniami te straszne przywidzenia opu-

szczają go jedno po drugiém, wracając czasem niespodzianie, lecz w dłuższych odstępach i w mniéj przerażających kształtach. Rozmawiał o religii z duchownym, który go odwiedza, czytał biblię, napisał pacierz na swéj tabliczce, i powiesił ją jako obronę i zapewnienie, że nad nim anioł stróż czuwa. Śni teraz czasem o swych dzieciach i żonie, ale nie wątpi, że oni albo pomarli albo się go wyrzekli. Łacno łzy roni, stał się łagodnym, posłusznym, skruszonym. Niekiedy dawne udręczenie powraca, lada okoliczność odżywi je, dźwięk znajomy albo zapach letnich kwiatów w powietrzu. Lecz to teraz już nie trwa tak długo, bo świat zewnątrz stał mu się widziadłem, a to samotne życie smutną rzeczywistością."

„Jeżli perjod jego uwięzienia jest krótki, stosunkowo mówię, bo nigdy krótkim być nie może, ostatnie półrocze prawie najgorsze; gdyż jemu się zdaje, że przyjdzie pożar na więzienie, i że on się spali w ruinach, albo że mu przeznaczone umrzeć w zamkniętych murach, albo że go w nich zatrzymają pod jakim fałszywym pozorem, i każą nowy perjod wysiedzieć, albo że się stanie coś takiego, mniejsza co, dość że nie będzie mógł wyjść na wolność. I to uczucie jest bardzo naturalne, i niepodobna zwalczyć go rozumowaniem, długie bowiem oddzielenie od świata, ciężkie męki tak umysł zmordują, że wszelki inny wypadek w myśli podobniejszym zda mu się do prawdy, niż powrót na wolność i do istot żyjących."

„Jeźli perjod niewoli był bardzo długi, spodziewanie nadchodzącéj wolności miesza go, wprawia w odurzenie. Złamane serce może mu począć bić prędzéj na chwilę, kiedy pomyśli o świecie za murem, i czém ten świat mógłby był zostać dla niego przez te wszystkie samotne lata, ale potém nic więcéj. Za nadto długo drzwi więzienne oddzielały go od wszelkich nadziei i trosków. Lepiéj go było powiesić od razu, niż mu pozwolić przyjść do téj ostateczności, i wysyłać go między żyjących, do których przestał być podobnym."

Smutny to zaiste obraz, mistrzowską kreślony ręką, wszakże jest on tylko przypuszczeniem nie rzeczywistością. Tak się dziać może; gdzie dowód, że się tak dzieje? W poszukiwaniach téj natury oczewiście nie prawdopodobieństwo, ale je-

dynie prawda ścisła, sucha, nieubarwiona, może posłużyć za stałą zasadę. Gdybyśmy napotkali podobny opis w romansie, w dziele imaginacyi, przyznalibyśmy mu i siłę i pewną zgodność z naturą człowieka. Ale kiedy chodzi o rzetelne ocenienie rzeczywistych, zwykłych skutków, i wpływu, jakie samotne więzienie wywiera na umysł przestępcy, wypada się pisarza zapytać: czém popiera swoje twierdzenia? Powie, że z twarzy więźnia to wyczytał. Czyż człowiek z żywszą jeszcze wyobraźnią nie zdołałby w niéj wyśledzić nieskończenie więcéj przerażających szczegółów. Panna Ratcliffe byłaby nagromadziła okropności na trzy grube tomy. Przypuściwszy podobne rozumowanie, nic łatwiejszego jak zbić je dowodzeniem *per contra*, wyciągając szereg odwrotnych faktów, i jak autor sprowadził więźnia po coraz niższych szczeblach aż do rozpaczy i obłąkania, tak wyprowadzić go w górę po coraz jaśniejszych stopniach aż do radości i odrodzenia. Dziwna rzecz, jeźli weźmiemy przed się zeznania samych więźniów, to nawet przypuszczenia niektóre w opisie Dickensa znajdą się zupełnie fałszywe. Słyszałem od jednego Amerykanina, zaciętego nieprzyjaciela systematu samotności fakt następujący. Indagując więźniów, by znaleść dowody na potępienie nienawistnéj teoryi, natrafił wreszcie na jednego, który mu wyznał, że o mało co nie zwaryował w ciągu kilkoletniéj samotności. „Cóż przecie, spytał go, uchroniło cię od obłąkania?“ „Oto, ilem razy napadł na ciąg ponurych i zabójczych myśli i tocząc dzikiemi oczami ścigałem je po ścianie, od szaleństwa obroniły mnie kąty, bo one ten ciąg przerywały.“ Jeżli to prawda, a i wiarogodność opowiadającego i rozumowanie a priori fakt ten za prawdę przyjąć mi nakazuje, cóż się stanie z kątem, z którego Pan Dickens wywiódł całą fantasmagorię swego ognistego opisu. Zresztą z 9 przykładów, które autor w swém dziele przytacza, żaden nie potwierdza jego domniemań. Jedna tylko osoba w twarzy miała coś, co do opisu przystaje. Dwie inne, dopiero od kilku dni osadzone, nie godziło się brać za normę, bo reguła jeszcze była nie wywarła na nich swego wpływu. Czwarta pokazywała sztucznie zrobiony zegar z kawałków drzewa i szkła, co jeźli dowodziło czego, to pewnie

nie utraty zmysłów. Piąta, ślicznie sobie urządziła ogrodek; prawda, że autor w grządce na kwiaty wykopanéj myśl łóża grobowego wyśledził. Szósta z takim smakiem i dowcipem opowiadała swe figle złodziejskie, że aż sobie usta oblizywała. Siódma wyszła naprzeciw gościa z całą familią królików. Ósma nauczyła się rymować w więzieniu i dość znośne wydeklamowała mu wiersze. Dziewiąta, po dwóch latach samotności, miała nazajutrz wyjść na wolność, a autor zapomniawszy o tém, co wprzód napisał, powiada o tym człowieku: „Twarz jego widzę jeszcze przed sobą, pamiętniejszą mi jest ona w świetle radości, niż inne w pomroku boleści.“ „Jakże łatwo i naturalnie, mówi daléj, przychodziło temu człowiekowi dowodzić mi, że system odosobnienia doskonały, że czas mu prędko przepłynął, że wreście kto wykroczy, a czuje że trzeba się poddać karze, znajdzie taki lub owaki sposób by się z swym losem pogodzić.“ Szacowne wyznanie, osobliwie w ustach Pana Dickensa, jest ono lekarstwem i antidotem przeciw przesadzie, któréj acz z najpiękniejszych pobudek dopuścił się. Przesady zaś w podobnych kwestyach jak najstaranniéj unikać należy. Inaczéj złoczyńca mógłby się stać przedmiotem najprzód silnego pociągu wyobraźni, późniéj rzewnéj czułości, a w końcu i uwielbienia. Już i dziś w Anglii aż nadto romansowości jest w tym kierunku. Zbrodniarz często tam więcéj obudza zajęcia i przyciąga troskliwszą pomoc niż cicha a uczciwa praca lub niezasłużone ubóstwo, zaś zręczność w złodziejstwie czy w morderstwie za artystyczność, a bezczelność na rusztowaniu za bohaterstwo poczytywane bywają.

Ale z drugiéj strony chowaj Boże aby kto śmiał obciążać dolę uwięzionego przestępcy. Religia, ludzkość, samo nawet prawo sprzeciwia się temu. Kto pilnie rozpatrzy się w téj kwestyi, roztrząśnie wszystkie argumenta za i przeciw, przyjdzie zapewne do wniosku, że lubo systemat samotności wydaje się najsposobniejszym do sprowadzenia poprawy w więźniach, nie jest równie stosownym dla każdego wieku i stanu, i w żadnym przypadku z całą surowością i bezwzględnością, nawet taką jak w Filadelfii, urzeczywistnianym być nie powinien. Zasada wyborna. Żadna inna nie potrafi jéj zastąpić. Zarzuty przeciw

zasadzie zbić łatwo, boć najgłówniejszy, że sprowadza utratę zmysłów, tylko w zbyt ścisłém zastosowaniu reguły znaleść może niejakie usprawiedliwienie. W praktyce doskonałość systematu zależy od przezorności, określeń i modyfikacyi. Dzieci zupełnie z próby odosobnienia wyłączone być powinny. O kobietach sam Dickens powiada; że lepsza ich natura w samotności piękniéj się rozwija. Daléj, tam tylko systemat ten zastosowany być może, gdzie nietylko znajduje się sposobność i nadzieja poprawy, ale gdzie jest pewność że pokutujący będzie miał w niedalekiéj przyszłości pole okazania poprawy w życiu towarzyskiém. Ztąd trzeba usunąć z pod reguły i tych co na bardzo krótkie i tych co na bardzo długie więzienie są skazani. W pierwszym razie nie ma dość czasu na uskutecznienie poprawy; w drugim, na niewiele się ona przydać może pod względem towarzyskim, a w miarę lat samotność dolegliwszą się staje. Pan Hill przytacza przykład ośmnastoletniego chłopca, który 22 razy w więzieniu glasgowskiém siedział, ale zawsze na czas tak krótki, że nie można było działać na niego skutecznie. Za ostatnim razem był daleko gorszym niż za pierwszym. W Ameryce ogólne zastosowanie systematu odosobnienia jest zbyt surowe, bo tam kara więzienia dochodzi do 20 lat, i na całe życie się rozciąga. Prędzéj dałby się on wprowadzić w Anglii, gdzie 5 lat maximum stanowi, i to w niezmiernie rzadkich przypadkach, tak że 3 lata można położyć za zwykłą granicę; ważniejsze przewinienia karane są transportacyą.[1]) Pan Lucas mniema, że dość dwóch lat na uzupełnienie poprawy w umysłach do tego sposobnych. W Anglii przyjęto termin półtoraroczny. Ztąd w krajach, gdzie rząd bierze na siebie poprawę uwięzionych, system samotności najmniéj na rok jeden, a na dwa lata najwięcéj rozciągać się powinien. Wprawdzie osądzeni na długie więzienie mogliby pierwsze dwa lata odbyć w téj próbierczéj szkole, ale trzebaby,

[1]) W jednym z lat przeszłych na 9915 osób, 8071 było skazanych na 5 miesięcy i niżéj, 1543 na jeden rok lub na wiécéj niż 6 miesięcy, 290 na 2 lata lub wyżéj nad rok, a tylko 11 na 3 lata lub wyżéj nad dwa.

zwłaszcza w przypadku widocznéj poprawy, żeby albo pozostający perjod bywał skrócony, albo obchodzenie się późniejsze z więźniem o ile można złagodzone zostawało. W ogólności zasada odosobnienia sprowadzi wielkie dobrodziejstwo, bo prawodawca mając poprawę, nie karę na głównéj uwadze, będzie wkrótce musiał kary ograniczyć mniej więcéj do perjodu ściśle potrzebnego do uzyskania poprawy. Długość więzienia pójdzie w odwrotnym stosunku surowości.

Zbierając w jedno wszystkie powyższe względy zdaje się, że najściślejszy rodzaj samotności, to jest osadzenie w celi bez możności widzenia się z kimkolwiek, a z dozorcą tylko przez kratkę, bez roboty, bez rad duchownego i nauki instruktora, w żadnym przypadku miejsca mieć nie powinien; — że systemat pośredni, to jest więzienie z robotą, jako nagrodą za dobre sprawowanie się, z częstszém odwiedzaniem przez dozorcę, przez kapelana, przez nauczyciela, i ze sposobnością codziennéj przechadzki po ogrodzie, tylko tam przyjęty być może, gdzie dopełnienie poprawy ma się urzeczywistnić w czasie pewnym, określonym, niezbyt długim; — że nareście dla osób na dłuższy perjod osadzonych potrzeba wprowadzić wiele zmian i złagodzeń n. p. dawać im robotę podług ich gustu, przyznawać udział w zarobku, pozwalać się czasem widywać z rodziną, a nawet stowarzyszać po kilku lub kilkunastu razem, jeżli doszli do tego samego stopnia poprawy. Nie mało dałoby się powiedzieć o ulepszeniach tych dwóch ostatnich kategoryi, wszakże przedmiot ten na boku zostawiam i tylko jeszcze podam ku potwierdzeniu moich wniosków krótki rys reform, jakie podług raportu Pana Duchâtel mają być w więzieniach francuzkich zaprowadzone, i urządzeń praktykowanych od lat trzech w domu pokuty, wystawionym na próbę na przedmieściu londyńskiém Pentonville.

Oto są główne twierdzenia raportu Pana Duchâtel. Wypisuję je po francuzku już dla większéj autentyczności, już dla piękności i zwięzłości wyrażeń:

„Il importe aux premiers intérêts de la societé que le principe de l'intimidation, qui est la base de toute pénalité, ne soit pas affaibli. Rendre à ce principe sa force, tout en

préservant les détenus d'une corruption funeste, telle est la pensée du projet de loi. [1])

Le principe de la vie en commun a le double effet et d'énerver la peine et d'accroître la perversité des condamnés. Tout mode d'emprisonnement qui ne dissout pas la societé des criminels et qui ne compense pas, par l'intimidation et l'effet moral, ce qui manque aujourd'hui à la rigueur materielle de la peine, ne satisfait pas aux conditions du problême. Le regime de la séparation des détenus pendant la nuit et pendant le jour est le seul dont les avantages soient réels et suffisants.

La peine de l'emprisonnement ainsi appliquée reprend le caractère de severité et d'energie repressive qu'elle doit avoir; elle inspire un effroi salutaire; elle frappe vivement soit l'esprit des coupables eux mêmes, soit la conscience publique. Quant à l'objection relative à la santé et à la vie des détenus, elle est combattue par les faits nombreux qu'une expérience de vingt années a permis de recueillir."

W dzisiejszym wieku teorye najwymowniéj i najsilniéj wyłuszczone ustąpić muszą prostym, nieubarwionym dowodom z doświadczenia, z praktyki wyjętym. Tych podostatkiem dostarczyć może bliższe przypatrzenie się urządzeniom więzienia w Pentonville, na które dziś cała Europa ma zwrócone oczy, a które dla dopełnienia méj pracy z starannością obejrzałem.

Węgielny kamień więzienia położony został 10 kwietnia 1840 roku, przez margrabiego Normanby, ówczasowego ministra spraw wewnętrznych. Budowę ukończono w jesieni 1842 roku, a 21 grudnia osadzono cele więźniami. Mamy więc przed sobą doświadczenie trzechletnie.

Dla podróżnych, a zwłaszcza dla tych, którzy jedynie za malowniczemi wzorkami do opisów ubiegają się, więzienie Pentonville jest jednym z najciekawszych przedmiotów w Lon-

[1]) Mowa tu o projekcie do prawa, który po długiéj i zaciętéj dyskussyi w izbie deputowanych francuzkich odrzucony w przeszłym roku został.

dynie. Zewnątrz budynek rozległy, gustowny, przypomina ogromem i okaźnością stare warowne zamki. Wszedłeś, stanąłeś w środkowéj loży; z niéj oko cały obszar i to w najmniejszych szczegółach obejmuje. Spojrzałeś wzdłuż czterech korytarzy, to nie kościół, choć wysokie sklepienia i jasna kopuła nad tobą wyobrażenie świątyń na myśl przywodzi i duszę przejmuje grozą i pokorą; nie klasztor, choć milczenie, głęboka cisza i długie rzędy drzwiczek przypominają ci rozbrat dusz samotnych ze światem; nie sala balowa, choć błyszcząca posadzka, wymuskane krużganki, pełno światła, że nie powiem swobody, trzyma cię w oczekiwaniu, rychło się muzyka odezwie i weselne wejdą orszaki; nie rękodzielnia, choć lekkie, żelazne galerye, koła, kółka, które lada pociśnięcie do ruchu na wszystkie strony popędza, wydać ci się muszą jakby składne części jakiéj olbrzymiéj machiny; zgoła w pomięszaniu sprzecznych wrażeń nie zgadłbyś nigdy, że to dom pokuty dla winowajców. Sam już widok otwiera obszerne pole do opisów. Zostawiam to jednak bieglejszym piórom i artykułom polotniejszéj treści. Spieszno mi zejść do szczegółów, do urzędowego zdania sprawy, bez okrasy, bez malowniczych ustępów.

Gmach cały z ogrodem i otaczającym go murem zajmuje około 7 morgów angielskich. Rysunek planu wystawia sześciokąt, którego podstawą jest front z okazałą bramą, z mieszkaniem po jednéj stronie dla rządcy, po drugiéj dla kapelana. Samo więzienie składa się ze 4 skrzydeł; położenie ich łatwo sobie wystawić nakreśliwszy linią prostą jako cięciwę i wywiódłszy z jéj środka dwa promienie pod kątem 60°, długością równe połowie cięciwy. Każde skrzydło ma trzy piętra cel po obu stronach, cel w każdém jest 130, a zatém w ogóle 520. Ze środkowego punktu, w którym się 4 korytarze zbiegają, a w którym znajduje się loża rządcy, widać każde drzwiczki. Balkony i łączące je spiralne schody są żelazne i tak lekkie, że wzrokowi nie stoją na przeszkodzie. Jedném słowem, panoptyczny system Benthama znalazł tu najwyższe udoskonalenie. Każda cela ma 13 stóp długości, 7 szerokości, a 9 wysokości, w nocy oświecona jest gazem,

a ogrzana aparatem, razem czyszczącym powietrze, który tak jest doskonały a razem tak ekonomiczny, że cały koszt opału zaledwie wynosi 1 farthing (1¼ grosza) na celę. Godzi się wspomnieć nawiasem, że doświadczenie zrobione w téj mierze naprowadziło na myśl budowania domków dla dostarczania ubogim wody, ciepła i światła, za pośrednictwem podobnie prostego i taniego urządzenia. W każdéj celi jest stolec z podostatkiem wody, naczynie do umywania, składane łóżko i warsztat wedle rzemiosła pracującego winowajcy. W drzwiczkach otwiera się zasuwka na podawanie jadła; nad nią umieszczono okrągłe szkiełko, jak drobne okienko, którędy dozorca niepostrzeżony może w każdéj chwili zobaczyć co się dzieje w głębi izdebki. Zewnątrz przy wejściu osadzona jest mała tabliczka z numerem, ta się otwiera ile razy więzień zadzwoni, przez co dozorca wie od razu gdzie go potrzebują. Niepodobna opisać machin, które z jednego piętra na drugie i po różnych celach roznoszą jadło i wyroby. Są to jakby tace czy szuflady na kółkach, którym za koleje żelazne służą wygładzone poręcze przeciwległych galeryi. Z tyłu loży rządcy znajduje się kaplica, a w niéj 280 osobnych siedzeń tak obudowanych, że jeden drugiego żadną miarą widzieć nie może, gdy tymczasem stojący pośrodku strażnicy łacno dostrzegą lada ruch ustami zrobiony lub skinienie głowy. Kaplica służy razem za szkołę. Nic nie ma dziwniejszego jak widzieć rzędy głów osadzonych jedne nad drugiemi w tym amfiteatrze. Trudno znaleść lepszéj sposobności na dociekanie charakterów w rysach twarzy ludzkiéj. To odosobnienie każdego w tak liczném towarzystwie, te odrębne wrażenia czy to ze słów kapłana, czy z zagadnień nauczyciela pochodzące, a wybijające się na twarzach, którym oddzielenie nie pozwala wzajemnie modyfikować uczuć i korporacyjnie w pewną całość je kojarzyć, sprawiają, że przytomnemu gościowi zdawać się może, iż jakiś frenolog lub fiziognomista z umysłu podzielił na kratki i kategorye rozmaite ludzi usposobienia. W suterenach pod głównemi skrzydłami są składy, kuchnie, mieszkania dla dozorców, 10 cel dla chorych etc. W ogrodzie stoją obudowane miejsca dla przechadzki i pompy do wody, a w kątach muru

opasującego mieszkania dla strażników. Przestrzenie na przechadzkę przeznaczone są to koła podzielone na 20 promieni, wysokim murem odznaczonych. Wzdłuż jednéj ściany wystaje daszek na przypadek deszczu; grunt jest nieco pochyły dla rozmaitości i lepszéj rekreacyi w przechadzce. Do takiéj klatki pod gołem niebem wpuszczają więźnia a strażnik stoi we środku na wieżyczce i od razu 20 przechadzających się dogląda. Trzy są podobne koła, a zatém na 60 przechadzających się. Dwa inne podługowate tego rodzaju ogrodzenia zamykają każda po 27 klatek. Tym sposobem 114 więźniów czyli prawie czwarta część całéj liczby od razu używać przechadzki może. Dołóżmy, że pod głównym gmachem są jeszcze kąpiele, pralnie, miejsce na czyszczenie i przewietrzanie sukni a będziemy mieli wyobrażenie o zupełności gospodarstwa więziennego. Cały koszt budowy i urządzeń wynosił po dzień 21 grudnia 1842 funtów szterlingów 84,168 — 12 s — 2 d. Że zaś jest miejsce na 520 więźniów, wypada więc na osobę f. s. 171 — 17 s. — 2¾ d. (6474 zł. pol.).

Jaki jest ostatni wypadek doświadczenia, do jakiego stopnia urzeczywistnione zostały nadzieje i jak osiągnięte cele, dowiedzieć się można z raportu przedstawionego przez komisyę parlamentowi w dniu 10 marca 1845 roku. Należy wspomnieć dla nadania dziełu temu większéj powagi i rzetelności, iż w komisyi zasiadali lord Wharncliffe prezydent Rady ministrów (ten niedawno umarł), książę Richmond, hrabia Devon, lord John Russell, oprócz tego należał do niéj Speaker czyli prezydent izby niższéj i sześciu innych znakomitych uczonych i filantropów.

Wedle reguły położonéj przez ministra spraw wewnętrznych, więzienie Pentonville służy tylko dla mężczyzn między 18 a 25 rokiem, skazanych na transportacyę, nie dłuższą jednak jak lat piętnaście. Czas przeznaczony na doświadczenie i poprawę wynosi 18 miesięcy, poczém winowajcę przewożą do Van Diemen's Land. Jeźli sprawował się dobrze w więzieniu, otrzymuje na wygnaniu zupełną wolność, a że jest tam wielka łatwość zyskownego zarobku i że miał sposobność wyćwiczyć się w rzemiośle, łatwo zdoła sobie zapewnić dobre położenie

i zebrać pieniędzy na utrzymanie rodziny, którą mu wolno sprowadzić. Sprawujący się miernie w probierczéj epoce dostaje tylko warunkową wolność, poddać się musi ostrym przepisom, dozorowi, rozmaitym niewygodom, i tylko pewną część z zarobku otrzymuje na własność. Złych czyli niepoprawionych zupełnie osadzają na półwyspie Tasman, gdzie pracować muszą pod ścisłą strażą, bez najmniejszego zarobku, bez odpoczynku i bez najmniejszéj wolności. Tym ostatnim pod żadnym pozorem i w żadnym razie niewolno rodzin sprowadzać.

Więzień przy wejściu dowiaduje się, jak się ma sprawować. Nadto przepisy zawieszone są w każdéj celi i wykładane obszernie, dopóki każdy dobrze ich nie zrozumie. Wedle nich najostrzéj zabroniona mu jest wszelka z innymi komunikacya. Ile razy jednak zechce się widzieć czy z rządcą, czy z którym z komisarzy, czy z kapelanem lub doktorem, nic mu na przeszkodzie nie stoi. Zażalenia i żądania otrzymują niezwłoczną odpowiedź. Równie wszelką ma wolność podawania próźb i przedstawień, czy wprost do ministra czy do władz innych. Do kaplicy musi uczęszczać, chyba, że jest innego wyznania a wtenczas właściwy kapłan jest na jego usługi. Wolno mu przy wstępie napisać do rodziny lub przyjaciół list donoszący im o swém przeniesieniu, oprócz tego raz na kwartał służy mu przywilej listownego z niemi porozumiewania się. Raz na kwartał także krewny czy przyjaciel może go odwiedzić. W przypadku słabości, jeźli rządca i lekarz nie sprzeciwią się, wolne mu jest zgłoszenie się do swoich. W każdéj chwili wszelki ważny wypadek, któryby się go tyczył, dochodzi do jego wiadomości za pośrednictwem przełożonego. W spisie urządzeń wyłożone są kategorye, na jakie przy wyjściu więźniowie bywają podzieleni i co ich czeka w kolonii. Dobre sprawowanie się już w więzieniu zyskuje nagrodę; postępujący przykładnie otrzymuje po 6 miesiącach szewron czerwony, a dwa po dwunastu. Zaraz przy wstępie rządca, lekarz i kapelan starają się poznać usposobienie więźnia i do nich stosują swe nauki i przestrogi, oni wyznaczają mu rodzaj rzemiosła.

Dzień jest w następujący sposób podzielony: O pół do 6 dzwonią na wstawanie. O 6 dozorcy otwierają drzwi od cel, w zimie gaz zapalają i oddają więźniom narzędzia do pracy, które dla bezpieczeństwa bywają im na noc odbierane. O tejże saméj godzinie dwa oddziały po 16 idą wodę pompować. W pochodzie jeden za drugim o 15 kroków postępuje. Czapki są tak zrobione, że daszek zupełnie twarz zasłania, i tylko na linii oczów są dwie dziurki do patrzenia. Każdy nosi na odzieniu metalową tabliczkę dla rozróżnienia. Naprzykład $\frac{A.\ 2}{25.}$ znaczy korytarz 1^{szy} — 2^{gie} (co po naszemu 1^{sze}) piętro — numer celi $25^{ty.}$ Machinę do pompowania wody urządzono w taki sposób, że każdy w osobnéj przegrodzie pracuje. Praca ta zajmuje godzinę, chociaż na osobę wypada 3 kwadranse, bo po kolei odpoczywają. Inni tymczasem czyszczą swoje cele, a przywiązanie do swego kątka do tak wysokiego zwykle dochodzi stopnia, iż jedną z największych kar dla więźnia jest, kiedy mu każą przenieść się do innéj izdebki. Część pewna zamiata galerye w odstępach stóp 30^{stu} i pod ścisłym strażników dozorem. O $7^{méj}$ jedni dozorcy śniadają, drudzy przygotowywują dzienne raporta. O pół do $8^{méj}$ roznoszą więźniom śniadanie, co się w 12^{stu} odbywa minutach. O $8^{méj}$ dzwonią do kaplicy. Połowa całéj osady, to jest 250, w czterech oddziałach, czterema osobnemi wchodami, idą tam i zajmują miejsca po kolei. Choć budynek tak obszerny, choć zawsze jeden od drugiego o 15 najmniéj kroków jest oddalony, w 6 i pół minutach każdy na przeznaczoném znajduje się siedzeniu. Z drugiéj połowy część idzie na przechadzkę, część do pomp, a reszta zaczyna pracować po celach. Od $10^{téj}$ do $12^{stéj}$ połowa jednéj klasy, a trzy są klasy pod względem uczenia, idzie do szkoły, gdy tymczasem podrzędni nauczyciele drugą połowę po celach z osobna przysposabiają. O $12^{stéj}$ dozorcy, a o $1^{széj}$ więźniowie obiadują. Rozdanie jadła na cele trwa 14 minut. Zaraz po obiedzie główny i przyboczny rządzca obchodzą w koło i robią przegląd dzienny. Do $2^{giéj}$ więźniom wolno pisać i czytać. O $2^{giéj}$ znowu się szkoła otwiera. O pół do $5^{téj}$ półgodzinne nabożeństwo odprawia się dla tych, którzy rano na niém nie byli. O pół do $6^{téj}$ wieczerza, która trwa 12 mi-

nut. O $8^{méj}$ dzwon wzywa do zaprzestania pracy i słania łóżek. Do $9^{téj}$ wolno więźniom uczyć się, lub odpoczywać, gdy tymczasem dozorcy zabierają narzędzia i zamykają cele. Skoro 9ta wybije gaszą światła. Dla uniknienia powtórzeń nie wspomniałem, że co godzina zmieniają się ci co pracują u pomp i ci co spacerują, aż do $5^{téj}$ po południu. W niedzielę wszelka praca ustaje, nawet pompy spoczywają. Nabożeństwo odbywa się 3 razy. Że zaś za każdym razem połowa więźniów może być przytomną, ztąd co drugą niedzielę każdy rano i po południu odwiedza kaplicę. Dodać należy, że nie wolno zdejmować czapki, tylko podczas nabożeństwa, w szkole, i w przegrodzie na przechadzkę przeznaczonéj. Kiedy nawet kto z obcych odwiedza więzienie, to nim wejdzie do jakiéj celi, pokutujący wkłada czapkę i obraca się nosem do kąta. Co dni piętnaście każdy idzie do kąpieli.

Otrzymane korzyści przeszły wszelkie oczekiwania, postęp we wszystkiem jest widoczny.

W ciągu roku 1844 liczba tych, którzy ukończyli tę probierczą szkołę i przeniesieni zostali do kolonii, wynosiła 382 osób. Z niéj 288 zasłużyło sobie na umieszczenie w pierwszéj klasie, 78 w drugiéj, a 16 tylko wciągniono do trzeciéj. Nawet z tych 16 tylko 3 za zupełnie niepoprawnych uznano. Rzadkie wymierzanie kar za uchybienia w więzieniu wiele mówi. Najwyższą karę stanowi zamknięcie 9 dni w ciemnéj celi z umniejszeniem jadła. Pomiędzy karami jest odebranie wszelkich książek oprócz religijnych, usunięcie od roboty, zabronienie uczęszczania do szkoły i odjęcie szewronu. Z 741 więźniów, którzy w roku 1844 próbę odbyli, 69 karze podległo, z tych tylko 10 dwa razy, a 2 więcéj nad dwa razy. Ztąd się pokazuje, iż 672 więźniów w niczem ani razu nie przekroczyło przepisanych reguł. Nie dziw więc, że w Van Diemen's Land nazywają wyszłych z téj szkoły: the gentlemen convicts; nie dziw, że w obecnéj chwili minister sprawiedliwości we Francyi odebrał od Trybunałów na zapytanie, jaki systemat więzienia najlepszy, jednozgodną odpowiedź, że nim jest systemat odosobnienia, potrzebujący w niektórych tylko punktach mniejszéj lub większéj modyfikacyi.

Co do nauki w rzemiosłach, z 366 zajętych w pierwszych dwóch klasach, 201 zupełnie nieumiejętnych nauczyło się rzemiosła, 141 umiejętnych w jedném rzemiośle nauczyło się innego, a 24 wydoskonaliło się w posiadanych już dawniéj. Następujący wykaz da poznać jakie są rzemiosła i które najzyskowniejsze:

				na każdego wypada
27	tkaczy wyrobiło towaru	za	206 f. 9 s. 10 d.,	7 f. 12 s. 11½ d.
76	robiących maty	dito	552 · 11 · 4 ·,	7 · 5 · 5 ·
56	stolarzów	dito	254 · 9 · 1 ·,	4 · 10 · 10½ ·
19	kotlarzów	dito	82 · 6 · 2 ·,	4 · 6 · 7¾ ·
121	krawców	dito	479 · 4 · 4 ·,	3 · 19 · 2½ ·
116	szewców	dito	306 · 12 · 5 ·,	2 · 12 · 10¼ ·
33	koszykarzów	dito	19 · 13 · 7 ·,	0 · 11 · 11 ·
448			1091 f. 6 s. 9 d.	

W ogólném przeto przecięciu wypada na każdego jako zarobek roczny 4 f. 4 s. 10½ d. (blisko 170 złtp.). Trzeba pamiętać, że tylko 4 dni w tygodniu są roboczemi, bo 2 są przeznaczone na szkołę, a i w tych czterech wiele czasu zajmuje czyszczenie cel i więzienia, pompowanie wody i przechadzki.

Wydatek wynosił 15,100 f. 19 s. 4 d. czyli na każdego więźnia 33 f. 6 s. 8 d. (1433 złtp.). Z téj sumy na żywność wypada rocznie 7 f. 11 s. 2 d. (302 złtp.) czyli tygodniowo 2 s. 10¾ d. (złtp. 5 gr. 20) na osobę. Na ubiór wydatek był 1 f. 3 s. 1 d. (46 złtp.). W porównaniu z rokiem 1843 wydatek ogólny zmniejszony został o f. 15 s. 18 d. 4 (636 złtp. 20 gr.) na głowę. Ubiór kosztował mniéj o 1 f. 0 s. 11 d. (42 złtp.), ale za to żywność, która pokazała się niedostateczną, podskoczyła o 10 s. 4. d. (złtp. 20. gr. 20) na głowę.

Tabella żywności tygodniowo wynosi na każdego: 28 uncyi mięsa, 140 chleba, 3½ kwart zupy, 7 funtów kartofli, 7 kwart klejku, 5½ kwart kakao, 14 uncyi mleka, 10½ uncyi nieczyszczonego cukru. Zupę robią z mięsa na całe więzienie przeznaczonego, dodając do tego trzy głowy wołowe i warzywa. Klejek gotuje się z mąki owsiannéj, 1½ uncyi na kwartę angielską (pint). Kakao z ¾ uncyi mielonego na pintę ziarna

i z 2 uncyi mleka. Nie od rzeczy tu wspomnieć, iż w kilku szkockich więzieniach natrafiono na nowy sposób karmienia. Nie wyznaczają racyi, ale dają więźniowi tyle, ile mu się spodoba, wszakże tylko pewna oznaczona ilość pokarmu jest gorąca i świeżo przyrządzona, łaknący musi dodatek na zimno pożywać. Przekonano się, że tym trybem nikt nie używa nad istotną potrzebę, a w ostatecznym rezultacie mniéj jadła wychodzi niż przy jednakowym podziale.

Stan zdrowia więźniów nie pozostawia wiele do życzenia. W całym roku 14 tylko wypadków ciężkiéj choroby objawiło się. Trzech umarło, a 7 oddano do szpitalów.

Nie było ani jednego wypadku utraty zmysłów, chociaż poszukiwania pokazały, że dwudziestu trzech miało do tego familijną skłonność.

Kapelan i główny nauczyciel nie mogą się odchwalić ogólnego postępu moralności, bogobojności i nauki. Jużem wspomniał, że szkoła na trzy klasy podzielona. Dość będzie nadmienić, że z ostatniéj klasy, złożonéj z 83 zupełnie nieumiejętnych, 28 nauczyło się czytać, pisać i rachować, 29 wyćwiczyło się w tych trzech gałęziach doskonale, a 26 postąpiło do wyższéj arytmetyki, do reguły trzech i t. d.

Samo zbliżenie dwóch jednoczesnych faktów pokaże ważność ostatniego postępu i naglącą potrzebę, aby co rychléj przyjęto wszędzie system tu opisany. W tymże samym roku z 877 osadzonych w więzieniu hrabstwa Sussex pokazało się, że 141 nie znało nawet imienia Zbawiciela, że 498 słyszało o imieniu ale nic więcéj, że 79 miało niejakie ale ciemne i niewyraźne o Nim wyobrażenie, a tylko 6 na sto zdołało się pochlubić dostateczną wiadomością religii.

W krajach katolickich łatwiéj jeszcze niż w krajach protestanckich system zupełnego odosobnienia dałby się zaprowadzić. Katolicyzm na każdą potrzebę ludzkości tworzy zakon albo bractwo ludzi jednemu obowiązkowi, jednemu wysokiemu celowi ślubujących całe życie, obracających w jeden szczególny kierunek siłę, jaką daje wszelkie stowarzyszenie się w szlachetnych celach, a miłością namaszczajacych każde słowo, każdą regułę, choćby najsurowszą. Ciągłe zajmowanie się wię-

źniami, a zajmowanie się z łagodnością i wytrwałością z uczucia religijnego pochodzącą, tém snadniéj i skuteczniéj zapobieży grożącemu osamotnionym niebezpieczeństwu utraty zmysłów.

Bąć co bąć, zaszczytem jest epoki, w któréj żyjemy, że w niéj ukazała się na widowni i w rzeczywistość wprowadzaną być zaczyna zasada, iż towarzystwu nie tyle o ukaranie, jak o poprawę przestępnych chodzić powinno.

Zakłady dla obłąkanych.

(1845.)

U wszystkich ludów w pierwotnym stanie towarzystwa, otaczano obłąkanych i upośledzonych na umyśle szczególną pieczołowitością i religijném uszanowaniem. Straszną tę ułomność i nawiedzenie brano za znamię widoczniejszéj łaski niebios, bliższego uczestnictwa z bóstwem. Sądzono iż dla tego świat się tak dziwnie w oku i mózgu szalonego łamie, że on wewnętrzném widzeniem na inny, wyższy, lepszy, patrzy bez ustanku. To powszechne mniemanie podpierało trójnóg Pitonissy. Dla Tezeusza, wedle Szekspira, waryat, kochanek, poeta, byli rodzonymi braćmi. Rodziny, w których domowém kole znajdował się chory na umyśle, poczytywały to za znak boskiéj pieczy nad sobą, i w obłąkanym świętą istotę, jakby anioła stróża, uważały. Dotąd się jeszcze tak dzieje u wielu narodów, które zachowały pierwotną prostotę obyczajów. Gdzieindziéj jednak z kodexem praw i cywilizacyą ustał wiek złoty dla obłąkanych, a wiek żelazny nastąpił. Historya ustaw i zakładów dla téj cierpiącéj klasy tworzonych pokazuje, że nawiedzenie boże, jakkolwiek ciężkie, staje się stokroć dotkliwszém przez nieroztropność lub zarozumiałość ludzką. Bez wątpienia najsroższe obłąkanych udręczenia przypisać należy przesadzonym obawom, wstrętowi i okrucieństwu zdrowych na umyśle. Dopiero od lat 50 baczniejszą na ten przedmiot zwrócono uwagę i posłuchano głosu ludzkości. Co w tym względzie w Anglii zrobiono, następujący rys okaże.

Na kilka lat przed śmiercią Henryk VIII. darował miastu

Londyn puste i odarte opactwo Betleem. Przerobiono je zaraz na szpital obłąkanych. Oto pierwszy w Anglii zakład tego rodzaju. W 1675 roku, gdy stare mury zaczęły się psować, miasto Londyn dało 17,000 funt. szt. na wystawienie nowego gmachu. Z dziwnym kaprysem i z szyderczą niestosownością wybrano pałac Tuileries za wzór do zewnętrznego kształtu budowy. Wzniósł się gmach, w którym, podług słów jednego z dzisiejszych pisarzy, przepych panował zewnątrz, a wewnątrz najstraszliwsza nędza; dogodzono próżności kosztem cierpiącéj ludzkości; nieszczęśliwych mieszkańców tego królewskiego domostwa pożerało plugastwo i katusze bez końca; ich nagość i brud tak napełniały patrzącego obrzydzeniem, jak powrozy i łańcuchy, któremi ich krępowano bez względu na stan, na wiek, na płeć nawet, musiały budzić w nim przestrach i zgrozę.

Przez lat 200 Anglia nie miała innego schronienia dla obłąkanych. Dopiero w 1751, gdy Betleem wystarczyć nie mogło powiększającéj się coraz liczbie chorych, założono szpital św. Łukasza na 500 osób. Ale i tu używano więzów, nie znano jeszcze podziałów, zgoła reguły były te same, co i w więzieniach.

Nielepiéj działo się téj klasie w innych krajach. Dla powszechnego bezpieczeństwa chwytano szalonych i byle gdzie, aby tylko za dobrą kratę, wsadzano. Ani rząd ani żaden sędzia nie pomyślał, żeby miał kiedy rozciągnąć śledztwo po za próg szpitala. Chłostano biednych niemiłosiernie, gołych i łańcuchami skrępowanych rzucano do ciemnych i wilgotnych piwnic, albo wystawiano ich w klatkach ku ubawieniu ciekawych. Dziwna rzecz, chłostę upoważniało dziwne mniemanie, które właśnie powinno było ją uchylić jako na nic nieprzydatne okrucieństwo. Sądzono bowiem, że obłąkani nie doznają cielesnéj boleści. Jeżeli gdzie obchodzono się lepiéj z niemi, to w krajach katolickich po klasztorach. Zakonnikowi téż należy się cześć za pierwsze ulepszenie. Św. Wincenty a Paulo, założyciel reguły Łazarzystów, twórca domu podrzutków w Paryżu i tylu innych zakładów dobroczynnych, niesłychanemi trudami, prośbą, wymową, zwrócił pierwszy pu-

bliczną baczność i staranność ku obłąkanym. Odtąd częściéj ich w szpitalach niż więzieniach zamykano.

W 1786 Francuz Fénon, z profesyi lekarz, wydał dzieło o waryatach i sposobie ich leczenia. Obudziło to powszechną uwagę. Kilka lat późniéj La Rochefoucauld wniósł ten przedmiot przed zgromadzenie prawodawcze. W czasie rewolucyi Doktor Pinel stanął przed komuną z prośbą, aby mu pozwolono zdjąć łańcuchy z osadzonych w Bicêtre. Była to myśl nowa, a wtedy każda nowość prowadziła do wziętości; rzecz podobała się komunie; wysłano Couthona, by w towarzystwie Pinela udał się na miejsce i wydał sąd o podobieństwie wykonania projektu. Poszli, ale na samym wstępie przyjęły ich tak przeraźliwe wrzaski kilkuset waryatów, przerywane tylko szczękiem łańcuchów, rozlegających się po ponurych sklepieniach więzienia, że przestraszony Couthon uciekł, zostawiając Pinelowi dokonanie trudnego przedsięwzięcia. Nieugięty filantrop postanowił co prędzéj uwolnić 50 na próbę i począł od dwunastu co najgwałtowniejszych. Pierwszy, któremu zdjęto łańcuchy, był kapitan angielski, od 40 lat trzymany w kajdanach. Zapomniał on był już swéj przeszłości i świat o nim zapomniał. Dozorcy przybliżali się do niego z przestrachem, gdyż jednego z ich towarzyszów zabił był uderzeniem łańcucha od ręki. Pinel sam wszedł do jego celi, i przybliżywszy się z łagodnością i zaufaniem, oświadczył mu, że postanowiono wypuścić go na wolność, byle tylko dał włożyć na siebie kamizelę krępującą ręce. Waryat nie chciał z razu wierzyć, ale usłuchał. Zdjęto mu kajdany i drzwi na rozcież otworzono. Podniósł się kilka razy i znowu upadł, członki czterdziestoletnią katuszą złamane, nie chciały się wyprostować. Nakoniec po wielu daremnych próbach zdołał się nareszcie utrzymać na nogach, posunął się ku drzwiom swéj ciemnéj celi i z rozkoszą i zadziwieniem ujrzał światło dzienne, powitał obszar niebieski. Cały dzień pierwszy był dla niego uniesieniem i radością. W tydzień tak dalece przyszedł był do siebie, że od téj chwili aż do momentu wypuszczenia na świat nie tylko znaku szaleństwa nie pokazał, ale owszem stał się niezmiernie usłużnym i pomocnym w zawiadowaniu

całym zakładem. Następny z kolei był żołnierz, od lat dziesięciu przykuty do jednego miejsca, przedmiot powszechnéj odrazy i strachu. Zaledwie opadły więzy z rąk jego, wstał z spokojnością, jak gdyby nigdy nie był cierpiał pomięszania zmysłów. Od razu zaczął pomagać Pinelowi do rozkuwania innych i tak się do swego wybawcy przywiązał, że już mu do końca życia wiernym pozostał. W podle siedziało trzech pruskich żołnierzy. Przez długie cierpienie stali się nieczułymi, obojętnymi. Ci nie chcieli swéj kryjówki opuścić. W następnéj znaleziono księdza staruszka. Spokojny, łagodny, cierpliwy, całém jego przywidzeniem było, że się mniemał być Zbawicielem. Gdy się z niego dozorcy natrząsali i pytali: czemu, kiedy był Chrystusem, nie miałby jedném słowem stargać swych więzów, odpowiadał z powagą: Frustra tentaris Dominum tuum. Po uwolnieniu wkrótce pozbył się swéj manii, i zupełnie zmysły odzyskał. W ciągu kilku dni Pinel 53 oswobodził. Skutek przeszedł jego oczekiwanie. Działo się to w 1792 roku. Odtąd za dobrym przykładem poszła cała Francya.

Od tego czasu i w Anglii poczęto wprowadzać ulepszenia, ale daleko powolniéj. Liczba szpitalów teraz się powiększyła. Prywatne téż zakłady tak się zyskownemi dla przedsiebiorców okazały, że się mnożyć zaczęły bez końca. Gdzieindziéj z publicznych składek stawiano schronienia dla obłąkanych. Szpital w Yorku założono w r. 1772, w Nottingham w r. 1791, w Glasgowie w 1807 r. Lecz najważniejszym był zakład otworzony w Yorku przez kwakrów w tymże samym roku, w którym Pinel nowe urządzenie w Bicêtre wprowadził. Dziwny to zbieg, bo żadnego związku ani przedwstępnego porozumienia nie było. Powód do założenia nowego szpitalu w Yorku dało to, że w starym umarła jakaś kwakierka w skutek złego z nią obchodzenia się. Od razu przyjęto tam nowy system, zgodny z wymaganiami ludzkości i zdrowego rozsądku. Zależał on na postępowaniu z tą łagodnością i dobrocią, a razem z tą poważną surowością, ktora rzadko kiedy zostaje bez wpływu równie na zdrowych jak i chorych na umyśle. Dwa sąsiednie zakłady wkrótce poczęły toczyć zaciętą walkę. W nowym wszy-

stko działo się jawnie; w starym tajemnica zamykała każdy przystęp, odpychała każde zapytanie. W końcu ostatni musiał uledz przed kołataniem opinii publicznéj. Śledztwo wykazało najsprośniejsze nadużycia. Wstrząsł się parlament i wyznaczył ogólną komisyę do objechania wszystkich po kraju szpitalów dla obłąkanych.

Znaleziono Betleem, czyli Bedlam, w najgorszym stanie. Pokazało się, że tam pospolicie bez uwagi na płeć, na wiek, na stopień szaleństwa, przykuwano chorych za ręce i za nogi do muru, dając im kołdrę za jedyne pokrycie. Znaleziono wielu na barłogu, pod staremi szmatami w smrodzie i plugastwie. I to działo się w królewskim szpitalu Wielkiéj Brytanii, we 23 lat po reformie, zaprowadzonéj przez Pinela w Paryżu. Jeden przykład przytoczę. Pacyenta, nazwiskiem Norris, osądzono za niebezpiecznego waryata. Był to człowiek wielkiéj zdolności i nauki, ale miewał napady szaleństwa. Lekarz radził, aby go osadzono w podwójnie ubezpieczonéj celi. Komitet jednak zadecydował inaczéj. Po długich sporach wymyślono aparat, pod którego ciężarem przejęczał nieszczęśliwy lat ostatnich swego życia dwanaście. Straszny ten aparat składał się z ciężkiéj żelaznéj obroży na szyję, połączonéj za pośrednictwem niemniéj ciężkiego łańcucha z pierścieniem, ślizgającym się na dół i w górę po żelaznym słupie, do którego Norris był przykuty, daléj ze sztaby, która w pół jego ciało opasowała, i do któréj łokcie były przymocowane, w końcu z kajdan na nogi, by je utrzymać w wyżłobieniu, w którém stać musiał. Nie był on w stanie nieczułości, owszem, choć skrępowany, czytywał codzień książki i gazety i o potocznych wypadkach z wielką przenikliwością rozmawiał.

Trzeba oddać sprawiedliwość Anglikom, że kiedy jeden jaki wypadek krzyczącego nadużycia dojdzie do wiedzy publicznéj, to już nie spoczną, póki wszelkiemi siłami podobieństwu powtórzenia się onego nie zapobiegną. Biedny Norris stał się dobroczyńcą obłąkanych. Odtąd poczęto się prześcigać kto więcéj da swobody, kto łagodniéj z niemi będzie się obchodzić. Skutek pokazał, że prawdziwą wybrano drogę do ulepszeń. Im słodsze było postępowanie, tém powolniejszemi

i weselszemi znaleziono pacyentów. Już nie obawiano się ich wpuszczać do ogródów, na kwatery kwiatami usłane, pod drzewa dojrzałym owocem nęcące. Już więcéj nie wznoszono wysokich murów i okien kratami nie obtaczano. Szła w tym kierunku reforma i dzisiaj już nikt nie śmie przeczyć zasadzie głównéj, tylko jedno stronnictwo utrzymuje absolutnie, iż w żadnym przypadku nie godzi się i nie potrzeba krępować obłąkanych, a drugie twierdzi, iż są okoliczności, w których bez mechanicznych sposobów na powściągnienie krnąbrnych i zaciętych obejść się nie można. Pierwsze, na którego czele stoi Doktor Conolly, radzi aby zamiast środków dotychczasowych, jako to: sznurów, łańcuchów, kamizelek, przestawano, i to w najgwałtowniejszych nawet razach, na osadzeniu w samotnej celi, tak w koło wypchanéj miękkim jakim materyałem, iżby szalony nie mógł sobie zaszkodzić, choćby łbem nawet o ścianę uderzył. Drudzy twierdzą, że lepiéj jest użyć mechanicznego sposobu na odjęcie obłąkanemu możności wyrządzania szkody sobie lub innym, a razem mu pozwolić wolno przechadzać się i z innymi przestawać. I tak dla tych, ktorzy nie wykraczają czém inném, tylko że drą suknie i zdejmują je z siebie, dostateczne do przeszkody są rękawiczki stosownie ku temu urządzone. Daléj, wywatowane pokoje nie przedstawiają bezpieczeństwa przeciw szalonemu, który w paroksyzmie chce sobie oczy wydrzeć, albo się kąsa po ciele, albo język sobie odgryść próbuje. Prócz tego są pacyenci z plugawemi zachceniami. Wstrzymać ich można tylko skrępowaniem mniéj lub więcéj surowém. Ztąd wiele osób znakomitych, Samuel Tuke, założyciel schronienia w York, Esquirol i Foville, doktorowie przy szpitalu w Charenton, nie chcą żadną miarą przystać na zupełne zniesienie więzów i bandażów.

Gdy rozum publiczny tak wielkie w téj kwestyi robił postępy i gdy celniejsze zakłady zmuszone były poddać się jego wyrokom, dawna rutyna okrucieństwa kryła się tam i owdzie i zda się, że tém cięższém chciała swe jarzmo uczynić, im jéj się mniéj ofiar dostawało. Gdzie się kończył wpływ i groza opinii publicznéj, tam się panowanie srogości poczynało. Do

domów prywatnych, a nawet i do zakładów publicznych, zostających pod dozorem magistratu miejscowego, ani rząd, ani żaden prywatny komitet, mięszać się nie mógł, bo nie miał prawa. Czego prośby nie wymogły, tego postrachy i żale wyrobić nie zdołały. Po rozmaitych przygodach i bezskutecznych próbach, rząd angielski dopiero w ostatnich czasach udał się do parlamentu o wyznaczenie komisyi, którąby wszystkie publiczne zakłady objechała i ze swych spostrzeżeń zdała szczegółową sprawę. Na czele tego śledztwa stanął znakomity filantrop, lord Ashley. Skutkiem prac i zabiegów komisyi sporządzono najprzód szczegółowe zdanie sprawy, potém zrobiono wniosek, który lord Ashley przedstawił parlamentowi w dniu 23 lipca 1844 roku, a w końcu nastąpił bill wprowadzony za przyzwoleniem rządu przez tegoż niezmordowanego przyjaciela ubogich i nieszczęśliwych w dniu 6 czerwca bieżącego roku.

Liczba szpitalów dla obłąkanych w Anglii, (mówię o Anglii i księstwie Galii, bo do téj tylko części państwa W. Brytanii prace komisyi dotąd się ograniczały) wynosi 166. Z tych 17 jest publicznych, 11 przez prywatne składki utrzymywanych, 1 rządowy dla wojska, 1 dla majtków, a 136 prywatnych. W nich po dzień 1 stycznia 1844 roku było chorych 9862 mężczyzn, 11,031 kobiet, razem 20,893. Z tych 4072 było na własnym, a 16,821 na publicznym koszcie.

Wyłączeni są zupełnie z pod uwagi i z pod rachunku obłąkani osadzeni na prywatnych pensyach, albo pielęgnowani przez własne rodziny. Komisya nie miała władzy poszukiwania, co się z niemi dzieje. Ich liczby nigdy z dokładnością dowiedzieć się nie będzie można. Raz delikatność, to znów potrzeba zachowania tajemnicy dla godności familijnéj, drugi raz oszukaństwo i żądza pieniędzy, przywłaszczająca sobie dochody obłąkanego, albo ciągnąca zysk z przedłużonéj jego choroby (na niektórych pensyach po 500 funtów szterlingów od chorego rocznie się płaci), te i tym podobne nieprawości stać zawsze będą na przeszkodzie ustanowieniu ściśléj reguły nad prywatnemi zupełnie zakładami. Prawo wymaga, żeby właściciel domu, w którym przez rok znajdował się jaki obłą-

kany, imie jego udzielił komisyi, ale wielu uchyla się z pod prawa, przenosząc pacyenta po 11 miesiącach do innego domu. Najnieszczęśliwszą jest pono kategorya, o któréj tu mowa; aż strach bierze spojrzeć w te czarne dzieje. Co gorsza, majątek i położenie ułatwiają sposoby ukrycia i tylko od czasu do czasu nadzwyczajny traf jakie tajone okrucieństwa na wierzch wyniesie. W zeszłym roku w samém mieście Londynie znaleziono chłopca od lat kilkunastu trzymanego przez matkę i brata w wilgotnéj piwnicy. Nikt nie wiedział o jego istnieniu. Na odkrycie naprowadził fetor zgnilizny, który przedzierał się aż do sąsiedniego domu. Gdzieindziéj nogi umarłéj kobiety znaleziono tak skurczone, iż jéj żadnym sposobem do trumny wsadzić nie można było. Ciekawość pobudziła do śledztwa. Pokazało się, że nieboszczka była obłąkaną za życia i że ją własna córka przez lat dwadzieścia trzymała w ukryciu, skrępowaną ciężkiemi łańcuchami. Lord Ashley, któremu nikt pewnie nie zarzuci przesady, oświadczył w parlamencie, że tak niekorzystne powziął zdanie o prywatnych zakładach, iż gdyby który z jego rodziny podpadł nieszczęściu obłąkania zmysłów, toby go wolał na publicznym koszcie osadzić między ubogiemi, niż poruczyć staraniom niezależnéj osoby. Co rząd może w tym względzie zrobić najskuteczniejszego? Oto postanowić surową karę za tajenie i ukrywanie obłąkanych, i polecić komisyi częste odwiedzanie domów podejrzanych o złe obchodzenie się z pacyentami.

Są jednak tacy, których stanu ukryć niepodobna, albo też rodzina znajduje potrzebę i korzyść w przekonaniu ich publicznie o utratę zmysłów. Mowa tu o indywiduach, które w ręku dzierżą majątek, a dla niedołęztwa umysłowego rozrządzać nim nie umieją. Krewnym, a najczęściéj tym, co się puścizny po chorym spodziewają, zależy na tém, aby ukrócić wolności i zapobiedz marnotrawstwu. Jest więc komisya umyślnie na to przeznaczona, która sądzi o stanie podobnych osób w trybunale *de lunatico inquirendo*. Skoro przedstawiony przed sąd uznanym zostanie za nieudolnego i nie mogącego rządzić własnym majątkiem, cały jego dobytek przechodzi pod władzę lorda kanclerza, który tylko roczną na utrzymanie wy-

dziela mu pensyę, wyznaczając kto się ma nim opiekować. W 1844 téj klasy obłąkanych było 535, roczny dochód z ich majątków pod zarządem lorda kanclerza wynosił 356 tysięcy funtów szterlingów, a wydatek na ich utrzymanie 161 tysięcy f. s. I tutaj częste są przykłady lubo odmiennego rodzaju nieprawości. Żona chcąca się pozbyć męża, syn zazdrośnie patrzący na wydatki ojca, nieraz pod lada pozorem starają się odsądzić od zmysłów osobę, która na przeszkodzie stoi własnym ich zdrożnościom. Najsławniejsze wypadki w zeszłym roku przed wspomnionym trybunałem były mniemanego syna królowéj Karoliny, syna poety Campbella, księżnéj Bariatyńskiéj, i bogatego Indyanina Dyce Sombre. Ten ostatni osądzony za waryata, wymknął się z Anglii, i nie posłyszano o nim aż dopiero, kiedy w Paryżu zaczął spraszać na świetne swe bale, co modny świat bynajmniéj za dowód waryactwa nie uważał.

Najlepiéj dzieje się tym, którzy są na własnym koszcie po publicznych zakładach, bo ku ich dobru łączą się i prywatne zasoby i rządowa opieka.

Klasa obłąkanych ubogich jest najliczniejszą i najtroskliwszego dozoru wymaga. Wiadomo, że w Anglii każda parafia ma obowiązek utrzymywać swoich ubogich; a ztąd potrzebuje obmyślać schronienie i dla tych, którzy utracili zmysły. Chorzy więc dotąd zależeli od miejscowego magistratu, zwykle niezmiernie obrażliwego i będącego w ciągłéj obawie, by broń Boże czy to rząd, czy ktokolwiek z obcych, nie wglądał w jego postanowienia i przez to jego godności parafialnéj nie naruszył. Już sama niejedność w systemacie obchodzenia się z choremi i opór przeciw wszelkiéj radzie pochodzącéj od wyższych i rozumniejszych, przeciw postępowi nauki i światła publicznego, musiałyby mieć najszkodliwsze następstwa, a cóż dopiero powiedzieć, gdy weźmiemy pod uwagę przesądy miejscowe, grubą niewiadomość urzędników, brak lekarzy, a mianowicie skąpstwo, które bez kontroli publicznéj rzadko kiedy ulgę ubóstwu przyniesie. W 17 tylko z 52 hrabstw są dotąd na ten cel publiczne zakłady, a w tych miejsce tylko na 4,155

osób opatrzono; tym sposobem reszta, to jest przeszło 12,000, rozłożoną była w 1844 albo po domach roboczych razem ze zdrowemi ubogiemi, albo téż po prywatnych domach, utrzymywanych najczęściéj przez spekulantów. Stan obłąkanego w domu roboczym łatwo sobie każdy wystawi, kto wie, pod jakiemi warunkami, na jakiéj strawie, z jaką grozą utrzymują, a raczéj więżą ubogich po tych strasznych zakładach. Chory na umyśle nie znajdzie tam ani wygody, ani porady stosownego lekarza, a musi podlegać ciężkiéj regule, niby wymyślonéj na odstraszenie gnuśności pod maską ubóstwa, lub na zapobieżenie nieprzezorności, któraby oglądała się na pomoc innych w starości, w chorobie lub nieszczęściu. Dość wreszcie wspomnieć, że koszt utrzymania wynosi ½ szylinga (1 złp.) dziennie na osobę, żeby sobie wyobrazić niedostatek chorego i zrozumieć, jak mocną musi być pobudka dla któréj oszczędność miejscowa woli obłąkanego trzymać w parafialnym domu roboczym, jak za niego płacić w zakładach umyślnie na to przeznaczonych. Mało co lepiéj dzieje się tym, których za pewną opłatę oddają prywatnemu staraniu. Płacą zwykle od osoby od 7 do 8 sz. (14 do 16 złp.) na tydzień. Spekulacye podobne tak się korzystnemi pokazały, że rywalizujący przedsiebiorcy zniżali cenę do 6 szylingów. To też komisya znalazła tu co najboleśniejsze przykłady nieczułości ludzkiéj. W zdaniu sprawy o szpitalu w Haverfordwest znajduję następujący opis: „Pokoje ciasne, prawie bez światła i cały wewnątrz budynek w najgorszym stanie. W izbie kobiet nie znaleźliśmy ani siedzeń, ani stołu, ani sprzętu jakiego, a w izbie mężczyzn tylko jeden stół w pośrodku. Mężczyzni stali, kobiety siedziały na podłodze. Ubiór pacyentów brudny, podarty i niedostateczny. Jedna z kobiet zdjęła przy nas trzewiki i pończochy, które się zaraz w kawałki rozleciały. W całym szpitalu nie było bielizny dla zmiany, czy na łóżka, czy do ubioru. Chorych naliczyliśmy 18, a tylko 16 łóżek. Jeden chłopiec 19letni sypiał na słomie w ciemnéj celi na kamiennéj podłodze, krnąbrnych za ręce i nogi łańcuchami przykuwano. W czarnéj ciupce komisarze znaleźli nagą kobietę w łańcuchach. Smród tak był okropny, że wejść nie

śmieli.“ Dość na tym jednym przykładzie. Inne opisy są jeszcze bardziéj przerażające. Natura wzdryga się na samo przypuszczenie. W naszym języku nie ma nawet tego cynizmu, z jakim Anglicy najsromotniejsze plugastwa opisują.

Podobny stan rzeczy głośno wołał o poprawę. Lord Ashley zajął się tym przedmiotem ze zwykłą sobie gorliwością i jak już wspomniałem, zrobił za przyzwoleniem rządu wniosek do nowéj ustawy. Mocą jéj nakazaném naprzód zostanie, aby każde hrabstwo, czy to z osobna, czy kiedy mniejsze, dwa lub trzy w połączeniu, miały swój szpital dla obłąkanych. Wydatek na to z razu będzie dość znaczny, lecz nie tak wielki, jakby z dotychczasowych planów sądzić wypadało. Najtańszy szpital dotąd wystawiony, to jest szpital w Wakefield, kosztował 111 funtów na głowę. W Gloucester zaś pierwotny wydatek, na sam budynek tylko, wyniósł 337 funtów od osoby. Tym sposobem w przecięciu wypada 170 funtów od osoby, lubo w największéj liczbie przykładów 200 funtów za miarę kosztu przyjąć należy; gdy tymczasem w domach roboczych pierwotny koszt budowy i urządzenia zaledwo 40 funtów od osoby wynosi. Odstręczającą tę okoliczność, a pomnieć trzeba, że o wydatek najczęściéj najlepsze rozbijają się zamiary, lord Ashley łagodzi zapewnieniem, że podług nowego i jednostajnego planu 80 funtów od osoby będzie dostateczną miarą wydatku, że zatém jeźli liczba obłąkanych ubogich dotąd bez miejsca przyzwoitego ku schronieniu lub kuracyi jest 12,500, to cały wydatek wyniesie zaledwie milion funtów szterlingów; mówię *zaledwie*, bo ścisły rachunek, w którego szczegóły zbyteczném byłoby tu wchodzić, zmniejsza tę summę do 813,750 funtów. Różnica między starym a nowym planem jest ta, że dawniéj stawiano budynki, jak gdyby wszyscy chorzy jednakowego starania i jednakowych środków bezpieczeństwa wymagali. Teraz zaś, i to jest drugim ważnym artykułem nowéj ustawy, każda budowa ma mieć dwa wielkie oddziały: dla chronicznie chorych, i dla tych, którzy mogą być wyleczonemi. Jasną jest rzeczą, że ostatni wymagają daleko większéj troskliwości i kosztu, bo i doktorzy ciągle ich doglądać muszą i dla uleczenia ich trzeba mieć często kosztowne urządzenia

jako to: ogrody, miejsca i narzędzia do gimnastyki, do zabaw etc. Trzecim, a może najzbawienniejszym środkiem do ulepszeń i zapobieżenia nadużyciom jest ustanowienie komisyi stałéj, złożonéj z 6 członków, któréj obowiązkiem będzie wszystkie zakłady po kraju ciągle objeżdżać i dozierać. Każdy z członków dostanie f. 1,400 czyli 63,000 złtp. rocznéj pensyi, a ztąd znać, że komisya składać się ma z ludzi znakomitych położeniem i talentem. Będzie ona pilnować wszelkich szczegółów, jadła, ubioru, obchodzenia się z choremi; będzie przeglądać księgi, gdzie codzień stan obłąkanego w kuracyi zapisywać się powinien, gdzie wspomnioną zostanie najmniejsza zmiana w traktowaniu, przyczyny kar lub byle jakiego obostrzenia; ma nareszcie sądzić o przyjmowaniu lub wypuszczeniu chorych po wyleczeniu. Z drugiéj strony lord kanclerz będzie miał sobie zostawioną wolność wyznaczania komisyi do rozpoznawania stanu obłąkanych, którzy majątkiem do jego jurysdykcyi należą, ile razy i kiedy mu się tylko podoba. Żaden więc dom czy publiczny, czy prywatny, czy tysiące, czy jednego tylko obłąkanego mieszczący, nie zdoła się usunąć od nadzoru, chyba że całkiem ukryje pacyenta. Czwartą wreszcie i niezmiernie dobroczynną zmianą jest zastrzeżenie, iż skoro tylko chory dostanie zaświadczenie od upoważnionych doktorów, że ma pomięszanie zmysłów, natychmiast będzie miał prawo wejść do szpitalu i znaleść tam najtroskliwsze starania i leki. Stwierdzone licznemi wypadkami doświadczenie uczy, iż nieodzownym warunkiem wyleczenia jest pośpiech, aby zaraz w początkach schwycić chorobę, i nie pozwolić jéj dalszego postępu. Tym sposobem na sto osób 70 do 90 uratować można. Dr. Brigham twierdzi z doświadczenia swego w Ameryce, że stosunek wyleczonych na razie jest jak 9 do 10. Lecz jeśli choroba puszczoną zostanie w zaniedbanie, to ledwie 6 na sto powrócić można do zdrowia. Jakże dotąd w Anglii się działo? Oto dla braku miejsca odsyłano ubogich od progu szpitalnego. Kazano im czekać, aż na nich koléj przyjdzie. Tymczasem obłąkanie zwiększało się i choroba z mogącéj być uleczoną w chroniczną przechodziła. Weźmy kilka przykładów. W najgłówniejszym szpitalu hrabstwa Middlessex,

w Hanwell było w marcu 1844 r. 984 obłąkanych, z których 30 tylko uznano za sposobnych do uleczenia, gdy tymczasem 429 chorych czekało aż na nich koléj nadejdzie. W Lancaster jest 600 chorych, z których 546 jest usuniętych od podobieństwa powrotu do zdrowia, a przeszło 500 czeka na wejście. W hrabstwie Surrey, szpital otworzony w 1841 mieści 382 osób, z których 362 chronicznych, a czekających 591. Teraz zobaczmy, jak się dzieje w szpitalach na lepszéj podstawie urządzonych. W hrabstwie Dorset wypuszczono w 1845, 23 uleczonych; z tych 17 było świeżych waryatów. Na 16, którzy w pierwszych trzech miesiącach choroby weszli do szpitalu, 13 w kilka tygodni wyleczono. W szpitalu św. Łukasza, gdzie nie przyjmują zadawnionych, stosunek wyleczonych był w 1842, 70¼ na sto. Dostateczne już są te przykłady, ale przedmiot obejrzmy jeszcze z innéj strony, żeby się przekonać, jak wcześne zaradzenie nie tylko zbawia obłąkanych, ale i koszt zmniejsza. Hanwell znowu posłuży mi za przykład. Wyrachowano, że co rok 94 do nieuleczonych przybywa, z tych każdy mógłby był zostać uratowanym, gdyby się był dostał do szpitalu w pierwszych 6 miesiącach. Biorąc koszt roczny na 20, a długość życia obłąkanego na 10 lat, pokaże się, iż to, co wymagałoby z początku wydatku na 1591½ funtów, późniéj przez zaniedbanie kosztować musi 31,830. Samo więc hrabstwo Middlessex, gdyby mogło obłąkanym biedz od razu w pomoc, oszczędzałoby do f. 30,000 rocznie. Summa ta składana przez 10 lat pokryłaby z góry koszt budynku zdolnego objąć całą liczbę obłąkanych. I ubocznych korzyści wiele z tego wypłynęłoby. Naprzykład: ojciec ubogiéj a licznéj rodziny dostaje pomięszania zmysłów. Jeśli go nie uleczą, to rodzina idzie z torbami i w końcu spada jéj utrzymanie na koszt parafii. Zgoła wszystko przemawia za jak najspieszniejszém wprowadzeniem w życie tych dobroczynnych zamiarów.

Te są główne punkta bilu wniesionego przez lorda Ashley. O pomniejszych zmilczam bo te dla cudzoziemców nie wielkiéj są wagi. Wspomnieć jednak wypada, że tak nazwani kryminalni waryaci mają być w jednym osobnym szpitalu zebrani i to pod wyłączną regułą. W roku 1843 liczba ich wyno-

siła 257. Są to tacy, którzy popełniwszy zbrodnię uwolnieni zostali od kary pod pretekstem obłąkania zmysłów. Takim sposobem uchowali się od szubienicy ci złoczyńcy, którzy do królowéj Wiktoryi strzelali, i ten, który przed dwoma laty zabił sekretarza przy Sir Robercie Peel. W ogólności jest w jury angielskiém wielka niechęć skazywania na śmierć, i byle się znalazł pozór jaki, dopuszczenie się zbrodni utracie zmysłów przypisują. Większa téż część podobnych winowajców w zupełném zdrowiu pędzi resztę życia po domach waryatów, bo w przypadku uniewinnienia na téj zasadzie, prawo mieć chce aby zbrodniarz do śmierci uważany był za obłąkanego i jako taki pokutował w szpitalu. Dotąd osadzano ich z innemi bez różnicy po rozmaitych szpitalach, a że klasa ta wymaga większéj baczności i surowości, obostrzano urządzenia i ztąd niewinni cierpieli za winowajców. Prócz tego nie wszyscy z prawdziwie chorych na umyśle są do tego stopnia pozbawieni rozumu i uczucia, aby mogli patrzeć obojętnie na poniżenie i niesprawiedliwość z przymuszonego skojarzenia i porównania ze zbrodniarzami.

Kiedy tym trybem mozolnie, lecz nie bez korzyści, statyści angielscy krzątają się około ulepszenia stanu téj nieszczęśliwéj klasy, lekarze nie dają się im wyprzedzić, i nie ma choroby umysłowéj, nie ma jéj drobnego odcienia, któregoby na wszystkie nie obejrzano strony. Dzieł medycznych w tym wydziale ani zrachować. Sir Aleksander Morison wydał obszerną księgę, w któréj dokładnie rozklasyfikował wszelkie pojawy i na objaśnienie porytował twarze osób cierpiących. Niebawem nauka ta obszerniejsze i wyższe zajęła stanowisko. Barlow ułożył rady, wedle których człowiek sam własną siłą może się od obłąkania uchronić, a co więcéj, gdy ta klęska padnie na niego, miarkować się, a nawet i zupełnie uzdrowić. Spoczywa to na podstawie dwoistości mózgu ludzkiego. Jedna połowa (hemisfera podług anatomii) popsuć się może, jak jedno oko albo jedno ucho, ale druga pozostaje dla zastąpienia i dla kontrolowania pierwszéj. Dr. Wigan poszedł jeszcze daléj, a tym sposobem, jak łatwo odgadnąć, znowu wyszła na scenę teorya dualizmu duszy. Nie chcę zaczepiać téj kwestyi, bo zbyt

drażliwa, a nawet niebezpieczna. Trzeba wielkiego spokoju i silnéj organizacyi, by ciąć bezpiecznie po żywotnym mózgu. Nie każdy może podobne dzieła bez gorączki czytać. Ignem gladio ne scalpas, ognia mieczem nie poruszaj, powiedział mędrzec starożytny. Uprzywilejowanym jednak do podobnych posług ludzkości najusilniéj polecam powyższe dzieła jako skazówki na gościncu do nowych odkryć.

Domy pracy.

Szkoły ubogich, Szpitale, Towarzystwa dobroczynności.

(1845.)

Urządzenie domów pracy (workhouses) ściśle się wiąże z całą kwestyą pauperizmu w Anglii. Przyjętém było, a zamienioném w prawo za Elźbiety, że każda parafia powinna swych ubogich utrzymywać. Nie było więc ubogiego, któryby gdzieś nie miał legalnego schronienia. Żeby fałszowi, nieprzezorności, lenistwu nie dawać zachęty, pobudowano domy, w których zamykano ubogich i zadawano im pracę. Z czasem wkradły się rozmaite odmiany i zwolnienia. Jeźli małżeństwo było z rozmaitych parafii, nie rozdzielano męża od żony. Temu, co nie mógł wydołać, a jednak mógł coś zarobić na utrzymanie rodziny, dawano pomoc na zewnątrz, to jest nie zamykano go w domu pracy. Takowa pomoc oczewiście wzrastała z liczbą dzieci. Ztąd pełno nadużyć. Liczba żądających wsparcia na zewnątrz powiększała się w coraz gwałtowniejszym stosunku. Żonatemu więcéj udzielano; również otrzymywał on parę szylingów więcéj na tydzień za każdém pomnożeniem się rodziny, ztąd pochop do wczesnych i nierozsądnych małżeństw, a co gorzéj do nieślubnych stadeł. Parafie téż nie umiały się dobrze rządzić, brnęły w długi, do wyboru komitetów opiekuńczych mięszały zawiści polityczne. Złe doszło do najwyższego stopnia po 1815 r. Pokazało się, że na utrzymanie ubogich Anglia wydawała rocznie do 16 milionów f. s. to jest summę równającą się trzeciéj części całego budżetu

trzech połączonych królestw. Ministeryum lorda Greya uczuło potrzebę nowego prawa. Lord Brougham czynnie się zajął jéj zaprowadzeniem. W skutku nowéj ustawy rząd wyznaczył komisyę ogólną, któréj obowiązkiem jest zaprowadzić wszędzie jednakowe urządzenia. Obalono zupełnie pomoc na zewnątrz. Ścieśniono regulamin w domach pracy. Już mąż żonę, dziecię rodziców opuszczać musiało, jeźli z innych byli parafii. Wiele ztąd poszło oszczędności gdyż koszta o połowę się zmniejszyły, aleć z drugiéj strony miasto ulżyć, przyłożono ciężaru już i tak smutnemu położeniu ubogich. Przykłady zbytniego rygoru coraz są liczniejsze. Podupadli na majątku wolą z głodu umierać, niż się rozłączać z rodziną i poddawać regule mało co łagodniejszéj od urządzeń w kryminałach. Przekonano się, że dzisiaj chorzy daleko mniéj staranności, a zdrowi mniéj pokarmu otrzymują. Dom pracy w Andover dostarczył bardzo bolesnego w tym względzie doświadczenia, bo odkryto, że w nim ubodzy osadzeni zbierali kości zdechłych zwierząt, a nawet i trupów, dla wywarzania z nich tłustości do jadła. Wiele zapewnie jest przesady w oskarżeniach, które posuwają w obieg nieprzyjaciele ostatniéj ustawy. Wstręt powszechny przeciw wszelkiéj centralizacyi i pośrednictwu rządowemu przychodzi im w pomoc. Żadne nadużycie nie uchodzi ich baczności. Najżarliwszym z nich jest pan Walter, czynny oponent, kiedy nowy bil przez parlament przechodził, a dziś czynniejszy jeszcze zapaśnik w kolumnach dziennika Times, którego jest najznakomitszym akcyonaryuszem. Oni to nazwali trzech rządowych pełnomocników baszami, a domy pracy bastyliami. Wszakże zaprzeczyć nie można, że dziś w ostatnich wielki ład, sforność i czystość panuje. Na miejscu starych budowli wznoszą się nowe wedle najpóźniejszych odkryć sanitarnych. Starzy oddzieleni są od młodych, chorzy mają osobne mieszkania, obłąkanych przeniesiono do wyłącznych zakładów, lekarze do surowszéj odpowiedzialności powoływani bywają, apteki lepiéj urządzone, ogrody przydane, a praca sprawiedliwiéj i umiejętniéj rozłożona. Dawniéj nie było użytku z pracy bo parafie nie mogły się najczęściéj zgodzić, na co zarobek obrócić, chodziło im o to tylko, aby ubodzy nie próżnowali,

i tak używano ich do kopania dołów, które późniéj napowrót zasypywać musieli. Dziś już nikt nie pracuje bez korzyści. Zmiany nastąpić muszą i już wiele ich od 1834 roku wprowadzono. Ktoś słusznie poniekąd nowe prawo nazwał *experimentum crucis*. Próba już obecnie w najsurowszéj swéj części dokonana. Jak przedtém głos publiczny wołał, że zanadto się dobrze dzieje ubogim, którzy nie chcą na siebie pracować, a zdają się na opatrzność i na ucieczkę w ostateczności do opieki parafialnéj, tak teraz znowu ujmuje się on za niemi przeciw rządowym ustawom. Wszelkie więc odtąd zmiany nie mogą pójść jeno w kierunku łagodności i miłosierdzia.

Ktoby za jednym rzutem oka chciał powziąść wyobrażenie o porządku, czystości, przezorności i wygodach angielskich, to nigdzie tak uderzającego przykładu nie znajdzie, jak w szpitalach. Wszystkie miasta współubiegają się o pierwszeństwo w tym zawodzie. Nie ma choroby, nie ma ułomności, któraby w Londynie osobnego schronienia nie znajdowała. Najsłynniejsi lekarze poczynają w szpitalach zarabiać na wziętość. Okazałe to są budowy. W najpiękniejszéj części stolicy, wśród parków, którędy cały modny świat przejeżdża, obok pałacu królewskiego, a naprzeciw domu wystawionego Wellingtonowi przez wdzięczność narodową, góruje szpital św. Jerzego, z wygodą dla chorych wszelkiego stanu. Powiedziano, że Wezuwiusz, stojący u bram Neapolu, jest ciągłą przestrogą i groźbą gniewu bożego dla miasta szalejącego w uciechach. Szpital św. Jerzego w Londynie niemniéj głęboką głosi naukę tłumom, które, goniąc za sławą lub bogactwem, pod jego cieniem się przesuwają. Zakłady te utrzymują się to z dawnych zapisów, to ze skarbu miejskiego, to ze składek prywatnych. Każdy składający ma prawo polecać chorych do przyjęcia. Oprócz rocznych stałych darów są jeszcze nadzwyczajne, które pochodzą z balów, z obiadów, a najzwykléj ze sprzedaży fantów, wyszłych z pod pędzla, z pod szydełka, lub igły dam znakomitych.

Wiadomo jest, że na wychowanie publiczne rząd nic nie daje i nie wpływa. Nie ma nawet ministra oświecenia. Wprawdzie ministerium lorda Melbourna, może przez wstyd przed

Europą, pokusiło się o wprowadzenie rządowéj nad szkołami opieki i zaproponowało izbie wydatek 30,000 f. sz. na wychowanie nauczycieli do szkółek dla ludu. Lecz parlament, który bez wahania się wtedy wotował 50,000 f. s. na nową stajnię dla królowéj, z trudnością przystał na daleko mniejszą summę dla oświaty narodowéj. Skądże ta niedbałość dla niéj w tak wielkim i bogatym kraju? Oto podzieleni na tak mnogie sekty, ciągle walczące z sobą, zazdrosne jedna drugiéj, gorzéj ognia obawiają się wszelkiéj styczności, wszelkiego ogólnego kierownictwa, by przypadkiem któréj nie nadano większéj ważności, a oprócz tego urzędowy kościół nie chce na nic zezwolić, coby uznanie innych wyznań za sobą pociągnęło. Z téj to przyczyny Sir Robert Peel znalazł w zeszłym roku tak wielkie przeszkody w przeprowadzeniu uchwały na rzecz instytutów irlandzkich, lubo w tym razie już nie chodziło o sekty protestanckie, ale o katolików w katolickim kraju. Lecz jeżeli w Anglii rządowych zakładów nie ma, to za to prywatnych jest co niemiara. Po wsiach i miasteczkach niedzielne szkółki, na sposób Pestalozzego lub Lankastra, prawie wszędzie napotkać można. W Irlandyi rząd zaprowadził narodowe szkółki, gdzie płacąc pensa (5 groszy) na tydzień, dziecię nauczyć się może czytać, pisać i rachować. Atoli Irlandya jest wyjątkiem od ogólnego systematu. W Anglii, każda sekta, każde rzemiosło, stara się mieć osobną składkową szkołę dla swych ubogich. W Londynie taka jest ich mnogość, i tak odmienne każda ma ubranie, iż opowiadają o jakimś oryginale, który zwarjował, chcąc się nauczyć jak je rozpoznać. Niektóre są bardzo zamożne z dawnych zapisów, a wychowanie w nich dawane do najstarowniejszych liczyć się może. Z Christ Church najznakomitsi wychodzą ludzie. Jest pewna liczba patronów, którzy od przodków posiadają prawo nominacyi. Skoro więc tylko otworzy się miejsce, kandydatów jest pełno, bo uzyskawszy prezentacyę od patrona dziecię odbiera całe wychowanie bez kosztu. W Birmingham założona szkoła przez Edwarda VI. który na cały fundusz dał jéj morgę gruntu, dziś posiada wielkie bogactwa, bo na téj piędzi ziemi wzniosła się późniéj najpiękniejsza

część miasta. W Edymburgu zakład przez Heriota ufundowany ma europejską sławę. W nowo ustanawianych, składkujący wotują na kandydatów. Już nie jedno dziecię polskie tym sposobem otrzymuje wychowanie. Dodać w téj mierze należy, że w ostatnich czasach odkryto dawną fundacyę na dwóch Polaków przy uniwersytecie w Glasgowie.

Same tytuły pokażą cel i rozmaitość innych towarzystw dobroczynnych. Dla wyrobników są kassy oszczędności, są lombardy bardzo małym procentem obchodzące się. Są wreszcie magazyny, w których ten co składa tygodniowo drobną jaką kwotę, może w końcu dostać ubiór, opał, lub narzędzia rzemieślnicze. Jerzemu Birkbeck, który przyłożył się więcéj niż którykolwiek z nowoczesnych filantropów do moralnego podniesienia stanów niższych, należy się założenie po kraju instytutów naukowych dla dorosłych wyrobników, Mechanics Institutions, gdzie za małą opłatą znużony robotnik całodziennym znojem znajduje odpocznienie i naukę w dziennikach, w bibliotece, w gabinetach bogatych w narzędzia i modele najnowszych wynalazków, gdzie przytém ma sposobność poznać się z ludźmi wyższego stanu i ukształcenia, którzy przychodzą oświecać go i w umiejętnościach i w potocznych życia obowiązkach. W obecnéj chwili tworzy się w Londynie towarzystwo do założenia kąpieli i pralni dla ubogich. Inne zamyśla budować dla nich domy wspólnie ogrzewane, oświecane gazem i podostatek wody mające. Są już miejsca, gdzie zupę rozdają, są opalane sale, które w zimie stają się przytułkiem dla niemających gdzie głowy złożyć. Cel i czynności towarzystw opiekujących się zwierzętami, dawno już zwróciły europejską uwagę. Taka to koléj ludzka: imie Martina jest znane więcéj niż Howarda. Nadto, większe miasta posiadają towarzystwa do ratowania osób i sprzętów w czasie pożaru, inne utrzymują pachołków pancernych, wprawdzie pancerze powietrzem wydęte, którzy strzegą stawów i rzek, osobliwie gdy przyjdzie czas na ślizgawkę, i tonącym rychłą pomoc dają. Inne znowu zbierają składki dla utworzenia ogrodów w miastach rękodzielniczych. W końcu, człowiek osadzony za małe długi, ma swoich opiekunów, którzy go wykupią; młody winowajca,

upamiętany Rinaldyni, skruszona Magdalena ma swoich, którzy ich poprawią i dadzą uczciwy sposób do zarobku; stara guwernantka i niemowlę podrzutek znajdzie na swe przyjęcie przygotowane domostwa; wychodzącemu ze szpitalu pokażą drogę do tak zwanych Sanatoriow; cudzoziemiec w potrzebie idzie do towarzystwa, na którego czele stoi królowa Adelaida; podupadły literat udaje się do bióra, gdzie mu w cichości z wszelką przyzwoitością podają ratunek; nawet biedny Sabaudczyk, który przywędrował z małpką, a ogorzała Niemka, co z miotełką przyszła, mają towarzystwa opiekuńcze, które je nauczą, oporządzą i do ojczyzny odeślą. W ostatnich czasach przybyła jeszcze muzyka dla ludu. Jestto myśl ojca Mathew, który formowaniem orkiestr popularnych, chorów, to znowu zaprowadzeniem wspólnego czytania, wspólnych biblioteczek, równie jak wszelkich zabaw wiejskich, odwodzi lud od schadzek na kłótnie i pijatykę.

Niech mi będzie wolno na zakończenie poszukać ogólnéj cechy miłosierdzia i dobrych uczynków w Anglii. Nie ma kraju, któryby łożył tyle na wspomaganie bliźnich, lecz razem nie ma kraju, gdzieby szczodrobliwość tak mało zasługi datkującemu, a tak mało korzyści udarowanemu przynosiła. Jest ona najczęściéj paradą, rachunkiem, przymusem. Brak jéj giętkości, swobody, rumieńca, brak porywczości, co się z nagłego pochopu, z nieograniczonego uczucia rodzi. Wszystko płynie jakby z prawnego nakazu, z nieodmiennéj reguły. Liczne druki, gazety ogłaszają składki na wyścigi. Im kto więcéj dał, tém téż wyżéj na liście stoi. Jałmużna rzadko po cichu z rąk do rąk przechodzi. Nie byłoby tak wielkich darów, gdyby nie było myśli: a co sąsiedzi powiedzą. Równy mnie, albo ten którego chcę aby za równego mnie uważano, dał tyle, a więc i ja dać mniéj nie mogę. To znowu jest jakiś wstręt przeciw ubóstwu, jest zaufanie w prawach, że one mają zawsze dla niego ratunek. Niebuhr powiedział: w Anglii zbrodnią jest nie być bogatym, a tylko ten otrzymuje przebaczenie, kto stara się nim zostać. Do przeświadczenia, że każdy ma gdzieś legalne wsparcie, łączy się podejrzliwość i obawa, by przypadkiem nie wspomódz niezasługującego.

Jest przysłowie, że lepiéj dziewięciu winnym przepuścić niż jednego niewinnego potępić. Anglicy w dobroczynności najczęściéj temu na wywrót idą. Zda się jakby mniemali, że lepiéj jest dziewięciu prawdziwych ubogich odegnać, niż jednemu niezasługującemu dać się wywieść w pole. Nie dziw, że przy téj nieugiętości i wymaganiu, aby wszystko prawną szło koleją, osoby składkujące muszą się spuszczać na pośredników. Ci i na datkujących i na ubogich zyskują. Niemal téż wszystkie dobroczynne zakłady pochodzą z projektowania tych, którzy przez to na całe życie zapewniają sobie miejsce sekretarzów, podskarbich, dozorców. Niech tylko który na nową myśl natrafi, zaraz biegnie szukać bogatych patronów, a i tych często zmyśliwszy, albo kłamliwie położywszy ich imiona z wysokiemi składkami tylko na przyłowienie innych, idzie między znanych filantropów po datki. Ztąd po części takie rozgatunkowanie zakładów dobroczynnych; więcéj formuł i wystawności miłosierdzia niż istoty. Śmieją się podróżni Anglicy z wielkich dam w Rzymie, które chodzą po ulicy żebrać dla ubogich, albo z tych, którzy pielgrzymom przybyłym na wielkanoc nogi obmywają. Gdyby chcieli zrozumieć tę wzniosłą naukę wiary naszéj, że wszelka jałmużna, wszelki uczynek miłosierny winien tyle datkującemu co obdarzonemu dobrego uczynić, toby pojęli, że trzeba koniecznie wprost z ubóstwem się stykać, unikać rozgłosu, a dawać wszystkim z ufnością i miłością, bo św. Augustyn powiedział: Date omnibus, ne cui non dederitis ipse sit Christus.

Prawa zbożowe.

(1846.)

Skoro drobne zatargi i chwilowe niezgody pominiemy, to w dzisiejszych stosunkach narodów, na drodze postępu będących, najwydatniejszą pono cechą okaże się dążność do coraz bliższéj spółki w wygodach i darach danych im przez Opatrzność. Jest to konieczne następstwo długiego pokoju po ciężkich a krwawych wojnach. Co oręż w jednéj chwili starga i rozetnie, to pod godłem i osłoną rószczki oliwnéj cicha a mozolna praca spokojnego przemysłu zasnuć znowu usiłuje. Jakoż dziś traktaty handlowe zastąpiły świetność i usunęły potrzebę zaczepnych i odpornych przymierzów. Jedne po drugich padają ostrokoły, zasypują się rowy, kopce graniczne zarastają, a podejrzliwa i przekorna urzędowa czujność ustępuje przed powagą rozumu i bezpieczeństwa publicznego. Niepodobna zaiste jest przystać na zdanie tych bezwzględnych przyjaciół pokoju, którzy twierdzą, że wkrótce już orężnych rozpraw nie będzie, że gaz, para, koleje żelazne, elektryczne telegrafy, połączą wszystkie narody jednym trwałym węzłem braterstwa i zgody. Wątpić się jednak nie godzi, że jak tylko dziś istniejące państwa zrzekną się egoistycznéj zasady: wszystko w sobie i dla siebie; skoro tylko wyzwolą się z przymusów i z odrębności, które im dotąd swobodnie jednemu przy drugiém siedzieć nie pozwalały, to wnet wyprostują się ich stosunki polityczne, a skrępowane narodowości wystąpią znowu w całości obrębów i w pełni celów, jakie każdéj z osobna

Opatrzność nakreśliła. Kiedy więc ludzie głębokiéj, a daleko przewidującéj myśli, poeci, filozofowie, statyści, oznaczają granice i powołania tych niepożytych narodowości; niechże część chwały spadnie i na tych, którzy przyjmując podziały i skupienia istniejącego porządku, ogładzają je z odrębności, nadają im coraz większą elastyczność, a przez zaprowadzanie u dołu, w zakresie materyalnych interesów, coraz wzajemniejszych i łatwiejszych związków społecznego między ludami pożycia, przygotowują w górze pojednanie się ich ducha i zwycięztwo prawa Bożego.

Każdy z przedniejszych krajów w Europie miał chętnych i wytrwałych pracowników w tym zawodzie. Każdy téż już znakomite poczynił ustąpienia. Który dotąd żadnych nie zrobił i coraz twardziéj murem się chińskim opasuje, to téż zostaje i zostać musi pośledniejszym we wszystkiem co żywotność i ważność polityczną stanowi. Prusy najprzód wysoko myśl wolności handlowéj podniosły. Z położenia jednak wypadło im na wstępie w ciaśniejszym zamknąć się obrębie. Zespolenie choćby kilku tylko państw niemieckich w jeden systemat handlowy otwierało im wspaniałe widoki. Zasługę ich w tym względzie wielce zmniejszają zachcianki ambicyi, która chyłkiem pod niewinnemi pozorami pragnęłaby jedność polityczną osięgnąć. Francya doskonale wyrobiła teoryę, lecz podległa ciągłym wstrząśnieniom, pełna nieufności ku sąsiedniéj Anglii, nieśmiałe dotąd stawia kroki. Komuż więc pozostawało wyniesienie téj myśli do najwyższéj sfery i zapisanie jéj w księgę prawa narodów, jeźli nie Anglii, państwu staremu, silnemu, dobrze w sobie skupionemu, mającemu najgłówniejsze i najrozleglejsze stosunki z wszystkiemi stronami świata, a przodkującemu we wszystkiém, co rozwinięcie i bogactwo bytu materyalnego podnosi. Lecz i tu dzieło dokonaném zostało nietyle przez zamiłowanie dobra ludzkości, ani téż przez bystrość którego z ludzi stanu, jak przez nagłość coraz bardziéj przyciskających trudności finansowych. Przy szybko zwiększającéj się ludności, przy mnogości wynalazków zastępujących pracę rąk ludzkich, Anglia potrzebuje coraz obszerniejszego pola dla odbytu wyrobów swoich. Ztąd

konieczność kolonii. Gdy kolonie nie wystarczyły i odpadać poczynały, obrócono całą baczność na Indye Wschodnie. Po Hindostanie pokuszono się o Chiny. Dziś od Kantonu do Alexandryi, od Aden do Nowéj Zelandyi, po wszystkich morzach, wzdłuż wszystkich brzegów, nieustraszeni kupcy i marynarze szperają, macają, gdzieby odkryć i ubezpieczyć nowe dla swego handlu albo zdobycze albo odpływy. Lecz przedewszystkiém wypadało mieć na względzie Europę i Amerykę, w szczególności te państwa, skąd przychodziły surowe dla fabryk materyały, jak bawełna, len, skóry, drzewo, albo téż artykuły do konsumpcyi, jak wino, kawa, cukier, korzenie, a osobliwie zboże, zwłaszcza w razie nieurodzaju lub wojny z którém z mocarstw ościennych. Wierna dawnym zasadom ekonomii politycznéj, Anglia nietylko utrzymywała uciążliwe cło na powyższych artykułach, ale nawet powiększała je w miarę wzrastających potrzeb budżetu narodowego. Znane są dzieje jéj finansów w XVIII wieku, znane zatargi z koloniami, a mianowicie pierwszy powód odłączenia się Ameryki północnéj. Nadeszły wojny z Napoleonem. Handel jej nie ucierpiał, owszem znacznie się ożywił, bo był wyłącznie w jéj ręku. Wojujące państwa na stałym lądzie nie miały ani czasu ani możności myśleć o zakładaniu rękodzieł. Stan ten przetrwał lat kilka aż za epokę pokoju wiedeńskiego. Atoli z biegiem czasu wady przyjętych zasad coraz wyraźniéj objawiać się poczynały. Nietylko silne wstrząśnienie, ale ogólny groził upadek. Obce narody zaczęły porządkować się u siebie i zakładać rękodzielnie. Te, których rolnictwo było wyłączném zatrudnieniem, zubożały nałożeniem przez Anglią w roku 1815 tak wysokiego cła na zboże, że się to równało zupełnemu zakazowi. Nie miały więc już takiéj jak przedtém możności zakupowania towarów angielskich. Rządy téż ich w sprawiedliwéj obronie i odwecie ustanawiały coraz mocniejsze obostrzenia przeciw handlowi Wielkiéj Brytanii. To o czém marzył Napoleon, odosobnienie i wykluczenie jéj ze stosunków handlowych w Europie, powoli lecz bezpiecznie zdawało się dokonywać. Wprawdzie utrwalanie się jéj potęgi w Indyach, zakładanie nowych osad, otworzenie związków z południową Ameryką przez Canninga, mniéj ten

stan dolegliwym jéj czyniły. Lecz grożąca klęska wyraźniéj jeszcze odbijać się poczynała na coraz nędzniejszym stanie niższych klas ludu angielskiego. Wysokie ceny pierwszych artykułów i potrzeb do życia coraz dla mniejszéj liczby przystępnemi ich robiły. Klasa ubogich, i podatki na utrzymanie ich nakładane, powiększały się w stosunku zastraszającym. Wszakże były i inne przyczyny. Nowe wynalazki ograniczyły liczbę robotników. Bil wprowadzony w r. 1819 przez Sir Roberta Peel, na mocy którego papiery przestały być legalną monetą, a złoto na ich miejsce uznaném zostało za jedynie urzędową miarę, utrudnił obieg pieniędzy i stał się przyczyną niezliczonych bankructw w roku 1825. W końcu wstrząśnienia polityczne, które w Anglii najczęściéj idą *pari passu* z finansowemi klęskami, obrot kapitałów wstrzymały i naturalnym rzeczy tokiem wywołały potrzebę przeistoczenia dotąd upornie utrzymywanéj zasady. Pierwszy Huskisson podniósł sztandar z godłem wolności handlu. Odtąd wzięła się szczerze Anglia do zmniejszania ceł i do zawierania traktatów opartych na wzajemnych ustąpieniach. Nie było dworu, do któregoby komisarze angielscy uporczywie w tym względzie niepukali. Umowy handlowe z Francyą stały się od lat kilkunastu nieomylną skazówką mniejszéj lub większéj dwóch dworów zażyłości. Traktat z Turcyą ogłoszony został za najświetniejsze zwycięztwo polityczne, niejako nagroda i wypłata Muzułmanom za klęskę nawaryńską. Z Neapolem o mało co do wojny nieprzyszło o sycylijską siarkę. W Hiszpanii, Espartero postradał dobrze zasłużoną godność, że nie umiał się oprzeć kupieckiéj natarczywości swych albiońskich sprzymierzeńców. Odrabianie to jednak szło z wielkim oporem. Narody przekonane doświadczeniem że się własnym mogą obejść przemysłem, przytém obowiązane opiekować się wznoszącemi się u siebie zakładami, trochę z politycznéj zazdrości, nieraz z obawy następstw wpierania się cudzoziemskiego, nie łatwo i nie szybko nakłaniały się do nowych ugód. Tymczasem ścisły rachunek pokazał, że ile razy w Anglii zmniejszano cło, mianowicie od artykułów pierwszéj potrzeby, tyle razy nagrodzoném to zostało przez zwiększoną konsumpcyę, tak że skarb

zupełnie nie szwankował, a często nawet i znaczny nadmiar pozyskał. To przekonanie uważać można za główny powód do podjęcia całkowitego zniesienia ceł w niedalekiéj przyszłości, bez względu czy inne państwa zaraz wywzajemnią się za to, ale w mocnéj ufności że własny interes, prędzéj czy późniéj, na tę samą naprowadzi ich drogę. Ztąd to ta raptowna reforma, którą Anglia w obecnéj chwili cały świat zadziwiła. Trzeba było począć od najgłówniejszego przedmiotu, dla tego wzięto się najprzód do zboża. Jakož zupełnie wolny dowóz zboża jest kamieniem węgielnym ogólnéj wolności handlu. Zrozumieli to dobrze i przyjaciele i przeciwnicy jéj. Ztąd i szturm tak zacięty i opór tak długi. W innym kraju zwycięztwo byłoby prędzéj szalę przechyliło. W Anglii do głównego przedmiotu przyłączyło się wiele ubocznych względów. Opieka nad rolnictwem stała się przysłowiem. Uświęciło ją prawodawstwo od wieków. Daléj, do ziemi przywiązane są pewne uciążliwości, które nakładano jako odpłatę za szczególną opiekę. Klasa, która na zmianie chwilowo szkodować będzie, to jest arystokracya, posiada największą ważność polityczną. Ostateczne zwiększenie cła zbożowego w roku 1815 było niejako wynagrodzeniem za ofiary w czasie wojny przez nią poczynione. Zresztą wolność handlu stała się hasłem i szczeblem do władzy dla liberalnego stronnictwa. Musiała więc stosunkową obudzić nienawiść w przeciwnym obozie. A co największa, do monopolium zbożowego poprzyczepiały się stopniowo inne przywileje, a tym sposobem tryumf jéj poczęto uważać za zwycięztwo wielu innych wymagalności radykalnych. Nie brak na przykład na głosach, a nawet na sumiennych przekonaniach, że po rolnictwie kościół anglikański stanie się pastwą demokratycznych kramarzów. Wszystkie te jednak względy ustąpić musiały przed wzrastającą nędzą ludu, przed obawą powszechnego głodu, i przed słowem zręcznego ministra, który w jednéj chwili zdołał zrzec się przesądów całego życia, wyznać w pokorze że się mylił, i pomijając zaskarżenia o lekkomyślność i zdradę, stać się dobroczyńcą swego narodu na przekor swemu stronnictwu i wbrew wszelkim rachunkom politycznym.

Następujący rys historyczny i daty statystyczne okażą jakim trybem Anglia nałożywszy cło na zboże postępowała coraz daléj w fałszywym kierunku, jakie miała przestrogi, i jak ta kilkuwiekowa walka wydobyła liczne i niewzruszone dowody, że wszelkie zabiegi i ustawy mądrości ludzkiéj gotują tylko klęski i upadek, skoro stoją w sprzeczności z widoczném prawem bożém. Zapewne Opatrzność przedłużyła tę walkę i na tak wielkie rozciągnęła ją rozmiary, żeby postawić monumentalny przykład narodom i ochronić je od popadnięcia w błąd podobny. Wyraźny już ona dała nakaz braterstwa i wspólnéj pomocy między ludami, nierówno obdzielając je darami swemi i zmieniając płody wedle różnicy ziemi i klimatu. Przykazanie to staje się stokroć jeszcze dobitniejszém w tém kolejném następstwie niedostatku i obfitości chleba powszedniego, które padając niejednostajnie i niejednocześnie na narody, upomina ich bez przestanku, aby jedne drugim wzajemnie niosły poratowanie.

Lord Stanley, w mowie swéj przy drugiém czytaniu bilu zbożowego w izbie wyższéj, powołuje się najprzód na mądrość i doświadczenie przodków, a na świętość tylu wiekami uświęconéj zasady. Jakoż w saméj rzeczy już w XIII wieku są ślady, że ciało prawodawcze wydawało ustanowienia względem przedaży zboża. Było to wtedy zwyczajem naznaczać cenę na wszystkie produkta. Urząd ogłaszał wiele wart korzec pszenicy, tak jak dziś prawie we wszystkich krajach co miesiąc przepisuje piekarzom wagę i wartość chleba. Prawodawstwo uciekało się jeszcze do innych sposobów dla regulowania żywności. Przy złych drogach i niełatwych przesyłkach często się zdarzało, że rolnikowi mieszkającemu na brzegach morza łacniéj i korzystniéj było posłać swe zboże za granicę niż w głąb kraju. Parlament więc nieraz wzbraniał zupełnie wywozu. Że zaś wywóz następował jak łatwo się domyśleć tylko wtedy, gdy za granicą można było wyższe niż w kraju otrzymać ceny, wszelki zakaz wielką był dla sprzedającego niesprawiedliwością. Z drugiéj strony ile razy rząd osądził urodzaj w kraju za dostateczny, tyle razy zamykał swe porty przeciw zbożu cudzoziemskiemu. Znowu niesprawiedliwość dla konsu-

menta, bo dowóz tylko wtedy mógł mieć miejsce, gdy za morzem ceny były mniejsze niż w Anglii.

Oczewiście te i tym podobne obostrzenia, zwłaszcza przy niedoskonałym i leniwym mechanizmie rządowym, musiały się najczęściéj bezskutecznemi okazywać. Ujęto się więc innego sposobu. Usunąwszy na bok wszelki wzgląd na dowóz i wywóz za granicę, rząd zajął się urządzaniem jarmarków i targów w kraju. Jak teraz tak i wtedy nie brakło na spekulantach. Tych z obu stron oskarżano o ciągnienie nieprawnych zysków i z podatkującego i z konsumenta. Lud, osobliwie w latach nieurodzaju, obwiniał ich, że zakupując zboże i chowając je w magazynach sprawiają drożyznę i dopiero wtedy sprzedają, kiedy ceny dojdą do najwyższego stopnia. Parlament przeto zwrócił uwagę na kupców i zabronił nabywania zboża na spekulacyę. Około środka XVI wieku ukazała się ustawa nakładająca znaczne kary na tych, którzyby śmieli jakąkolwiek żywność kupować na odprzedaż. Robiono tylko wyjątek co do urzędowych brokerów czyli komisantów, a i tym wolno było mieć tylko najwięcéj 10 kwarterów na raz. Sędziowie pokoju mieli rozkaz skrzętnego poszukiwania po swoich obwodach. Gdzie znaleziono jaki magazyn, zaraz wysyłano z niego zboże na targ, czujnie przestrzegając, by sprzedawane było po cenie naznaczonéj. W 1562 r. wyszedł akt parlamentowy, na mocy którego osoby kupujące zboże na sprzedaż, czyli tak zwani *engrossers*, podlegały ciężkim karom na osobie i majątku. Kto naprzykład przekroczył to rozporządzenie po raz trzeci, stawiany był pod pręgierzem, utracał cały osobisty majątek, i odsiadywał w więzieniu, aż go król nie ułaskawił, co się nazywało *during the king's pleasure*. Sama srogość kary pokazuje jak trudném być musiało zaradzenie przestępstwu i wyszukanie winnych. Nawet gospodarzom zakazano kupować zboża na zasiew, chyba tylko w razie jeźli w tymże samym czasie równą ilość sprzedali. Używanie więc kapitału na kupowanie towaru gdzie był najtańszym, a sprzedawanie gdzie był najdroższym, co stanowi dziś jedną z pierwszych zasad ekonomii politycznéj, policzone było do rzędu zbrodni, a ci którzy śmieli swoim kapitałom taki dawać obrot nazwani

zostali w jednym z parlamentowych bilów za Elźbiety „ludźmi pragnącymi żyć z drugich bez mozołu i uczciwéj pracy.“

Fałszywa zasada, która stała się najgłówniejszym argumentem protekcjonistów w ostatnich czasach, to jest, że aby ubezpieczyć krajowe rolnictwo i uczynić je korzystném zatrudnieniem, niezbędną jest rzeczą powściągać dowóz płodów z zagranicy, nakładając na nie cło wysokie, pokazała się po raz pierwszy około połowy 17 wieku. Akt parlamentowy z 15 r. panowania Karóla II. kładzie na wstępie za pewnik że „najbezpieczniejszym i najskuteczniejszym środkiem poparcia i rozwinięcia wszelkiego handlu, kunsztu i rzemiosła, jest uczynienie go zyskownym dla tych, którzy nim się zatrudniają.“ Zdanie to nader w teoryi prawdziwe chybia swego celu w zastosowaniu ile razy nie występuje w związku z regułami na straży wszelkiéj zdrowéj praktyki będącemi. Jakoż okazało się zupełnie błędném w rozwinięciu, jakie mu ustawa powyższa nadała, i za jakiem odtąd niezmiennie i uporczywie posiadacze ziemi obstawać się uwzięli. Statut bowiem ten wywodzi następnie wniosek, że aby jałowe grunta, ugory, bagna, żyznemi uczynić, a koszt włożony i pracę rolnikowi nagrodzić, słusznem i niezbędném jest utrzymywać wysokie ceny, a chronić od podkupowania przez obce kraje, w których jest i praca tańszą i rola sama przez się płodniejszą. Za tem poszło, że właściciele ziemscy poczęli coraz bardziéj niewdzięczne wysilać grunta i coraz szaleńsze robić nakłady, w nadziei niewzruszoności cen odpowiednich i stałego bezpieczeństwa przeciw cudzoziemskim podkupniom. Wymownie, za czasów swego oporu przy dawnéj zasadzie, Sir Robert Peel wskazywał, jak pod osłoną téj opieki, lemiesz poorał najniepłodniejsze obszary, jak uprawa umaiła łyse i zarosłe pagórki i jak rolnictwo wdarłszy się aż na najniedostępniejsze szczyty, z tryumfem i swobodą spojrzało na wznoszące się u dołu kwitnące osady i bogate miasta. Nie pomogły jaskrawe i ponętne krasomówstwa obrazy. Na nic się nie zdały nieprzebrane z Wirgilego cytacye. Co rok coraz ogromniejszy kapitał tonął w niewdzięcznych gruntach i w sztucznéj uprawie. Jeźli Anglia piękniejszą dla oka, to gospodarstwo ziemskie coraz ryzykowniej-

szém się stawało. Niedziw, że posiadacze ziemscy truchleli na samą wzmiankę otworzenia portów zbożu cudzoziemskiemu. Bystrzejszym nawet ludziom trzeba było prób wielu nim się im oczy otworzyły. Jedyna téż strata właścicieli ztąd pójdzie, że trzeba będzie przy nieodpowiednich nakładowi cenach, zaniechać kunsztownie uprawianych gruntów. Włożony kapitał, gdzie się dotąd nieopłacił, zostanie niepowrotnie straconym. Obszar uprawnych włości zmniejszy się. Za to nagrodzi byt lepszy ludu w ogólności, a gdyby nie nagrodził, to właściciele mają z czego i powinni zrobić ofiarę. Na niesprawiedliwéj bowiem zasadzie wartość dóbr od czasu pokoju w dwójnasób się powiększyła. Nie może wreście bez szkody odbyć się sprostowanie błędu tak stale i przekornie od dwóch wieków utrzymywanego.

Z innéj strony statut Karola II. poczynił znaczne ulepszenia. Utwierdziwszy co najmocniéj zasadę monopolium gruntowego, zwolnił nieco więzy nałożone na kupujących i sprzedających. Pozwolił spekulantom (engrossers) nabywać pszenicę publicznie na targu, kiedy wartość jéj doszła do 48 szylingów za kwarter, robić składy w śpichrzach, i sprzedawać ale tylko w przeciągu trzech miesięcy po kupnie. Uprawnił również wywóz pszenicy za granicę za opłatą 5 s. 4 d. od kwarteru [1]) ile razy wartość jego nie przechodziła 48 s. w porcie gdzie ładowano zboże na okręt. I od téj to już epoki trzymano się najściśléj wyłącznego opiekuństwa nad krajowém rolnictwem, lubo przez czas długi jeszcze sposoby używane do kierowania i zabezpieczenia onego były zanadto niezręczne i niedostateczne, by cel pożądany dał się choć na pozór osięgnąć. W rzeczywistości nigdy on nie otrzymał zupełnego dokonania.

W roku 1670 zasada protekcyi postąpiła daléj. Nałożono jeszcze mocniejsze obostrzenia na zboże wprowadzane z za granicy. Ustanowiono cło następujące: 16 s. gdy cena kwarteru pszenicy stała na 53 s. 4 d. albo niżéj; 8 s. gdy stała

[1]) Pensy oznaczają się literą *d.* dla tego że dawniéj tak oznaczano denary. Szyling ma 12 pensów, a funt szterling 20 szylingów. Funt szterling odpowiada mniej więcéj 40 złtp., szyling 2 złtp., a 1 penny 5 naszym groszom.

wyżéj, a nie przechodziła 80 s. Daléj cło już zupełnie znikało. Co było najtrudniejszém, to ścisłe obrachowanie ceny w danym czasie i miejscu. Ztąd pełno zawsze było wybiegów i oszukaństwa, które swobodny bieg prawa utrudniały. Około tego czasu nadano zupełną wolność wywozu za granicę.

W 1688 nowa nastała epoka w dziejach handlu zbożowego. Rewolucya powiększyła jeszcze przewagę posiadaczów ziemi. Już nie dość im było na tém, że mieli zupełne monopolium w kraju; pokusili się o coś więcéj, oto pod pozorem silniejszéj jeszcze zachęty dla rolnictwa, postarali się o nagrodę za płody wywożone do obcych krajów. Statut z 1689 r. ustanawia 5 s. bonifikacyi od każdego wyprowadzonego kwarteru przenicy, jeźli wartość jego nie przechodziła 48 s.

Stan ten trwał z małemi przestankami aż do 1760. Od 1697 do 1773 ilość wywiezionych kwarterów wynosiła 30,968,366, za które skarb publiczny zapłacił 6,237,176 funt. szt. W przeciągu następujących po sobie lat pięciu od 1748 do włącznie 1752 w przecięciu wywieziono co rok 653,961 kwarterów, czyli wziąwszy w rachunek ówczesną ludność Anglii, 36-dniowe jéj pożywienie. Nagroda ta, jak wszystkie sztuczne sposoby wpływania na ceny, sprawiła niezmierną niepewność i fluktuacyą:

W 1704 cena była . . . . . . 41 s. 4 d.
1706 · · . . . . . . 23 · 1 ·
1709 · · . . . . . . 69 · 9 ·

Czyli w przeciągu lat trzech różnica ceny doszła do 46 s. 8 d. to jest 200 od %.

Około połowy XVIII wieku znaczne powiększenie się ludności uczyniło niepodobném utrzymanie tak kosztownego nakładu na rzecz właścicieli ziemskich a z krzywdą wszystkich klas innych. W 1756 ogólny nieurodzaj pociągnął za sobą zawieszenie ustawy co do nagrody. W 1766 z tego samego powodu wszelki wywóz został zabroniony. Następnie już co rok jakaś nowa przyczyna nakazywała zawieszenie istniejącego prawa. Skarżyli się rolnicy, skarżyły się wszyskie stany, na niepewność, w jakiéj je utrzymywano. Właściciele ziemscy nie wiedzieli, że gwałtownie powiększająca się ludność nie dozwoli już powrotu do systematu bonifikacyjnego.

W okresie tym zrobiono znakomity postęp w urządzeniach co do częstego i ścisłego obrachowywania cen zbożowych. W 1770 wyszło prawo, aby w każdém hrabstwie najmniéj dwa a najwięcéj sześć miast, wyznaczonych przez sędziego pokoju, co tydzień wykaz cen na targu u siebie otrzymywanych składało urzędnikowi na ten cel postanowionemu, którego znowu obowiązkiem było tygodniowy raport w Gazecie Londyńskiéj umieszczać. Pierwszy z tych ogólnych na całe państwo wykazów wyszedł w Gazecie londyńskiéj z 24 listopada 1770 r. Ważną to uczyniło zmianę. Skutek okazał się najkorzystniejszym. Gospodarze po wszystkich stronach królestwa od razu dowiadywali się o całym ruchu handlu zbożowego. Każdy wiedział gdzie targ najlepszy, czy nakupno, czy na sprzedaż. Arthur Young, najznakomitszy nauczyciel i miłośnik gospodarstwa wiejskiego w owym czasie, tak się wyraża o tym regulaminie: „Za jedném uderzeniem, od razu upadły kłamliwe wieści, które roznoszono o wysokich cenach. Jak długo prawda zostawała w ukryciu przed światem, każdy sobie gadał o cenie, jaka mu była potrzebną lub wygodną dla argumentu. Nikt nigdy z pewnością nie wiedział o cenach i wszystkie zbożowe układy działy się w ciemności, po omacku.“

Rok 1773 uważać można za ostatni tego okresu, w którym żniwa krajowe dostarczały ziarna nad potrzeby ludności. Ludność ta poczęła się teraz powiększać w niesłychanym dotąd stosunku, mianowicie w miastach rękodzielniczych. Przez lat 20 urosła ona 19 na sto. Rolnictwo nie mogło jéj wydołać w postępie. Z tego powodu i akt bonifikacyi często zawieszanym bywał i dowozy z za granicy dozwolone. Okoliczności te spowodowały parlament do wydania nowéj ustawy w roku 1773. Wedle niéj cło zmniejszone zostało do 6 d., ile razy cena kwarteru doszła oo 48 s. i wyżéj, w miejscu gdzie zboże wprowadzone było. Wywóz został wzbronionym, gdy cena stała na 44 s. lub wyżéj. W końcu bonifikacya 5 s. zapewnioną została wtedy, gdy pszenica spadła niżéj 44 s. Był to znakomity postęp ku dobremu, a raczéj cofnięcie się od złego. W ogólności téż byt wszystkich stanów się polepszył. Wpra-

wdzie, właściciele ziemscy, przyzwyczajeni do większych zysków sarkali na tę zmianę. Lecz co stracili w jednym kierunku, to w drugim zyskiwali. Rolnictwo pobudzone potrzebą krajową, zaczęło się brać do większéj staranności, przyswajać sobie nowe wynalazki i coraz bardziéj się rozpościerać. Z gruntów dotąd odłogiem leżących 1,912,000 morgów poszło na uprawę między r. 1760 a 1780, a w okresie lat następnych dziesięciu (od 1780 do 1789) 450,180 nowych morgów użyznionemi zostało. Lecz najlepszym dowodem polepszonego stanu jest stałość cen w tym perjodzie. Widzieliśmy jak one się zmieniały w pierwszéj połowie tego wieku. W niniejszym zaś okresie (to jest od 1773 do 1791) cały odstęp różnicy był między 40 a 57 szylingami. W przecięciu téż cena pszenicy była daleko wyższą, bo wynosiła 47 s. 5 d. wtedy, gdy pod dawną ustawą stała w przecięciu na 35 s. 9 d. Nowy dowód, że im więcéj prawodawstwo folguje handlowi zbożowemu, tém większa jest pewność w stałości cen, na czém najwięcéj i rolnikowi i konsumującemu zależy.

Gdy jednak tym sposobem ceny utrzymywały się na stopniu bardzo bliskim tego, w którym z zagranicy wolnym się stawał, a szybko rosnąca ludność kazała się coraz większéj drożyzny obawiać, właściciele gruntowi poczęli znowu nastawać na parlament o podwyższenie cła wchodowego. Dla zaspokojenia ich nowe uchwalono prawo w 1791. Kiedy pszenica spadła na mniéj niż 50 s. nałożono wysokie cło 24 s. 3 d. Kiedy była od 50 s. do 54 s. to cło wynosiło 2 s. 6 d. Opłata zaś 6 d. przychodziła gdy cena kwarteru podniosła się do 54 s. i wyżéj. Akt ten odwołał zarazem wiele dawnych ustaw utrudniających handel zbożowy. Wprowadził po raz pierwszy wolność składania cudzoziemskiego zboża w magazynach rządowych, co się *in bond* nazywa, a co ma tę dogodność, że cło dopiero się płaci wtedy, gdy się zboże z magazynu wyprowadza. Uprawnił przytem podzielenie już dawniejsze Anglii na 12 a Szkocyi na 4 obwody, z których inspektorowie składali raporta o bieżących cenach.

Ustawa ta przecież nie odpowiedziała nadziejom stanu rolniczego. Ciągłe nieurodzaje bezprzestannie otwierały porty do-

wozowi z za granicy. Kiedy w ciągu lat 10 przed 1791 wprowadzono 3,216,000 kwarterów, w zakresie lat 12, od 1791 do 1803, dowóz z za morza podniósł się aż do 12,500,000 kwarterów, oprócz znacznéj ilości mąki. Poznali właściciele ziemscy, że nie mogą nastarczyć potrzebie krajowéj i że Anglia coraz więcéj zdawać się będzie musiała na cudzoziemców. Padł przytém wielki nieurodzaj w 1800 i w 1801. W r. 1796 i 1800 musiano nawet naznaczyć bonifikacyą za wprowadzane ziarno z obcych krajów. Znacznie podwyższone ceny, chociaż z czasowych powodów wynikłe, sprawiły, że niezmierna część gruntów nader niepłodnych poszła pod uprawę, bez uwagi na koszt i niewdzięczność pracy. Kiedy więc lepsze żniwa nastały, a przez to i ceny znacznie spadły, uprzywilejowana klasa znowu nacisnęła parlament o podwyższenie skali celnéj, stawiając za przyczynę wyłożone koszta na uprawę i drogi najem robotnika, którego praca w kilku ubiegłych latach znacznie w wartości podskoczyła.

Skłonił się parlament do tych żądań w roku 1804 i następującą naznaczył skalę. Kiedy cena była niżéj 63 s. cło miało być 24 s. 3 d.; kiedy doszła do 60 s. a niżéj 66 s., cło było 2 s. 6 d.; od 66 cło spadało na 6 d. Tym sposobem punkt protekcyi podskoczył od 54 s. do 66 s. W 1806 Irlandya przestała być uważaną za kolonię. Jéj plony weszły w zakres narodowych płodów, co nader pomnożyło bogactwo krajowéj produkcyi.

Długa i nieustająca wojna z Francyą, a ztąd nagłe ożywienie handlu i podwyższenie cen w ogólności na wszystkie płody i wyroby, sprawiły że tamy nałożone na handel zbożowy same z siebie upadły. Jakkolwiek bowiem granica protekcyjna' wysoko wyciągniętą została, ceny zbożowe stały jeszcze wyżéj, a zatém dowóz z za granicy nie napotykał żadnéj urzędowéj przeszkody, i handel zbożowy w rzeczywistości był zupełnie wolnym. Troskliwość jednak izb prawodawczych obudzoną została w 1812 przez obrachowanie, że w okresie między 1791 a 1812 rokiem wprowadzono zboża cudzoziemskiego za niesłychaną summę 50,684,000 funtów szterlingów, gdy tymczasem cały wywóz w tym przeciągu czasu wyniósł

zaledwie 9,901,000 funtów szt. Zapytano się siebie: możnaż bez obawy patrzeć na stan ojczyzny, który do tyla czyni ją zależną od pomocy cudzoziemskiéj? Otoż w téj to obawie jakiejkolwiek bądź zależności od cudzoziemców, w tym wstręcie przeciw rozwijaniu się prawa Bożego, leży cała wina Anglii· Stanęła ona nad nią jak przekleństwo, padła jak zmora i zamąciła umysły tak, że naród najczęściéj jasno widzący nie spostrzegł, że w błędzie coraz bardziéj tonie. Zapytajmy się, co rozumiano przez zależność od cudzoziemców? Dla umysłów zgryźliwych, dzikiego, osowiałego patryotyzmu, dla napuszonych deklamatorów, znaczyło to, że Anglia jest tak wielkim narodem, iż wszystko sama tylko dla siebie i przez siebie czynić powinna. Na to nie ma odpowiedzi. Doświadczenie dostarczyło jéj. Dla polityków wojskowych kalibru księcia Wellingtona, którzy każde zadanie poczynają od położenia go na przypadek wojny, kwestya ta przedstawiała się w zagadnieniu, coby się stało z ojczyzną, gdyby wszystkie obce narody podały sobie ręce i przedsięwzięły sprowadzić Anglii upadek przez ogłodzenie. Przypuszczenie najprzód niepodobne, żeby cały świat nową ogłosił krucyatę na pojedyńczy naród. Powtóre, nie tyle bogata Anglia, co ubogie kraje rolnicze w takim przypadku stracićby musiały. W końcu doświadczenie pokazało, że w czasie nawet najzaciętszéj między dwoma narodami wojny znajdują się sposoby zamiany płodów i wyrobów, na których im zbywa. I tak Napoleon wojował Anglię i jéj sprzymierzeńców bronią w Anglii robioną. Anglia znowu w ciągu całéj wojny ciągnęła z Francyi znaczną część dowożonego sobie zboża. W 1810 kiedy walka była najzaciętszą, dowieziono z Francyi 334,887 kwarterów pszenicy, przytém 200,000 cetnarów (angielskich) mąki. W saméj rzeczy byłoby to szaleństwem przypuścić, żeby się mógł znaleść naród jaki, któryby dla przyniesienia mniemanéj szkody przeciwnikowi, sam sobie istotną czynił, chowając bezużytecznie towar, hojnie płacony przez nieprzyjaciela. Czyż nie daleko prędzéj i łacniéj mógłby sobie powiedzieć, że ponieważ pieniądz jest duszą wojny, najpierwszą powinnością jest jak najwięcéj wyciągnąć go z kraju, z którym bój się toczy. Niedziw że wojskowi politycy inaczéj

rozumują. Dla nich kraj jest fortecą, a ludność załogą, którą trzeba zmusić do poddania się. Zostawał wreszcie trzeci oddział polityków. Dla tych zależność od cudzoziemców pokazywała w oddali niebezpieczeństwo grożące uszczerbkiem ich fortunom. Wszelki egoizm lubi i potrzebuje się stroić w pozory ogólnego dobra. Ostatni przeto mówili: lud ziemiański jest miazgą każdego narodu; społeczeństwo winno mu szczególną opiekę; na nic się nie zda ta opieka, jeżeli się nie znajdą sposoby utrzymania ceny zboża na téj stopie, aby się praca rolnikowi wynagradzała; w czasie wojny obce kraje mniéj produkują, dowóz jest utrudniony, obawa przeto jest mniejszą, ale jak pokój nastanie, jak obszerne łany w Niemczech, w Polsce, w Rossyi, znowu swobodnie i obficie zakwitną, jakimże sposobem gospodarz angielski, żyjący w kraju tak drogim, płacący tak wysokie podatki, potrafi wytrzymać konkurencyą z cudzoziemcem, u którego i ziemia nie potrzebuje nakładu i robotnik za bezcen. Nie było to rozumowanie bez trafności. Ścisła tylko a nie przesądna krytyka mogła odkryć całą jego bezzasadność. Pytano się wprawdzie, jakiém prawem wszystkie inne stany, a mianowicie liczniejsza daleko klasa wyrobników na któréj polega istotne bogactwo Anglii, mają pójść na ofiarę i na łaskę klasy rolniczéj. Nikomu jednak nie przyszło na myśl zagadnąć, skąd pewność, że przez zakaz dowozu z zagranicy, ceny zboża utrzymają się w jednéj mierze i odpowiednio wartości pracy i nadziejom rolnika. Być bardzo mogło, że na przypadek nędzy ludu rękodzielniczego konsumpcya zmniejszy się i ceny nagle upadną. Nikt zgoła ani przewidywać, ani na pewno sądzić nie umiał. Co było pewnego i przewidującego, to rachuba interesu własnego bogatych posiadaczy ziemskich. Ci *in petto* tak wnioskowali: za nastaniem pokoju wszystkie ceny się zmniejszą, trzeba naszą własność zasłonić; skoro się w podobieństwie zapewnią wysokie ceny na zboże, wypuścimy dobrze nasze dzierżawy, a późniéj niech się dzieje wola boża. Tak się téż stało. Kiedy wszystko spadać poczęło, dobra nietylko utrzymały się w swojéj wartości, ale znacznie podskoczyły. Uwiedzeni fałszywą nadzieją dzierżawcy, pobrali posessye na lat kilkanaście, często

na lat kilkadziesiąt. Kupcy, którzy się zbogacili w czasie wojny na wyścigi drogo ponabywali majątki. Przyszło ocknienie ze smutném bardzo doświadczeniem, a jak przyszło, to dalszy ciąg robót prawodawczych okaże.

W 1813 izba niższa wyznaczyła komisyą do przygotowania nowego prawa. Sir Henry Parnell, znakomity ekonomista, zasiadł na jéj czele. Długie były jej śledztwa, długie walki w parlamencie, bo dopiero we dwa lata późniéj wnioski jéj otrzymały powagę prawnéj ustawy. Najpierwszém dla niéj zadaniem do rozwiązania było oznaczyć, jaką cenę uważać ma rolnik za dostatecznie wynagradzającą jego koszta i pracę. Po wysłuchaniu świadków ze wszystkich stron królestwa zgodzono się na 80 s. Tę téż zasadę przyjęło prawo z 1815. Postawiło 80 s. dla obcych krajów, a 67 s. dla kolonii, jako liczby graniczne, poniżéj których dowóz wszelki był zupełnie wzbronionym, powyżéj zaś handel całkowicie zostawał wolnym. Tym sposobem punkt protekcyi podskoczył znowu przez lat 10, to jest od 1804 z 66 s. na 80 s. Niemożna zaiste odmówić przynajmniéj wielkiego uproszczenia téj ustawie, która znakomitemi większościami, prawie przez aklamacyą przyjętą została w obu izbach.

Odtąd rolnik angielski począł uważać 80 s. jako pewną i stałą cenę. Na tém przeświadczeniu robiono wszystkie umowy. Nieszczęściem okoliczności przedłużyły nieco omamienie. Żniwa 1816, 1817 i 1818 roku niedopisały. W styczniu 1816 cena pszenicy była 53 s. 1 d. Pod koniec roku podniosła się do 103 s. 11 d., a w styczniu 1817 doszła do 112 s. 7 d. Oczywiście, to pójście cen w górę otworzyło porty. W 1817 i 1818 dowieziono 2,500,000 kwarterów z za granicy. Nie uważano na przyczyny i ogłoszono prawo z r. 1815 za najlepsze, jakie dotąd Anglia posiadała. Tymczasem dla zdrowego sądu, innych trzeba było dowodów. Wysoka cena zboża w czasie ogólnego nieurodzaju, niedostarczała żadnego przekonania. Jakoż w r. 1816, gdy w całéj Europie zboże zawiodło, pszenica stała w Wiedniu na 116 s. w Monachium na 127 s., a kiedy w r. 1817 w Anglii płacono kwarter 112 s., to we Francyi 137 s., w Stutgardzie 138 s., a w Monachium 141 s.

Urodzaj w r. 1819 poprawił się nieco. Cena w przecięciu była 72 s. Takowe następstwo cen wysokich potwierdzało przecież urojeńie rolników. Coraz mocniéj płacono dzierżawy, coraz téż znaczniejsze wykładano koszta na uprawę niewdzięcznych gruntów. Wtém w r. 1820 nadchodzi obfitość. Pszenica zaraz spadła na 54 s. W lipcu 1821 stała na 56, a w sierpniu 1822 poszła na dół aż do 42 s. — co znaczy, że w lat 7 po ustawie, która miała zapewnić rolnikowi stałą odpowiednią nagrodę, cena spadła na połowę téj ścisle oznaczonéj nagrody.

Zatrwożona izba niższa takim stanem rzeczy, wyznaczyła nowy komitet rozpoznawczy w r. 1821. Na czele jego stanął sławny Huskisson. Raport jego tak się kończy:

„Systemat obecny jest niezawodnie podległy nagłym zmianom, które raz zniżają ceny już bardzo niskie i to w stosunku daleko gwałtowniejszym niż gdyby handel zupełnie był wolnym; to znowu pędzą w górę ceny, już nader wysokie, tym sposobem powiększając klęskę w czasie nieurodzaju, a czyniąc upadek cen daleko dolegliwszym w czasie obfitości. Z jednéj strony oszukuje on ziemianina fałszywą nadzieją monopolu, który ciągle przerywając odejmuje mu korzyści z niego płynące, właśnie wtedy, gdy one mu są najpotrzebniejszemi. Z drugiéj znowu strony łudzi naród podobieństwem wolnego handlu tak, że mięsza wszystkie rachuby, osłabia wszelką pewność układów i w produkujących i w kupcach, zamyka przed konsumującym wszystkie dobrodziejstwa wolnego handlu, a ryzyko handlującego z zagranicą w stonasób pomnaża.“

W tych słowach jest pierwsze, blade światło prawdy wschodzącéj na horyzont angielski.

Komitet wziął się z razu do półśrodków. Przedstawiano mu dwa sposoby na zaradzenie złemu. Pierwszy, wypuścić milion funtów w papierach skarbowych i zakupić za to angielskiéj pszenicy na skład do magazynów rządowych; drugi, podobną summę użyć na pożyczki dla właścicieli zboża złożonego w śpichlerzach, a to dla tego aby im pozwolić wstrzymać się z przedażą, nagła bowiem sprzedaż już przy niskich cenach coraz bardziéj je zniżała. Komitet odrzucił pierwszy, ale przyjął drugi środek.

W 1822 raport powyższy, na który naturalnie protekcyoniści złém patrzeli okiem, został odesłany do nowéj komisyi. Czas naglił, trzeba było coś obmyślić. Ricardo proponował stałe cło 10 s. Lord Althorp 20 s. Huskisson wymyślił skaczącą skalę. Najmniéj trafny wniosek, to jest lorda Londonderry, został przyjętym. Zniżył on granicę protekcyi z 80 s. na 70 s. i naznaczył cło 12 s. kiedy cena pszenicy była między 70 a 80, 5 s. gdy stała między 80 a 85., a 1 s. gdy szła daléj w górę. Zarazem jednak umieszczono warunek, że skala ta dopiero wtedy ma wejść w użycie, gdy pod dawném prawem cena wróci do 80 s. To zaś nigdy już nie nastąpiło i prawo martwém pozostało. Nie zdołał nawet lord Londonderry przeprowadzić wniosku co do wyżéj wspomnianéj pożyczki; a tak daléj szedł porządek w r. 1815 ustanowiony.

Tymczasem doświadczenie niezupełnie zostało bez korzyści. Poczęto spostrzegać się w błędzie co do niewdzięcznych gruntów i powoli je opuszczać. Ztąd stan rolników nieco się polepszył w następnych trzech latach. Nieurodzaj jednak w r. 1826 na nowo całą kwestyę poruszył. Ministrowie przymuszeni byli na własną odpowiedzialność otworzyć porty dla żyta, owsa i grochu. W r. 1827 Canning, żądając od parlamentu aby krok ten uprawnił, zapowiedział zarazem nowe prawo. Jakoż wprowadził go zaraz na początku następnego zbioru. Tu wystąpiła owa sztuczna skacząca skala (the sliding scale) któréj następstwem miało być, jak się sam minister wyraził, utrzymanie ceny pszenicy między 55 a 65 s. Wziąwszy w przecięciu 60 s. znowu granica protekcyi spadła o 10 s. od 1823 a o 20 s. od 1815. Bil ten przeszedł w izbie niższéj większością 243 przeciw 78 głosom. Tymczasem ministerium lorda Liverpool rozwiązało się, a protekcyoniści skorzystali z opozycyi zawiązanéj przeciw Canningowi. Gdy się bil ukazał w izbie wyższéj, znalazł takie przeciwieństwo, że Canning, który w tym czasie znacznie upadł na zdrowiu, widział się zmuszonym do cofnięcia go, czasową tylko ustawę na rok jeden przeprowadzając. Wedle niéj, zboże zagraniczne, złożone na składach przed dniem 1 lipca 1827 mogło być sprzedane na konsumpcyę krajową za opłatą 1 s. jeźli cena była 62 s. albo 61 s.; jeźli ni-

żéj, to za każdym spadkiem ceny o 1 s. cło o 2 s. podskakiwało. Jakkolwiek ustawa była tylko czasową, nowa zasada skaczącéj skali tym sposobem otrzymała wziętość i uprawnienie.

Śmierć Canninga przeniosła w inne ręce urzeczywistnienie jego myśli. Prawo z 1828 następującą przyjęło skalę.

Cena pszenicy w przecięciu:			Cło od kwartera:	
73 s.	albo wyżéj	— s.	1 s.	— d.
72 ·	a niżéj	73 ·	2 ·	8 ·
71 ·	·	72 ·	6 ·	8 ·
70 ·	·	71 ·	10 ·	8 ·
69 ·	·	70 ·	13 ·	8 ·
68 ·	·	69 ·	16 ·	8 ·
67 ·	·	68 ·	18 ·	8 ·
66 ·	·	67 ·	20 ·	8 ·
65 ·	·	66 ·	21 ·	8 ·
64 ·	·	65 ·	22 ·	8 ·
63 ·	·	64 ·	23 ·	8 ·
62 ·	·	63 ·	24 ·	8 ·
61 ·	·	62 ·	25 ·	8 ·
60 ·	·	61 ·	26 ·	8 ·
59 ·	·	60 ·	27 ·	8 ·
58 ·	·	59 ·	28 ·	8 ·
57 ·	·	58 ·	29 ·	8 ·
56 ·	·	57 ·	30 ·	8 ·
55 ·	·	56 ·	31 ·	8 ·
54 ·	·	55 ·	32 ·	8 ·
53 ·	·	54 ·	33 ·	8 ·
52 ·	·	53 ·	34 ·	8 ·
51 ·	·	52 ·	35 ·	8 ·
50 ·	·	51 ·	36 ·	8 ·

Niedogodności powyższego, na pozór dowcipnego systematu, oswojone z rachunkiem oko łatwo dostrzeże. Najprzód niebyło nigdy żadnéj pewności dla kupca ładującego zboże w portach cudzoziemskich. Albo podwójnie zyskiwał, albo podwójnie tracił, bo przy podnoszeniu się ceny cło spadało, a biegło w górę

w miarę jéj zmniejszania się. Powtóre handel zbożowy stał się prawdziwą loteryą. I tak, kiedy stała pszenica na 70 s. bogaci kupcy, którzy mieli zapasy zagraniczne na składach rządowych, wstrzymywali się z jéj przedażą, a nawet na targach gwałtownie krajową wykupowali, a to aby podnieść cenę do 71 s. bo wtedy 4 s. na cle zarabiali. Kto zna handlowe wybiegi, to łatwo się domyśli, że kraj często był na łasce tych nowych engrossers. W końcu, w takim klimacie jak angielski, zaledwie przed samemi żniwami o plonach sądzić można. Kilka dni pogodnych wszystko stanowi. Pozory więc najczęściéj zawodzą. Cóż przeto dzieje się na przypadek pomyłki? Oto, jeżeli spodziewany jest urodzaj, ceny spadają, zboże z zagranicy nie przybywa. Wtém żniwo chybia i drożyzna raptownie wzrasta, a niebytność zagranicznego zboża nie dozwala jéj powstrzymać w przyspieszonym biegu. Gdy znowu niedostatek grozi, ceny idą w górę, a ładowane okręty na wyścigi z za morza przybywają. Wtém pokazuje się nadspodziewana obfitość, ceny spadają, kupcy co prędzéj zbywają nawiezione zapasy i większą jeszcze taniość sprawiają. W pierwszym razie konsument, w drugim produktor niesłychanie traci.

Stan ten tyle hazardowny i gorączkowy wpłynął na cały organizm społeczeństwa angielskiego. Prawo z r. 1828 trwało aż do 1842. Coraz jednak liczniejsze i poważniejsze powstawały przeciw niemu głosy. Klasa rękodzielnicza przypisywała brak zarobku i wzrastającą nędzę drogości chleba i gwałtownie zmieniającym się jego cenom. Nielepiéj działo się stanowi robotników rolniczych. Protekcyoniści wymyślili nowy argument, że za wysokiemi cenami zboża, wszystkie ceny się podnoszą, a zatem wszelki wyrobnik większą dostaje płacę. Lecz i temu doświadczenie zaprzeczyło. Tymczasem cena pszenicy, która stała w 1828 na 75 s. spadła w 1836 na 36 s. Parlament znowu się obudził. Izba niższa wyznaczyła komisyę rozpoznawczą. Raport jéj potępił istniejący systemat. Wykazał niepodobieństwo oznaczenia ogólnéj ceny, którąby uważać wypadało za dostatecznie wynagradzającą znój i nakład rolnika, bo ta najprzód zależy od rozmaitéj płodności gruntu, zręczności uprawiającego, a osobliwie wysokości dzierżawnéj

opłaty, jaką się uiszczać właścicielowi obowiązał; powtóre zeznania wiarogodnych świadków dowiodły, że kiedy prawo z 1815 wskazało 80 s. jako *remunerating price*, teraz (to jest w r. 1835) było wiele miejsc w Anglii, gdzie sprzedając po 40 s. pszenicę, rolnik uważał że to czyni z zarobkiem. Okoliczności, które ministerium lorda Melbourne w ciągłém zawieszeniu trzymały, nie dozwoliły mu naruszać istniejącego prawa. Nie całe jednak finansowe zagmatwanie w tych czasach, coraz większym deficytem grożące, przypisywać wyłącznie należy ustawie zbożowéj. Zniesienie 10 milionów niepopularnych podatków, nakład na wojny w Indijach i Chinach, znaczne powiększenie długu narodowego przez dane 20 milionów za emancypacyę czarnych, wreszcie ciągłe niepowodzenia handlu rękodzielniczego, niepomału do tego się przyłożyły. To pewna, że powodu niepomyślności handlowych najwięcéj w zbożowém prawie szukać należy. Ratujące się od upadku ministerium wprowadziło w 1841 roku tyle słynny swój budżet, którego podstawą było najprzód zniżenie ceł w ogólności, powtóre naznaczenie stałego cła na zboże to jest 8 s. od pszenicy, 5 s. od żyta, 4 s. 6 d. od jęczmienia, 3 s. 6 d. od owsa. Zatrwożeni protekcjoniści uderzyli wszyskiemi siłami na chwiejące się rządy whigów. Sir Robert Peel, wierny swéj ruchoméj skali, stanął na ich czele. Łatwe było zwycięztwo. Dowódzca nie przewidywał, że je drogo późniéj będzie musiał opłacić. Po wejściu na urząd Sir Robert Peel przez kilka miesięcy namyślał się jak zaradzić ciężkiéj kraju potrzebie. Oświadczył nareście, że dla pokrycia deficytu ustanawia podatek od własności i dochodu, co, lubo niepopularne, protekcjoniści z chęcią przyjęli w myśli, że przez to zapewnią sobie prawa zbożowe na daléj. W saméj rzeczy, utrzymał je Peel, tylko skalę prawie o pół pomniejszył i zręczniéj uregulował, tak że przeskoki były mniéj gwałtowne. Następujące porównanie ceł ustanowionych w 1828 i w 1842, lubo w skróceniu, pokaże główną różnicę.

Gdy cena pszenicy była za kwarter	Cło 1828.	Cło 1828.
50 s.	36 s. 8 d.	20 s. — d.
55 „	31 „ 8 „	17 „ — „

60 s.	26 s. 8 d.	12 s. — d.
65 -	21 - 8 -	7 - — -
70 -	10 - 8 -	4 - — -
75 -	1 - — -	1 - — -

Nie zaspokoiła ta zmiana przyjaciół zupełnéj wolności handlu. Dodała im tylko zapału i bodźca do wytrwałości. Silnie uorganizowane stowarzyszenie, Ligą nazwane, roztoczyło szeroko zakres swego działania, sięgnęło tysiącznemi ramionami po wszystkie krańce królestwa, a ośmielone coraz zwiększającemi się szeregami, do twierdz protekcjonistów uderzyło, mnożąc w nich elektorów sobie przychylnych. „Wolny handel i tani chleb“ stały się ogólném hasłem. Nie było większego miasta, gdzieby wymowa Cobdena, Brighta, Gibsona, Foxa, w licznych zebraniach bliskiego zwycięztwa nie głosiła. Mężowie pisali, drukowali, zbierali głosy, żony zakładały kramy i bazary na rzecz funduszów Ligi. Ostatniego roku zażądano na poparcie sprawy ćwierć miliona funtów. W kilka dni połowę téj summy składki przyniosły. Times musiał nareszcie przyznać, że Liga jest *wielkim faktem.* Tymczasem przywrócona równowaga w finansach, ożywiony handel i niezłe urodzaje dozwoliły pierwszemu ministrowi okrywać zmieniające się swe przekonanie pozornym spokojem i stałością. Spostrzegł on zbliżającą się burzę, ale nic nie mówił. Parlament zaś mówił wiele, ale burzy nie przewidywał. Gdy ostatni raz Villiers wprowadził swój coroczny wniosek co do zniesienia ceł na zboże, izba niższa odrzuciła go większością 254 głosów przeciw 122. Nikt téż bardzo rychłéj zmiany tuszyć sobie nie śmiał. Przyszła ona przecież daleko rychléj, niż przepowiednie najzapaleńszego mówcy na platformie teatru Covent Garden wieścić śmiały.

Znany jest powszechnie dalszy tok wypadków. Żniwo 1845 chybiło. Kartofle zupełnie się nieudały a potem do szczętu wygniły. Głód powszechny, osobliwie w Irlandyi, zagrażać się zdawał. Trzeba było prędkich postanowień. Ministrowie zbierali się na częste narady, ale nawet zgodzić się na to nie mogli, czy niebezpieczeństwo w saméj rzeczy jest wielkie, czy

tylko przestrach publiczny takiém go zrobił. Gdy się rozchodzono na niczém, a głos powszechny stawiał już u progów Anglii głód, zarazę, wojnę, bo Ameryka właśnie w téj chwili o Oregon dopominać się zaczynała, naczelnik opozycyi, lord John Russell, wystąpił z oświadczeniem, że się zrzeka swego zdania co do cła nieruchomego, a przystępuje do popierania nieograniczonéj wolności handlu zbożowego. Nie było rady; ministrowie musieli coś zdecydować albo wystawić się na to, że whigowie przyjdą znowu do władzy i to szerokim gościńcem niesłychanéj popularności. Sir Robert nie wahał się ani chwili, i w tém znać trafne oko naczelnika, zwołał znowu kolegów na walną naradę, a gdy większości pociągnąć za swém zdaniem nie zdołał, złożył swe urzędowanie. Łatwa do potwarzy podejrzliwość osądziła krok ten jako środek do pozbycia się lorda Stanley, a przekonania księcia Wellingtona, który w ogólności w takich zadaniach stałego sądu nie ma, a dba o to tylko, jak się sam wyraził, aby królowa miała swój rząd, i to rząd silny w obec obcych narodów. Zręczną przeto taktyką, a w wielkiéj części niechęcią i opieszałością naczelnika opozycyi, Sir Robert utrzymał się u steru. Lord John Russell nie był przygotowany do utworzenia szczelnego rządu. Wiedział przytém, że przeciwnik jego pociągnie za sobą wielu z torysowskiego stronnictwa, i że mu łatwiejszém będzie przeprowadzenie tak obszernéj reformy. Nadto, widoczném było że Sir Robert przez odstąpienie swych stronników pomięsza ich szyki, zniweczy ich związek, i na długi czas, może na zawsze, stanie się im nienawistnym. Wystąpił więc Sir Robert z odmiennym nieco ministerstwem a z nowemi zupełnie zasadami przed parlamentem, który się zebrał w styczniu bieżącego roku. Ogłosił, że przyjmuje wolność handlu w całéj rozciągłości. Zmniejszył wszystkie cła na wyroby i produkta zagraniczne, jako wstęp do całkowitéj reformy. Było to zręczne skorzystanie z prądu czasowego opinii publicznéj. Kto wie, czy późniéj rękodzielnicy okazywaliby się równie pochopnymi do zgody. Teraz nie mogli odrzucać zastosowania do siebie zasady, którą tak gwałtownie popierali względem handlu zbożowego. Co do ostatniego, minister ogłosił że za

trzy lata wszelkie cło ustanie. Tymczasem, jako małe ustąpienie protekcjonistom i jako sposób uniknienia raptownéj zmiany, zatrzymał ruchomą skalę, znacznie ją jeszcze zwężając i czyniąc przeskoki bardzo słabemi. Napróżno krzyknęło całe prawie stronnictwo torysów o zdradę. Napróżno bogaci właściciele ziemscy usiłowali w mocny uszykować się zastęp. Garstka magnatów, książąt, musiała ustąpić przed głosem milionów. Zostało jéj tylko żartobliwe nazwanie *the Dukery*. Lord Jerzy Bentinck, wielka znakomitość na wyścigach, odstąpił swych dżokiejów i koni, a wysforował się na mówcę i naczelnika protekcjonistów. Disraeli dobył całéj swéj żółci i szorstkiego talentu, aby przynajmniéj zmiennemu ministrowi dokuczyć. Przyrównywał go do owego Kapudana Baszy, który uzbroiwszy flotę i dostawszy rynsztunek i pieniądze od sułtana na wojowanie Mehemeta Alego, rozwiniętemi żaglami popłynął w pomoc nieprzyjacielowi. Stanley wziął naczelnictwo w izbie lordów. Atoli wszystkie te usiłowania pokazały tylko niemoc upadającéj sprawy. Sir Robert Peel z całém swém ministerstwem ustąpił, ale już dalszy pochód uczynił swym następcom whigom tak łatwym w téj sprawie, że ją uważać można za skończoną. Jedna więc z zasadniczych idei braterstwa i pomyślności społeczeństwa ludzkiego zapisaną oto została w księgę praw narodów. Wprawdzie nie stanęła ona jeszcze na całym świecie w zupełnym otoku zgody, ale puszczona śmiałą ręką Anglii, kołem się już teraz potoczy.[1])

Czy zniesienie cła zbożowego zaradzi wszystkim chorobom i nędzom Anglii, jak to twierdzą śmiali sprzymierzeńcy wol-

[1]) Cło zupełnie zniesione zostanie dopiero za trzy lata. Taryfa na te trzy lata do 1849 jest następująca:

Kiedy cena pszenicy niżéj	48 szylingów,		cło niezmienne	10 s.
. . . .	48 lub wyżéj	49 s.	. .	9 .
. . . .	49 .	50 .	. .	8 .
. . . .	50 .	51 .	. .	7 .
. . . .	51 .	52 .	. .	6 .
. . . .	52 .	53 .	. .	5 .
. . . .	53 i wyżéj,		. .	4 .

ności handlowéj, to inne zapytanie. Mojém zdaniem wiele jest w tem przesady, i wiele znowu gotuje się narzekań na zawód, jak to było po bilu reformy, który miał Anglii złote wieki powrócić. Przyczyny nędzy ludu angielskiego zbyt są mnogie, zbyt powikłane, aby usunięcie jednéj, choćby najważniejszéj, zdołało cały naprawić organizm. To niezawodna, że taniość pożywienia, a osobliwie stałość cen, zapobieży tym gwałtownym przemianom pomyślności i niepowodzenia, które w ciągłéj go utrzymują gorączce; przytém powoli przyłoży się do zniżenia wszystkich cen angielskich do poziomu europejskiego. Na dziś więc dość téj roboty, dość chwały tym, którzy silną wytrwałością i odwagą tak wielkie błogosławieństwo ojczyznie swéj wyjednali. Sufficit diei malicia ejus. Jutro przyjdą inne frasunki.

Co pewnego i niewzruszonego pozostać powinno z całéj téj historyi, to zbawienna nauka dla innych ludów, że najpotężniejszy i najoświeceńszy nawet naród, skoro raz pójdzie w fałszywym kierunku, uporem zwiększa tylko swoją winę i liczniejsze gotuje sobie klęski; że żadna mądrość prawodawcza, żadna ustawa ludzka nie zdoła kierować i przepisywać reguł handlowi w artykułach pierwszéj potrzeby; że najprzenikliwsi politycy, statyści u steru stojący, mogą przez całe życie się mylić, a największa ich chwała, kiedy, błąd swój poznawszy, śmiało się jego wyrzekną; że wreszcie człowiekowi najprzód we wszystkiem badać wypada ogólne prawa boże, nie zamykać się w samolubstwie, ale coraz bardziéj rozszerzać koło bliźniéj pomocy i wzajemnego ratunku.

Towarzystwa Wstrzemięźliwości.

(1846)

Przejrzysty strumień lub jasna krynica dostarczała człowiekowi i zdrowego napoju i czerstwego natchnienia póki świat był młodym. Stary Grek szukał raz ochłody to znów poetycznego zapału w szemrzących wodach doliny Tempe i w zdrojach kastalskich. Prawodawca rzymski czerpał swą mądrość z pogodnego stoku Egeryi. Trwa to jednak krótko, tak jak prędko przemija pierwszy wiek młodości. Zaledwie odwrócimy jednę kartę greckiéj historyi, a już Anakreon rzeźwi swe uniesienia przy pełnym dzbanie napoju z bachusowych darów. Znika męska prostota i hart duszy rzymskiéj z pierwszemi wiekami rzeczypospolitéj. Horacy sławi nadewszystko przymioty Falernu. Kato zagrzewa trunkiem swą cnotę, bo jak mówi poeta:

Narratur et prisci Catonis
Saepe mero caluisse virtus.

Z biegiem czasu umiarkowane życie przechodzi w zbytek. Pijaństwo staje u wrót narodu jako przepowiednia upadku. I upadek téż niechybnie nadchodzi, jeżeli prawodawca lub przyjaciel ludzkości albo duchowieństwo nie powściągnie występku i nie przekona, że w nim początek mnogich klęsk i bezprawiów.

Po wojnie, mówi jeden pisarz angielski, największą plagą rodzaju ludzkiego jest wynalazek alembiku. Mniejsza o to, czy on się należy Saracenom, którzy, jak powiadają, szukając elixiru życia natrafili na to szkodliwe odkrycie; to pewna, że

wszystkie nowożytne narody, nawet najdziksze, znają sposoby warzenia upajających trunków. W Nubii pędzą wódkę z jęczmienia i nazywają ją Bonza; w Maroku i Persyi z fig i suchych rodzynków, tak zwaną Mahaga; w Tartaryi rodzaj araku z końskiego mleka; w Mysore z cukru palmowego; w innych częściach Indyi arak z ryżu; a na wyspach spokojnego oceanu Rum, który zowią I-wera, to jest ukrop. Jedynie tylko w nowéj Zelandyi, w nowéj południowéj Galii, i w kraju Van-Diemen nie ma wyraźnych śladów aby mieszkańcy znali kunszt tak powszechny, lubo i tam za przybyciem cudzoziemców wkrótce on się rozprzestrzenić musi. Co do znajomszych krajów zbytecznèm byłoby wyliczać używane przez nie trunki i sposób ich wyrabiania. Nie od rzeczy jednak będzie poszukać ich początku. Hebrajczykowie robili wino z palmy, z jabłek i z miodu. Egipcyanie warzyli łagodny napój z jęczmienia, należy ich przeto uważać jako wynalazców piwa. Grecy pierwsi zaczęli głosić wino napojem Bogów. Używali wszakże tylko win słabych i słodkich. Mocne, jak korynckie, i pramnickie, uważano za lekarstwo. Pijaństwo jednak już często jest wspominane i u Greków i u Rzymian. Hippocrates, Aretaeus, Celsus, Galen i inni, wystawiają nieszczęśliwe jego skutki. Z początku rzymskim kobietom nie wolno było pijać wina, i dla tego bliżsi krewni mieli prawo je całować, żeby poznać czy przypadkiem nie dały się uwieść powabom wonnego Tometu. Ale już Seneka wspomina, że za jego czasów płeć żeńska sprostała męskiéj w nieumiarkowaniu, co trudno przypuścić, jeźli weźmiemy na uwagę przykłady zbytków téj ostatniéj. Jakoż czytamy, że Novellus Torquatus mógł od razu trzy garnce wypić, za co cesarz Tyberyusz dał mu nazwisko Tricongius. Cesarz Maximin mógł 6 garncy wychylić bez upicia się. Tacyt opisuje jak dawni Germanowie obficie raczyli się piwem. Wedle Strabona ludy w Gallii osiadłe tak nieumiarkowanie kochały się w winie, że cały zbiór roczny pochłonęła jedna uczta u Luzytanów. Znajomy jest edykt Karola W^{go}, który napomina sędziów i adwokatów, aby nie pili w ciągu sądowniczych rozpraw.

Do Anglii winna latorośl wprowadzoną została przez Rzy-

mian. Używano też powszechnie hojnych jéj darów. Saxonowie woleli pić miód i piwo. Normandowie znowu wrócili dawną cześć winu. Wino robione w hrabstwie Gloucester w niczém nie ustępowało francuzkiemu. W 13 wieku hodowanie winnéj latorośli poszło w zaniedbanie, a za Henryka III. piwo stało się powszechnym napojem. Znikł winnic ślad wszelki, tak jak i u nas, kronikarze bowiem nasi często o vineae cultores, jako o licznéj klasie wspominają. Lecz jak i u nas *vitrum gloriosum* nie przestało w Anglii zdobić uczt i zebrań stanów wyższych, tylko napełniało się cudzoziemskiém winem. Dziś przeszło 6 milionów garncy zagranicznych win co rok do Anglii przybywa.

Powróćmy do piwa. Za Henryka IV. pierwszy raz rząd wdał się do urządzenia szynków i browarów. Tak wielki był wtenczas odbyt, że corocznie warzono około 5 milionów beczek mocnego piwa a do 3 milionów beczek podpiwku. Chmiel do warzenia wprowadzono dopiero za Henryka VIII., jako opiewają często powtarzane kantyczkowe wiersze:

Chmiel i herezya, piwo i kacerze,
Wszystko się w Anglii w jednym roku bierze.

Porter wynaleziony został w roku 1722 przez Harwooda. Ulubionym on był trunkiem tragarzów (tragarz po angielsku *porter*) i ztąd jego nazwisko.

Nie tyle jednak piwo, co wódka, szkody przyniosło. Zbytkowi w używaniu ostatniéj statystycy angielscy przypisują nagłe zmniejszenie się ludności w początkach 17 wieku. W samym Londynie w przeciągu lat dwudziestu liczba rodzących się dzieci spadła z 20,000 na 14,000. Rząd nie przedsiębrał środków zaradczych. Owszem znaczne z odbytu wódki i piwa ciągnął zyski dla skarbu. Wszakże byli ludzie, co upominali naród od czasu do czasu. Sławny sędzia Hale, Bakon filozof, Johnson moralista, Cowper poeta, przyjaciel ludzkości Howard, Darwin i Beddoes lekarze, w rozmaitych epokach, rozmaitemi sposobami, starali się wykazywać najnieszczęśliwsze pijaństwa skutki. Ostatni mówi w swém dziele Hygiena, wydaném w r. 1802: „Przyjdzie epoka, w któréj ludzie w towa-

rzyskich związkach i zebraniach znajdą dostateczny fundusz wesołości i uciechy bez pomocy kieliszka i butelki. Literatura i nauka wyzwalają ród ludzki stopniowo z pod jarzma wódki i wina. Każda nowa książka ludowa lub dziełko popularne przyspiesza nadejście czasu, w którym Ceres powróci na tron nieprawnie przez Bachusa zajęty. Ten co dowiedzie i określi, jak wesoło można się wspólnie bawić, udzielać sobie myśli i uczuć bez szukania natchnień i miłości bliźniego w upajającym trunku, stanie się większym dobroczyńcą narodu, niż którykolwiek z bohaterów, prawodawców, lub wynalazców. Już dzisiaj opisanie dobrych wpływów takiéj reformy na humor, zdrowie i moralność, byłoby zaszczytem dla najzdolniejszego pióra."

To, o czém Beddoes marzył, w 30 lat późniéj urzeczywistnioném zostało. Początek należy się Ameryce północnéj. Złe też doszło tam do najwyższego stopnia. Nie było zebrania, któreby się nie kończyło na bezecném opilstwie. Nie było ulicy w miastach, na którejby kilka szynków nie stało dzień i noc otworem. Taka jest ułomność ludzka, że przekonanie o potrzebie gorących trunków dla utrzymania zdrowia, siły i przyjemności towarzyskiego pożycia, stało się narodową wiarą. W roku 1826 odbyt wódki doszedł do 60,000,000 garncy. W gwałtownym pochodzie ku złemu ta jest pociecha, że nagle zbliżające się niebespieczeństwo rodzi przestrach, uderza imaginacyę, rozbudza sumienie i do odwrotu przyzywa. Pytanie tylko: kto pocznie, kto da hasło. Zdobyło się wreszcie na tę odwagę kilku patryotów przy końcu 1825 roku. Zawiązali się w towarzystwo i przyrzekli sobie wszelkiemi siłami naganiać ziomków do swego koła. Bóg pobłogosławił ich zamiarom. Przy końcu pierwszego roku swego istnienia, stowarzyszenie ogłosiło, że 30,000 przystąpiło do wstrzemięźliwości, że w ogóle odbyt wódki się zmniejsza, a wiele gorzelni pędzić ją przestaje. W 1834 r. już było 8,000 towarzystw wstrzemięźliwości, liczących półtora miliona członków, 4,000 gorzelni ustało, a 1,500 okrętów odpłynęło, nie biorąc ani kropelki wódki dla ekwipażu.

Ruch ten znalazł Anglię w niegodziwym stanie. Ludność

po wsiach i po miastach coraz bardziéj mizerniała; mnożyło się ubóstwo, bezwstyd, choroby i zbrodnie. Za nadto wielkie sami w tym względzie mamy doświadczenie, aby potrzeba było brać obrazy z innych krajów. Dość powiedzieć, że w jedném z mniejszych miast angielskich dochód z trunków przechodził summę wydawaną w całym kraju na dobroczynne zakłady i uczynki, a w samym Londynie zaczęła wychodzić ilość równająca się całéj konsumpcyi za Henryka IV. Parlament chciał coś naprawić, ale gorzéj popsuł. Postanawiając wysoką opłatę od słodu i od szynków, nie dozwalając nikomu warzyć piwa i pędzić wódki na własny użytek, a mianowicie stawiając szynkom za pierwszy warunek, aby sprzedawane w nich trunki były na miejscu wypijane, rzucił całą uboższą klasę ludu do tych otchłani, które z przepychu sprawiedliwie pałacami (gin-palaces) nazwano, ale które stały się odtąd zbiegowiskiem i szkołą wszelkich niecnót. W tym względzie coraz dobitniéj potwierdzały się słowa sędziego Hale, który przy końcu swego zawodu oświadczył, że $\frac{4}{5}$ wszystkich kłótni, bezprawiów, zbrodni, ma swój początek w pijaństwie i karczemnych zbiorach.

Pierwszy Jan Dunlop, Szkot surowości Knoxa i początkowych reformatorów, w opisie swoim podróży po Francyi w 1828 r. odbytéj, zwrócił uwagę Anglii na to, i dowiódł ścisłym rachunkiem, że kraj, jak mówił, złożony z niedowiarków w jednéj części, a z ciemnego ludu katolickiego w drugiéj, daleko więcéj ma moralności, uprzejmości, poloru w stosunkach towarzyskich, daleko jest wolniejszy od zbrodni i przestępstw, niż Anglia i Szkocya, narody rządzące się ścisłemi oczyszczonemi nakazami biblii. Różnicę tę w całkowitości przypisał on niejednakowemu używaniu trunków. Poniżające to przekonanie obudziło całą miłość własną dumnego wyspiarza. Począł więc w małych przyjacielskich zebraniach przekonywać o potrzebie stowarzyszeń, któreby miały na celu odzwyczajanie ludu od zgubnych nałogów. Ośmielił się wreszcie wystąpić z publicznemi prelekcyami. W Glasgowie na wstępie spotkało go wiele obojętności, a nawet i pośmiewisko. Oto opis pierwszego wystąpienia przez niego samego skreślony.

„Postanowiłem dać mą prelekcyę w poniedziałek. W sobotę więc wieczór nająłem lokaja w liberyi do rozniesienia po pastorach moich ogłoszeń z prośbą, aby nazajutrz, jako w dzień świąteczny, odczytali je po kościołach, polecając przedmiot przychylności słuchaczów. Jeżeli gdzie, to w Glasgowie, najohydniejsze pijaństwo grasuje po ulicach w sobotę wieczór, wyrobnicy bowiem, odebrawszy tygodniową płacę, część jéj znaczną tracą zaraz na trunek. Wyszedłem więc na miasto, żeby widokiem opiłych tłumów dodać sobie odwagi i należycie przygotować się na poniedziałek. Ledwiem się obrócił, patrzę, kto mnie potrąca, a to mój wysłannik, pijany, że aż z nóg się wali. Doskonały, pomyślałem, herold do rozrzucania zaprosin na naukę o wstrzemięźliwości. Oczywiście mego sprawunku nie dokonał, i całą pakę niedoręczonych listów napowrót mi oddał. W tém, kiedym go jeszcze strofował, przybliża się do mnie tragarz, który, podsłuchawszy o co idzie, usługi mi swoje ofiaruje. Z razu nie chciałem ich przyjąć, bom dla tego był właśnie najął służącego z hotelu, żem wiedział, iż trzeźwego tragarza pożal się szukać w sobotę. Lecz, gdym baczniéj rzucił okiem, ujrzałem, że to był człowiek przyzwoity, porządnie ubrany, gładko uczesany, z jasno świecącą się plaką i numerem na piersiach, trochę świętoszkowaty, istny metodysta. Zapytałem skąd taka żarliwość, a on na to: Jeźli dobrodziéj wprowadzisz wstrzemięźliwość, to żadna z tego klasa tyle nie skorzysta, co nasza. Szukałem więc, gdziem znaleźć nie mógł: a znalazłem, gdziem się tego najmniéj spodziewał. Pomyślałem sobie: dobrze pójdzie dzieło, kiedym na wstępie nawróconego w najgorszéj klasie natrafił. Z kilkudziesięciu pastorów wszyscy prawie odmówili; dwóch tylko rzekło coś o tém z kazalnic, ale i to nader obojętnie. Gdy nadszedł poniedziałek, jakaś mnie niemoc i zniechęcenie obarczyło. Ciasnemi a brudnemi ulicami przemknąłem się do sali prelekcyjnéj. U progu spotkałem studentów teologii, naśmiewających się z przedmiotu méj prelekcyi. Ze drżeniem serca wstąpiłem na mównicę. Sala była dość pełna. Z początku po ruchach głów widziałem same tylko niedowierzania. Lecz im daléj szedłem w przedmiot, tém coraz więcéj potakiwających zna-

ków spostrzegać mi się dawało. W końcu obojętność przeszła w zapał, wielu ofiarowało mi zaraz swą czynną pomoc, a między nimi najpierwsi byli owi teologowie, którzy mnie o mało co nie zniewolili do ucieczki od progu.“ Po Glasgowie udał się Dunlop do Edymburga. I tam z razu rzecz szła oporem. Lecz gazety poczynały coraz skrzętniéj przedmiot ten rozbierać. Znakomici Szkoci dawali pomoc i zachętę. Zaczęto tworzyć towarzystwa. W r. 1829 glasgowskie otrzymało swe urządzenie. Za niém poszły inne, i już przy końcu tegoż roku liczono w Szkocyi do stu, obejmujących 15 tysięcy członków.

Henryk Forbes, zachęcony dobrym przykładem północnych sąsiadów, wprowadził myśl ich do Anglii. Głosił ją najprzód w hrabstwie York, w którém najwięcéj jest miast rękodzielniczych. Wysyłano agentów po wsiach, zbierano mityngi, rozrzucano wszędzie i darmo druki, wykazujące smutne skutki nałogowego pijaństwa. W tym względzie najobszerniejsze działanie i koszta podjęło towarzystwo nazwane *the British and Foreign Temperance Society*, a założone w 1830 r. Na jego czele stanęli lordowie, członkowie parlamentu, najznakomitsi uczeni i filantropowie. Postępowała poprawa, ale nie dość raźnie. Pospolitego ludu prawie nie dotykała. Już i w Ameryce spostrzeżono się, że po pierwszych chwilach rączego postępu, nagłe przyszło osłabienie, i że nawracanie w wyższych tylko stanach przeszkód nie znajdowało. Pokazało się wkrótce, że przyczyną niepowodzenia było to, że towarzystwa dotąd istniejące, nie zupełną trzeźwość, ale tylko wystrzeganie się mocnych trunków nakazywały. Jakoż wódka była jedynie wyłączoną z użycia, piwo zaś i wino dozwolone. W Anglii więc gdzie lud najwięcéj w mocném, ciężkiém piwie smakuje, zakaz wódki nie wiele dobrych skutków sprowadzał. Nadto sprzymierzeńcy zupełnéj trzeźwości twierdzą, że póki tylko wyższe stany nie wyrzekną się wina, to niepodobna żądać, aby niższe uwierzyły, że celem ich usiłowań jest powszechna poprawa, jednakowe wszędzie umartwienie i korzyść jednaka.

Przyszedł więc czas na ściślejszą reformę. Tę jednocześnie zaprowadziły dwa towarzystwa, założone w Preston i Paisley

w 1832 r. Nowéj zasadzie dano imie Teetotalism.[1]) Jeżeli nie myśl sama, to szczere i niezmordowane jéj podjęcie należy się Józefowi Livesey. Ustaliwszy stowarzyszenie w Preston, wyprawił się on na objazd po całém państwie. Niczém niezrażony przemawiał wszędzie, a do ludu prostego najchętniéj. Lud téż skwapliwiéj począł się garnąć do zbawiennéj zasady. Uważano z radością, że najwięcéj nowych towarzystw w klasie najniższéj powstawało. Przytem daleko mniéj już było odstępujących między temi, którzy się zapisywali. Przysłowie Johnsona, że nierównie łatwiéj jest wyrzec się zupełnie, niż być umiarkowanym, otrzymywało codzienne potwierdzenie. Stare towarzystwa upadały, rozwięzywały się, a jeźli dotąd trwają to wpływ ich w małym nader obrębie kołuje. W Londynie w 1834 roku założono nowe British and Foreign, na którego czele stanął lord Stanhope. Dług, zaciągnięty dawniéj od Ameryki, sowicie teraz wypłaconym jéj został przez udzielenie poprawionéj zasady. Upadająca chorągiew z drugiéj strony Atlantyku podniosła się na nowo, i to z taką świetnością, że gdyby wierzyć można pisarzom amerykańskim, dziś w Stanach Zjednoczonych każdy czwarty człowiek jest teetotalerem. W Anglii jednak daleko jeszcze było do osiągnienia pożądanego celu. Sprawa szła nieco prędzéj, ale żadnego znamienia powszechności nie miała. Trzeba było czystszych początków, świętszych nakazów, wspólnego środka, jednego człowieka, przewodnika.

Gdzież się miały te świętsze nakazy, jedność działania i jeden znaleść kierunek? Nie jest to ani tajemnicą, ani żadnym nowym zarzutem przeciw protestantyzmowi angielskiemu, że podzielony na sekt kilkadziesiąt, nawet w najjaśniejszym to jest w urzędowym obrębie niepewny swych nauk, nie ma

---

[1]) *Total* znaczy całkowity, zupełny; *tee* stary wyraz, który odpowiada naszemu co do *krzty*, co do *joty*. Zapytano jakiegoś uczciwego prostaczka: chcesz przysiądz na wstrzemięźliwość? Co mi tam po waszych wstrzemięźliwościach, odpowiedział, ja chcę być teetotal, to jest co do krzty zupełnym. To rubaszne wyrażenie podobało się ludowi, i odtąd zostało historycznem.

i mieć nie może powagi w obec ruchów i przemian moralnych w narodzie. Nie jest to znowu ani przesadą, ani nietolerancyą twierdzić, że kościół katolicki, mocno i szczelnie w sobie zestawiony, jeden, ogólny, kierujący sumieniami, wydający z siebie ludzi nieograniczonego poświęcenia, poddających się wszelkim umartwieniom, czystych, świętych, jedynie jest zdolnym nadać każdemu postępowi znamię jedności i powszechności. Człowiek przeto, który miał dzieło trzeźwości, słabo w Anglii przez innych poczęte, nie tylko w swym kraju w zupełności rozwinąć, ale go po całéj rozpostrzeć Europie, musiał wyjść z katolickiego towarzystwa, z katolickiego duchowieństwa, z zakonniczéj celi. Tym był Theobald Mathew, kapucyn z Cork w Irlandyi.

Z umysłu dotąd nic o Irlandyi nie wspomniałem. Zostawiłem ją na boku, aż póki się w niéj nie objawi ten ruch, który prawdziwie bożem zrządzeniem nazwać można. Daleko dawniéj jednak już Irlandyi należał się honor założenia pierwszego towarzystwa wstrzemięźliwości w Europie. Jeszcze kiedy Dunlop pierwsze w Anglii czynił starania, to jest w 1829, założono już w Ross towarzystwo, które wkrótce 12,000 członków liczyło. Nie brak było Irlandyi na ludziach chętnych do posługi swemu narodowi w tak wielkim celu. Dziś sławny najwyższy sędzia Crampton nie tylko zbierał licznych słuchaczów na swe mowy o wstrzemięźliwości, ale sam chodził między lud, po brudnych szynkach, żeby go od pijaństwa odwodzić. Ktoś go raz zobaczył przemawiającego w lichym bardzo tłumie z pokładu pustéj beczki, przewróconéj wybitém dnem na dół. Ztąd to powieść urosła, że pusta beczka prowadzi do krzesła sędziowskiego. Dla wspomnianych już przyczyn, i w Irlandyi ruch wstrzemięźliwości bardzo szedł leniwo. Istniały stowarzyszenia, ale tylko w wyższych stanach. Lud, nałogowemu oddany pijaństwu, nie poprawiał się. Byłoby to grubą nieświadomością położenia Irlandyi, a ciężką niesłusznością przeciw jéj mieszkańcom, gdyby kto stawiał za główną przyczynę nędzy, ich niestatek i namiętne przywiązanie do whiskey. Lecz jeżeli w górze szukać trzeba politycznych powodów ich ubóstwa, to niewątpliwie nierządność i niewstrze-

mięźliwość u dołu nie dozwalała dotąd ludowi wydobyć się z pod cisnącego jarzma. Irlandczyk poczciwy, gościnny, wesoły, swobodny nawet w nieszczęściu, zwykłą nieoględnością a lekkomyślną rzutkością ludów, do ciągłych klęsk nawykłych, utracił wszelki zmysł porządku i gospodarności. Jeść nie miał czego, a pić zawsze musiał. Ośmiomilionowa, po większéj części nędzna ludność wypróżniała do roku do 16,000,000 garncy wódki, opłacającéj podatek, co jeszcze żadnéj miary nie daje co do opilstwa pojedyńczych, bo najprzód z téj ludności wyłączyć potrzeba dzieci i kobiety, a potém niesłychana liczba potajemnych gorzelni dostarczała prawie drugie tyle alkoholicznego napoju. Ztąd liczne zbrodnie, kłótnie, bijatyki. Żaden się jarmark nie odbywał bez walnéj potyczki. Kiedy się zbliżył jarmark w Donnybrook pod Dublinem, rząd musiał robić przygotowania, jak przeciw jakiemu powstaniu. O'Connell upominał i groził. Jakoż polityczne zebrania pod jego przewodem odbywały się zawsze jak najprzyzwoiciéj. Duchowieństwo téż nie zaniedbywało swéj powinności. Wpływu księży oznaczyć nie podobna. Lecz jak w innych, tak i w tym przypadku zapytać się należy: coby się było dotychczas z Irlandyą stało, czyby była mogła przechować tyle cnót rzadkich i przymiotów, czyby lud jéj dawno już nie był wyginął pod ciągłém i tylowieczném parciem saksońskiego zdobywcy, gdyby nie żywotność i zachowawczość katolickiéj wiary, a czujność pasterska i nauki jéj duchowieństwa?

Od lat już wielu żył ojciec Mathew w zaciszu klasztorném w Cork, mieście słynném z czarownego położenia, a z obszerności i dostatku zasługującém na nazwisko stolicy południowéj Irlandyi. Świętobliwość jego, nauka i dobroczynność zrobiły go wkrótce głośnym na całą okolicę. Smucił on się nieszczęśliwą skłonnością swego narodu i przemyśliwał jak ją powstrzymać. Lecz jak człowiek mocnego postanowienia długo przepasywał swe biodra, długo się na modlitwie i rozmyślaniu doświadczał, nim się w podróż wyprawił. Wystąpił nareszcie 10 kwietnia 1838 roku. Zebrawszy liczne zgromadzenie objawił mu, że ma wyższe posłannictwo do zdjęcia z ludu zakały która dotąd wnętrze jego toczyła. Ukląkł, odmówił modlitwę, i we-

zwawszy błogosławieństwa boskiego nad przytomnemi, począł ich powoływać do składania przyrzeczeń na zupełną trzeźwość. Od razu całe zgromadzenie, najwięcéj z prostego ludu złożone, przyjęło tak nazwane *pledge*, czyli zobowiązanie się, którego świadectwem było zapisanie się w księgę, otrzymanie kartki wpisowéj na dowód, i medalik poświęcony i rozdawany przez kapłana. Dwa razy w tydzień zbierając podobne gromady, ojciec Mathew, nie ruszywszy się z Corku, przyjął w ciągu 8 miesięcy 150,000 zwolenników. Gruchnęła jego sława po całej Irlandyi. Przytaczano przykłady, jak słodką swą wymową najzastarzalszych nawracał pijaków, to znowu, jak schorowane osoby cudownie przez przysięgę na trzeźwość i przez jéj wierne dochowanie wyleczone bywały z suchot, z paraliżu, z kalectw. Poczęto odprawiać pielgrzymkę do Corku jak do ziemi świętéj. Widział zacny kapłan, że już wszędzie rola dobrze przygotowana, i wybrał się na objazd całego kraju. To, co o przyjęciu jego w Limerick opowiadają, przechodzi opisy najliczniejszych zbiorów w kraju znanym ze swych monstrualnych mityngów. Było to 2 grudnia r. 1839. Pomimo tęgiego zimna, lud całą noc poprzednią zaległ pokotem gościniec, którym nazajutrz miał nadjechać apostoł trzeźwości. Nietylko wszystkie w mieście domy były natłoczone podróżnemi, ale wszystkie sale i budynki do rządu i do miasta należące. Żywność w trójnasób podskoczyła. Nie dziw, że w przeciągu dni kilku 150,000 złożyło swe przyrzeczenie w ręce niezmordowanego kapłana. To téż pamiątka 2 grudnia 1839 roku długo jeszcze w Limerick świeżą pozostanie. Sławna to rocznica tryumfów napoleońskich, ale jakżeż w porównaniu z niemi zyskuje zwycięztwo tu dokonane przez posłannika pokoju. To téż obecnie Limerick podróżującemu miły bardzo przedstawia widok. Ludność ochędożna, czerstwa, pracowita, miasto piękne i coraz daléj w wystawne zabudowania rosnące; port wolny od brutalnych i rozochoconych majtków. Pośrodkiem szeroka rzeka Shannon, sławna z połowu łososiów, pędzi wartkim prądem ku morzu. Po obu stronach wznoszą się kominy wysokie, okopcone, ale dymu ani ujrzeć. Rzekłbyś: rękodzielnie, które spoczywają. Nie — to gorzelnie, które na zawsze swe ogniska

pogasiły. Pewnie ojciec Mathew piękniejszych nie żąda pomników.

Nie będę daléj opisywał jego tryumfalnego pochodu po całéj Irlandyi. Wspomnieć jednak wypada o stolicy. Dublin nawiedził on w marcu 1840. Tylko się zjawił, zaraz spostrzeżono zadziwiającą poprawę. Dosyć powiedzieć, że jedno z trzech więzień, dotąd zawsze przepełnionych, w listopadzie tegoż roku wypróżniło się zupełnie. Raporta z drugiego więzienia, to jest Richmond Bridewell (gdzie w 1844 r. O'Connel siedział), pokazały następującą różnicę w liczbie więźniów:

W 1839 roku było ich 3202.
- 1840 - - - 2018.
- 1841 - - - 1604.

Z drugiéj strony kasy oszczędności w dwójnasób się powiększyły. W ciągu tegoż roku zamknięto w Dublinie 237 szynkowni. Niegorzéj działo sie w innych stronach. Wszędzie sędziowie dziwowali się zmniejszeniu przestępstw, a poprawę dziełu ojca Mathew przypisywali. Podróżujący jeden Amerykanin powiada, że przejechał Irlandyą, jak długa i szeroka, i jednego tylko pijanego napotkał. Sławny téż Dr. Channing, protestancki pastor w Ameryce, tak się wyraża: „Jeszcze lat temu kilka, gdyby nam kazano wskazać kraj ze wszystkich najwięcéj upośledzony, poniżony, zubożały i bez ratunku upadły przez niewstrzemięźliwość, bylibyśmy palec położyli na Irlandyi. Tam mężczyzn i kobiety, starych i młodych, porywał zarówno szalony i niczem niepowściągniony potok. Niemowlęctwo chrzcono w pijaństwo.[1]) A teraz w ciągu dwóch czy trzech lat zakała wieków została wykorzenioną. W moralném znaczeniu, stara Irlandya znikła na zawsze. Nowa się urodziła. Trzy miliony ludności jeden człowiek w trzeźwych przemienił. Historya nie daje przykładu podobnéj rewolucyi. Jestto największy wypadek naszego wieku. Ojciec Mathew, twórca téj zmiany, stanął daleko wyżéj, niż najwięksi bohaterowie i statyści naszych czasów."

Po objechaniu Irlandyi, ojciec Mathew, wzywany zewsząd

---

[1]) Childhood was baptized into drunkenness.

od zwolenników trzeźwości, wyprawił się w r. 1842 do Szkocyi, a w 1843 do Anglii, gdzie po kolei odwiedził wszystkie rękodzielnicze miasta. Wszędzie przyjmowano go z uniesieniem. Szerokie place londyńskie wystarczyć tłumom nie mogły. Zdało się, że dawne różnice religijne znikły zupełnie. W saméj rzeczy coby był Henryk VIII. albo Knox powiedział, gdyby wstał z grobu i zobaczył tysiące protestantów, klęczących z odkrytą głową przed biednym kapucynem irlandzkim. Do pół miliona liczą przyjętych podczas téj podróży po Anglii i Szkocyi.

Oto jest wykaz liczebny Irlandczyków zapisanych w księgi ojca Mathew:

W roku	1838.	150,000.
· ·	1839.	710,000.
· ·	1840.	1,220,000.
· ·	1841.	1,108,000.
· ·	1842.	1,162,000.
· ·	1843.	880,000.
· ·	1844.	410,000.

Blisko więc sześć milionów, i to w saméj Irlandyi — to jest prawie cała jéj katolicka ludność. Lecz powie kto, że może téż odstępujących jest wielu. Wprawdzie są nieprzychylni ludzie, którzy twierdzą, że Irlandczycy pod rozmaitemi pozorami, często figlarnie, umieją folgować sumieniu, i chyłkiem raczyć się ulubioną rosą z gór; whiskey bowiem u ludu zowie się the mountain dew, a to z powodu że najwięcéj w górach było tajemnych gorzelni. Opowiadają naprzykład o tym, który, złożywszy rano przysięgę na trzeźwość, wieczór się upił, a to żeby sobie nagrodzić iż tak dobrze cały dzień wytrzymał. Wedle świadectwa jednak samego ojca Mathew tylko jeden na 500 trafia się przypadek odstępstwa, a i w tym razie bardzo wielu nazad powraca.

Każdy szczegół tyczący się tak znakomitego człowieka wart jest zapisania. Dla tego nie od rzeczy będzie następujący wyjątek z listu jednego z naszych rodaków, który podróżując po Irlandyi w 1844 odwiedził ojca Mathew:

„Do świętych, choć w ziemiach angielskich, nie potrzeba

listów wstępnych. Udaliśmy się wprost, mówiąc, żeśmy przybyli do Corku głównie dla poznania jego osoby. Grzeczność tę naszą przyjął z prostotą i podziękował serdeczném uściśnieniem ręki. Ojciec Mathew ma już blisko lat 50. Młodo jednak na swój wiek wygląda. Więcéj niż średniego, raczéj wysokiego wzrostu; tuszy miernéj, silnéj, toż cery zdrowéj choć bladawéj, twarzy owalnéj, średnio-pełnéj; oko jasne, czoło wysokie, nos orli, włosy ciemne, już się srebrzeć poczynają; słowem fizycznie piękny mężczyzna; a usta i wejrzenie, i całe ujęcie dziwnie gościnne, proste, łagodne, uczciwe. Ruch żwawy, ale nie gwałtowny, jako człowieka wciąż zajętego. Czekało nań już kilkanaście osób, mężczyzn, niewiast, ochotników pod świętą chorągiew trzeźwości. Zobaczycie zaraz (rzekł do nas), jak będę dawał *pledge*, czyli zobowiązanie się. Kazał uklęknąć, i po krótkiéj nauce polecił powtórzyć za sobą w angielskim i staro-irlandzkim języku formułę zobowiązania się. Potém z kolei błogosławił wszyskich, znacząc czoła krzyżem świętym. W ciągu dnia kilka razy tak się izba napełniała nowemi ochotnikami. Wieczorem dość już późno przybył piechotą wieśniak z Limerick o 60 mil angielskich. Niejeden na pożegnanie upije się po raz ostatni ulubioną gorzałką whiskey. Rzadkie jednak bardzo złamanie raz wziętego postanowienia, choć to święte stowarzyszenie liczy przeszło 5 milionów członkow w saméj Irlandyi, a blisko jeden milion w Anglii, i jak spowiednicy zaręczają, że umierający z największym żalem i skruchą, a z wielkiém wylaniem łez, spowiadają się tego grzechu, uważając go za najcięższy. Ucieszyliśmy wielce ojca Mathew, donosząc mu, że i w Polsce zaczyna się podobna konfederacya, choć nie tak surowo, bo u nas piwo nie zabronione. Prosił nas na obiad. Był to właśnie piątek, i choć ryba była ciężka i tłusta (bodaj łosoś), musieliśmy poprzestać na wodzie, wprawdzie wybornéj, przy końcu tylko można było wybrać między filiżanką kawy lub herbaty. Rozstaliśmy się wieczorem w chwili, gdy naszego gospodarza zawołano do chorego. Pożegnał nas najuprzejmiéj, a mnie na pamiątkę książkę darował. Bogu zapewnie wolno uczynić kogobądź narzędziem czystéj i prostéj woli swojéj. Ciekawy przecież

byłem wiedzieć szczegóły życia przeszłego kochanego ojca, celem przekonania się, czy nie zasłużył niejako sobie na ten wybór Boży zawsze daremczy; i dowiedziałem się, że, pochodząc z zacnéj i staréj rodziny i mogąc otrzymać bogatą puściznę po krewnych, aby tylko im gwoli chciał był pozostać na świecie, przy wszystkich darach osobistych, któremi go hojnie Bóg obdarzył i które mu mogły aż nadto zapewnić to tak zwane szczęście ziemskie, wolał się przecie dla miłości Boga a duszy swéj i bliźnich śluby zakonnemi związać, a z mienia swego 5,000 funtów (200,000 złtp.) kościół Najwyższemu wystawić. W téj chwili, uwikłany w trudności pieniężne, jest on przedmiotem posądzeń i gadek ludzkich, aby nie brakło cierni Chrystusowych do korony jego."

„Dnia poprzedniego całe miasto obchodziło rocznicę jego urodzin illuminacyą, śpiewami i muzyką, i mityngem, danym na cześć jego."

Trudności pieniężne, o których wyżéj jest mowa, pochodzą z niezmiernych kosztów na podróże, na medale, na muzykę dla ludu. Skoro jednak tylko wieść publiczna doniosła, że ojciec Mathew jest w kłopotach, zaraz ogłoszono składkę, która wkrótce wyniosła kilkanaście tysięcy funtów, a na któréj czele znajdują się najznakomitsze angielskie imiona.

Zbierając w ogólną skazówkę dla korzyści innych doświadczenie na tak obszerną skalę przez ojca Mathew dokonane, pokazuje się, że nie dość wstrzemięźliwości, trzeba zupełne zarzucenie trunków zalecać. Trudna to sprawa, osobliwie w krajach północnych. Jakże tu u nas naprzykład piwo niższym a wino wyższym stanom zakazać, — wino, jak ktoś powiedział, tak szlachetny napój, pomocny w chorobie, rzeźwiący starość, pomnażający urok narodowych obrządków, uświęcony nawet w ofierze Pańskiéj. Na to nie ma reguł, nie ma bezwzględnéj teoryi. Pocznijmy choć od wstrzemięźliwości, bodaj że przykładem Irlandyi będziem późniéj musieli przyjąć regułę co najsurowszą.

Pochop wieku naszego do umiarkowania nie wstrzyma się zapewnie na napojach. Po trunkach przyjdzie kolej na zbytki w jedzeniu, na korzenie, na tytoń. Dla tego téż źle jest, od-

ciągając od picia wódki, wskazywać natomiast jakieś inne zmysłom schlebianie.

Jakżéż to dziwne są drogi, któremi Opatrzność prowadzi ludzi ku dobremu. Oto w chwili, kiedy zwiększająca się mnogość chorób, bezprawiów, ubóstwa, wskazała potrzebę zrzeczenia się sztucznych napojów, kiedy najnędzniejszy lud w Europie na słowo ubogiego zakonnika daje dowód światu, jak przy pomocy Bożéj łatwo złe na dobre od razu przemienić, w innych stronach prawie w środku Europy, tam, gdzie się krzyżują drogi, po których chorowici lub znudzeni bogacze biegną z różnych krajów po odzyskanie zdrowia lub humoru, chłop prosty (Prysznic) wynajduje, że najskuteczniejszém lekarstwem i na umysł ciężki i na zwątlone ciało jest zimna woda. Są to przestrogi i skazówki, których lekceważyć nie powinniśmy. Niech wiek najbogatszego rozwinięcia wygód i sił materyalnych da zarazem hasło do zawrotu ku zgubionéj prostocie i umiarkowaniu pierwotnych czasów.

Krótki rys

literatury angielskiéj od Chaucera do Cowpera.

Literatura, jako i historya, ma swe przestanki, ma swoje chwile spoczynku. Zmierzch i noc idzie po przepychu światła dziennego. Po czasach obfitości następują lata nieurodzaju. Rola bujnością wycieńczona potrzebuje spocząć, nim nowe wyda plony. Przemienność ta leży w naturze wszech rzeczy ziemskich. Jest ona fatalną koniecznością na pozór, a opatrzném zrządzeniem w istocie. A jeźli gdzie dobrodziejstwo takowych zarządów jest najwidoczniejszém, to zaiste w dziedzinie gospodarstwa umysłowego. Geniusze nie pojawiają się z nienacka, raptownie, nie spadają jak meteory. Każdy z nich jest synem swéj epoki, długo wprzód odgadywaném, zapowiadaném, oczekiwaném dziecięciem. W rozwoju bowiem życia narodowego obudzają się stopniowo coraz nowe potrzeby, dążenia nadzieje, — z początku chyłkiem tułając się tu i owdzie, błędne, nieoznaczone, — późniéj coraz kształtowniejsze, coraz mocniéj kołatające by się w słowo wypowiedzieć, aż nareszcie przychodzi człowiek, który każde z nich po imieniu wita. Ztąd to poetów nazwano nieurzędowymi prawodawcami ludzkości. Ale nie tu koniec. To tylko połowa ich zadania. Prorokują oni równie na przeszłość jak i na przyszłość. Są rozjemcami w teraźniejszości. Wypromieniają myśl bożą z tego co było, a wskazują jéj najprostsze kierunki w tém co będzie. Wieszcz zwróconém zawsze ku niebu okiem pierwszy spostrzega na gór szczytach promienie wschodzącego słońca, i proroczą

piersią nuci pieśni poranne. Mędrzec ciężkością swojéj myśli spuszcza się na dół aż do ostatniéj warstwy tajemnic ducha i na wierzch rodzime prawdy wynosi. Z razu powszednie społeczeństwo chwyta tylko zewnętrzną stronę tych objawień, raduje się artystyczną ich ponętą. Potrzebuje czasu nim je przerobi, zrozumie we wszystkich następstwach, i całemu organizmowi swemu przyswoi. Otóż, jak w pierwszym tak i drugim razie, równie dla przygotowania wątku do objawień, jak potém do przyswojenia ich sobie w zupełności, ludzkość często długich lat wymaga. Ztąd owe przerwy w literaturze. Niekiedy powlekają się one tak grubą nocą, że związku i łączności między jednym a drugim dniem nie dostrzedz; to znowu są tylko zmierzchem, pół światła a pół cienia, jak w tropikowych krajach, że nawet najbystrzejsze oko różnicy się niedopatrzy. Oznaczyć takowe odrębności i powinowactwa, a wszędzie ciąg rozwijającéj się jednéj myśli Bożéj dociec i okazać, jest najwłaściwszém i najsubtelniejszém zadaniem dla krytyki.

Anglia dwie miała epoki nadzwyczajnego bogactwa w literaturze. Jedna od Elźbiety, druga od Jerzego III. wzięła swe nazwisko. Pierwsza nie przypada właściwie pod panowanie Elźbiety, ale jéj następcy, króla Jakóba, i należy się prędzéj XVII. niż XVI. wiekowi. Kiedy Elźbieta umierała, to jest w roku 1603, Bacon był zaledwie znanym z kilku pism ulotnych, Szekspir nie napisał był jeszcze swych sztuk najcelniejszych, bo w tym właśnie roku po raz pierwszy wziął był do ręki Plutarcha, w przekładzie Amyota i Montaigna, których dzieła, jak wiadomo, otworzyły dla jego myśli najobszerniejsze i najbogatsze pole. Lecz rodowód tego okresu bez zaprzeczenia leży w świetnych czasach panowania Elźbiety. Początki nawet nieco daléj sięgają, a temi są: powszechne obudzenie się w Europie nauk i sztuk pięknych na hasło przez Włochy dane, zamiłowanie starożytnych wzorów, wynalazek druku, popęd do wielkich przedsiewzięć, awanturniczych przygód, zrodzony przez odkrycie Ameryki, ustalenie potęgi narodowéj, która po raz pierwszy po długich i krwawych domowych wojnach poczęła się pojmować w całéj swéj sile, we

wszystkich swych przeznaczeniach, a nareszcie poruszenie serc i umysłów z najtajniejszych głębin przez walkę wyobrażeń religijnych.

Poezya otworzyła podwoje temu złotemu literatury wiekowi. Stała ona przy nich już oddawna i zapowiadała to przyjście. Jeszcze bowiem w XIV. wieku Chaucer, w swych obfitych dziełach, a osobliwie w kanterburskich powieściach, stworzył jéj dźwięczny, bogaty język i w rodzime przyodział kształty. Byli jeszcze przed nim tak nazwani metryczni romansiści, czyli kronikarze wierszem piszący, — był Minot, który śpiewał zwycięztwa Edwarda III., był Langland, który gromiąc zdrożności swego czasu, już bunt przeciw kościołowi podnosił. Żyli z nim współcześnie moralista i prawodawca czystéj miłości Gower, Barbour który śpiewał wielkie czyny Roberta Bruce, a po nim Wynton kronikarz szkocki, i poeta znany pod nazwiskiem ślepego Henryka, bliźni duch Barboura, bo jak temu Bruce, tak tamtemu Wallace dostarczył wątku do pieśni. Wykarmieni na utworach Chaucera, lubo niezdolni mu sprostać, odziedziczyli po nim berło i następnie przez półtora wieku kolejno podawali je sobie: Jakób I. król szkocki, który wzięty w niewolę przez Henryka IV., pieśnią długie swe pocieszał więzienie, — Lydgate, śpiewający łatwym językiem o zburzeniu Troi, — Henryson, który dodał drugą część do poematu Chaucera *Troilus i Cressida*, — Dunbar, śpiewak róży i ostu, co w utworach jego pełnych allegoryi znaczyło Jakóba IV. i żonę jego Małgorzatę, — Douglas Hrabia Angus, wzorowy i pierwszy tłomacz *Eneidy*, — Skelton, satyryk angielski, a Lyndsay szkocki, — ucinkowy pisarz Jan Heywood, — Tusser, autor ziemiaństwa angielskiego, — Wyatt, sentymentalny wierszopis, — a na ostatek Hrabia Surrey, jeden z najpoprawniejszych pisarzy i twórca białego wiersza w języku angielskim. Lecz w tym długim szeregu i wstecz i naprzód, Chaucer jest górującą figurą, a ta muza, co otwiera wrota złotemu wiekowi Elżbiety, jemu winna całą swoją moc i zacność. Przewodnicząc téj nowéj epoce, poezya wzleciała pod same niebo i unosząc się skrzydłem skowronka nad świeżo rozoraną rolą, poczęła zwiastować i przyśpiewywać siewcom

rzucającym ziarna przyszłéj pomyślności i chwały narodowéj. Osadziła się ona na najwyższych szczytach, i zagarnęła pod swe berło całe osierocone dziedzictwo w spadku po średnich wieków rycerstwie. Duch téż średnich wieków, ich podania, wiara, fantazya, obrazowość, odbiły się najgłębiéj i najjaskrawiéj w pierwszym poecie, którego tu zaraz na wstępie spotykamy. Jakoż główne dzieła Edmunda Spenser noszą, równie w myśli jak formie, najwyraźniejsze cechy tego przechodu i pokrewności między nowemi a starszemi czasy. Wielki ten wieszcz rozwija obrazy swobody, karci występki, ubóstwia cnoty, przewiduje i układa stan doskonalszy społeczeństwa pod trzema różnemi a powinowatemi średnim wiekom allegoryami, — w *Kalendarzu Pasterza* pod obrazem drzew i w obec pierwotnéj, sielskiéj natury, — w *Powieści matki Hubbard* pod postacią zwierząt, — w *Królowéj Wieszczek* pod urokiem najpiękniejszych snów i dziwów z czarodziejskiéj krainy. Pośrednictwo więc i rozjemstwo, o których mówiliśmy, występuje tu w trzech swych najwymowniejszych objawach: — najprzód w pociechach i naukach wiecznie jednéj, nieodmiennéj, spokojnéj natury, nad którą nic zdolniejszego ułagodzić i otrzeźwić umysły po wzburzonych i krwawych czasach, — potém w satyrze na obecne śmieszności i błędy, tém dotkliwszéj a bezpieczniejszéj, że wystosowanéj przez niższe od nas stworzenia, — a nakoniec w marzeniach i nadziejach postępu i lepszéj przyszłości, tém ponętniejszych, że okrytych całą cudownością wyobraźni i zwiastowanych w grze wyższych od nas istot. Nawet w języku i składzie wiersza połączył Spenser dwie oddzielające się epoki, bo gdy w mowie, a często i w toku, jak osobliwie w *Kalendarzu Pasterza*, naśladuje Chaucera i jego następców, tak znowu w ostatnich swych utworach samodzielnie tworzy rytm, który odtąd bierze jego nazwisko (Spenserian Stanza) i staje się najpiękniejszym wzorem dla przyszłych pokoleń. Nie dziw przeto, że w téj licznéj gromadzie poetów, którzy się przy nim kupili, wszędzie znajdujemy odblask jego ducha, kierunek przez niego naznaczony. Jedni poszli w stronę dydaktycznéj moralności, jak Donne i Raleigh; drudzy w stronę filozofii, jak Sidney, a osobliwie

Davies, który w swym wielkim poemacie *O Duszy i jéj nieśmiertelności* stał się ojcem tak nazwanych metafizycznych poetów; inni wzięli przedmioty religijne, jak jezuita Southwell, autor *Żalów św. Piotra* i *Pogrzebowych Łez św. Magdaleny;* inni jeszcze, jak Warton, Drayton, Daniel, poczęli obrabiać od początku do końca dzieje swego narodu. Ci ostatni byli najliczniejsi i najpłodniejsi. Jeszcze w połowie XVI. wieku Tomasz Sackville, który uważany jest za łączące ogniwo między Chaucerem a Spenserem, począł był poemat dokończony przez innych pod tytułem: *Zwierciadło dla urzędników*, gdzie dla nauki współczesnych historyczne osoby kolejno jedna po drugiéj występują. Skoro Spenser się zjawił, mniejsi pisarze, niezdolni zrównać mu w bogactwie wyobraźni, wzięli się do opowiadania jego sposobem narodowéj historyi. Oni to dostarczyli wątku Szekspirowi. W Warnerze znajdujemy dobrze opowiedzianą powieść i o śmierci Ryszarda III., i o Macbetha zbrodniach, i o Leara nieszczęściach. Nie brakło także na pisarzach, którzy zasmakowawszy w melodyjnym toku mistrza, rzucili się do tłomaczeń z obcych języków. Są to często niewierne, ale za to pełne świeżości przekłady. Chapman przetłómaczył Homera, Harrington Ariosta, Fairfax Tassa, Fanshawe Kamoensa, Sylvester popularnego wtedy francuzkiego Du Bartas, a Drummond cały urok miłośnéj poezyi włoskiéj swéj mowie przyswoił.

Lecz przychodził czas, gdy wzburzonemu i ciągle wyłamującemu się duchowi narodu nie wystarczały już spokojne opowiadania i obrazy, choćby najbogatszéj wyobraźni. Potrzeba mu było treściwszych całości, rzeczywistszéj i dotykalniejszéj gry uczuć, bliższego i srozszego ścierania się namiętności. Zapragnął dramatycznéj tragiczności — i przyszedł Szekspir. Nie tu miejsce opisywać, jak dramatyczność ta wywinęła się z małych początków, jak przeszła z przedstawień z historyi świętéj do tak nazwanych Morałów w Akcyi; jak następnie z Interludów Jana Heywood, w których po raz pierwszy znajdujemy nie allegoryczne już figury, ale osoby z potocznego, pospolitego życia, rozdzieliła się na lewo w komedyą i wydoskonaliła się od niezgrabnéj sztuki Udalla *Roister Doister*

w kształtowność mask i dram komicznych, które najczęściéj dla zabawy dworu układali Kyd, Lyly, Greene, Nash, Lodge, a w końcu Ben Jonson, — a na prawo w tragedyą, która od dramatycznych kronik, od *Króla Jana* przez biskupa Bale, od *Gorboduca* przez Sackvilla, wzniosła się do powagi melodramatycznéj w *Dawidzie* Peela, a nawet do szczytności w *Tamerlanie* i *Fauście* Marlowa; jak nareście dwa te, coraz bystrzejsze strumienie znowu spłynęły i w doskonałą złączyły się jedność w nieporównanym całokształcie sztuk szekspirowskich. Szekspir, nowy a wyższy rozjemca, głębiéj, dobitniéj, rzeczywiściéj, potęgą doskonalszéj sztuki wypełnił to, co Spenser i jego hołdownicy ledwie zarysowali. Jakoż satyra jego już jest uosobistniona, występuje bez osłony, w charakterach żywo wziętych ze spółczesnego towarzystwa. Historyczność z wolnego, drobiastkowego toku wychodzi w pełnym majestacie swych tragicznych żywiołów. Odwieczne prawa boże a próby ludzkości ścierają się w ostatecznéj walce między złem a dobrem. W *Śnie nocy letniéj* i *Burzy* ideał wypromienia się z nędzy, ze śmieszności, z błota teraźniejszości. W *Makbecie* kara doczesna, Nemesis duchowa, ściga zbrodniczą ambicyę aż do brzegu przepaści. W *Learze* zasługa starego wieku spotyka się z zarozumiałą niewdzięcznością nowego. W *Romeo i Julii* i w *Otellu* wieczną, pierwotną nić uczuć ludzkich zrywa względność i fatalność obecności. W *Hamlecie* znowu ta wieczna, boska wiedza dobrego i pięknego staje niechętnie w zapasach z koniecznością, z próbą obecności, waha się i gubi, bo zgodzić w porę nie umie bożą prawdę w sobie z zewnętrznemi czynami, do których fatalne wypadki nieochybnie walczącego popychają. Szekspir już dziś został uznany za wieszcza po wszystkie narody i czasy, ale ten tylko zrozumie w zupełności jego zadanie i oceni sposób, w jakim on go wykonał, kto się przeniesie do tego okresu, kto wywoła przed siebie te krwawe i ciężkie chwile, kiedy w Anglii duch narodowy wyłamywał się z pod jarzma przemocy politycznéj, kiedy nowa spanoszała klasa pięła się by zastąpić dawną szlachtę, po większéj części w czasie wojen wygubioną, kiedy wreście wszystkie chucie i namiętności rozbiegły się do koła,

a wiara stała się igraszką wedle kaprysu monarchy. Nastręcza się tu wielkie zapytanie: czego do wszechstronnéj doskonałości brakowało Szekspirowi? Wysoko on wywiesił sztandar moralności, ale Chrystusa i bliższych objawień jego nauki nigdzie nie ujrzysz. Wspominam to tylko nawiasem, by już zawczasu naznaczyć dzieło, nad którego wyrobieniem dzisiejsza pracuje literatura, ale które zaledwie dopiero świta na jéj horyzoncie.

Tragiczność, o któréj mowa, była w całéj atmosferze, we wszystkich warstwach towarzystwa. Niezadziwia więc niesłychana liczba pisarzy dramatycznych, którzy obudzeni geniuszem mistrza rozbiegli się po tysiącznych kierunkach przez niego otwartych. Chapman, Dekker, Middleton, Webster, Marston, Tourneur, Taylor, Chettle, Rowley, Shirley, Tomasz Heywood, który 220 sztuk napisał, — a jeszcze wyżéj nad nimi Ben Jonson, Ford, Massinger, Beaumont i Fletcher, są imiona przypominające świadomym niesłychany przepych i zabiegłość myśli ludzkiéj. Każdy z nich byłby zaszczytem najbogatszéj już literatury, w każdym znaleść można prawdziwie szekspirowskie sceny, ale brak im całości, pojedyńczości w pojęciu charakterów, brak jedności w zasnuciu i rozwikłaniu intrygi, zgoła brak kunsztu, który przecież w Szekspirze nie jest kunsztem, bo przedstawia nam wszystko w zupełnéj rzeczywistości, każe kochać lub nienawidzić swych bohaterów jak żyjące osoby, porywa nas od początku aż do ostatecznéj katastrofy, jak gdyby rzecz była z naszą własną istnością nierozdzielnie skojarzona.

Po znurtowaniu takowém serc i dusz ludzkich czegoż niedostawało jeszcze téj epoce do zupełności? Jakież wyższe jeszcze mogło poezyę czekać powołanie? Naród przeszedł był już teraz wszystkie gwałtowne przemiany w swym politycznym, społecznym i religijnym układzie. W zapędzie swoim przekroczył był nawet godziwe granice. Przeto potrzebował się urządzić w nowym kształcie, po długich zawichrzeniach zasnuć w regularny tryb i pochód życia, potrzebował uspokoić się. Nadto po tak wielkiéj zmianie w wyobrażeniach religijnych musiał zapragnąć dowodu, że się tylko z błędów oczy-

ścił a w niczem żywotnéj doskonałości chrystyanizmu nie naruszył. Ztąd zadaniem poezyi było wystąpić w spokojnéj, uroczystéj, a do tego religijnéj epopei. I znalazł się Milton, który szczytnemi obrazami opowiedział znowu upadek człowieka, początek złego i dobrego, które tu nową były stoczyły walkę; a tak po zaćmieniu i odurzeniu burzliwych czasów przypomniawszy wieczne losy ludzkości, roztworzył na nowo raj utracony i pokazał odkupienie.

Uspakajanie się to jest cechą wszystkich pisarzy, którzy w niedalekim odstępie poprzedzili Miltona. Popęd ten jednak na rozmaite rozdzielił się gałęzie. Jedni, jak gdyby dla uzupełnienia okręgu, którego Spenser był początkiem, jego niknący odblask w swych poezyach na nowo rozżarzyli, a tymi są: pastoralny Browne, Wither, Chalkhill, Davenant autor poematu *Gondibert*, Phineas Fletcher, który w swéj *Wyspie Purpurowéj* cały organizm moralny człowieka opisał. Drudzy rzucili się do dworackiego poloru, wykwintności, miłostkowości, i albo pisali na woskowych tabletach i kości słoniowéj w naśladownictwie tak nazwanéj szkoły francuzkiéj, albo téż wznosząc się wyżéj bronili nadwerężonéj zasady monarchicznéj i chwiejącego się tronu, a celniejszymi z nich byli: Carew, Suckling, Cartwright, Cleveland, Lovelace. Najważniejsi wreszcie wzięli za swój przedmiot cześć cnoty, miłość ojczyzny, pobożne myśli i religijną surowość, jakoto: King, Hume, hrabia Stirling, Denham przypominający klasyczną wytworność Daviesa z przeszłego oddziału, — Biskupi Hall i Corbet, oba nieco za weseli i ucinkowi na prałatów, Giles Fletcher autor *Triumfu Chrystusa*, pobożny Herbert, Harrington, Vaughan, Herrick, który zarazem w hymnach i w anakreontykach celował, Crashaw autor sławnego *Carmen Deo Nostro*, wielbiciel św. Teresy, Quarles, którego pisma dostarczyły Youngowi wzoru do *Myśli nocnych*, wielki patryota Marvell, a w końcu tyle sławiony Cowley, który napisał poemat *Davideis* i właściwie zamyka ten szereg, bo umarł w tym samym roku (1667) co ujrzał w druku *Raj utracony* Miltona. Żaden jednak z tych pisarzy ani przybliża się w talencie poetycznym do Miltona. Jako bowiem polityczne oddziałanie po kromweloskiéj pospo-

litéj rzeczy na czas jakiś wszelki postęp wstrzymało, jak gdyby dla dania narodowi sposobności do pomiarkowania się i uzupełnienia swéj nowéj epoki rewolucyą 1688 roku tak w dziedzinie literackiéj nastąpiła po zawierusze namiętności zupełna niemoc i odrętwienie, zanim Milton przyszedł położyć ostateczny kamień gmachu poczętego za Elżbiety.

W długim tym okresie, bo lat sto zajmującym, proza odegrała mniéj świetną ale równie ważną rolę jak poezya. Język odsłonięty w swéj rodziméj wartości przez pierwszych tłomaczów pisma świętego, jak Wickliff, Tyndal, Coverdale, — wzbogacony przez początkowych kronikarzy i polityków, krytyków i retoryków, jak Fortescue, Caxton, Leland, Cavendish, Wilson, Nash, Harvey, Roger Ascham ze dworu Elżbiety, Bellenden ze dworu Maryi Stuart, wypracowany i wygięty przez szermierzy w szrankach religijnych, jak sławny Fischer, a sławniejszy jeszcze Tomasz Morus z jednéj strony, a z drugiéj arcybiskup Cranmer, Latimer, Ridley, Jan Fox autor znanéj *Księgi męczenników*, Hooker pracowity historyk *Reguł kościelnéj polityki*, — wypieszczony przez euphuistów, czyli zwołenników wykwintnego, śpiewnego wymawiania i stylu, — oczyszczony znowu z drobiazgowej pieszczotliwości, a w klasyczną wytworność przybrany w Spensera dziele o *Irlandyi*, i Sidneya *Arkadyi*, — język tak stopniowo wzmagający się w siły, proza ta kształcąca się pod skrzydłem górującéj nad nią poezyi, doszła była z końcem XVI wieku do męskiéj dojrzałości. Wydoskonaliła się ona idąc od ujmującej prostoty Morusa, do hartownéj zwięzłości Aschama, a od kunsztownéj błyskotności euphuisty Lylego, do poważnéj a kraśnéj nadobności Sidneya, który dał wzór dotąd nieprzewyższony najpoetyczniéjszego stylu w niewiązanéj mowie, i stał się ogniwem między dwoma szeregami poetów i prozaistów. Tak wykształtowany język przyszedł teraz na posługi wielkich myśli i teoryi. Zaraz też na wstępie XVII wieku spotykamy wyniosłą postać Bakona, ojca experymentalnéj filozofii. Rozgraniczył on cały obszar umiejętności ludzkich; zarysował wszystkie kierunki nauki w gałęziach nawet, które dopiero późna odkryła potomność; zgoła postawił zadanie, jakie dotąd Anglia skrzętnie

obrabia. Usunąwszy na bok objawioną religię, wytknął trzy główne oddziały nauk i umiejętności, to jest historyę, poezyę i filozofię, jako odpowiadające trzem władzom ducha, pamięci, wyobraźni i rozumowi. Wspominam znany ten podział dla tego jedynie, że muszę go przyjąć, by się pomiarkować w tłumie pisarzów, którzy tu zewsząd na pamięć się cisną. Sposób pisania historyi nie doszedł był jeszcze spokoju i jasności późniejszych, ale już dobitnie okazywał ich główne przymioty. Walter Raleigh z wielkim zasobem wiadomości pracowicie skreślił dzieje świata do upadku państwa macedońskiego. Buchanan szkocki (lubo piszący po łacinie) a Holinshed angielski otworzyli swemi kronikami obszerne pole dla skrzętnych historyków jak Grafton, Spelman, Speed, Daniel, Wotton. Stow wydał obszerny opis Londynu; Hakluyt sporządził przegląd odkryć morskich; Purchas ciągnął daléj dzieło ostatniego; Davis, sławny żeglarz, który dał swe imie amerykańskiéj cieśninie, ogłosił hydrograficzny opis świata; Sandys obszernie opowiedział swą podróż do Turcyi i ziemi świętéj, Herbert do Persyi i Indyi, Howell dał pierwszy wzór podróży w listach pisanéj, a Szkot Lithgow szerokie zdanie sprawy o 48 królestwach, 21 rzeczypospolitych, 10 udzielnych księstwach i 200 wyspach, które zwiedził. Do tego oddziału należy Camden zawołany antykwaryusz, Heylin autor *Microcosmu*, Selden herbownik, Cotton, którego zbiór manuskryptów stanowi najdroższy skarb dzisiejszéj biblioteki londyńskiéj. Ponieważ o poezyi osobno była mowa, tu pozostaje tylko wspomnieć o prozaikach, którzy na jéj koczowali granicach a z tych najsławniejsi są: urywkowi esseiści Dekker i Overbury, Gauden autor *Ikon Basilike*, pobożnych medytacyi popolicie przypisywanych Karolowi I., a mianowicie Robert Burton, o którego niepospolitém dziele *Anatomia Melancholii* nawet pedancki Johnson mawiał, że było jedyne, co go z rana budziło dwie godziny wcześniéj niż wstać zamierzał. Na pograniczu tem równie godziłoby się stawić i Jakóba I. który pisał o Demonologii, — i Harringtona, co w swéj *Oceana* wystawił wzór idealnéj rzeczpospolitéj, — i Tomasza Browne nadzwyczaj dowcipnego autora dzieła *O Pospolitych przesą-*

dach i *Religio Medici*, — i Izaaka Waltona, który na swéj *Wędce* pełno bogatych zdobyczy wyciągnął, — i w końcu owego wielkiego Bunyana, co w swéj *Pielgrzymce* wystawił prawdziwą epopeję chrześcijańską, pokazując w dziwnie ponętnéj allegoryi, — lubo czasem za nadto posępnéj, co pochodzi z jego kalwinistycznych pojęć, — wszystkie próby, trudy, pokuty i ostateczne zwycięztwo dobrego chrześcianina na téj ziemi. W oddziale filozofii po Bakonie, że opuszczę Burleigha, nieco wcześniejszego, i deistę lorda Herbert, autora *de Veritate*, dość jest wspomnieć jedno imie: Hobbes. Należy on do ogólnéj literatury, bo tłomaczył Tucydydesa i Homera. Ale dziś znany on jest tylko, jeszcze może za nadto, z przerażającego systematu filozofii, który wyłożył w swych licznych dziełach, a osobliwie w *Leviatanie*, w traktatach *O naturze człowieka* i *O wolności i konieczności*. Człowiek nie ma wolnéj woli, bo jeżli może chcieć, to chcieć żeby chciał nie może (jakżeż to daleko od mądrości św. Augustyna, który powiada: Voluntati nihil tam facile quam ipsa sibi), — jest on samolubném i okrutném zwierzęciem; trzeba żelaznéj ręki despotyzmu, by go w karbach utrzymać, a im cięższy despotyzm tem bliższe jego pochodzenie od Boga, — oto dwie główne zasady jego teoryi. Zrodzić się ona tylko mogła z tragiczności owych czasów. Nie brakło téż na silnych przeciwnikach. Ci znaleźli się w szkole tak nazwanych platonistów, między którymi najznakomitsi byli More, Cumberland i Cudworth. Z swojéj strony teologowie dostarczyli także niepospolitych zapaśników. To wspomnienie prowadzi do ostatniego oddziału.

Liczba jak duchownych tak świeckich w zawodzie piśmiennictwa religijnego tak jest wielka, a jedni tak daleko wkraczali w granice filozofii, drudzy historyi, a inni jeszcze poezyi, iż niepodobna żadnego szyku między nimi ułożyć. Nic pono dokładniéj okazać nie może téj pochopności do kontrowersyi teologicznych, niż udział, który w nich mieli oba królowie i Jakób I. i Karol I. Tamten pisał o apokalipsie, ten mięszał się i słowem i piórem do wszystkich rozpraw swego czasu. Za Jakóba to wyszło owe uprzywilejowane tłomaczenie biblii w 1611, sporządzone przez 54 komisarzy, które dotąd ma

niewzruszoną powagę. W niéj zasiadał biskup Andrews, najcelniejszy kaznodzieja z wieku Elżbiety i Jakóba. Odtąd poczyna się nieprzerwany rząd luminarzy kościoła anglikańskiego. Usher, Chilingworth, Hales, Felltham, Wilkins szwagier Kromwela, dowcipny South, Barrow matematyk i teolog, Burnet autor *Św. Teoryi ziemi*, zawołany kaznodzieja Tillotson, Fuller, który tak napisał dzieje kościoła anglikańskiego jak Spottiswood szkockiego, samże Milton który począł swój zawód od wsławienia się w téj broni, — między tak zwanymi nonconformistami Baxter i Owen, między kwakrami Fox, Barclay i Penn, który napisał dzieło *Bez krzyża niema korony*, i od którego Pensylwania wzięła swe imie, — a pośrodku tych wszystkich najwyżéj stojący Jeremy Taylor, bo i stylem i myślą należy do pierwszych dygnitarzy literatury angielskiéj, — są to pełne sławy imiona wysoko zapisane w Anglii na przybytkach dziś w tyle sekt rozdzielonego protestantyzmu.

W heroldyi literackiéj zwykle nazywają Jeremiasza Taylora Szekspirem w prozie. Jestto wielką pomyłką, bo jeźlić wolne jest podobne upatrywanie pokrewieństw i rozdawnictwo godności, to dość nawet w tym zwięzłym powiedziało się wykazie, by się zgodzić na to, że właściwie Hobbes jest Szekspirem, tak jak Sidneya Spenserem a Bunyana Miltonem w prozie nazwaćby można. W saméj rzeczy jak Sidney tak Spenser są zarówno pełni fantazyi, igrającéj jeszcze po powierzchni tęczowemi kolorami; Szekspira i Hobbesa mogły z swéj tajni wynurzyć tylko tak głęboko tragiczne, jak owe czasy; a w Miltonie i Bunyanie widać jednakowo promienne uspokojenie się religijne.

Na tém skończę epokę Elżbiety, albo właściwiéj mówiąc epokę za Elżbiety poczętą. Kto przejrzy jéj skarby, kto wspomni razem że to był wiek, w którym ścisłe umiejętności także nadzwyczajny postęp zrobiły, w którym Napier odkrył Logarytmy, Harvey wytłomaczył krwi cyrkulacyę, a pod koniec Newton już prowadził głębokie swe rachunki, tego nie zadziwi twierdzenie Anglików, że z nim ani czasy Periklesa, ani Augusta, ani Leona X. ani Ludwika XIV. nie mogą się rów-

nać. Poezya główne tu trzyma miejsce i najlepiéj ducha czasu odbija. Imaginacya i fantazya rządziła wszystkiém. Główną zaś cechą poezyi była dramatyczność, bo dramat wszystkie jéj kształty w sobie potężniéj rozwijał i łączył, a w akcyi pochód gry namiętności i wyobraźni doraźniejszym czynił. Duch był tak wysoko nastrojony, że proza nawet była poezyą w połowie. Przedmioty wybierane należały raczéj do ostatniéj jak do pierwszéj. Było to niejako rycerską chlubą czcić ideał, hołdować wszystkiemu co nad poziomy wybiega, i utrzymywać się na wyżynach, które natchnienie zdobyło.

Stuletni okres zajęty między rewolucyą 1688 r. a końcem wojny z Ameryką, albo raczéj między ogłoszeniem *Raju utraconego* a zjawieniem się Cowpera jest okresem stopniowego upadku. Wytyczna krytyka stawia Chaucera, Spensera, Miltona, Drydena, Cowpera i Wordswortha jako potęgi rozgraniczające cały obszar literatury angielskiéj i gromadzące koło siebie najwyższą jéj pracowitość umysłową. O pierwszych trzech już była mowa. Dwaj ostatni należą do epoki, którą skreślę obszerniéj w osobnym artykule. Pozostaje Dryden. I on i ci, których mu za towarzyszów dodać wypada, datą pism swoich należą do poprzedniéj epoki, ale cechą już do następnéj; a jako Miltona i kilku innych przygarnąłem, dla dopełnienia, do czasów których świetność poczęła mierzchnąć z końcem pierwszéj połowy XVII wieku, tak tu Drydena przychodzi mi przerzucić nawet po za ostateczny ich odblask, chociaż on wiele jeszcze pochwycił z promieni zachodzącego słońca. Zwykle zowią go ojcem klasycznéj szkoły, która odnowiła niby to wiek Augusta za królowéj Anny, a zwą tak dla różnicy z romantyczną, z rodowitą angielską Spensera, Szekspira i Miltona. Klasyczność ta już przedziera się daleko dawniéj, bo Marston, Hall i Sackville, i Ben Jonson w swych tragedyach i komedyach szukali przykładów i wzorów w Terencyuszu i Senece, w Persyuszu i Juwenalu, a Donne, Davies w swym poemacie *Nosce te ipsum*, Cowley w *Davideis* szczycili się pochodzeniem od Pindara, Horacego i Wirgiliusza. Chrzestnego wreście ojca znalazł Dryden w spółczesnym Wallerze, tyle słynnym z jasności i ogłady językowéj. W istocie

smak obudzony przez Drydena uważać można jako kierunek równoległy, jeźli nie pochodni od tego, który ówcześnie objawiał się we Francyi za Ludwika XIV. Dryden próbował swego pióra w każdym oddziale literatury, i w wierszu i w prozie, był zarazem dramatykiem, lirykiem i satyrystą. Oprócz niezrachowanéj liczby tłomaczeń, bajek, satyr i ulotnych wierszy, zostawił 8 poematów i 28 sztuk dramatycznych. Sam wyznaje, że z ostatnich jednę tylko wedle własnego natchnienia napisał, resztę zaś podług psującego się smaku swych czasów. Wyjąwszy téż krótkiego wiersza pod tytułem *Uczta Aleksandra*, gdzie widać polot wieszczów dawniejszych, we wszystkich innych jego utworach znajdujemy miasto rodziméj twórczości kunsztowną ogładę, miasto wewnętrznéj harmonii zewnętrzną symetryczność, miasto dobrodusznéj komiczności konceptową satyrę. Język, zwłaszcza po bujnym urodzaju przeszłéj epoki, może zyskiwał, ale literatura traciła. Rzecz jasna, że upadek ten musiał być widoczniejszym w pisarzach mniejszéj zdolności. Satyra polityczna wszystko ogarnęła. Wkrótce karykatura wypędziła nawet satyrę, czułostkowość prostotę uczucia, a dworactwo przyzwoitość światową. Wszędzie już koncepta, zasadzki, i bawienie się w trudne rymy. *Świetny Szyling* Phillipsa i *Hudibras* Butlera są najlepszym tego dowodem. Cóż dopiero mówić o takich jak Sedley i zniewieściały Rochester w poezyi a L'Estrange w prozie, w tragedyi Lee, a w komedyi Shadwell i Etherege. Ledwie wyjątek znaleźć można w kilku scenach *Sieroty* i *Wenecyi* Otwaya, w wesołéj łatwości i ruchawości komedyi Wycherleya, w poemacie księżnéj Newcastle *Wesołość i Melancholia*, i w listach lady Rachel Russel. Polityka za to i historya pod piórem Evelyna, Szkota Mackenzego, Algernona Sidneya, a osobliwie Clarendona, zapowiadała wysokie swe przeznaczenie w przyszłém stuleciu. Bez krzywdy więc przeskoczyć od razu można do owéj augustowskiéj ery pod królową Anną, włączając do niéj pisarzów pozostałych z końca XVII. wieku. Na czele téj ery stoi Alexander Pope. Tyle, co on, żaden z dawniejszych autorów angielskich nie jest w Polsce znany. Zaiste, trudno odmówić nadzwyczajnego talentu autorowi *Satyr*, *Duncyady*, *Listów*

Heloizy, *Wiersza o Człowieku*, *Porwanego Pukla*, tłomaczowi *Iliady*. Lecz stoi on już najdaléj od źródła narodowego uczucia i natchnienia. Przy całéj niesłychanéj zdolności, nie rozwinął ale owszem cofnął i stłumił postęp wielkiéj myśli, która tli się w literaturze angielskiéj i która dzisiaj znowu wybuchnąć usiłuje. Wiersz gładko utoczony, zgrabny kontrast, klasyczna antiteza, sentencya jak perła ulana i prosząca się do wzięcia na dewizę, oto co zrobiło go i łatwym do przekładu i ulubionym przez inne narody, bo one wtedy nie dawały sobie jeszcze pracy by pojąć rzetelnego ducha Anglii a tylko podziwiały utwory Popego jakby tłomaczenia jakich zagubionych dzieł starożytnéj klasyczności. Lecz i to podobieństwo do starożytnych było tylko zewnętrzne; był krój sukni, lecz nie suknia sama. Wprawdzie u wszystkich pisarzy tego czasu widać pracowitą naukę: nie ma anachronizmów zewnętrznych; Rzymianie już nie proszą o arkusz papieru, nie pytają się która godzina na zegarku, Grecy przy oblężeniu Troi nie przytaczają Arystotelesa. Ale niech kto weźmie *Iliadę* Popego, niech porówna na przykład opis nocy po księżycu i zajrzy późniéj do przekładu Cowpera, a przekona się jak człowiek uczucia, choć z mniejszą zdolnością, łatwiéj przenika w duch każdego wieku i narodu. Któżby dzisiaj oddał jedną scenę z szekspirowskiego *Juliusza Cezara*, za całą tragedyę *Cato* Addisona. Poprawność i symetryczność stała się więc głównym celem. Muza opuściła swe zdroje rodzinne, tajniki pięknéj sielskiéj natury, a przybrawszy się w fałszywe kwiaty, w szychowe błyskotki, udanym rumieńcem namaściwszy lica, poszła z swą harfą nad sztuczne wytryski i kaskady, między Fauny i Nimfy z kamienia, obstawione regularnemi rzędami kwiatów i krzewów wypielęgnowanych po cieplarniach. Nie unikano *mala in se*, ale *mala prohibita* poczytywano za zbrodnię. Jeszcze lat temu trzydzieści trudno byłoby u nas tłomaczyć szkodliwość podobnego kierunku, ale dziś jest już zbyteczném dowodzić, że ceremonialna układność nie jest więcéj właściwą i konieczną poezyi jak pokaźny strój w ważnych sprawach życia, lub niewolnicza etykieta na dworze mądrego monarchy. Nic może więcéj nie maluje wątłości i upadku w tym okresie niż to, że

brano za kardynalną zasadę, iż pierwszém powołaniem poezyi jest zostać służebnicą u polityki. Każdy był przedewszystkiem albo whigiem albo torysem. Pope, Swift, Gay, Prior, Parnell, Garth, nie szukali najprzód innego patentu. Wziętość *Katona* winien był Addison politycznéj zawziętości, która upatrywała w téj sztuce przytyk i satyrę na dyktatorskie zamiary Malborougha. Na wywrot téż tego, com powiedział o przeszłéj epoce, przedmiotom tu przez rymotworców wybieranym daleko lepiéj i wygodniéj byłoby w prozie. Niech posłużą za przykład Priora *Mądrość Salomona*, Popego *Wiersz o człowieku*, Blackmora *Stworzenie*, Gaya *Wachlarz* i *Droga po ulicach Londynu*, Gartha *Apteka*, a nawet Greena *Spleen* i Parnella *Wiersz o śmierci*, i jeszcze Younga *Myśli Nocne*. Jeźli gdzie dotąd sączy się słabą nitką pierwotny strumień, to w tych, których Anglicy zowią mniejszymi poetami tego okresu, lub w pisarzach nieledwie że niewspółczesnych przedświtowi następnego. Dostrzedz to blade natchnienie można w Tickella balladzie *Colin* i *Lucy*, w Collinsa odzie o *Namiętnościach*, w Shenstona *Ochmistrzyni*, w Graya *Cmentarzu wiejskim*, w Akensida *Uciechach Imaginacyi*, w Goldsmitha *Wsi opuszczonéj*, w Falconera *Rozbitym okręcie*, a najwydatniéj w Thomsona *Porach Roku*, gdzie jeźli nie ma głębokiego uczucia, to przynajmniéj jest już rozmiłowanie się w obrazach sielskiéj natury. Niepodobna téż czterech następujących pominąć, lubo ich sława polega na tytułach dotąd nierozstrzygniętych. Churchill pisał satyry i przeglądy potocznych wypadków, które mu w owym czasie zyskały nazwisko pierworodnego syna Drydenowego. Ramsay, autor poematu *Luby Pasterz*, pierwszy w Szkocyi obudził poezyę, na któréj ustach oschły i surowy kowenantyzm od stu lat położył był palec milczenia. Przy nim wspomnieć się godzi o niezrachowanéj liczbie ballad i pieśni z czasów wojny i awanturniczych przygód Pretendenta w 1745 r., chociaż nikt nie wie kto je pisał i puszczał w obieg. Chatterton, któremu się udało pod zmyślonem nazwiskiem Rowleya, mnicha XV. wieku, oszukać najbystrzejszych krytyków, więcéj winien swą sławę smutnemu swemu końcowi niż wewnętrznéj wartości pism swoich. Macphersonowi wreście nie-

przyznano jeszcze, że *Ossian* jest samoistnym jego utworem. W ogóle dzieło to daleko więcéj znalazło wziętości i wpływu za granicą niż w Anglii. W podobnym stanie literatury nie mogło być wątku na poważny dramat. Jakoż przez lat sto oprócz Addisona, dwa tylko imiona są nieco dotąd zapamiętane: Rowe, który napisał tragedye *Piękna Pokutnica i Johanna Shore*, i Southerne autor *Orinooko*, dramatu dla tego jedynie wspominanego, że w nim znaleziono pierwsze potępienie handlu murzynami. Za to zjawił się nowy rodzaj komedyi, w któréj płynny dialog, figlarność, dowcipne odpowiedzi, kalambury, poczęły najważniejszą grać rolę. Już dawniéj Wycherley i Pani Behn odznaczyli się w tym kierunku. Intryga najczęściéj jest wzięta z francuzkiego lub hiszpańskiego. Bezwstyd, zrodzony za czasów restauracyi, rozpasuje się tu bez ogródek. Do jakiego to dochodziło stopnia, dość powiedzieć, że nawet owego wieku kobiety musiały przychodzić w maskach do teatru. Teraz, komedya tego rzędu znalazła nieco skromniejszych i zdolniejszych zwolenników, a tymi są: Congreve, Vanburgh, Farquhar i Cibber. Jeszcze jeden niegodziwy żywioł zaczął się w tym okresie wkradać do dramatu, to jest apoteoza zręcznych łotrów i sławnych rabusiów, jak to widzieć można w tyle popularnéj sztuce pod tytułem *Hultajska opera*, w któréj Gay wziął za przedmiot głośnego ówczas złoczyńcę Jack Shepparda, wyrwanego dziś z zapomnienia, na wstyd naszego wieku, przez jednego z najulubieńszych teraz romansistów. Lecz już Garrick się podnosił, z nim Szekspir, a z Szekspirem powracało prawdziwsze pojęcie dramatu. W krótkim téż bardzo przeciągu, pod sam koniec téj epoki, zjawiają się daleko znakomitsi od tamtych pisarze, jak samże Garrick i Goldsmith, Home, Walpole, Foote, Macklin, Cumberland, Murphy, Pani Cowley, Colman i Sheridan, których sztuki dotąd panują na teatrze angielskim.

Proza w tym okresie, jak się łatwo dorozumieć można, daleko ważniejsze od poezyi zajmowała stanowisko, lubo u wielu nie zdołała się wyjarzmić z pod istniejących rządów złego smaku. Historya wzrosła do uroczystéj powagi. Zbytecznóm byłoby wyliczać dzieła tak znanych pisarzów jak Goldsmith,

Robertson, Gibbon, Hume i Smolett, lecz nie zbytecznèm będzie nawet tu powtórzyć przestrogę, że pompatyczny Gibbon, nieprzyjaciel chrześciaństwa, więcéj winien swą sławę ponętnéj, błyskotliwéj, kwiecistéj stylu barwie, ciągłemu popisywaniu się z bogatą nauką, niż gruntownemu, sumiennemu poglądowi w dzieje świata i rzetelnéj znajomości źródeł historyi, w czém zapewnie już niedaleka pomiarkuje się przyszłość. Oddział polityczny historyi, posunięty do wysokiéj znajomości przez Williama Temple pod sam koniec XVII wieku, w XVIII znalazł szerokie rozwinięcie w dziełach Bolingbroka, De Lolma i Burkego. Wymowa parlamentarska niezdolna jest nigdzie postawić większych imion jak Chatham, Burke i Sheridan. Prawnictwo słusznie się szczyci Blackstonem. Swift, Defoe, Bolingbroke, Wilkes i Bezimienny kryjący się pod nazwiskiem Juniusa, pokazali co może pióro maczane w żółci, a prowadzone ręką namiętności politycznéj. Był to złoty wiek dla tych pism peryodycznych, na pół politycznych, na pół literackich, którym Addisson i Steele otworzyli świetny zawód w *Gawędzie* i *Spektatorze*, a które w ręku Johnsona były jeszcze straszniejszą potęgą. Nic bowiem porównać się nie może do władzy, do terroryzmu literackiego, które Samuel Johnson sprawował. Od jego sądów nie było odwołania. Był jeszcze groźniejszym w Anglii niż Voltaire we Francyi. Jednèm słowem to wznosił na trony, to w pył obracał wydobywające się talenta. Krytyka w jego dłoni była jak owa rószczka Graciozy, dla jednych biczem ze strasznych rzemieni, dla drugich zwitką z łabędziego puchu. Sam pisząc we wszystkich kierunkach, od historyi do romansów, od poezyi do słownika, porozstawiał swoje czaty na około całego obozu literatury. Nie było zdania o tém co się zdarzało lub zjawiało w druku, póki on swego wyroku nie wydał. Nie dziw więc, że Boswell cztery grube tomy zdołał zapełnić samemi przypomnieniami rozmów z Johnsonem. Byłże wpływ jego zbawiennym? Wątpię, gdyż jego krytyka sucha, etykietalna, dogmatyczno-klasyczna, mogła tylko opóźnić zawrót do prostoty i swobody. Listy Lady Montague, dyktatorstwo Chesterfielda i anekdotyczny *Diariusz* Horacego Walpole należą do pobocznych dowodów jak dowcip

i szyderstwo wysokie w tym wieku sprawowały rządy. Były to także świetne czasy dla romansu: i jeżeli co z prozy tego okresu nie zaginie, to ta część literatury. Swift i Defoe w satyrycznym, Fielding i Smollett w obyczajowym, a Richardson, Sterne i Pani D'Arblay w sentymentalnym romansie, podnieśli nowego przybysza między pierwsze dostojeństwa literackie. Może być nawet, że potomność nie będzie wiedzieć o *Tom Dżonsie*, o *Peregrinie Pickle*, o *Klarysie Harlowe*, ale już trudno, żeby kiedy *Gulliwer* Swifta, *Robinson Crusoe* Daniela Defoe, lub *Podróż sentymentalna* Sterna straciły miejsce, które zdobyły w powszechnéj literaturze europejskiéj. W dziejach filozofii po rewolucyi 1688 r. występuje najprzód wielkie imie Jana Locke. Pisał on i w religijnych i w politycznych przedmiotach, ale dziś znany jest tylko z swego traktatu o wiedzy ludzkiéj. W pięciu zmysłach był świat cały dla jego filozoficznego oka, dusza nie miała już żadnych tajemnic, można ją na stół wyłożyć, rozebrać jak zegarek i wytłomaczyć ruch każdego sztyfcika i kółeczka. Ta zasada, pochodnia od Bakona, jest dotąd przeważającym żywiołem w filozofii angielskiéj. Wprawdzie nie brakło na przeciwnikach lub na pośrednikach, którzy kusili się i kuszą pogodzić ją z tajemnicami religii. Najzaciętszymi zapaśnikami z Lockem byli teologowie Edwards i Stillingfleet. Boyle dowodził zgodności nauk przyrodzonych z religią. Ray śledził myśl i mądrość Boga w całém stworzeniu, i może być przeto uważanym jako bezpośredni poprzednik Paleya. Lord Shaftesbury, a późniéj Hutcheson i Reid wykładali teoryę tak zwanego szóstego, to jest moralnego zmysłu. Sceptyk Hume, który był pierwéj filozofem niż historykiem, wykładał że miarą wszelkiéj cnoty jest jéj użyteczność. Przeciw niemu Jerzy Campbell stawał w obronie cudów i cudowności. Berkeley przeczył bytności materyi. Mandeville, którego wierszowana powieść o pszczołach, w notach ważne zamyka przedmioty, bawił się dowodzeniem, że wszelkie złe prywatne jest dobrem publiczném. Adam Smith, tak sławny z swego ekonomicznego dzieła *O bogactwie narodów*, był również ojcem teoryi, że wszelkie

moralne przyzwolenie lub odrzucenie pochodzi z przedistniejącéj sympatyi. Beattie pisał o wiekuistości prawdy, w przeciwieństwie Humowi. Priestley występował przeciw Reida i szkockich metafizyków zasadzie zdrowego rozsądku. Jest to ten sam, który tak znakomite zajmuje miejsce między chemikami. Ścisłe téż umiejętności, osobliwie astronomia w skutku popędu danego przez Newtona, miały dostojnych imion podostatkiem; dość wspomnieć Halleya, Herschella, Dollonda wynalazcy achromatycznego teleskopu, Bradleya, który przez odkrycie aberracyi światła dostarczył nowy potężny dowód, że się ziemia obraca. W porównaniu z przeszłym wiekiem najuboższéj tu występuje kościelna literatura. Biskup Burnet napisał historyę kościoła angielskiego. Samuel Clarke, przeciwnik Leibnitza, dowodził w swych kazaniach o istności Boga a priori. Blair znany za granicą z swego dzieła o literaturze, w kraju więcéj był z swych kazań cenionym. Wesley, założyciel nowéj sekty, dziś najliczniejszéj z pomiędzy odszczepieńców kościoła anglikańskiego, był niezmordowanym wędrującym kaznodzieją, bo wyrachowano, że w życiu swojém, wprawdzie długiém, bo 88 lat przeżył, około 40,000 kazań powiedział. Najsłynniejszym jednak z wymowy kościelnéj był Whitefield, który miał mieć głos tak tkliwy, że kiedy wymawiał wyraz Mezopotamia, słuchacze w płacz się zanosili; co przypomina, że o naszym Osińskim mówiono, że rozczuliłby nawet rejestrzyk swojéj praczki czytając.

Oprócz więc romansu obyczajowego, literatura tego okresu żadnéj rzetelnéj nie ma zasługi. Poezya nie wyrobiła żadnego nowego kształtu. W prozie tu i owdzie wałęsają się prawdy, ale nigdzie na jaw w pelni nie wychodzą. Jeżeli poezyi było za mało w polityce, to za to w poezyi polityki za wiele. Są pojawy uczucia, obrazy natury, ale nie jak malowidła do podziwiania na dniu białym, lecz jak transparenta przy sztuczném świetle widome. Oto już lepsze zbliżały się czasy. Wszystko było na zawrocie. Wywalczenie niepodległości amerykańskiéj, poruszenie umysłów gotującą się rewolucyą francuzką zwróciły myśl człowieka na siebie, poprowadziły do

rodzimych, odwiecznych zdrojów uczucia i natchnienia. Bracia Wartonowie historyą literatury, a biskup Percy zebraniem zabytków staréj angielskiéj poezyi ocucili ducha narodowego. Johnson zstąpił z swego tronu, a uronione berło lękliwą ręką podniósł skromny Cowper.

Poeci angielscy
od Cowpera do Campbella.

Wilhelm Cowper (1731—1800).[1])

Najszlachetniejszym a razem najwyraźniejszym przymiotem utworów Cowpera jest poetyczna sumienność. Pisze zawsze z serca, bez namysłu, prawie bez przyboru. Bierze pióro do ręki nie dla tego, że znalazł albo zwrot dowcipny, albo zgrabne wyrażenie, ale temu, że mu myśl wieszcza w piersiach kołata i że czuje potrzebę a powinność dać jéj świadectwo na zewnątrz. Odrzuca więc wszystko, co jest próżną błyskotką, igraszką, bawidłem. Zawsze czerpiąc we własném natchnieniu, obchodzi się bez pożyczania u obcych, występuje w swéj rodzinnéj chudobie, bez względu czy mu nie przyganią modne reguły i istniejąca etykieta. Nie brak mu i innych znakomitych zalet, nie brak na głębokiém uczuciu, na twórczéj wyobraźni, ale przedewszystkiém w jego poezyach należy uważać na tę duchową rzetelność, bo ona to postawiła go na czele téj epoki, która dla tego tak obfite wydała plony, że wyswobodziwszy się z więzów nałożonych przez Popego i jego szkołę, wróciła na przestronną drogę szczerości i rzeczywistego uczucia. Jest pewna pociecha w tém wielkiém dostojeństwie, tak powszechnie dziś Cowperowi przyznaném, bo dowodzi, że równie w historyi jak i w literaturze, kiedy fałsz, przymus, rozpusta rozumu i serca, strwoni siły i zatamuje postęp narodu, to niekoniecznie potrzeba nadzwyczajnego ge-

[1]) Daty położone przy nazwiskach poetów oznaczają: pierwsza rok urodzenia, druga rok śmierci.

niuszu, często człowiek prostoty i rzetelności wystarczy, by go zwrócić na szeroki gościniec żywota.

Wilhelm Cowper urodził się w r. 1731 z rodziny szlacheckiéj, która zajmowała i do dziś dnia zajmuje wysokie stanowisko w arystokracyi angielskiéj. Dziad jego był jednym z pierwszych sędziów w królestwie, a młodszym bratem kanclerza i pierwszego hrabiego Cowper. Ojciec był kapelanem Jerzego II., matka, spowinowacona z najpierwszemi domami, wywodziła swój ród czterema liniami od króla Henryka III. Tak znakomity rodowód nie dodaje nic zapewne do bogatego wieńca poety, ale przysparza blasku cichości i pokorze człowieka, a cichym i pokornym Cowper był całe swe życie. Matka odumarła go niemowlęciem, bo zaledwie wtedy szósty rok liczył. Tkliwa dla niéj pamięć i cześć, równająca się ubóstwieniu, towarzyszyła mu aż do grobu, a w ciężkich przygodach życia opiekuńczém osłaniała skrzydłem. Nic nie ma rzewniejszego, nic powabniejszego prostotą i utęsknieniem, jak wiersz, który w późnych latach napisał do jéj portretu. Z dziwną niewinnością wraca do lat dziecinnych, igra u kolan matki, rachuje kwiaty na jéj sukni; przypomina sobie, jak cichą stopą skradała się do jego posłania, czy śpi, czy dobrze otulony, i składała mu pocałunek i błogosławieństwo na czoło; a nad rankiem co za uciecha, gdy go sama ubierała i muskała, by był gładki i pięknie między rowieśnikami wyglądał; a cóż dopiero, gdy przybranego w czerwony płaszczyk, w aksamitną czapeczkę, stary ogrodnik Robin na wyplatanym wózku ciągnął do szkoły jak na tryumfalnym rydwanie; lecz przyszła godzina boleści, słyszy jeszcze dźwięk pogrzebowego dzwonu, widzi czarny karawan, który mu zabierał ciało jego drogiéj mamy, woła za nią z okna, pyta niańki: czy prędko ona powróci? jutro i jutro — czeka zawsze tego jutra, ale napróżno, gdyż mówi:

Codzień mnie uwodziła nadzieja zdradziecka,
Bom był ofiarą jutra już nawet od dziecka.

Ten wiersz:

Dupe of to-morrow even from a child,

zdą się być treścią i wykładem całego pasma tęsknych jego

zawodów. Po śmierci matki oddano go do szkoły, lecz dokuczliwość współuczniów, którzy wrodzoną mu nieśmiałość i cichość brali za przedmiot zbyt dotkliwych igraszek, wkrótce go ztamtąd usunęła. Ojciec wysłał go późniéj do akademii westminsterskiéj, gdzie podówczas wielu, w dalszym czasie znakomitych, kształciło się ludzi. Cowper patrzał na nich z uwielbieniem, ale zbliżyć się nie śmiał. Osobliwie Churchilla podziwiał, chciwie przysłuchiwał się jego rozmowom, lecz od jego stóp oka podnieść się nie ważył. W 18 roku życia, zapewnie tradycyonalną sławą swéj rodziny zachęcony, wybrał sobie prawnictwo za powołanie. Lecz i tu nie było mu wygodniéj. W spółtowarzyszach jednak, a między nimi byli Thornton, Colman, Loyd i kilku innych znanych późniéj pisarzów, znalazł przyjaciół i opiekunów pierwszych swych poetycznych polotów. Ckliwe godziny za prawniczemi kratkami osładzał pisaniem wesołych wierszy. Kilka prac jego ukazało się w pismach peryodycznych *The Connoisseur* i *St. James's Chronicle*, wydawanych przez jego przyjaciół. Tymczasem ojciec mu umarł. Pozostały majątek nie wystarczał na utrzymanie. Prawnictwo nie przedstawiało żadnych nadziei. Nie miał do tego zawodu najmniejszéj ochoty, a nieśmiałość we wszystkiém stała mu na przeszkodzie. W 32 roku, za wpływem swego kuzyna majora Cowper, dostał zyskowne miejsce przy izbie Lordów, lecz samo zetknięcie się z nudnemi a zawikłanemi formułami, sama myśl, że będzie musiał codziennie stawać na sztychu w obec tak poważnego zgromadzenia, wprawiły go w taką posępność, że się targnął na własne życie. Oznaki pomięszania zmysłów, które po kilkakroć mu powracało, przeraziły jego przyjaciół. Usunięto go od urzędu i oddano do prywatnego domu waryatów, gdzie pieczołowita staranność wkrótce przywróciła mu jeżeli nie zupełną czerstwość, to przynajmniéj spokojność umysłu. O powrocie na urząd nie można już było myśleć. Majątek był zbyt szczupły. Przychylni przyszli mu w pomoc i do brata, w małém miasteczku Huntingdon pod Cambridge mieszkającego, odesłali. Tu wszedł on w zażyłość z pastorem Unwin, wprowadził się do jego domu, i odtąd zajął w nim miejsce jakby członek rodziny.

Wypadek ten utwierdził cały dalszy tok jego żywota. Pastor Unwin umarł, lecz związek z jego rodziną stał się tem ściślejszym. Cowper zajął się jego wdową. Pani Unwin jest to ta Mary, któréj sławione imie przejdzie do potomności wraz z imieniem naszego poety. Jéj poświęcił on wszystkie swe starania, wszystkie myśli, wszystkie natchnienia. Dla niéj zrzekł się, jeżeli miał jeszcze jaką nadzieję, znaczenia na świecie. Dla niéj ukochał domowe zacisze, a w czém go wrodzona bojaźliwość usposobiła, w tem potwierdziło przywiązanie do nieodstępnéj towarzyszki.

Znał on dobrze swą nieudolność do światowego pożycia. O sobie zdaje się mówić, kiedy powiada:

Żal mi zbyt skromnych ludzi, co się dręczą sami
Urojoną ohydą, płonnemi wzgardami;
Bez winy im rumienią spłonione oblicze
Samorodne obelgi i wstydy zwodnicze;
W tak draźliwą się często nasza czułość zmienia,
Że niememi nas czyni obawa milczenia.

Nie ma jednak wątpliwości, że mimowolnie musiała go w pierwszych chwilach nieraz nawiedzać pokusa do świata. Ztąd smutek tak ciężki, ztąd potrzeba szukania pociechy i podpory w rozmyślaniach religijnych. Lecz to wtajemniczanie się w najniedostępniejsze okręgi wiary, bez przewodnictwa i pośredniczącéj powagi kościoła, zrodziło, jak się zwykle dzieje w suchym i ponurym anglikanizmie, purytański rygoryzm i odurzenie. Usamotnienie się, wyobrażenie że się wciąż widzi przed sobą najwyższą istotę i rozmawia z nią, doprowadza zwykle do szalonych urojeń i najdzikszego mistycyzmu, i tylko wtedy może być bezpieczném gdy je uświęca kapłaństwo lub ascetyzm. Za kromweloskich czasów Fleetwood gorzkiemi łzami płakał, że Bóg przed nim swe oblicze zasłonił, Vane radował się i pysznił, że mu Stwórca powierzył w ręce berło Millenium, rządy nad tysiącznym rokiem, a nie było powagi i sakramentów, coby w pierwszym rozpacz ukoiły, a w drugim upokorzyły dumę zbyteczną. Podobną spadzistością zszedł i Cowper do zupełnego zwątpienia o sobie, do przekonania, że zbawionym być nie może. Zdało mu się, że między nim

a niebem stoi mur nieprzeparty. Widział przed sobą nieprzeliczone wschody, a nieśmiał wstąpić na pierwszy ich stopień. To udręczenie powracało mu z rozmaitemi przemianami. Kiedy obcował z naturą, póki szukał otuchy w sielskich roztargnieniach, w poetycznych natchnieniach, miał i umysł rzeźwiejszy. Lecz ile razy się zamykał, ile razy wpadał w urojenia, w posępność religijną, tyle razy następowało w końcu obłąkanie i szaleństwo.

Po śmierci pastora Unwin, Cowper przeniósł się z jego wdową do Olney w hrabstwie Buckingham, piękniejszéj jeszcze okolicy, a tém powabniejszéj dla niego, że je skrapiała ta sama, ulubiona, domowa jego rzeka Ouse. Lecz wkrótce i tu smutek go dognał. Przestał pisywać do swych przyjaciół. Nie chciał widywać nikogo, tylko panią Unwin i miejscowego pastora Newton. Wprawdzie w zbiorze hymnów olnejskich, wydanych w owym czasie przez ostatniego, znajduje się kilka prac naszego poety. Lecz nie ma śladu by co więcéj pisał. W 1773 padło znów na niego zupełne pomięszanie zmysłów. Dwa lata czułéj staranności przyjaciół powróciło mu zdrowie i to z taką czerstwością, że uwierzono w zupełne uleczenie. Wziął się on teraz do ogrodnictwa, do chodowania zajęcy, rysował krajobrazy i pisał wiersze. Na szczęście Anglii, ostatnie było jego głównem zatrudnieniem. Niezadługo téż potém okazał się owoc jego pogodnych dumań. Pierwszy oddział jego poezyi wyszedł w 1782 r. i zawierał ośm poematów pod tytułem: 1. Gawędka — 2. Postęp błędu — 3. Prawda — 4. Prośba — 5. Nadzieja — 6. Miłosierdzie — 7. Rozmowa — 8. Samotność.

Jak niepowodzenie na świecie zwróciło Cowpera na religię, tak znowu czytanie pisma św. wprowadziło go na ten rodzaj poważnéj i uroczystéj poezyi, która nigdzie tak surowo i sumiennie nie występuje jak w powyższych poematach. Treść ich same tytuły pokazują. Głównym jego celem było wystawić prawdę, piękność i pociechy religijne. Jestto przedmiot stosowniejszy dla kaznodziei niż dla poety, ale Cowper potrafił go przybrać w tak powabny język, tak go urozmaicić, rozsiać tyle wzniosłych nauk, głębokiéj satyry i czarujących obrazów

nadobności moralnéj, że wedle wyrażenia jednego z krytyków, to, cośmy sobie wystawiali skalistą i ciężką drogą, jest tak bogatem i kwiecistem, jak łąka przed pokosem. Przytaczając następujący wyjątek zaraz z pierwszego poematu pod tytułem *Gawędka* (Table Talk), wypada mi zastrzedz, że jak w tym tak i w różnych późniéj razach nie będę w wyborze do przekładu miał względu na to, co jest najpokaźniejszém lub najsłynniejszém w dziełach rozbieranych, lub co byłoby najprzydatniejszem do naszego smaku, a przeto najponętniejszem dla tłómacza, ale na te ustępy, które najlepiéj przedstawiają osobistość, sumienność i rzetelną myśl pisarzów. W wyjątku tym poeta opisuje naród, który przez zepsucie chyli się do upadku. Nie szczędzi takowemu opatrzność najprzód postronnych przestróg, jak pożary, wylewy rzek, nieurodzaj i zarazy. Wkrótce następują sroższe jeszcze nawidzenia.

Bóg dał hasło. Już rycząc rokosz się najeża
W bramach państwa, i wstrząsa odległe wybrzeża;
Wszystkich ludów sztandary już na kraj powstały,
Jednego ma on wroga, lecz tym świat jest cały,
A jeźli Pan swe groźne nie odwróci oczy,
I na nim piętno gniewu coraz głębiéj tłoczy,
Upór wkrótce nadchodzi. Obojętny, twardy,
Lud wyklęty tępieje na sąd i na wzgardy;
Ziemia pod nim się trzęsie, niebo grzmi do koła,
Lecz z toru, co ukochał, nic go zbić nie zdoła.
Przy biesiadnéj piszczałce i przy płochéj pieśni
Igra myśląc, że trwogę zaczaruje, prześni,
Bieży na dół niedbały w szalonym rozpędzie
W przepaść, z któréj powrotu nie ma i nie będzie.
Kładzie ufność w swych flotach — ale cóż po flocie?
Przekleństwo Boga zdoła zedrzeć żagli krocie;
Kładzie ufność w swych wojskach, z wojsk pierzchnie odwaga;
W mądrość, w skarby, w traf, w kłamstwa wierzyć się nie wzdraga;
Ale wszystko, w co ufa, stoi na zawadzie,
Gdy ten każe, w kim żadnéj ufności nie kładzie.
Zemsta w końcu wylewa na wybrzeżów progi
Długo przedtém wzgardzane, dziś zwycięzkie wrogi,
Obcy tyran śle więzy i skraca swobody,
Co wprzód z chwałą chodziły w przestronne zawody,
Wolności śmierć zadaje, na kark niewolnika
Obróż sromu zaciska i kłódkę zamyka.

Tym to tonem uroczystym a pełnym prostoty, poeta rzecz swoją wiedzie przez te ośm poematów, to jest przez blisko 6,000 wierszy w tym pierwszym tomie zawartych. Nie mogło to przypaść do smaku tak ckliwemu i napuszonemu wiekowi. Czas bowiem kiedy Johnson umierał, nim Burns zaczął śpiewać, a zanim Cowpera poezye zyskały wzięcie powszechne, był najniepoetyczniejszym ze wszystkich, bo wszyscy pisali, kuli wiersze na wyścigi. Co Lady Montague o swéj epoce powiedziała, to do obecnéj jeszcze słuszniéj zastosować było można, to jest, że pisanie wierszy stało się tak pospolitém jak zażywanie tabaki. Poezya została rzemiosłem. Mnożyły się jéj rękodzielnie. Nieprzeliczona rzesza rymowników, niemogąca się na chwilę, ani w twórczéj sile, ani w użyteczności, porównać ze spółczesnemi im wynalazcami machin, Arkwrightami i Cartwrightami, pozazdrościła ich sławie i swe jałowe wątki na coraz sztuczniejsze nawijała cewki. Lady Miller wystawiła w swéj bawialni urnę, w któréj każdy z odwiedzających składał swój poetyczny haracz. Urna codzień przepełniała się wyrobami godnemi takiego przybytku i takiéj opiekunki. Wszystko poświęcano dla wycedzonego dźwięku i dla kunsztowanych rymów. Wyrobnicy ci, jak sam mówi Cowper,

Mierząc i ważąc myśl na dźwięku szali,
By wiersz zokrąglić, prawdę obcinali.

Niedziw więc że z razu dzieło Cowpera nie zrobiło wrażenia. Ton jego dla jednych był za ostry, za zbyt wyniosły dla drugich. A kiedy poczęto mówić o niem, to nie ze względu poetycznéj, ale moralnéj i religijnéj wartości. Dziwiono się, nie kto to był tak znakomitym pisarzem, ale kto był ten śmiałek, co z taką szczerością ważył się błędy swemu narodowi wytykać. Nie literaci więc, ale moraliści, pierwsi w obieg imie nowego wieszcza puścili.

Tymczasem używał on rzadkiéj swobody w swém domowém zaciszu. Nie ma więcéj pocieszającéj karty w życiu poetów, jak to jego wyjście z pod czarnéj chmury zwątpienia na biały dzień umysłowéj rzeźwości, na słońce duchowego pokoju. Począł znowu pisywać do swych przyjacioł, pełen nadziei i we-

sela, a listy jego tak są wyborne i osnową i stylem, że Southey nie waha się go postawić na czele tego najskromniejszego, lubo może najtrudniejszego prozy oddziału. Domowe téż jego towarzystwo zwiększyło się ważnym nader przybyszem. Lady Austen osiadła w sąsiedztwie. Rozmowna, dowcipna, bawiła Cowpera i żywiła powieściami jego poetyczny zapał. Z jéj to opowiadania napisał on balladę pod tytułem: *Śmieszna historya Jana Gilpina.* Przedmiot niemal błahy. Idzie bowiem o nieszczęśliwego kramarza londyńskiego, który poniesiony przez konia, odprawia mimowolnie zabawną podróż do Ware i na powrót. Ale w toku tyle dowcipu i życia, że rzadko który Anglik nie umie jéj na pamięć. Wiersz ten wyszedł w 1783 w piśmie perjodyczném zwaném *Repository.* Napomknieniu téż i prośbie Lady Austen winniśmy najcelniejsze dzieło Cowpera, któremu dał tytuł *Zadanie — The Task —* a z czego tak się w przedmowie tłómaczy: „Jedna dama, wielbicielka nierymowego wiersza zażądała poematu takowym napisanego i dała autorowi sofę za przedmiot. Usłuchał jéj, a mając wiele wolnego czasu, inny jeszcze przedmiot do tego przyłączył, i tym sposobem idąc za prądem myśli, na który położenie i stan duszy coraz daléj go prowadziły, wydał on w końcu, miasto fraszki z razu zakreślonéj, dzieło nie żartem, bo gruby tom jeden.“ Dzieło to wyszło właśnie wtedy, gdy Johnson umierał, to jest przy końcu 1784 roku. Przyjętem zostało rzęsistemi oklaskami, bo już imie poety znaném było powszechnie. Wartość jego poetyczna dla każdego, nawet dla cudzoziemca, jest oczewistą, lecz ten tylko w zupełności ocenić ją zdoła, kto pokocha sielską nadobność Anglii i domowe życie jéj mieszkańców. Znajdzie on tam obojga obraz najwierniejszy. Wielkiéj części tego poematu możnaby dać tytuł: *Podróż w koło mego pokoju*, bo zamknięty jest w dumaniach i pociechach między cztérema ścianami. Ta szara godzina, to ognisko, które rzuca po pułapie cienie niewyraźne, ten syczący kociołek z wodą, rzecznik gościnności i wygód domowych, to wpatrywanie się w rozżarzone węgle, malujące fantastyczne obrazy domów, wieżyc, drzew, kościołów, — to szczekanie psów, ta trąbka pocztarska, ta zawierucha bijąca w okie-

nice i przeciwieństwem zwiększająca urok błogości pod strzechą, a późniéj to wesołe zebranie przy herbacie lub wieczerzy, zgoła wszystko, co w duszy Anglika wywołuje ten jeden czarujący wyraz *home*, przesuwa się pod piórem poety w najmilszych i najdobitniejszych rysach. A jeźli tkliwym, rodzicielskim, patryarchalnym jest przy swem ognisku, to znów mistrzem w opisach sielskich obrazów i roskoszy. Maluje kolorytem Gainsborougha, a w dokładności szczegółów zdaje się trzymać pędzel Landseera i Wilsona. Nie brak téż wzniosłych nauk, poetycznego kaznodziejstwa, którem był tyle w pierwszych swych płodach zasłynął. Ile razy wchodzi na tę wysokość, zaraz inny ton przybiera, zda się, że rzuca wiejską fujarkę, a przy organach zasiada. Broni ubogich i opuszczonych w obec bogaczów, napomina senat i monarchę, wykłada powinności duchowieństwa, wytyka mieszkańcom miast ich choroby i rozpusty, a w oddaleniu swobodę i szczęście mierności wiejskiéj wystawia. „W *Zadaniu*, mówi Southey, Cowper jest razem dydaktykiem, moralistą i satyrykiem. Najlepsze poemata dydaktyczne, z tym porównane, wydają się jako regularne sztuczne ogrody przy bogatéj leśnéj okolicy.“ Poniższe przytoczenie niech znowu posłuży nie za przykład świetności i twórczości Cowpera, ale sumiennego przejęcia się powinnością poety.

Wolność Anglii.

Kochamy króla, który prawo kocha,
Troskliwie jego szanuje granice,
I rad w nich rządzi; wolno i z roskoszą
Służym gdy wszystkich wolnymi zostawia,
Lecz pomnąc zawsze, że on jest człowiekiem,
Zbyt nieufamy. Choć jest królem, — królem
I przytem w Anglii, lecz słabym być może,
I próżnym tyle, by godzić w co więcéj,
Przyznane władze może źle sprawować,
Lub pragnąć więcéj niż wolni dać zechcą, —
A za tym kresem — zdrada. On nad nami,
By krajem rządził, by go strzegł i zdobił
A nie zaś krzywił i zmieniał. My pod nim,
By w wspólnej sprawie służyć mu zaszczytnie,
Wierni do śmierci, nie zaś niewolnicy.

Zważcie różnicę, wy co się chełpicie
Że czcicie królów, waszéj czci od naszéj;
Nam człowiek drogi, wam próżna wystawa,
Nam orędownik Rzeczypospolitéj,
Wam nawet płochy sprawca jéj niedoli;
My dla wolności kochamy i króla,
Wy srom i więzy jeno dla tyrana.
Miłość zasadą jest w nas, bo z rozumu
Ród jéj, więc mądra, męzka, dobrowolna;
W was — ślepym zmysłem, — czołga się pod kijem
I liże stopę, co ją w pyle gniecie.
Gdyby w koronie był skarb istny, szczery,
Jak się wydaje, godny mędrca żądzy,
Jeszczebym nie chciał być królem kochanym
Bez zasług, w płoche barwionym pochwały,
Gdzie miłość tylko wiąże się do tronu,
Nie do człowieka, co zacnie w nim siedzi.
Wolność jedynie daje znikomego
Życia kwiatkowi woń i krasę. Bez niéj
My zielskiem tylko. Złem jest przymus wszelki,
(Krom tego, który mądrość na złych kładzie,)
Bo władze duszy kaleczy, wstrzymuje
Postęp na drodze nauki, oślepia
Wzrok wynalazku, a w tych, co go znoszą,
Wyradza duszę plugawą, zwierzęcą
I chudy umysł, niegodny by gościł
W pięknéj, szlachetnéj człowieka postawie.
Ciebie więc, Anglio, — choć godnaś nagany,
Choć tracisz kraje, choć powszechna nędza
Ściska cię w koło, aż rocznéj żywności
Zabrakło w państwie dla żebrzących głodów, —
Przecież cię mienię szczęsną i królową
Między narody, bo widzę, żeś wolna.
Rodzinny kątku méj ziemi! Twój klimat
Ostry i pełny mgły, co wszystkie serca
Do smutku skłania, a moje najwięcéj,
. . . .
Lecz żeś jest wolnym, kocham cię: i dla téj
Jednéj własności, choć doznałeś zniewag,
Choć biednym jesteś, schronienia pod słońcem
Nie chcę innego. Lecz gdybyś wpadł w jarzmo . . . . .
Uciekłbym zaraz. Bo kajdan cierpliwie
Nigdziebym nie zniósł, — lecz w domu, gdziem wolny
Z praw rodowitych, nie ścierpiałbym za nic!

W następnéj, równie pięknéj karcie poeta dowodzi, jak cnót publicznych podstawą są najprzód cnoty domowe', że nie może ten kochać całości kto szczegółów nie ukocha, nie może być przyjacielem narodu kto nie dba o pojedyńczych jego członków, a zły mąż, zły syn, lub zły brat nie stanie się nigdy dobrym obywatelem. Nie tłomaczę tego ustępu, acz wielce nas osobliwie Polaków pouczającego, gdyż już dość przytoczyłem, by dać poznać i kierunek myśli i sposób Cowpera.

Zaledwie skończył *Zadanie*, wziął się do jeszcze trudniejszéj, jeśli nie znakomitszéj pracy, to jest do przekładu Homera. Założywszy sobie, że codzień przetłomaczy wierszy trzydzieści, w lat trzy przesnuł na ojczysty język 40,000 wierszy. Dotąd są podzielone w Anglii zdania o wartości tego przekładu, zwłaszcza w porównaniu z tłomaczeniem Popego. Ci, co nadewszystko uważają, aby wiersz był brzmiący, wysoko nastrojony, ogładzony do blasku, oddają pierwszeństwo Popemu. Lecz tym, którym najprzód chodzi o prostotę, o myśl, o wtajemniczenie się w sposób autora, zawsze Cowper wydawał się i wydawać będzie daleko palmy godniejszym. Przekład ten Iliady i Odyssei wyszedł w 1791 r. Na tem téż kończy się autorski Cowpera zawód, a poczyna się ostateczna i najsmutniejsza życia epoka. Obłąkanie wracało silniéj niż kiedykolwiek. Pani Unwin została tkniętą paraliżem, a pielęgnowanie jéj padło na przyjaciela, który nawet w pomięszaniu zmysłów znał co wdzięczność. Umarła ona w 1796 w Norfolk, dokąd byli się przenieśli. Długo nie chciał wierzyć jéj śmierci, długo nie mógł się oderwać od jéj ciała. Miał jeszcze późniéj kilka ale bardzo krótkich chwil pogody. W jednéj z nich napisał wiersz pod tytułem *Wyrzutek*. Przyszła śmierć nareszcie, by położyć koniec jego cielesnym, a jeszcze cięższym moralnym cierpieniom. Umarł 25 kwietnia 1800 r.

Jak w przygodach życia Cowper przypomina Trembeckiego, tak w przeszkodach, w walce i ostatecznym tryumfie poetycznego zawodu przywodzi na pamięć koleje przez jakie u nas w niedawnych czasach przejść musiała szkoła samoistnie narodowa, romantyczną nazwana. Nie mniejszą téż sprawił on odmianę. Lecz co u nas przez nadzwyczajny zbieg okoliczności

i talentów, to w Anglii jedynie przez prostotę i sumienność samotnego wieszcza dokonaném zostało. Tak jednak potężnym był urok tych przymiotów, że na ich zaklęcie, na hasło poety, który odważył się śpiewać o igłach i drutach Pani Unwin, opisywać jak na motki zwijał jéj jedwabie, bez powrotu uciekła uróżowana Chloe i zmyślony Korydon, umknęła i peruka Lovelasa i robron Klaryssy. Daleko większi późniéj przyszli poeci. Krytyka, osobliwie powierzchowna, wiele znajdzie w Cowperze do przygany. Wiersz jego nie zawsze ścisły i poprawny. Jędrny, póki w więzach rymu; skoro się z nich uwolni, często, jak w *Zadaniu*, na miałkie rozlewa się płaszczyzny. Lecz zawsze jasny, niewymuszony, szczery w myśli i w toku, że użyję słów jego własnych:

Jak dumny łabędź prąd siłą zdobywa.

Nadewszystko jego zaletą, że jest całkim, pojedynkiem, zawsze tym samym, zgodnym z sobą samym. Wszystko sam sobie winien. Jeden strumień uczucia i przekonania płynie przez wszystkie jego dzieła. Są tacy, którzy go porównywają z Churchillem i twierdzą, że wiele mu winien, bo jego siłę i rubaszną męzkość wziął sobie za wzór z początku. Lecz Churchill, nieokrzesany, gwałtowny, najeżony osobistościami i gniewliwą przesadą, dbał tylko o wpływ doraźny, o spółczesną wziętość. Cowper tkliwy, rzetelny, zadumany, śpiewał, nie pytając czy go świat słucha i czy będzie słuchał. I oba zyskali w co godzili. Pierwszego dziś już mało kto pomni, drugi z ubiegiem czasu w coraz obszerniejszy i świetniejszy otok sławy wstępuje.

Wilhelm Hayley (1745—1820).

Zasługuje na wspomnienie więcéj ze względu, że był opiekunem, doradzcą i biografem Cowpera, niż z ważności prac literackich. Pisał wiele, i miał powszechną wziętość u spółczesnych. Wiersz jego kształtny, gładki, ale często bez myśli, bez natchnienia, dziś mało komu znajomy. *The Triumph of Temper* jest jego najcelniejszym poematem. Oprócz tego pisał wierszem o historyi, o malarstwie, o poezyi, a nawet o starych pannach. Tragedye jego nie zyskały poklasku. Za to Ży-

wot Cowpera, który wydał w 1803, był i jest z ciekawością czytany. Był on w związkach ze wszystkimi znakomitszymi ludźmi swego czasu. Gibbon mu podchlebiał. Pitt na jego prośbę dał szczodrą pensyę Cowperowi. Odwdzięczył się téż swoim przyjaciołom, bo nie było jednego, a miał ich tylu w ciągu tak długiego życia, któremuby nagrobka nie napisał. Dziś na tym poetycznym cmentarzu zatarły się niemal wszystkie napisy. Zostały tylko dwa, często troskliwą pamięcią potomnych odnawiane, a temi są:

Wy, którym radość w sercu, gdy cnotą okryty
Mistrz słowa zbiera wkoło powszechne zaszczyty,
Tu wielbiąc wieszcza ciche poświęceń mozoły,
Uczcijcie tkliwym hołdem Cowpera popioły.
Anglia, w tak nieskażonéj radując się cześci,
Jego kochane imie śród najdroższych mieści.
Lecz rozum, dowcip, twórczość wznieśćby niezdołały
Tak jasnych praw do uczuć i wszechnéj pochwały,
Sercu to cześć najwyższą oddali spółcześni,
Bo z jego cnót się rodzi urok jego pieśni.

Pełném sercem i duszą ufna w Bogu cała,
Ta niewiasta przykładem dobroci została,
Zniosła ciężkie trosk burze, swą pieczą jedynie
Wiodąc tęsknego wieszcza po smutku dolinie.
Chrońcie tych czystych prochów, wy stróże anioły!
Cowpera przyjaciołki, Maryi tu popioły, —
Ten skromny tytuł sławą staje się rodzimie,
Bo kto wiersz jego czyta, ten wielbi jéj imie.

Erazm Darwin (1731—1802).

Wychowany na lekarza, osiadł w Lichfield, gdzie nauką i zabiegłością wysokie zyskał względy. Miłośnik natury, a osobliwie bogactw jéj roślinnych, założył dla siebie botaniczny ogród, poświęcając jego uprawie cały zarobek i czas od zatrudnień swego powołania zbywający. Pojąwszy powtórnemi śluby żonę z dostatnim posagiem, oddał się swobodnie swéj ulubionéj pracy, a ta jeszcze wyższy otworzyła mu zawód. W 1781 wydał pierwszą część poematu pod nazwą: *Ogród botaniczny*. Opisać, ubarwić poetycznemi obrazami i wystawić pod allegoryą cały systemat Lineusza, oto zadanie, które so-

bie założył i które pracowicie odrobił wierszem pełnym ogłady i blasku, ale napuszonym i trętwym samą ciężkością przedmiotu. Dla dodania mu życia wezwał w pomoc całą rzeszę gnomów, nimf, sylfów, salamander, w czém mu dostarczyła nieprzebranych skarbów modna wówczas filozofia Rozykrucyanów. Nowość pomysłu, mnogość obrazów, wiersz nadzwyczaj wypracowany, zdobyły mu od razu wziętość, którą w tym czasie jeden tylko Cowper zdolnym był zaćmić. W 1789 ukazała się druga część tego poematu pod tytułem: *Miłości Roślin.* „Jeźli Owidiusz, pisze sam autor, przeobraził ludzi, męże i niewiasty, a nawet bogi i boginie, w drzewa i kwiaty, to się godzi podobną sztuką ożywić je znowu i wywołać z zaklęcia, w którém tak długo zostawały niechętnemi jeńcami.“ Część ta druga, przy bardziéj ożywczym wątku, przy dojrzalszém doświadczeniu poety, daleko jest wyższą od pierwszéj. Są ustępy wysokiéj nadobności, opisy mistrzowską kreślone ręką, często wzniosłéj moralności i głębokiego uczucia jak np.:

Filantropio! Dziś boski twój promień pomyka
W okrąg świata od Zemli aż po kres Równika,
Nad każdem z ciemnych więzień otok światła tworzy
Jak nad sklepieniem nocy blask północnéj zorzy.
Z kraju w kraj, — czy pół-księżyc, czy krzyż ma na czole,
Gdziekolwiek tylko znaleźć ludzkość i niedolę,
Przez skwar piasków, mórz głębie, czy gdzie w śniegach ścieżka,
Twój Howard dąży szukać kędy nędza mieszka.
Na dół krętemi schody śród wilgotne ściany
Więzień, gdzie rozpacz wyje, gdzie brzęczą kajdany; —
Do pieczar posypanych gnijącemi kości,
Lochów, gdzie echa uczy jeno jęk żałości,
Gdzie przyjaźni nie wpuści żadna czuła krata,
Ni słońce kiedy zajrzy ni zefir dolata, —
On biegnie, praw nie roszcząc do bogactw i chwały,
Szczodry swemi mozoły, o zdrowie niedbały; —
Tkliwą wymową miękczy twarde na nieszczęście
Serce Władzy, rozwiera ściśnięte jéj pięście; —
W podziom — sprawiedliwości wiedzie wzrok surowy,
Aby jeźli nie rozkuć, to zwolnić okowy;
A gdy mrok przed wzruszoną litością rozpostrze,
Wskazuje ku więzieniu jak ku grobu siostrze!

Niech czytelnik przez wzgląd na wierność z oryginałem

daruje w niniejszym przekładzie najprzód nazwanie więzienia siostrą a nie bratem grobu (lubo i w angielskiem *prison* jest nijakiego rodzaju), i powtóre nieco wyszukany rym ostatni, a niech to drugie przebaczy przez pamięć na Darwina, bo onby pewnie pierwszy poklasnął takiemu rymowi. Jakoż wykwintność i trudność wiązanych końcówek były jednym z głównych celów, za któremi się uganiał. Ktoś téż przyrównał jego wiersze do rzędu lancetów, z których każdy skrzętnie opiłowany i wypolerowany kończy się coraz dziwniejszém a zawsze subtelném ostrzem. „Szatan rymów“, że użyję słów Morawskiego, zdał się kusić go bez przestanku. Jeden z ostatnich krytyków nazywa poemat Darwina: ulanym z metalu, pandemonium rymów, fabryką szpilek. Jest w tém wiele przesady, ale jest razem użyteczna przestroga dla trefnisiów w poezyi. Drugą wadą Darwina jest wyszukiwanie co najwykwintniejszych epitetów i ciągłe sadzenie się na przymiotniki. Gwiazdy są zawsze u niego *kwiatami nieba* a znowu świętojańskie robaczki są *gwiazdami ziemi* albo *dyamentami nocy*. Trzecią jego ułomnością, pochodzącą z saméj natury przedmiotu, jest drobiazgowość w opisach. Rzecz jasna, że kto nie człowieka i jego uczucia ma na pierwszym względzie, lecz zwierzęta, rośliny, minerały, odkrycia mechaniczne, prawa fizyki i chemii, — a w określaniu takowych najwięcej się kochał, — ten musi zastępować szczegółowością i dokładnością brak wyższych darów, i przynajmniej oświecać rozum gdy serca rozgrzać nie może. Lecz w każdéj literaturze znaleźć można przykład, od Wirgiliusza do Delila, że i w tém należyta miara zachowaną być może. U Darwina zaś każdy listek, ziarnko, korzonek, jest najskrupulatniéj ze wszystkich stron określony. Nie jest dokładniejszym od niego jezuita, co napisał wierszem matematykę i jeografią. Czytelnik, jakkolwiek przygotowany na rymowany wykład botaniki, co karta ma ochotę zawołać z owym sędzią w *Pieniaczach:* przynajmniéj pocznij od potopu, a pomiń co już tam przedtém było. Jedném słowem dydaktycy rzadko pamiętają, a z nich Darwin najmniéj baczył na to mądre francuzkie przysłowie, że

Le secret d'ennuyer c'est celui de tout dire.

A jednak, pomimo wad tych wszystkich, znakomitym on jest pisarzem. Jeźli nie jest poetą, to ma przecież wiele przymiotów poety i nie znajdzie się krytyk, coby śmiał powiedzieć: lepiéj byłbyś zrobił gdybyś to samo prozą był napisał. Uwięziwszy swój talent w przedmiot niesposobny do wyższych polotów, nie wznosi się on nad to, co pod zmysły podpada, nad materyę, a przecież patrzy na to okiem poetyczném; ubarwia, uszlachetnia duchowém pojęciem; zagłębia się w tajemnice materyi, wnika w to co filozofowie *psyche* nazywają, i odgaduje przyszłe jéj losy. Na objaśnienie ostatniego dość powiedzieć, że tą jasnowiedzą wyprorokował wielkie przeznaczenia pary w zastosowaniu do podróży na morzu, na lądzie i w powietrzu.

W 1792 Darwin dodał trzecią część do swego poematu. Jeżli nie zbywało mu na wielbicielach, to i na srogich krytykach nie brakło. Jeżli Cowper przyznał mu, że jego poezya była „równie męzką jak uczoną i słodką,“ to za to *Miłości roślin* wyśmiano uszczypliwą satyrą pod tytułem: *Miłości trójkątów*. Czy ze zniechęcenia do poezyi, czy z przywiązania do swéj ulubionéj nauki, rzucił się on do prozy pod koniec życia i napisał najprzód *Zoonomię*, powtóre *Phytologię* czyli filozofię rólnictwa i ogrodnictwa. Pierwszém obruszył na siebie Paleya, Dugalda Stewarta, Browna, którzy osobliwie powstali przeciw jego teoryi przypisującéj pochodzenie instynktu z sensacyi. Pisał także o wychowaniu kobiet, a po śmierci znaleziono w jego papierach przygotowany do druku poemat, tak to nałóg wierszowania jest ciężkim do zbycia, pod tytułem: *Świątynia natury*.

„Jest sposób i rodzaj w poezyi, mówi Walter Scott, które nie powiększając ani zmniejszając rzeczywistéj wartości materyałów, co jéj służą za wątek, dziwnie ułatwiają jéj obieg, dopóki są nowością, ale za to utrudniają jéj wziętość skoro moda przeminie.“ Taki też los spotkał dzieła Darwina. To, co stanowiło ponętę dla spółczesnych, dla nas jest odrazą. Anglicy z końca 18 wieku radowali się, iż w Darwinie znaleźli świetny przykład, że nauka z poezyą może chodzić w parze. Dzisiejsi wystawiają go jako jeden więcéj dowód, iż

to są dwie przeciwne, nienawistne sobie potęgi. Któż w głównéj zasadzie ostatnim prawdy nie przyzna? „Nauka, pisze jeden z krytyków tegoczesnych, ciągle wkracza i kusi się o zabory w dziedzinie poezyi, ale ta na szczęście tak jest rozległą, że nigdy rzeczywistéj nie doznaje straty. Ile razy jaki przedmiot dostał się w zdobycz umiejętności, tyle razy zgasło jego poetyczne znamie, i przestał obudzać natchnienie i uczucie. Co było czcią lub przestrachem, religią lub przesądem, staje się w nauce spokojną, nieczułą, suchą świadomością. Imaginacya zstępuje z tronu, jéj twórcza władza upada, gaśnie jéj przeobrażający płomień. Nawet podziwienie, najniższy stopień imaginacyi, ustaje, skoro świadomość naukowa się wypełni, bo w istocie, żadna rzecz, gdy rozebrana i zgłębiona umiejętnością, nie jest ani dziwniejszą, ani w ostatecznym rozbiorze majestatyczniejszą od drugiéj. Obłoki na jasném niebie stają się tak pospolitym wypadkiem, jak kurzawa na drodze, lub dym z kuchennego komina. Celem nauki jest wszystko ograniczać i równać, celem poezyi rozszerzać i podnosić.“

Karolina Smith, Suzanna Blamire, Letycia Barbauld, Panie Hunter, Opie, Grant, Tighe, Anna Seward, Lady Miller, szkoła Della Crusca.

Wszystkie powyższe imiona można, bez ujmy żadnemu, w jednym postawić rzędzie, a ich dzieła w jeden związać snopek.

Karolina Smith, wczesnych i nadzwyczajnych zdolności osoba, pisała wiele i w prozie i w poezyi. Romanse jéj *Emelina*, *Etelinda*, *Celestyna* były w swym czasie czytane przez wszystkich. Powieścią *Desmond*, w któréj żarliwie podjęła wyobrażenia i nadzieje zbudzone rewolucyą francuzką, oburzyła na siebie najszczerszych swych przyjaciół. Wkrótce jednak udało jéj się odzyskać dawną przychylność publiczności romansem pod tytułem: *Stary zamek*. Wierszem pisała sonety i poemata, a z tych najgłówniejszy *Beachy Head*. Zbyt wczesne małżeństwo stało się przyczyną smutków bez końca. Z mężem osadzonym w więzieniu za długi wszystkie przykre dzieliła koleje. Nierozmyślny, nieczuły, znać nie umiał jéj ce-

nić, bo w końcu przymuszoną została oddzielić się od niego i w samotności poświęcić się wychowaniu drobnych dziatek. Ztąd ujmująca rzewność w jéj poezyach, która główną stanowi ich zaletę. Cowper zaznajomiwszy się z nią u Hayleya, lubił słuchać jak czytała mu swe prace. Walter Scott nazywa jéj muzę „słodką i smutną zarazem.“

Suzanna Blamire pisała szkockim dyalektem poemata: *Nabob*, *Siller Crown*, a północno-angielskim: *Wieś kumberlandzka.* Anglicy znajdują w jéj poezyach wiele kobiecego wdzięku i prostoty.

Letycya Barbauld miała, dość powiedzieć, Foxa w orszaku swych wielbicieli. Pierwszy tom jéj poematów rozszedł się w jednym roku w czterech wydaniach. Ody i hymny, a zwłaszcza *Oda do wiosny* i *Hymn do szczęścia*, stanowią główne jéj prawo do pamięci potomnych. Za przykład, że i najskromniejszy przedmiot, byle z prostotą pojęty i oddany, może dostąpić dostojeństwa poezyi, niech posłuży jéj wiersz: *Dzień domowego prania.* Nie wzgardzała i prozą. Niemal wszystkie peryodyczne pisma owego czasu, a kochała się równie w polityce jak w literaturze i silnie popierała zasady whigowskie, bogaciły się pracami jéj pióra.

Pani Hunter, żona sławnego szkockiego lekarza, słynęła ze zgrabnych i potocznych piosenek. Haydn swą muzyką kilka z nich unieśmiertelnił.

Amelia Opie, znana dobrze i u nas z swych moralnych powiastek, pisała równie tkliwe wiersze, z których jeden pod tytułem: *Sierota*, dotąd jest często powtarzanym.

Pani Grant, w swych *Listach z gór*, w swym poemacie *Highlander*, tak obudziła powszechną ciekawość dla podań górali szkockich, jak pani Tighe dla poetycznych tradycyi w Irlandyi. Pierwszą téż nazwać można poprzedniczką Scotta, drugą Moora. Najobszerniejszem dziełem ostatniéj jest poemat *Psyche.* Więcéj jednak wartości mają jéj ulotne pieśni. O niéj Moore śpiewa w znanéj melodyi, która się poczyna od słów:

I saw thy form in youthful prime.

Anna Seward, nie bez pewnego talentu, ale pełna zarozumiałości, winna była swą sławę grozie i postrachowi, które

wywierała na spółczesnych pisarzach. Ciekawa, natrętna, chciwa popularności, starała się wszystkich zagarnąć pod swe panowanie. Nie dawała pokoju Darwinowi, póki swego poematu nie wydał, a skoro go drukiem ogłosił, wystosowała przeciw niemu oskarżenie, że sobie jéj myśl przywłaszczył, i że kilkadziesiąt wierszy z początku nie jego ale jéj były. Pomyślniéj poszło jéj z Walter Scottem. Zostawiwszy mu testamentem swe wiersze, zmusiła go do ich wydania i napisania jéj biografii. Najcelniejsze między niemi są elegie na klęski narodowe, zgony wielkich ludzi, jak np. na śmierć kapitana Cook, majora André i t. d. Cowper wzbił ją w dumę mówiąc, że wynalazła nowy rodzaj poezyi, to jest epiczną elegię. Raz puszczone pióro już się zatrzymać nie mogło. Same jéj wiersze składają trzy grube tomy, a wyjątki z korespondencyi sześć tomów osobnych. W 1804 na pięć lat przed śmiercią wydała życie Darwina, w którem, między wielu ciekawemi szczegółami, znajduje się owe oskarżenie o rabunek przeciw bohaterowi jéj wspomnień. W ogólności Anna Seward reprezentuje w końcu XVIII wieku ową ckliwą, pieszczotliwą szkołę, przeciw któréj w swych czasach i Chaucer i Shakspeare powstawali, z któréj drwił Pope, choć sam muskał swe wiersze, a którą Lilly całym swym talentem uchować nie zdołał od powszechnego zapomnienia.

Jak Anna Seward stała się najpokaźniejszą reprezentantką wznowionego euphuizmu, tak lady Miller była mu szczodrą opiekunką i ochmistrzynią. Ona to wystawiła w swym salonie ową sławną urnę, przed którą modne literaty paliły swe ofiarnicze ognie. Wkrótce one zagasły, ale z popiołów wyleciał feniks, co na chwilę zaćmił wszystkie oczy. W 1785 Anglicy i Angielki przebywający we Florencyi utworzyli literackie koło, a zrobiwszy składkę z swych prac poetycznych, wydali je pod tytułem *Mięszaniny florenckie*. Najruchawszy z nich Robert Merry, który pisywał pod imieniem Della Crusca, dał nazwisko modnéj téj szkole. Niebawem przeniosła się cała rzesza do Londynu i poczęła swe nieprzeliczone płody drukować po dziennikach, po tygodnikach, i w osobnych wydawać tomach. Porozdawali sobie dostojeństwa. Książe literatury chwalił hra-

biego poezyi. Hetman romansu zginał kolano przed senatorem krasomowstwa. „Nie było dnia, mówi Gifford, któryby się obszedł bez miłośnego między niemi listu, nabitego błyskawicą i piorunem, et quicquid habent telorum armamentaria coeli. Gorączka przeszła w szaleństwo. Laura Maria, Carlos, Orlando, Adelaida i tysiące innych bezimiennych twórców tkniętemi zostały gwałtowną zarazą, i od jednego końca Anglii do drugiego nic nie było jeno głupstwo i Della Crusca.“ Bóg wie jak długo byłoby to trwało, gdyby nie pisarz którego przytoczone tu wyrazy. Podjął on pióro i dwiema dzielnemi satyrami, — z tych jedna *Baviad* wyszła w 1794, a druga *Maeviad* w 1796, — zadał śmiertelny cios téj pasożytnéj szkole, druzgocąc, jak mówiono, rój błyskotliwych motylów pod ciężkiem kołem nielitościwéj krytyki.

Wilhelm Gifford, Jerzy Canning, Jan Wolcot.

Lubo Gifford urodzony w 1756 żył do 1826, i aż do końca sprawował groźne rządy patryarchy krytyków, tu jednak, zaraz z początku, wspomnieć o nim należy, bo do tego daje mu prawo powyższe świetne zwycięztwo nad filistynami téj epoki. Ojciec jego był ubogim szklarzem. Oboje rodzice odumarli go w niemowlęctwie. Sierotę oddano na majtka do jakiegoś mizernego statku, późniéj na naukę do szewca. Przypadkiem wpadła mu w rękę książka o algiebrze, zasmakował w niéj, a nie mając papieru i pióra (bo to, jak mówi, równie mu wtedy było niedostępném jak berło lub korona), począł szydłem na wygładzonéj skórze najzawilsze rozwięzywać zadania. Przy szydle téż i na trójnożnym stołku nauczył się pierwsze składać rymy. Jak się zwykle dzieje, szczęśliwym trafem ktoś je znalazł, podał drugiemu, zjawił się bogaty patron, i ukryty poeta wyszedł na jaw przed zadziwionym narodem. Tym mecenasem dla Gifforda był z początku jakiś lekarz, który go wykupił od szewca, oddał do szkół i wyrobił miejsce na nauczyciela w Exeter, w końcu zaś lord Grosvenor, który mu powierzywszy syna na wychowanie, wysłał za granicę. Walka z della Cruscanami otworzyła mu sławy podwoje. Ośmielony tą wygraną, uderzał w prawo, w lewo, gdzie tylko zły smak

się pojawił lub panoszyła się próżność literacka. Zaprawione w żółci pióro często miarę sprawiedliwości przechodziło. Zbyt ostra satyra na Wolcota wywołała od ostatniego odpowiedź jeszcze ostrzejszą pod tytułem: *Ucinek szewcowi.* Gdy w 1797 kilku możnych panów założyło tygodnik *Anti-Jakobin* na wyśmianie rewolucyi francuzkiéj i powściągnienie wichrzycieli w domu, Gifford zajął miejsce głównego redaktora. Wszedł tym sposobem do najpierwszych domów, z najcelniejszymi poznał się ludźmi. W 1802 wydał Juvenala, a poźniéj Persyusza w jędrnym przekładzie. Ogłaszał téż drukiem od czasu do czasu nowe, poprawne i bogato notami ozdobne edycye starszych autorów angielskich, a z tych najlepsza jest dzieł ulubieńca jego Ben Jonsona. Pisał wiele ulotnych poezyi. Niektóre dziwne smętkiem i słodyczą na tak uszczypliwego satyryka. Założywszy wraz z Walter Scottem w 1808 tyle dziś sławny kwartalnik *the Quarterly Review*, usadowił się za bezpiecznym szańcem, z za którego przez lat 15 rzucał śmiertelne pociski, a zranionych ofiar jeszcze dziś wielu dopatrzeć się można.

Jerzy Canning (1770—1827) był najczynniejszym wspólnikiem Gifforda w redagowaniu *Anti-Jakobina.* Największa część wierszy w tém piśmie umieszczonych z pod jego wychodziła pióra. Układał parodye wierszy Darwina i Southeya, wyśmiewał sentymentalny dramat Szyllera w farsie *the Rovers* a polityczne wady i wyskoki owego czasu niemiłosiernie wychłostał w satyrze *Nowa moralność.* Dowcip jego jednak był daleko subtelniejszy, a sposób pisania szlachetniejszy niż u Gifforda; i chociaż świetny jego zawód polityczny zagasił literackie prace, z ostatnich widać, iż miał zakrój na potężnego poetę, lecz ciągłe i mozolne urzędowanie niedozwalało mu potrzebnéj ku temu swobody.

Jan Wolcot (1738—1819), śmiały, nieco rubaszny, ale pełny ognia satyryk, pisał pod imieniem Piotra Pindara, które historyczném zostało. Ciął, rąbał na wszystkie strony, po wszystkich głowach, a po najwyższych co najsilniéj. Królowi téż Jerzemu III. najwięcéj się jego razów dostało. Obdarzony nadzwyczajną łatwością, w przeciągu lat 30 wydał przeszło

60 długich poematów satyrycznych. Żadna śmieszność na wielkim świecie, żaden pocieszny wypadek na dworze nie uszedł jego baczności. Byle się zjawiła drobna jaka anegdota o królu, lub królowéj, zaraz chwytał ją w przelocie. Raz król znalazłszy na swym talerzu wpośród zielonego grochu pewnego nie zbyt ponętnego robaczka, tak się rozgniewał, iż wydał uroczysty wyrok, aby wszystkim kucharzom i kuchcikom w pałacu pogolono głowy. Była to doskonała gratka dla Wolcota. Nie omieszkał z niéj korzystać i wyosnował na niéj poemat heroiczno-komiczny *The Lousiad*, niby to powtórzenie tytułu dzieła Kamoensa, a w istocie pochodny od wyrazu *louse*. Dzieła Wolcota zebrane zostały w 4 tomy, i przeszły przez mnogie edycye. Sam się chwalił, że były tłomaczone na sześć obcych języków. Dziś mało kto je czyta, bo taka jest kolej wszelkich pism osnowanych na przemijających przedmiotach. Brak pomiarkowania, rumieńca wstydliwości i moralnego celu, jednako jest widocznym w jego odach i satyrach, jak męzka dzielność, a w stylu nieograniczona posuwistość. Pisze równie bez przymusu jak bez ceremonii. Nie dziw więc, że nienawidził stylu Johnsona, o którym tak powiada:

Gniewa mnie styl Johnsona napuszony tyle,
Że calowi nadaje ważność aż na milę;
Całą furę nawozu rozsypuje w rzędy,
By jeden mdły bławatek wyprowadzić z grzędy;
Maczugę Herkulesa porywa, — a na co?
By zdruzgotać komara, albo ćmę ladaco;
Ziemię straszliwych wichrów zawieruchą wstrzęsie,
By wznieść do góry słomkę, albo piórko gęsie;
Koła na kołach stawia, puszcza w korowody,
Co za zgiełk! by wyciągnąć naparsteczek wody;
Z najgłębszych toni wzrusza sam ocean wielki
By mu wyrzucał na brzeg drobniutkie muszelki.
W każdéj treści ta sama pompatyczna groza,
Czy straszny piorun niebios, czyli turkot woza.

Był to czas bogaty w plony, bo każdy pisał, i często i wiele. Ale te obfite płody nader wątpliwéj były wartości, snopków dostatkiem lecz skąpo omłotu. Dla satyry przeto nadzwyczaj ponętna i pomyślna odkryła się pora. Nie omie-

szkano téż z niéj korzystać i w literackich i w politycznych celach. Nie byłoby końca, gdyby chcieć wyliczyć imiona tych, którzy w tym zawodzie niepewnym przemijającą zyskali sławę. Dodać jednak wypada do wyżéj wspomnionych Jakóba Mathias, którego poemat *Zapasy literackie*, daleko ważniejszy z przypisków niż z wiersza, zręcznie opisuje i wyśmiewa *divitias miserrimas* owego czasu. Nie dość było pojedyńczych szyderców, pisano często satyry na współkę, a z tych *Rolliada* i *Ody na próbę* były czytane i powszechnie chwalone. Zdało się, że z samym schyłkiem XVIII. wieku zły smak odżył jeszcze na chwilę, jak gdyby się chciał doczekać pogwizdu satyry jako pogrzebowéj swéj pieśni.

Robert Bloomfield, Jan Leyden, Henryk White, Jakób Grahame.

Zanim szereg wielkich poetów wystąpi przed nami, oto jeszcze czterech stojących na pograniczu jeźli nie nadzwyczajną zdolnością, to przynajmniéj serdeczném uczuciem swego powołania.

Robert Bloomfield (1766 — 1823) urodził się z ubogich bardzo rodziców. Oddany na parobka do jednego z krewnych, gdy ciężkiéj ręcznéj pracy nie mógł wydołać, rzucił się do najlichszego rzemiosła, i jak Gifford, został szewcem. Atoli pamiątka sielskich zatrudnień nie dawała mu pokoju, łudziła nadobnemi obrazami, wprawiała w gorączkę, aż nareszcie poczuł w piersiach tętno poetycznego zapału i twórczości. W ubogiéj swéj komórce pod strychem, przy szydle i kopycie, zaczął wiejskie obrazy układać wierszem, co wkrótce w obszerny poemat urosło. Potulny i bojaźliwy, dał też swemu dziełu tytuł zbyt skromny. Poemat ten *The Farmer's Boy*, *Parobek*, zasługiwałby na zaszczytniejsze nazwisko *Ziemiaństwa Angielskiego*. Pełno ciekawych szczegółów, opisy wierne i zajmujące, całość dobrze pojęta, wiersz gładki, bez przesady, zyskały mu od razu przychylne przyjęcie. Za wstawieniem się księcia Grafton, biedny poeta dostał urząd, lecz dla słabości zdrowia i dla niezdolności w tego rodzaju pracy, musiał go wkrótce

porzucić. Z nabytego majątku założył księgarnię, na któréj wszystko stracił, potwierdzając smutném doświadczeniem zwykłe niepowodzenie literatów w przemyśle. Pod koniec życia oddał się dziwnie przygodnemu dla poety rzemiosłu, robieniu harf eolskich, a tém głód i nędzę odganiał. Oba z Giffordem równocześnie szydło zamienili na pióro, ale, co za smutna nauka, satyryk Gifford wyszedł na magnata, a cichy, kochający Bloomfield żył i umarł w ubóstwie, prawie w zapomnieniu. Oprócz głównego poematu napisał on jeszcze sielski dramat *Hazlewood Hall*, i zbiór krótszych wierszy pod tytułem: *Dzikie kwiaty* i *Majówka z Muzami*. Wieśniacza prostota i uczucie zyskały jego dziełom chlubne miejsce na półkach literackich.

Jan Leyden żył tylko lat 36, ale krótki żywot jego jest pełnym pracy i romansowych przygód. Z niskiego, bo z kmiecego pochodzenia, tak się w swéj wiejskiéj szkole odznaczył, że go do wyższych powołano, gdzie wkrótce stał się mistrzem nietylko w europejskich, ale i we wschodnich językach. Umiejętność ta otworzyła mu świetny zawód w Indyach wschodnich. Był na przemiany lekarzem, pastorem, nauczycielem, prawnikiem. Został najprzód profesorem w bengalskim uniwersytecie, późniéj sędzią w Kalkucie. Namiętnie oddany językom, sam pisał do przyjaciół, że jeźli nie przejdzie w znakomitości sławnego orjentalisty Jones, to niech łza żadna po jego śmierci nie popłynie. Niespokojny, a prędzéj chciwy coraz większéj doskonałości w ulubionéj nauce, poszedł towarzyszyć wyprawie angielskiéj do Batawii, gdzie z trudów, bo pierwszy wskoczył w wodę aby pierwszy stanąć na brzegu, dostał febry i umarł w wilię zwycięztwa, które w 1811 Jawę oddało Anglikom w posiadanie. Dzieł jego trudno się dorachować. Pomagał Lewisowi w sławnym zbiorze *Powieści Cudownych* a Walter Scottowi w sławniejszém jeszcze wydaniu *Poezyi szkockich z pogranicza*. Ostatni téż odwdzięczył mu się wielorakiem wspomnieniem w swych dziełach, a osobliwie piękną jedną strofą w *Panu Wysp*. Znakomitsze Leydena poemata są: *Brzeg Keldaru*, *Syrena* i *Sceny młodości*. W ostatnim zdaje się przewidywać swój wczesny i smutny koniec. Daleko

zabiegłszy od ojczystych brzegów, od swéj domowéj doliny Teviotu, pyta, czy to księżyc kaledoński, czy ta śrebrnym promieniem oświecona wieżyca jest ten starożytny kościół, —

Gdzie me ojce w rodzinnéj spoczywały ziemi
Póki wzburzony Teviot nie uniósł ich kości?
Z nurtów do mnie wołają głosami słabemi:
„Szaleńcze! niepamiętny na dni twéj młodości,
Po coś rzucił wieśniaka ciche przeznaczenie,
Po coś rzucił wieśniaka lepiankę ubogą;
Stare groby, gdzie błądzą twoich przodków cienie,
I Teviot, co im śpiewa starą krocząc drogą?
A my, — gdy śmierć tak dawno zwarła nam powieki, —
Jakżeż na twoją prośbę z prochów wstać zdołamy,
I kości po za morze przenieść w kraj daleki
Z dolin, co znały nasze żywoty bez plamy?
Stój szaleńcze! Domowe cnoty obudź w sobie,
I cicho, słodko zaśnij w twym ojczystym grobie.“

Jakkolwiek powyższy ustęp brzmi tkliwie i powabnie w oryginale, trudno się oprzeć posądzeniu, że autor miał na myśli, ale nie z zupełną wydał prostotą, ową znaną odpowiedź Indyan, zachęcanych do przesiedlenia się w dalekie strony: Możemyż rzec popiołom naszych przodków „Wstańcie i pójdźcie za nami?“

Henryk Kirke White (1785—1806) więcéj wczesnemi oznakami wysokiego talentu, niż rzeczywistą zasługą, w rząd celniejszych poetów policzonym został. Southey nim się opiekował, Byron pisywał do niego wiersze, a sławny rzeźbiarz Chantrey pomnik mu wystawił. Był on synem rzeźnika, w czem ma styczność z kardynałem Wolsey i poetą Akenside, i co pokazuje, że musiał mieć niepospolitą zdolność, kiedy od razu tak znakomitych zyskał przyjaciół. Żył lat 21. Southey wydał jego dzieła, w których pierwsze miejsce trzymają poemata: *Clifton Grove* i *Christiada*, wiersze pełne nabożnego zapału i tkliwéj serdeczności.

Jakób Grahame (1765 — 1811) często jest przyrównywanym do Cowpera z głęboko moralnych uczuć i grozy na wady swego narodu. Szkot z urodzenia, duchowny z powołania, pisał dla Szkocyi, i najwięcéj o religii, jak to łatwo poznać

z samych tytułów następujących dzieł jego: *Maria królowa szkocka*, poemat dramatyczny, *Sabbath*, *Niedzielne przechadzki*, *Biblijne obrazy*, *Ptaki szkockie* i *Szkockie ziemiaństwo*. „Po Burnsie, mówi jeden z jego rodaków, nie ma pisarza, któryby tak mile ojczyznę oddalonemu przypominał Szkotowi jak Grahame.“ Żadna pochwała, choćby na najobszerniejszym rozbiorze osnowana, tym kilku słowom nie wyrówna.

Robert Burns (1759—1796).

Po długiéj a mozolnéj wędrówce przez te drobne okręgi dziedziny literackiéj, gdzie co chwila krytyk potrzebuje i swój przywiléj okazać i myto na granicy opłacić, gdzie często trudno się doczytać i nie zapomnieć jaki herb, kolory, w czém ich odrębność narodowa, gdzie jeszcze częściéj niepodobna odgadnąć jakim trafem zasłużyły one na udzielność i imię zapisane w poczet ukoronowanych możnowładztw, — po tak zmudnéj podróży, nic bardziéj orzeźwiającego jak wkroczyć w silne i obszerne państwo jakiego mocarza literatury. Lecz z drugiéj strony sama rozległość ostatniego, ilość i wielostronność przedmiotów w niem zawartych, ciężkie stawia przeszkody ku nakreśleniu choćby tylko treściwéj całości. Opowiadającemu nie pozostaje jeno albo szczegółowe napisać dzieło, albo przypuszczając, iż przedmiot jest już dobrze znajomy, ograniczyć się na kilku wydatniejszych rysach i uwagach, jakie mu się nawinęły, lub jakie uznał za potrzebne do wyprowadzenia ogólnych prawd i przestróg. Dla tego to w niniejszym przeglądzie, w którym najwięcéj mi chodzi, aby okazać całkowity tok nowszéj literatury angielskiéj, wystawić jéj bogactwo, wyliczyć mniéj u nas dotąd znanych pisarzów, niepodobieństwem byłoby miarkować rozmiaru wedle ważności pojedyńczych autorów, i kiedy wypada mi każdego z szeregowych po imieniu wołać, to w ocenieniu dowódzców i naczelników, znanych światu całemu, będę musiał poprzestać na skromném streszczeniu i na kilku napomknieniach w przelocie.

Robert Burns urodził się w parafii Alloway pod szkockiem

miastem Ayr. Wychowany do pługa, śród zgiełkliwych towarzystw rubasznego chłopstwa, jeszcze dzieckiem poczuł w sobie wyższą godność i przeznaczenie. W sąsiedniéj szkółce dorwał się był przypadkiem zbioru pieśni angielskich i historyi szkockiéj. Świetne czyny narodowych bohaterów obudziły w nim szlachetną dumę, i odtąd o niczem już nie marzył, jeno by się w czém do sławy swego kraju przyłożył. Silne choć niewyraźne wzruszenia rodzącéj się ambicyi sam porównywa do młotów, któremi homerowskie cyklopy kołatały omackiem po ścianach pieczar podziemnych. Duma ta jednak nie przerodziła się jeszcze w próżność i nie wzbroniła mu wesołego powrotu do zajęć rolniczych. Stanął znowu za pługiem, ale już nie sam, bo mu odtąd zawsze towarzyszyła Coila (tak bowiem szkocką muzę nazywa) i wieńczyła liściem, który szeleszcząc na skroni, nie dawał pokoju, póki tłumionych śpiewów z piersi nie wyłonił. Szybko, jakby w jednym dniu pogody, rozwinęły się w nim wszystkie namiętności serca, wszystkie żywioły poezyi. Między pierwiosną a latem, między kwieciem a owocem, prawie odstępu nie było. W ciasnym swym zakątku wezbrana dusza chwytała lada przedmiot, lada okoliczność, by dać upust pełności swojéj. Ubogi chłopek był jako bogaty młodzieniec, co w pierwszym na świat wylocie najdrobniejsze wydatki samem złotem opędza. Każdą twarz uczciwą witał wymownêm słowem, każdą piękność wiejską święcił uroczystą pieśnią. Za to znowu dla prostaka, dla niezdary, który śmiał mu w drogę zachodzić, miał ostry przytyk i uszczypliwą pogróżkę. Miłość dla towarzyszki, która na sąsiednim żynała zagonie, podała mu pierwszy wątek do śpiewu. Ze wszystkich téż przedmiotów ten był mu najmilszy. Nigdy nie przestawał składać najgorętszego hołdu królowom stworzenia, bo, jak mówi:

Stara natura stawia dziewic wdzięki,
Jako najpierwsze swoje arcydzieła.
Wprzód na mężczyznie spróbowała ręki,
Nim nauczona dziewicę powzięła.

Rzecz dziwna, w arystokratycznéj Anglii, w kraju rycerstwa i romansu, nikt nie wyrównał śpiewom miłośnym, które

w chłopku szkockim obudzały proste żniwiarki, lub ubogie pasterki na górach.

Póki żył ojciec, Burns pod jego dozorem wkładał się pilnie do gospodarstwa. W całéj okolicy nie było silniejszego i raźniejszego parobka do pługa. Gdy ojciec umarł, jeszcze z większą gorliwością wziął się do pracy bo na nim jedynym spoczywało utrzymanie matki i licznego rodzeństwa. Złemi gruntami a częstym nieurodzajem marniały jego zabiegi. W chwilach zniechęcenia zwykł był mawiać, że wiedzie życie więźnia na galerach, a na starość pozostanie mu tylko puścić się na publicznego żebraka. W jednéj z takich chwil rozpaczliwych postanowił emigrować do Indyi. Wszakże przed wykonaniem zamiaru załechtała go chęć wydania swych pieśni. Powierzył je w lecie 1786 biednéj drukarni w Kilmarnock. W mgnieniu oka rozeszła się jego sława. Niepokaźna książeczka w jednéj chwili przesunęła się od chaty do dworu, a od dworu do pałaców. Wyrywano ją sobie, a gdy brakło eksemplarzy, przepisywano na wyścigi. Zdumieli się najwykwintniejsi krytycy. Zdało się narodowi, że nietylko nowego zyskał wieszcza, ale jakby nieznane dotąd królestwo do jego potęgi przybyło. Jak Byron mówi o sobie, tak téż i Burns położył się spać nieznany nikomu, a obudził się sławnym między najsławniejszymi. Na liście prenumeratorów nowéj edycyi, która zaraz wyszła w Edymburgu w kwietniu następnym, znajdujemy 2000 pierwszych imion Szkocyi. Najcelniejsi literaci poczęli go odwiedzać. Przyciągnięto go do Edymburga. Mackenzie napisał o nim szeroką rozprawę. Blair, który trzymał groźne berło krytyki, jak u nas Ludwik Osiński, ochrzcił go mianem sielskiego Ossyana. Burnet zapraszał go na swe wieczory i biesiady, gdzie zwyczajem starożytnych nalewano mu wino z dzbanków laurami uwieńczonych. Księżna Gordon podawała mu rękę, by ją prowadził do stołu. Wielcy panowie poklaskiwali jego dowcipom, a wielkie panie siadały kołem, by się dziwić prostaczéj wymowie „wieśniaka od zachodu.“ Najbogatsze domy stały dla niego otworem. Jak magnaci filistyńscy z Samsonem, tak lordowie szkoccy igrali z atletycznym wieszczem natury. Jeden mu obiecywał bogactwa; drugi

miejsce i pensyę na dworze królewskim; trzeci, najmędrszy, ostrzegał: wracaj do twéj skiby i przedewszystkiem zachowaj twą niepodległość. Burns zmęczony, bo nie w swoim był tam żywiole, widząc, że moda poczynała się od niego usuwać, posłuchał dobréj rady, — wraca do domu, żeni się z swą „lubą Joasią,“ kupuje włość pod Dumfries i postanawia domowem ograniczyć się szczęściem. Lecz zetknięcie się z wyższem towarzystwem, upajające lubo przelotne tryumfy, wsączyły w duszę jad, który już mu nigdy nie pozwolił do dawnego wrócić spokoju. Dla tych, co badają zmienne losy, promienie i mroki w życiu poetów, ustęp ten z jego żywota jest jeden z najciekawszych. Ile trzeba było siły, ile męzkiéj duszy, żeby nie uledz w walce między ubogą dolą a podszeptami próżności, między wytrwałością a zniechęceniem, to tylko skrzętny rozbiór jego dzieł i życia okazać potrafi. Pisze on w jednym z dziwnych swych rytmów:

Przebywam w weselu, jak królów niewielu w pałacu przebywa, O.
Choć srogo i z bliska fortuna mnie ściska, jak zwykle złośliwa, O.
Wprawdzie codzień sobie na chleb ja zarobię, lecz więcéj nic wcale, O.
Lecz, że kawał chleba jest wszystkiém co trzeba, próżno się nie żalę. O.

Bodajby był na tem przestał. Chęć jednak swobodniejszego życia skłoniła go do opuszczenia rolniczego stanu i przyjęcia urzędu rewizora w kabaku. Odtąd téż poczęły się jego smutki i zboczenia. Powołanie wędrującego po gospodach celnika, wystawiające ciągle na zetknięcie się z pijakami i kontrabandzistami, narażało go na ciężkie pokusy i łatwości do upadku. Pochlebstwa możnych bez skutecznéj pomocy, przystęp do wyższych towarzystw bez podobieństwa pożycia na równi, napawały go bezustannym niesmakiem i odrazą do ludzi. Jako monarcha, znalazł faworytów i zausznik ów, ale nie miał przyjaciół. Uczuł, jako wszyscy teraz czują, że go ojczyzna zaniedbała. W całéj goryczy omylonych nadziei zaczął pisać przeciw przemocy i niesprawiedliwości ludzkiéj. Nie szczędził żółci, a co gorsza, niedość się w życiu miarkował, by światu nie dawać powodów do zaniedbania. Umarł w 38 r. wieku swego, więcéj ze zmartwienia, niż z jakiéj niemocy. Dziś zapomniano już o błędach człowieka, a została tylko cześć dla nieporó-

wnanych dzieł poety. Sto przeszło edycyi rozniosło jego pieśni po wszystkich dzielnicach angielskiego berła, zapisało jego imię na najuboższych chatkach, wywarło wpływ na najwznioślejsze umysły, na cały prąd literatury.

I czemuż przypisać z razu tak powszechne przyjęcie, a póżniéj wpływ tak trwały? W jego poezyach nie znajdziesz długich poematów, a gdybyś niektóre opowiadania tem świetnem nazwał mianem, to nie ma w nich ani akcyi, ani sztuki dostatecznéj do podziwiania. Przedmioty proste, domowe, bodaj nawet liche. Oprócz jednego wiersza o Robercie Bruce, to trudno gdzie doszukać się wielkiego imienia. Nadto, nie wynalazł żadnego nowego rodzaju poezyi, a co większa, pisał dyalektem nieprzystępnym dla wielu, a dotąd zostającym bez wstępu i przywileju na parnasie. Gdzież więc źródło jego potęgi? Oto w naturze, która w jego pieśni występuje w pełni, w swobodzie, w skończoności. Nie idzie tu o rozmiary, o wystawność. Równie drobny kwiatek, jak firmament gwiazdami zasiany, nosi na sobie cechy skończonéj doskonałości, rozkrywa badaczowi nieprzebrane dziwy harmonii i jedności celów. Każda z pieśni Burnsa, — nie pytaj przedmiotu i zakroju, — jest kryształem bez szczerbu, bez skazy, bez ukosu. Gdyby kto cokolwiek ujął lub dodał, to uczulibyśmy, że nam zniszczył jeden z pierwotnych kształtów, z pierwowzorów natury. Musiało to być jak jest, lub nie być wcale. Samo nawet wysłowienie tak jest szczelnie zestawione, iż zdaje się, że każdy wyraz tym samym porządkiem dla drugich stworzony. Niema poety, którego wiersze łatwiéj w pamięci zatrzymać. Jedno słowo napomknione całą strofę od razu przypomni. Jakiś klasyk twierdzi, że tylko jeden Horacy miał tak szczęśliwe wyrażenia i rytmy. Lecz Horacy mozolił się nad wierszem. Burns bez przygotowania, bez wiedzy, w natchnieniu znajdował od razu i myśl i formę. Pierwszy streścił w powabne wzory wykształcony już język, drugi jednym skokiem wzniosłą i klasyczną uczynił mowę, którą dotąd miano za barbarzyńską. Moore powiada o sobie, że został lirykiem, żeby dogodzić swéj zdatności i miłości do muzyki i śpiewu. Burns nie znał muzyki, ale grała mu w duszy tajemna harmonia, na któréj

nutę układał swe pieśni. Ztąd stoi on zawsze o własnéj sile, a tak samorodny i skupiony, że nic na cudzą własność pochwycić i oderwać niepodobna. Wielcy poeci zwykle mają naśladowców, którzy z mniejszém lub większém powodzeniem wsławiony przez nich tok obrabiają. Burnsa nikt dotąd nie naśladował. Ztąd téż na żaden język w świecie jego pieśni z dokładnością przełożyć się nie dadzą. Urok ich Szkotom tylko w zupełności znajomy, już mniéj jest przystępnym dla Anglików, a dla cudzoziemców w słabem ginie echu. Dla nas naprzykład rytmy, które wprawiają Szkotów w zachwycenie, podobne konwulsyom rapsodystów greckich kiedy Homera recytowali, w przekładzie marnieją zupełnie. Jużem przytoczył jeden wiersz, który się kończy zawsze na O. Oto rytm drugi, najulubieńszy Burnsowi. Mówi do myszy, któréj gniazdo swym pługiem wyorał:

Widząc jak w koło pusta jest niwa,
I jako ostra zima przybywa,
Myślałaś w gniazdku, że w niem szczęśliwa
Swobodnie zadrzemiesz;
Aż tu trzask nagły! i twe przędziwa
Przeciął srogi lemiesz.

Sam ustawiczny powrót rymów, tyle powabu w szkockim dyalekcie mający, i jego bogactwo w ustach twórczego poety odsłaniający, dla naszego ucha grzeszyłby zbyt ckliwą monotonią. W całym więc zakresie literatury niepodobna znaleźć oryginalniejszego poety. I myśl i kształt wiersza, równie niepodobieństwo naśladowania w krajowym języku, jak przekładu na obcy, przekonywa nas, iż mamy przed sobą naturę w całéj swéj przeczystości i świetle. Dzieła przeto Burnsa musiały być ważnym posiłkiem w tym powrocie do prostoty, któremu Cowper dał hasło. Między ogłoszeniem *Zadania* a *Sobotniego wieczoru wieśniaka* odstęp dwa tylko lata zajmuje. Lecz Cowper występuje tak wysoko temu że wiek tak nisko upadł. Przy Burnsie zaś wszelka miara wartości spółczesnéj niknie u podnoża. Cowper nie wywołał Burnsa, bo ostatni objawił się bez obcego wpływu, bez względu na czasy i ich potrzeby a braki. Burns byłby obudził Cowpera chociażby ujętego

w sidła najgorszego smaku. Ten wraca do prostoty dla tego, że miał sposobność poznać i obrzydzić sobie przywary spółczesnych pisarzów. Tamten śpiewa w prostocie, jak w przyrodzonym żywiole, boby inaczéj tchu nie miał, oddycha nią, nie rozbierając féj, nieświadomy jéj istności, ani téż przeciwnego bytu, oddycha nią jak powietrzem:

Co cię żywi, krew grzeje, oblewa do koła,
Choć je żaden z twych zmysłów pochwycić nie zdoła.

Najznajomszą balladą czy powieścią jego jest *Tam O'Shanter*. Rzecz idzie o zapóźnionego na pohulance wieśniaka, którego gonią w powrocie do domu widma i strachy dawném podaniem upowszechnione w miejscu, gdzie się poeta urodził. Nie tak może przez hold dla rodzinnego zakątka poety, jak dla powieści, którą każdy umie na pamięć, — okolicę tę, jako ziemię klasyczną wieszcza, nazwano *the land of Burns*, i wśród niéj wystawiono mu pomnik, przy którym w 1844 najznakomitsi literaci i panowie angielscy, w gronie deputacyi ze wszystkich miast szkockich, uroczystą na jego cześć odprawiali biesiadę. Taka jest władza utworów poety, skoro wpoją się w pamięć ludową, że sam niknie przed swém dziełem, i kto dziś zwiedza to ustronie, pyta o opuszczony kościoł, o smutny cmentarz, o studnię czarownicy, o most na rzece Doon, nie dla tego, że w tym kościele modlił się młody śpiewak, że na tym cmentarzu leżą jego przodkowie, że się tym mostem przechadzał, lecz, że wedle jego ballady, temi szlakami Tam O'Shanter cwałował. Powieść ta jest dziwnéj piękności w swoim toku. Gra po wszystkich stronach, śmieszy, zadziwia, rozczula, przestrasza. Trudno w tak ciasnym obrębie więcéj zmieścić obrazów. Ślicznie ją Leon Ulrich na nasz język przełożył. Lecz nie jest to bynajmniéj najznakomitszy z utworów Burnsa. W *Wesołych żebrakach* jest on więcéj dramatycznym, w *Przemowie do czarta* dowcipniejszym, lubo wyznać trzeba, że dowcipkowanie, epigramatyczność, jakby ku ostrzeżeniu, gdzie największe niebezpieczeństwo dla kmiotka-poety, najczęściéj mu się nie udaje i psuje najszacowniejsze pomysły. Za to, ile razy uczuciem zapłonie, powraca mu cała siła wieszczego ducha. Niezmordowany robotnik, którego nikt przy

pługu i sierpie prześcignąć nie zdołał, rozczula się najdraźliwszych dusz rzewnością nad pierwiosnkiem, nad gniazdem myszy, które z pod skiby wyorał. W wierszu *Na śmierć kapitana Hendersona*, w *Przemowie Roberta Bruce*, a osobliwie w *Widzeniu Coily* wznosi się do najwyższéj liryczności. Rzecz uwagi godna, że ile razy wpadnie na ton poważny, lub czysto liryczny, to rzuca swój domowy dyalekt, a pisze po angielsku, i to tak wybornie, że jakiś arystokratyczny krytyk powiedział, iż równie w myśli jak w stylu zawsze jest *gentlemanem*. W jedném tylko miejscu nadarzyło się mi spotkać dowód, że wiedział i o Polsce, a może i o jéj przywarach. W powieści *Świstawka* opisuje przygody pijaka, który jeździł po całéj Enropie, wyzywając najdzielniejszych do butelki. Nosił przy sobie świstawkę, dziedzictwem od ojców zostawioną. Ktoby z dwóch pijących ostatni zdołał w nią zadąć, ten zwyciężał i odbierał mu ją w znak wygranéj. Otóż nigdzie nie zdołano pobić naszego zwolennika bachusowego. Nawet w Polsce on wygrał. Dopiero w Szkocyi Fergusson, jeden z przodków Cutlara Fergussona, tak nam dobrze zasłużonego, odniósł nad nim zwycięztwo. Świstawka też ta, dziś wierszem Burnsa jeszcze więcéj wsławiona, przechowuje się w rodzinie Fergussonów jako najdroższa spuścizna. [1])

Lecz co jest najszacowniejszém, i w czém wpływ Burnsa jest najzbawienniejszym, to wysoka mądrość i moralność, któréj nigdy nie zaniedbuje. Godność człowieka u niego przedewszystkiem. Cnota jest miazgą, jest złotem, a stan i stopień tylko piętnem na pieniądzu. Gra uczuć tém jest nadobniejszą i wyraźniejszą w poecie, że jasny i wzniosły umysł z góry na nią rzuca swe promienie. Pieśń jego i ogrzewa i świeci zarazem. Wielki Chatham powiedział: pozwól mi pisać ballady dla ludu, a ja ci robotę prawodawstwa zostawię. W tém znaczeniu Burns dla Szkocyi jest dobroczyńcą, prawodawcą, reformatorem. Zimny jéj purytanizm wysuszał serca do reszty. Aż

---

[1]) Mówiąc o Cutlarze Fergussonie na inném miejscu, powieść tę w całości już przytoczyłem. (Patrz Tom I. str. 18.) Tłomaczył ją także Leon Ulrich.

tu zjawia się poeta, który uderzył, a z twardego kamienia, jak ze skały Horeb, żywotne źródło wytrysło. Jakiemże to byłoby błogosławieństwem dla Ameryki, gdyby się jéj urodził podobny mu sercowy rozbudziciel. Przytaczam na zakończenie jeden z wierszów, w którym ten przymiot Burnsa występuje dość wydatnie; a że nie tak barwnie i treściwie jak w innych, przeto przekład stał się łacniejszym. Taka jest jednak ukośność charakteru narodowego, że nawet w tym wierszu, osobliwie téż w piątéj strofie, niepodobna nie ujrzeć téj przebiegłości, którą zręcznie maluje przysłowie, że jeźli Anglik swym sprytem zajdzie aż na koniec świata, to Szkot i dojdzie tam i nazad powróci.

List do młodego przyjaciela.

Oddawnam myślał, mój przyjacielu,
By ci co posłać na święto;
Choćby dla tego jedynie celu,
Byś miał odemnie memento.
Lecz to trafunek i czas obwieści,
Co z mym przedmiotem się stanie;
Może się piosnka wysnuje z treści,
A może tylko kazanie.

Kiedy, Andrzeju, w świat ci się spieszy,
Wierz mi, przestrogę przyjm moją,
Że ludzkość z dziwnych złożona rzeszy,
Co cię wnet smutkiem napoją.
A bądź na trudy i troski gotów,
Choćby się plany ziściły;
Często nie zyskasz nic z twych obrotów,
Choć wszystkie wytężasz siły.

Niepowiem: ludzkość samych zbrodniarzy
Twardych, wierutnych jest zgrają.
Mało jest takich, co prócz praw straży
Innych wędzideł nie znają.
Lecz ah! w słabości główna jéj wada,
Pędzi na oślep w bezprawia;
Gdy drżącą szalą sobkostwo włada,
Rzadko ją dobrze nastawia.

Tych, co w zapasach z losem upadną,
Nie potępiajmy zbyt srogo,
Bo jeszcze w życiu odpowiedź składną
Swym przeznaczeniom dać mogą.
Często uczciwe serce posiada
Ten, co w ostatniéj jest nędzy.
Człowiek wziąść może stronę sąsiada,
Choć dać nie może pieniędzy.

Gdy przyjaciele znajdą się szczersi,
Bądź z nimi w mowie jak w domu;
Lecz coś zachowaj zawsze w twéj piersi,
Czegobyś nie rzekł nikomu.
O ile możesz skryj się głęboko
Przed ostrym nożem krytyka,
Lecz w innych ludziach twe bystre oko
Niech na wskroś duszę przenika.

W zacnéj miłości niechaj myśl hoża
Ogrzewa istność twą całą,
Lecz się nie spuszczaj w błędne bezdroża,
Choćby się wydać nie miało.
Ile w tém grzechu, — na bok uchylę, —
I jak skryć trudno te chucie;
Lecz ah! to wewnątrz stępia nas tyle,
W kamień obraca uczucie.

By złoty uśmiech dała fortuna,
Służ jéj w skwapliwéj pogoni,
I wszelką sztuką bogate runa
Zbieraj, gdzie honor nie broni;
Nie — by pod korzec skryć je, Andrzeju,
Lub wznieść w orszakach twą postać;
Lecz dla szczytnego to przywileju,
Byś niepodległym mógł zostać.

Strach piekła, — groźny jestto bicz kata,
Co trzyma łotrów na smyczy;
Lecz gdy ci honor gdzie zakołata,
Tam on ze szwankiem graniczy.
Boczne usuwaj zawsze wymysły,
Skoro drgnie honor, stój w pędzie,
I w przestrzeganiu jego praw ścisły,
Nie zważaj na to co będzie.

Wielkiemu Stwórcy służyć ku chwale
Dosyć stworzenie nie zdoła,
Lecz w kaznodziejskim wstrzymuj się szale
I wszelką zmarszczkę strąć z czoła.
A z dowcipkami niech się duch czysty
Twój bezbożnemi nie brata;
Bo za gniew Boga śmiech ateisty
Jakże to licha zapłata.

Religię uśpisz, gdy w uciech kole
Rozpuścisz język twój z braćmi,
Lub jeżli chyłkiem ona ukole,
To obojętność ją zaćmi;
Lecz gdyś wpędzony na życia burze,
Gdy ci sumienie rak spęta,
Węzeł zasnuty z niebem tam w górze
Jakżeż kotwica to święta.

Bądź zdrów, mój drogi bracie młodzieńczy,
Nie brak ci serca, więc oto
Niech się twe wzniosłe czoło uwieńczy
Męztwem, mądrością i cnotą;
Powiem jak oracz: niech ci Bóg szczęści!
Codziennie wzrastaj w rozumie,
I spełnij radę lepiéj choć w części
Niż sam doradzca twój umie.

Jerzy Crabbe (1754—1832).

Dwie miał epoki w życiu swém literackiém, i to z długim w pośrodku przestankiem. W pierwszéj, jako młodzieniec, przybyły do Londynu z trzema tylko szterlingami w kieszeni, potrzebujący zarobku i opieki możniejszych, drukował swe wiersze po pismach peryodycznych, rozsyłał je po znanych orędownikach literatury, aż nareszcie przez Edmunda Burke, który pierwszy poznał się na jego zdolnościach, dostąpił łaski kilku możnych panów, a potem powszechnego w kraju przyjęcia. Do tego okresu należą jego poemata: *Kandydat*, *Patron* i *Biblioteka*, jako początkowe rękojmie wyższych poetycznych usposobień, i *Wieś* jako dzieło, które w pierwszym rzędzie od razu stanąwszy, dotąd między celniejszemi utrzymuje swe

miejsce. W drugiéj epoce Crabbe, w sukni dostatniego pastora protestanckiego, dobrze sobie na sławę obywatela swą dobroczynnością zarobiwszy, występuje w r. 1807 po dwudziestoletniém przeszło milczeniu, z powagą publicznego moralisty i patriarchy poetów. *Rejestr parafii*, *Gród* i *Powieści zamkowe* (The Parish Register, The Borough, The tales of the Hall) nietylko utrzymały, ale zwiększyły jeszcze, nie powiem urok, lecz grozę wieszcza, którego sprawiedliwie Byron zwał najrzetelniejszym lubo najposępniejszym malarzem natury.

Zapytanie, gdzie się kończy proza, a gdzie poezya zaczyna, nigdy się tak natarczywie nie nastręcza, jak w przeglądzie pism Crabbego. Godziż się podnosić do dostojeństwa poezyi ten niewolniczy, fotograficzny rodzaj powtarzania natury, co pomijając pierwszy warunek poezyi, a tym jest wzruszać serce i pobudzać do myśli napomknieniami, zastępuje go nużącą wiernością i rzemieślniczą dokładnością w najdrobniejszych rysach obrazu? Przystoiż jéj plądrować po najohydniejszych ściekach towarzystwa, i miasto pobudzania nas do wzniosłych myśli, dręczyć i poniżać widokiem obrzydliwości ludzkich? Jestże ten poetą, kto zamiast zbierać w całokształt rozproszone po jednostkach z mniejszą lub większą wydatnością, ale wspólne nam wszystkim, czy nadobności czy przywary, chwyta potwór jaki, i krając chirurgicznym nożem, wykłada na stół wszystkie bezeceństwa, w jakie natura zboczyć może? Mąż zazdrośny zabijający swą żonę niewinną, zbrodniczy podszczuwacz przez zemstę wiodący go do szalonego czynu, córka wypychająca z domu ojca dobroczyńcę, zdrajca sięgający po koronę przez morderstwa, są w zakresie przedmiotów poetycznych, — Szekspir cały ich przepych okazał, — a są niemi, bo każdy z nas, choć w nierównym stopniu, zna co zazdrość, co ambicya, a nawet co niewdzięczność i zemsta. Lecz przedsiebiorca, który zakontraktowawszy rocznie dostawę żywności i lekarstw do domu ubogich, ściska głodem ich żołądki i ciesząc się rachuje na palcach ilu przez noc umrzeć może, — zgubiona nie wiasta w zachodach i targach bezwstydu, — więźniowie w szczegółowych objawach bezczelności i sromoty, — konanie nędzarza na barłogu ze wszystkiemi osobliwościami i stopniowaniem cho-

roby, — przedmioty, które Crabbe z upodobaniem i w całéj nagości opisywał, — jako wyjątki, obce powszechnemu uczuciu i wiedzy, wychodzą z poetycznego zakresu. Lecz może kto zarzuci, że przecież chciwość skąpca, upadek kobiety, udręczenie i samotne myśli więźniów, konanie ubogiego, tylu prawdziwym poetom dostarczyły wątku. W saméj rzeczy, bo w tych wszystkich przypadkach jest zawsze coś ogólnego, co wzrusza każdą duszę, przejmuje każde serce. I w téj to ogólności poezya ograniczyć się winna. Każde zaiste konanie jest pełném uroczystości i nauki, ale, czy żebrak, czy monarcha, jak kona z suchot, jak z puchliny, jak w paraliżu, to tylko do spostrzeżeń lekarskich należy. Chciwość Shyloka jest zajmującą, zwłaszcza w potyczce z innemi uczuciami, ale przezieranie kosza szyfonierów paryzkich sprawiłoby tylko odrazę. Więzień w swych dumaniach, przypomnieniach ze świata, choć zbrodniarz, jest poetyczną postacią, ale w skargach na niewygody, na plugastwo, na zbytnią ostrość dozorców, należy jedynie do prawodawcy i przyjaciela ludzkości. Słaba kobieta, póki trwa walka między cnotą a występkiem, przedstawia jedną z najbogatszych osnowę dla poety, ale sam upadek, jego następstwa i nędze w biegu do ostateczności, zaledwie w prozie, i to pod osłoną, wyłuszczonemi być mogą. Tymczasem Crabbe wszystkie te czarne obrazy roztacza w całej ich żałobie. W swéj dagerotypowéj dokładności nieopuszcza najlichszego szczegółu, nie przepomina najodraźliwszych rysów. Domy ubogich, szpitale, więzienia, ciasne i brudne zaułki po miastach, oto dziedzina jego poezyi. Udręczony czytelnik składa na bok książkę, nie z większém zamiłowaniem ku cnocie, nie z jasną myślą na przyszłość, ale z zawrotem głowy, z omdlałém sercem i z pogardą dla rodu ludzkiego. Oto dwa przykłady wyjęte z ustępów najczęściéj przytaczanych jako wzory poetycznéj dzielności. Któż się nie wzdrygnie na ten obraz grzesznéj niewiasty?

Schwytać rysów nie mogę, tak to, co ujrzałem,
Było bladém, wychudłem, plugawém, znędzniałém;
Z błędnym wzrokiem, ofiara cierpień i rozpusty.
Z rozpaczy jéj wesołość, z omdlenia śmiech pusty;

Jéj twarz, gdzie twarz znać było, pędzle sztuki głupie
Skryły w gorącéj różu szpetnego skorupie, —
Kłamliwa barwa kwiatu, rumieniec na trupie!

Mniéj odraźliwym, bo téż przedmiot mniéj wstrętny, jest opis domu ubogich i ich lekarza:

Taką ta izba. Jedną belką przedzielona,
A nad nią gołych krokwi pochyłe ramiona;
Liche powrósła zgniłą przeplatają słomę,
I tylko muł i glina na ścianach widome,
Krom jednéj nędznéj szyby, koślawéj z łatania,
Która ulewę wpuszcza, ale dzień wygania.
Tu na macie, w barłogu i pyłu osadzie,
Mdlejący nędzarz głowę schorowaną kładzie.
Do ust kubka z posiłkiem nikt mu tu nie poda,
Ni z ócz otrze łzę skrzepłą jak gnijąca woda,
Nie uśpi cierpień tkliwą mową, ni w nadzieję
Nie wzniesie tak, że sama boleść się zaśmieje.

Lecz wkrótce głos krzykliwy, nagły, przerywany,
Wstrząsa niepewnym dachem i obiega ściany;
I oto wchodzi człowiek w wyszukanym stroju,
Pełny dumy, chytrości, szumu, niepokoju,
Z wzrokiem, który nie wzruszy żadnych cierpień władza,
Z pospiechem, co przy wchodzie pospiech wyjścia zdradza;
Zlękłą rzeszę przed siebie zwołuje niezwłocznie,
A w oku ma emetyk i losu wyrocznie.
Szarlatan! Dawno znając wszystkie nędz rodzaje,
Lży najprzód téj ofierze, któréj śmierć zadaje,
A w śpiącym rządzie pieczę swym mordom zdobywszy,
O których niedbać raczy, tym najlitościwszy.

Płacony przez parafię za służbę w tym domu,
Mędrek — szyderca — wzgardy nie szczędzi nikomu.
Do łoża, gdzie choroba, w nagłym pędzie kroczy,
Niecierpliwość mu drażni odwrócone oczy,
I zwykłych kilka pytań zadawszy z daleka,
Co tchu bez odpowiedzi wraz do drzwi ucieka.
Zemdlony pacyent, dawno już zdany na męki,
Przywykły do zaniedbań, wie że próżne jęki,
Przestaje więc już żebrać, by człowieka rada
W pomoc przyszła, — i cicho do grobu się składa.

Tą koleją poemata Crabbego wydają się być nieprzerwanym ciągiem satyr. Gdzieniegdzie jednak można w nich spo-

tkać wzniosłe i pogodne obrazy. Izaak Ashford, wzór szlachetnego kmiotka, jest nadobną postacią i tak zaszczytnym przykładem dla wieśniactwa angielskiego, jak dla szkockiego wystawił Walter Scott w Jeanie Deans lub w Dandzie Dinmont. Opisy sielskiéj natury, jak naprzykład opis jesieni w *Powieściach Zamkowych*, lub pustkowia z koczowiskiem cyganów w powiastce *Podróż Kochanka*, są trafne i zajmujące, bo choć autor zwykłą sobie skłonnością przepełnia je zbyt drobiazgowemi szczegółami, to przecież i niewolnicze facsimile mniéj razi w tym zakresie, niż w innych, a często zastępuje wyższe w sztuce pojęcie. Lecz i tu wybiera on przedewszystkiem posępne widoki. Ponurość była w całym jego organizmie duchowym. Najwięcéj pisał w jesieni. Wiosna i lato mijały bezkwietnie, bezowocnie. Mgły zaś listopadowe i grudniowe szrony rozbudzały w nim zapał i pochopność do śpiewania. Syn, który wydał jego żywot, powiada, że osobliwie nagła śniegu ponowa popędzała go do najwyższych i najpłodniejszych wzruszeń. Kto się zajmuje porównywaniem osobistego charakteru poetów z główną ich dzieł zasadą, znajdzie w Crabbem dziwne sprzeczności. W pożyciu bowiem był słodkim, ujmującym, nawet potulnym. Ku wychowaniu i polepszeniu bytu ubogich nie szczędził ani czasu ani dobytku. Kochał dziatki nadzwyczaj. W starości przesiadywał dnie całe w parafialnéj szkółce. Wskazując na swych drobnych wychowańców, zwykł był mawiać: oto najmilsi towarzysze sędziwego wieku. Z pism zaś wydaje się mizantropem, zrzędnym, nielitościwym, niezdolnym ani dać komu ani przyjąć pociechy, jak gdyby całe życie przepędził gdzieś w jaskini zbrodniarzów, śród miejskiego zepsucia, jak gdyby zwątpił, że społeczeństwo może w cnoty zakwitnąć, i że bywa jeszcze coś innego na świecie prócz niepohamowanych bezprawi z jednéj, a nieobronnéj nędzy z drugéj strony, — istny Hobbes między poetami.

W stylu jędrny i starowny, przekracza często granice przystojności zbytniém ubieganiem się za dobitnością w wyrażeniach. Wiersz tak nabity, iż zdaje się pękać z przepełnienia. Przymiotnik jeden za drugim, coraz silniejszy, aż w grzmot się rozlega. W pierwszym okresie naśladował Churchilla szor-

stką, rubaszną siłę. W drugim, kiedy wybierał przedmioty z wyższéj warstwy społeczeństwa, starał się więcéj o ogładę, o pewną uprzejmość w stylu, ale napróżno; ile tylko razy zdarzy się sposobność, to do dawnego powraca. W składzie wiersza przypomina Popego. W opisie skąpéj gospodyni, u któréj

Niebo w oku, a w ręku klucze od śpiżarni,

znać wyraźnie chęć naśladowania uszczypliwéj satyry z czasów królowéj Anny. Nazwano go téż Popem w łapciach. Rzecz niepojęta, — pisarz, który nadewszystko kładzie wierzytelność i prostotę, mówiąc sam o sobie

będę iść koleją,
Jaką prawda chce chodzić, a wieszcze nieśmieją,

nie może się nawet otrząsnąć z najckliwszych wymagalności dawnéj szkoły. Każdy chłopek jest u niego pasterzem, a nimfą każda niewiasta; zamiast pospolitych nazwisk, urojone, romansowe; nie po prostu John i Betsy, ale Damon i Phoebe występuje śród scen dalekich od pojęć klasycznéj starożytności.

Wątpić się godzi, czy w jakimkolwiek języku znajdzie się tłómacz dla Crabbego. Dla cudzoziemców, zwłaszcza nieznających układu społecznego w Anglii, trzebaby licznych komentarzów do zrozumienia całego toku, a w tym względzie raporta urzędowe i statystyczne tabelle zawsze dla nich będą ciekawszemi. Sami nawet Anglicy, którzy go dziś jeszcze mieszczą w podle Burnsa i Byrona, czynią to raczéj przez hołd dla muszkularnego języka i ojczystéj miazgi, i przez wdzięczność dla wysokiéj moralności i zbawiennego wpływu, który niezaprzeczenie pisma jego wywarły, budząc sumienie publiczne przeciw nadużyciom, niedbałościom i występkom. Większa bowiem staranność o ubogich, bliższe zwrócenie uwagi na stan rolniczy, ulepszenie szkółek, więzień, szpitalów, zgoła to wszystko, do czego tak raźnie biorą się Anglicy, należy się w części uchyleniu zasłony, zdartéj silną choć nieukładną ręką śmiałego poety. Wprawdzie ma on niejakie podobieństwo do dzisiejszéj szkoły romansów francuzkich, ale rozkładając z pewnem upodobaniem liszaje i wrzody towarzyskiego ciała, nie czyni nigdy cnoty spowszedniałą a zbrodni zajmującą.

Więcéj moralista i cenzor katońskiéj odwagi niż poeta, postradał jasność i spokojność sędziego, siląc się na wyszukanie co najjaskrawszych obrazów. Szekspir pisał dramata, w których cała gra namiętności w najdobitniejszém występuje przedstawieniu. Nikt mu dotąd nie sprostał w znajomości serca i duszy ludzkiéj. A przecież kto wie, czy byłby zdołał napisać filozoficzną księgę o powodach i sprężynach działań człowieka. Crabbe na odwrót mógł był systematycznie wystawić skazy psującego się społeczeństwa i ich przyczyny, ale unosząc swą wiedzę i uczucie w zbyt wysoką i niewłaściwą sferę, upadł brakiem artystyczności. Chciał być poetą, zaszczyt mu ten przyznają rodacy, wypadało mi więc sądzić go wedle poetycznéj miary. Odmawiając mu jednak miejsca, jakie mu względy współziomków przyznały, niepodobna zaprzeczyć, że był jednym z potężnych wyobrazicieli swego czasu. Znakomicie przyłożył się w oddziałaniu na rzecz sumienności, ale zgrzeszył przesadą. Obrzydziwszy sobie wytworne trefnisiostwo, wpadł w przeciwną ostateczność i wziął nagość za prostotę.

Walter Scott (1771—1832).

W młodości z najwyższym zapałem uczył się Crabbego wierszy na pamięć. W późniejszym wieku ze wszystkich narodowych autorów najczęściéj do niego powracał. Zbiór jego poezyi i biblię kazał sobie położyć przy wezgłowiu kiedy umierał. Skądże ta przychylność? Że Byron, najdzikszy, najzuchwalszy, zawsze samopas chodzący poeta, nad wszystkich przekładał Popego, — pisarza właśnie, który się nie ruszył jeno na paskach przyjętych reguł i etykiety, — to się da wytłomaczyć kaprysem, a jeszcze łacniéj chęcią dokuczenia współzawodnikom. Lecz Walter Scott nie miał przywidzeń, grymasów, ani mściwych niechęci. Zkądże więc ta stronność ducha, który przedewszystkiem malowniczości hołdował, dla autora rozbierającego każdy przedmiot w obnażenie, w bezbarwną rzeczywistość? Nie zdajeż się, jak gdyby dłoń, która najzręczniéj umiała układać ludzi w wielkie historyczne obrazy, nie mogła się była obejść bez gruntownego wprzód poznania prostéj anatomii człowieka? Ta uwaga byłaby już dostateczną

na pokazanie, że przeskok od Crabbego do Scotta, który tutaj pozwalam sobie uczynić, nie jest tak gwałtownym i bez związku, jak się to na pierwszy rzut oka wydawać może. Lecz jest jeszcze wzgląd przeważniejszy. Pierwszy, schodząc do drobiazgowości, do martwości, był ostateczném wyrażeniem szkoły dydaktycznéj, opisowéj. Drugi przeciwnie poczynał zawód, gdzie szczegóły składając się w ogół, wystawiały życie w całéj pełni i nieprzestannéj akcyi. Między nimi dwoma zachodzi więc związek, jako między poprzednikiem a bezpośrednim następcą. Wprawdzie, zanim Scott zasłynął, to już Coleridge, Southey, Wordsworth i inni nowéj szkoły pisarze znani byli publiczności, ale te pierwotne ich dzieła dawno są już zapomniane, a ostały się tylko późniejsze ich płody, w których wpływ wielkiego mistrza widocznie się okazuje. Bez wahania się więc, na samem czele tego najświetniejszego okresu nowéj epoki, położyć Scotta wypada.

Urodził się w Edymburgu 15 sierpnia 1771 roku. Ojciec jego był rządowym notaryuszem, matka córką profesora medycyny w uniwersytecie edymburskim. I po mieczu i po kądzieli wywodził ród swój ze znakomitych rodzin w Szkocyi. O jednym z pradziadów jego matki podanie niosło, że w pojedyńczéj walce zabił jakiegoś księcia angielskiego. Między przodkami w linii męzkiéj liczył sławnych wojowników, którzy aż do ostatnich powstań sprawę Stuartów dzielnie orężem popierali. Nie małym te pamiątki były żywiołem ku wczesnemu rozbudzeniu jego imaginacyi i narodowego uczucia. W niemowlęctwie wątłe, chorowite, kulawe na prawą nogę dziecię, oddanem zostało babce mieszkającéj pod miastem Kelso na wychowanie. Babki umieją najstaranniéj pielęgnować, ale téż i psuć najlepiéj. Wyrósł więc w téj szkole pobłażania i pieszczot na silnego, ale razem na krnąbrnego chłopca. Opowiadają, że gdy raz piorunowa burza bawiącego się w ogrodzie zastała, położył się na wznak w trawie, i za każdym przelotem błyskawicy klaszcząc w dłonie i wołając: bonny, bonny! — co znaczy: o jak prześlicznie! — nie dał się żadną miarą przelękłéj piastunce odprowadzić do domu. Kto wędrował kiedy po tem pograniczu Szkocyi, kto zwiedzał Kelso,

Jedburgh, Dryburgh, Melrose, wpatrywał się w rączą Tweed i panujące nad całą okolicą bliźnięce szczyty Eildonów, ten jedynie pojąć zdoła, jak podobne miejsca szczodrze ubłogosławione od natury, zasiane wspomnieniami historycznemi i najpiękniejszemi zabytkami sztuki gotyckiéj, musiały szybko rozwijać poetyczne dziecięcia usposobienie. Od najmłodszego téż wieku począł najprzód pamięcią, późniéj piórem zbierać miejscowe podania i ballady. Oddany do szkoły edymburgskiéj zwrócił wkrótce uwagę nauczycieli znajomością historyi i literatury, a przychylność współuczniów łatwością komponowania i opowiadania zajmujących powiastek. Najmilszém mu zatrudnieniem było czytanie starych romansów. Żył ciągle w rycerskich najazdach i zamkach zaczarowanych. Za to, inne nauki szły oporem. Łacina niezgorzéj, ale greckiego nie cierpiał. Nowożytnym językom tylko tyle się oddawał, aby przelotnie poezye i powieści rozumieć. Skończywszy uniwersytet, w 21 roku przywdział togę prawnika. Surowy prezbiterianin w religii, wystąpił w polityce jako nieugięty tory. Gdy rewolucya francuzka kazała Anglii myśleć o obronie i najeżyła jéj brzegi hufcami ochotników, Scott wszedł do kawaleryi, a obrany w swym pułku kwatermistrzem, miał sposobność połączyć wszystkie przyjemności i poznać wszystkie znamiona wojskowego życia. Wesoły w szeregu towarzysz, niczem nieznużony opowiadacz przy stole, był duszą wszystkich zgromadzeń, wyrocznią w każdéj przygodzie. Wypadki jednak szybko go wiodły do ustalenia losu w zawodzie, którego już więcéj nie opuścił. W 1797 pojął za żonę Francuzkę Karolinę Charpentier, któréj rodzice w Anglii osiadłszy na Carpenter swe nazwisko zmienili; a wkrótce późniéj otrzymał urząd szerifa w hrabstwie Selkirk z roczną pensyą 300 funtów szterlingów. Tak uposażony, bo i po żonie dostał nieco majątku, począł szczerze myśleć o zajęciu, ku któremu wewnętrznie od dawna silnym był gnany pochopem. Na odwrót trybowi pisarzów naszego wieku, Scott, lubo udarzony wczesném usposobieniem do poezyi i zamożny w niewyczerpane skarby podań i legend narodowych, nie brał się porywczo do autorstwa. Wprawdzie przytaczają wiersz dość gładki *Do zacho-*

dzącego słońca, który miał w 12 roku swego życia napisać. Lecz dopiero w 1796 po raz pierwszy występuje przed publiczność jako tłomacz *Lenory i Dzikiego Łowca* z Bürgera. Była to chwila powszechnego zapału ku niemieckiéj literaturze. Scott należał do najżarliwszych jéj hołdowników. W 1799 wyszło z pod jego pióra tłomaczenie tragedyi Goethego: *Goetz von Berlichingen.* Szacowna to próba wprawiającéj się ręki do wyższych powołań, ale znać, że nie w tym jego geniusz miał pójść kierunku. Sam się spostrzegł i wrócił na dziedzinę narodowéj poezyi. W 1802 wystąpił skromnie ze zbiorem nagromadzonych ballad pod tytułem: *Minstrelstwo pogranicznéj Szkocyi.* Objaśnienia, pisane z wielką nauką i potoczystością, już swą barwą zapowiadały przyszłego autora *Waverleya i Guy Manneringa.* W następnym roku wydał trzeci tom, dołączając kilka własnych oryginalnych wierszy pisanych w formie i wątku wedle wzorów starego minstrelstwa. *Sir Tristrem*, poemat z XIII wieku, do którego sam zakończenie dorobił, był nowym dowodem jego głębokiéj nauki i zręczności w naśladowaniu. Lecz epoka prawdziwéj wziętości jego, i powszechnéj sławy poczyna się dopiero od wydania w 1805 r. całkowicie oryginalnego poematu: *Pieśń ostatniego Minstrela.* Od dawna żadne dzieło nie było tak mocnego zrobiło wrażenia. Upojony pochwałami autor począł śnić o najświetniejszych losach. Już w wyobraźni jego stawał przed oczyma wspaniały zamek o wieżach feudalnych, o krużgankach gotyckich, a w nim zbrojownie, bogate komnaty, gościnne stoły, turnieje, udzielni książęta, orszaki lenników, bardów, paziów, giermków, zgoła cały świat średniowieczny, który on czarnoksięzką swą rószczką do życia przywracał. Marzenia te na gwałt dopominały się o rzeczywistość. Trzeba było co tchu gromadzić środki ku temu. W nieostrożnéj godzinie wszedł w księgarską spółkę z Ballantynem, swym szkolnym kolegą. Z razu przedsięwzięcie szło pomyślnie. Zachęcony i sławą i zarobkiem, ani na chwilę w pracy nie ustawał. W przeciągu lat kilku, od 1808 do 1815, z pod jego pióra wyszły po kolei: *Marmion*, najznakomitszy z jego rycerskich poematów, — *Pani Jeziora*, najpopularniejszy, — *Widzenie Don Roderyka*, *Matylda Rokeby*, *Za-*

ślubiny Triermaina, *Pan Wysp* i *Waterloo*, — że pominę szacowne wydanie Drydena, i kilku mniejszéj wartości poematów dramatycznych. Lecz w końcu wziętość poezyi tego rodzaju poczęła ustawać. Kształt i styl spowszedniał. Świat literacki zapragnął nowości. Gdy się *Pan Wysp*, poemat w niczem niepośledniejszy od poprzednich, owszem pełny ruchu i kolorytu, w 1814 ukazał, przyjęły go surowe krytyki, a zmniejszona pokupność świadczyła o obojętności, stokroć każdemu pisarzowi boleśniejszéj niż najzjadliwsze razy Zoilów. Przyczynę tego autor znajdował w zbyt szumnym tytule. Mówi on sam z tego względu: „Popularny, zgoła co się zwie zajmujący tytuł, księgarza broni od straty, lecz dla autora staje się często niebezpiecznym szkopułem; ten bowiem, co bierze za przedmiot rzecz wielkiéj wziętości, traci przywilej nagłego, niespodzianego obudzenia zapału w czytających, owszem zapał ten już jest obudzonym, i wre być może goręcéj w oczekujących niźli w samymże poecie.“ Cóżkolwiek bądź, autor w czas się zmiarkował, iż fala popularności poczynała szybkim prądem odpływać od niego. Na horyzoncie téż literackim zaświeciła była nowa gwiazda, która wlepione wszystkich oczy na swych promieniach trzymała. Lutnia Childe Harolda zagłuszyła harfę północną. Trzeba było ustąpić i nowym pokierować się szlakiem. Nie brakło Scottowi ani na środkach, ani na odwadze. „Gdy stara kopalnia — mówi Bulwer — poczynała dawać oznaki, że się wkrótce wyczerpnie, otworzyła się nowa, dziesięćkroć bogatsza w drogie kruszcze, i właśnie kiedy w *Rokeby* geniusz pierścienia jął słabnąć w swéj cudownéj sile, zjawił się daleko potężniejszy geniusz lampy w postaci *Waverleya*.“ W nowém tém przeobrażeniu, dzięki poniekąd tajemniczości jaką był się okrył z początku, Scott zdołał przez lat 16 utrzymać na uwięzi ciekawość i coraz bardziéj wzrastające uwielbienie już nietylko Anglii, ale całéj Europy, sycąc świat bez ustanku coraz obfitszemi płodami, aż zdało się, że tyle bogactwa ani jednego wieku ani jednego człowieka własnością być nie mogło. Jeszcze w 1805 napisał był siedem rozdziałów powieści, któréj nie wiedział jaki dać tytuł, a w któréj był sobie zamierzył opisowy i iro-

niczny humor Fieldinga przenieść między góry i klany szkockie a przygody z awanturniczych czasów Pretendenta. Niezadowolniony z wykonania, rzucił był rękopism gdzieś w zapomnianą szufladę między włosienie i spławiki do wędek. Plan i opisy przydały się do budowy *Pani Jeziora*. W ośm lat późniéj, przypadkiem, wybierając się na łowienie ryb, napadł na ów manuskrypt, przeczytał i postanowił dokończyć. Tak się *Waverley* urodził. Odtąd trzytomowe dzieło za trzytomowem w nieprzerwanéj kolei następowało i otwierało coraz obfitsze potoki płynącego w zamian złota. Sny młodości miały się ku urzeczywistnieniu. Nad brzegiem rzeki Tweed, w pobliżu miasta Melrose, stanął zamek Abbotsford, ten romans z kamienia, jak go dobrze nazwano. Książęta, parowie, poeci, zasiedli u gościnnego stołu północnego barda. W 1820 król zaszczycił go tytułem Baroneta. Niema w dziejach literatury przykładu tak hojnéj i zewsząd niesionéj nagrody. Lecz boleśne zbliżało się ocknięcie. Klęski finansowe, przez jakie Anglia przeszła w 1825 i 1826, wszystkie od razu uderzyły w handlowe przedsięwzięcia wielkiego romansisty. Bogactwo téż jego było prawdziwym romansem. Za dzieła swe bywał płacony nie gotówką, ale skryptami, które w końcu pokazały się niewarte papieru, na którym były pisane. Bankructwo księgarza Constable, które go o stratę 60,000 funtów szt. przyprawiło, pociągnęło za sobą ruinę handlu istniejącego pod firmą Ballantyna ale w rzeczy prawie całkiem należącego do Walter Scotta. Po likwidacyi pokazało się, iż strona ujemna przenosiła dodatną na 117,000 f. s. czyli 5 milionów złtp. Scott odepchnął wszelki układ z kredytorami. Ufny w płodność swego pióra, zamierzył wszystko co do grosza zapłacić. Prosił tylko o czas. Inny byłby upadł pod ciężarem. W nim zdało się, jak gdyby nieszczęście w przelocie nowe było w jego duszy otworzyło źródła. Zaczął pisać jeszcze raźniéj i w cztery lata około 70,000 f. s. długu zapłacił. Już wypełnienie tak szlachetnych zamiarów zdawało się przybliżać do kresu, kiedy zaskoczyła go ciężka choroba. W lutym 1830 r. ruszony został paraliżem. Nie przestawał jednak pisać po kilka godzin na dzień. W kwietniu 1831 nowe, je-

szcze cięższe uderzenie powaliło go o ziemię. Wyprawiono go za granicę. Jako udzielnemu mocarzowi rząd dał mu wojenny okręt na usługi. Zimę przepędził w Malcie, Neapolu i Rzymie. Wszędzie przyjmowano go z bolesną ciekawością. Puste, zaklęte ulice Pompei, przystępne tylko powozom głów koronowanych, otwierały się uroczyście dla szkockiego wieszcza, dla ojca tegoczesnéj romantyczności, który, jak gdyby duch Irydiona, przybywał na zwycięzkim rydwanie budzić echa klasycznych ruin starożytności. W czerwcu 1832 był z powrotem w Londynie. Tu nowym uderzony razem, do reszty siły utracił. Na pół-żywego przywieziono do Abbotsford, gdzie jeszcze parę przeżył miesięcy. W przytomniejszych chwilach kazał sobie czytywać biblię i ulubione ustępy z Crabbego. Razu jednego chciał coś pisać, ale zbezwładnione palce nie mogły pióra utrzymać. Rzecz dziwna, nigdy w chorobie ani o swych dziełach ani o swéj sławie nie mówił. Natomiast jego błędna imaginacya roiła sobie niepodobne wypadki. Raz gotował się do przyjęcia Wellingtona, to znowu zdało mu się, że siedzi na sędziowskiem krześle i wydaje wyrok na którego z członków swéj rodziny. „Około wpół do drugiéj z południa 21 września“ — mówi zięć jego Lockhart — „Sir Walter wydał ducha w obecności wszystkich swych dzieci. Był to dzień prześliczny, tak ciepły, że wszystkie okna na rozcież były otworzone, a tak doskonale cichy, że słodki szmer Tweedu po kamykach, ze wszystkich dźwięk mu najmilszy, słychać było co najwyraźniéj, gdyśmy klęczeli koło łoża, a najstarszy syn całował i zamykał mu oczy.“

Nie zwij to próżném; z tymi prawda szczera,
Co powiadają, że gdy wieszcz umiera,
Zmilkła natura płacze w nim czciciela
I uroczysty pogrzeb mu wydziela;
Że wzniosła skała, i samotna grota
Za zmarłym bardem głuche jęki miota;
Że góry płaczą kryształową tonią,
Kwiaty na łąkach łzy balsamu ronią;
Powiewy kwilą przez lube mu gaje,
Dąb głębszym tonem odpowiedź im daje;
A rzeki uczą fale by nuciły
Hymny żałobne u wieszcza mogiły.

Pisał to sam w *Pieśni ostatniego Minstrela.* Przy jego téż grobie szemrząca Tweed chełszcze po kamykach, choć bowiem miasta na wyścigi stawiają mu wspaniałe pomniki, ciało jego leży pod skromnym kamieniem, w jednym z pozostałych łuków w ruinie opactwa Dryburgh. Spoczywają przy nim żona i dzieci, gdyż zwykłym losem wielkich ludzi, już całe jego męzkie potomstwo bezdzietnie wymarło. Najprzód jedna z córek, potém syn młodszy, a w końcu syn pierworodny, dziedzic jego imienia i fortuny, poniósł z sobą tyle wsławione imie do wieczności. Abbotsford spadł dziedzictwem na młodego Lockharta, syna ostatniéj jego córki. Tak zaraz w pierwszém pokoleniu wygasła rodzina, która w marzeniach poety miała zasiąść na możnym zamku, i w długie wieki zająć miejsce między najpotężniejszemi rodami na rycerskiem pograniczu Szkocyi. Abbotsford odłużone, opustoszałe, wyszło na muzeum, za którego obejrzenie ciekawy wędrowiec hojnie przy wejściu opłacać się musi, a szmer Tweedu głuszą koła rękodzielni miasta Galashiels, które prawie nie istniało, gdy się Abbotsford wznosił, a teraz jest jedném z najpracowitszych, z najduszniejszych mrowisk przemysłu szkockiego.

Na zapytanie, w czém Scott okazał więcéj geniuszu, czy w poezyi, czy w romansopisarstwie, już dawno wyrok powszechny odpowiedział. Poezya była u niego tylko wstępem, przygotowaniem, kwiatem, który pierwszy surowszy podmuch krytyki rozwiał, by odsłonić bogaty, już w jéj owiciu na wpółdojrzały owoc historycznego romansu. A jednak taki jest urok téj czarodziejki, że gdy dziś mało już komu starczy odwagi, by który z jego romansów dwa razy przeczytać, *Marmion*, *Pani Jeziora*, *Pan Wysp* dotąd są w ręku, a celniejsze z nich wyjątki w pamięci czytającéj powszechności. I cóż jest jéj główną cechą, co jéj taki poklask od razu zyskało? Oto ciągły ruch, nieprzestanna akcya. Wprawdzie, rozwinięcie narodowéj ballady na szeroki zakres poematu, rozbudzenie rycerskich czasów z całym ich urokiem, malowniczością i tą wiarą, po którą wprzód wracać musieliśmy, aż do Chaucera i Spensera, mistrzowska dokładność w szczegółach, a przy tém dziwna stylu przejrzystość, wszystko to już było dosta-

tecznêm do ujęcia ciekawości i szacunku ogólnego. Ale co tym płodom od razu nadało i w późne wieki nadawać będzie niezatracalną wartość i niezachwiany interes, to ta biegłość, bystrość akcyi, która trzymając ciekawość czytelnika w nieustannêm natężeniu, nigdy się przecież nie zniża ani do drobiazgów, ani do trywialności, ani têż do sztucznych, podżegających przypraw awanturniczego romansu. Doskonała poezya zarówno krytycznemu zmysłowi człowieka, jak jego potrzebie głębokich wzruszeń i wzniosłych uniesień odpowiadać powinna, równie głowę jak i serce zaspakajać. Pisarze w XVIII wieku, opisowi, dydaktyczni, jeno pierwszêj z tych wymagalności zadosyć czynili. Otóż kiedy Scott, z pod têj się nie wyzwalając, drugą stronę gwałtownie potrącił, cały potok narodowego ducha musiał się rzucić ku niemu. Chroniąc się jednak wszelkiêj przesady, nie przyznam mu najwyższego między wieszczami stanowiska. Jeźli obrazowością i kunsztownêm prowadzeniem wypadków, odpowiadał potrzebom wzruszeń i pragnieniom ciekawości, to jeszcze nie był poetą serca i namiętności. Język uczucia mało mu jest znanym. Zaiste mistrzem był we wszystkiem, co się dawało opisem widzialnie na oko, dotykalnie wystawić, zebrać w jeden harmonijny obraz. Lecz sięgać głębiêj pod powierzchnię nie umiał, nie jemu danêm było wywoływać namiętności w głębokościach piersi ludzkiêj spoczywające. Kontrasty i przeciwieństwa konieczności a woli, fatalności a uczucia, udręczenie Marmiona, rycerskość Fitz-Jakóba, dzikość Roderyka Dhu, śmiałą kreślił ręką. Moc jednak takowych ustępów leży w opisie, w zbiegu wypadków, nie zaś w myślach lub wyrażeniach. Wszystko u niego idzie powszednim trybem. On tylko opowiada. Sam nigdy nie występuje, nie cierpi, nie walczy, nie odsłania nam swych zdań, boleści, nadziei. Jeźli gdzie natrafisz na słowa jak te, które poświęcił czułêj opiekunce przy umierającym Marmionie:

Kobieto! W nasze pogodne godziny
Tyś często sporna, płocha, obraźliwa,
Jako cień zmienna, co po ziemi pływa
Pod drżącym liściem powiewnêj osiny.

> Lecz gdy nam rozpacz i ból zmarszczą czoła,
> Ty się przemieniasz w pociechy anioła —

to rzadkim jest wyjątkiem, wybiegłym mimowolnie, wbrew sądu i chęci autora, bo co tylko szybki bieg akcyi przerywało, to zdawać mu się musiało zbyteczném i nieszykowném. Nie ma w jego mowie talizmanu, który serca przeszywa lub się w pamięć wpija od razu. Szekspir, Milton, Pope nawet, zostawili pełno wyrażeń, które się stały przysłowiami, weszły w użycie potocznéj mowy. Scott nie wzbogacił w niczém języka. Styl jego niepoprawny, zaniedbany jak w prozie tak i w poezyi. Wadę tę w ostatniéj zasłania w części naśladowanie łóźnego toku i kapryśnych wysłowień staréj ballady, w części zaś sam rzutki pochód osnowy, który nie pozwala czytelnikowi baczyć na pojedyńcze wyrażenia. Jest to dziwna gmatwanina okresów i rymów. Jeno rącza deklamacya lub muzyka zdoła ją złożyć w harmonijny rytm dla ucha. Nie idzie za tém, żeby poetyczne jego utwory były gdziekolwiek trudnemi do zrozumienia lub do przekładu. Owszem, sama niewytworność stylu, proste, przedmiotowe zawsze opowiadanie, jakkolwiek pozbawione szyku, czynią je nadzwyczaj jasnemi, łatwemi do tłómaczenia, ale nie innego, jeno wolnego tłómaczenia. Zgubiłby się ten, ktoby się kusił przekładać je wiernie dla oka i ucha, w punktuacyi, końcowce i rytmie. Sienkiewicz to doskonale zrozumiał, kiedy dał nam *Pani Jeziora* w swéj jasnéj a natchnionéj prozie. Po raz może pierwszy poeta nic nie stracił na takowéj zamianie.

Wszystkie poemata Scotta noszą jak w stylu tak i wątku pokrewne na sobie znamie. Wiele tajemnicy, ucieczki, pogonie; zwyciężony rycerz, zdobyty zamek, uwolniona kochanka; huczno, buczno, pełno biesiadnego gwaru, chrzęstu zbroi, zaciętych walk i zgonów całemi klanami; nieco cudowności, która źle pojęta, prawie zawsze w karykaturę przechodzi, a za to w całym przepychu owa zamglona, zadumana postać gór i jezior szkockich, nad któremi wiecznie duch Ossyana unosić się zdaje.

Pieśń ostatniego Minstrela jest powieścią z XVI. wieku o jednéj z tak częstych walk na pograniczu Szkocyi. Opo-

wiada ją Minstrel, ostatni z rodu, przy wtórze arfy, któréj dźwięku niegdyś królowie słuchać lubili, a która teraz w pogardzie od drzwi do drzwi wieśniaczych włóczyć się musi, by przytułek u ognia i kawałek chleba staremu bardowi pozyskać. Cała ta figura i charakter minstrela artystycznie skreślone i utrzymane. Kiedy się odzywa:

Jestże człek jaki z duszą tak umarłą,
By mu się nigdy z piersi nie wydarło
Słowo: To własny, to mój kraj rodzinny!

kiedy ironią budzi rodaków, aby choć jedną chwilę „tak górno przeżyli, jak ich przodkowie żyli całe lata,“ przypomina niezmiernie wspaniałą postać Wajdeloty w Konradzie Wallenrodzie.

Marmion to główny bohater wyprawy, która się tak nieszczęśliwie dla Jakóba IV. szkockiego pod Flodden skończyła. Opis téj bitwy jest arcydziełem sztuki, wyższém nad wszystko, co kiedykolwiek Scott napisał. Jeno homerowskie opowiadania z nim się równać mogą. Jakób zapala swe namioty na górze, zstępuje na dół, w pośród dymu ściera się z Surreyem, grzmi straszna walka na całéj przestrzeni, fortuna daje zwycięztwo raz téj, to znowu owéj stronie, z pośród zastępów biegną do boju pojedyńcze bohatery, tych kochamy a upadają, tamtych nienawidzimy a z nimi wygrana, a w rogu przepełnionego obrazu wielki Marmion kona między „pociechodawcą aniołem“, a starym pustelnikiem. Rafaelowskie przedstawienie bitwy Konstantyna *In hoc signo vinces* da wyobrażenie ruchu tłumnéj potyczki bez zagmatwania, bez szkody pojedyńczym wypadkom, który tu panuje. Poemat ten nie ma tyle jedności i zwięzłości co poprzedni, ale za to bogatszy we wzniosłe ustępy, i jeszcze bardziéj malownicze w szczegółach i miejscowościach. Oto początek:

Za ozamczone Norhamu ściany,
Dzień się pochylał, — za Twid świetlany
I za samotne Szewiotu góry;
Zębate wieże i loch ponury,
I strzelnic kraty, gdzie za nadzieją
Więźniowie płaczą, i dolne mury,

W złocistém świetle goreją.
Na basztach zbrojni co się wysuną,
W poprzek stąpając wieczorną łuną,
Zda się olbrzymy z postaci;
Skoro promienie pochwyci kędy,
Ich zbroja blasków długiemi rzędy
Na powrót zachód bogaci.
Już na chorągwi tak barwnéj we dnie
Bladł święty Jerzy, w miarę jak blednie
Promieni pierzchnąca rzesza;
A brak wieczornym powiewom siły,
By ją nad wieży czołem rozwiły,
Tak ciężko na dół się zwiesza.
Już się rozeszły czaty u spodu,
Już bramy zamku zaparte;
Tylko nad ciemném sklepieniem wchodu
Strażnik na nocną stawiony wartę,
Swe kroki w składny pochód podnieca,
Śpiewając piosnkę, co jego rodu
Przodków zbierała na wieca.

Pani Jeziora za nadto jest znaną, by przechwalać dziwne piękności tych opisów i przygód, którym dzieje rycerskiéj miłości urok nieprzemienny nadały. 20,000 eksemplarzy tego poematu rozeszło się po kraju. Dotąd tłumy ciekawych odwiedzają miejsca wsławione pieśnią poety, choć już domek na wyspie Pani Jeziora spalony, a okoliczne góry obnażone z drzew wspaniałych, chciwą ręką potomka Montrozów. Co temu dziełu najwięcéj wdzięku użycza, to kontrast między dzikiém bohaterstwem górali, a dworskiém rycerstwem podola, między jaskrawym tartanem pierwszych, a ciemnym przyborem drugich, bo miejsce tak dobrze wybrane, siedziba rozbójniczego klanu tak blisko królewskiego dworu postawiona, że poeta łacno zdołał bez gwałtu prawdopodobieństwom, wmięszać romantyczne przygody przebranego króla w dzikie i krwawe wyprawy góralskiego wojownictwa.

Rokeby przenosi scenę do Anglii, a czas do wojny Stuartów ze zbuntowanym parlamentem. Przedmiot *Pana wysp* wzięty z czasów Roberta Bruce. *Don Roderyk*, *Harold* i *Triermain* daleko już mniejszéj wartości. Coraz więcéj poeta przechodził w kronikarza i antykwaryusza. Romans history-

czny coraz dobitniéj się rozwyraźniał i z poetycznego powicia na olbrzyma wyrastał.

Ci co owe czasy pamięcią zasięgają, twierdzą, że podziwienie sprawione przez tak szybko jedne po drugich wychodzące romanse Walter Scotta, jedynie da się porównać do wrażenia, jakie wieści o zwycięztwach Napoleona czyniły. Najprzód wyszedł *Waverley*, który, jakby ogniwo z poetyczną epoką autora, zdawał się w głównym zarysie i w mnogości opisów być tylko rozszerzeniem pomysłów użytych do budowy *Pani Jeziora.* Lecz występuje tu już ten bogaty zapas humorystyczności i ta łatwość kojarzenia historyi z fikcyą, które stały się główną zaletą jego romansów. Jeźli Karol Edward i baron Bradwardine mogli jeszcze być bohaterami poematu, to już Evan Dhu i biedny Davie Gellatley z swą nieokrzesaną naturą i mową prostaczą tylko w prozie zdołali stać się ciekawemi wizerunkami. W 7 miesięcy po *Waverleyu* ukazał się *Guy Mannering*, napisany, jak sam autor wyznaje, w 6 tygodni około Bożego Narodzenia 1814 r. Komuż ten tytuł zaraz przed oczy nie postawi szlachetnego wieśniaka Dandy Dinmont, dowcipnego radzcy Pleydell, śmiesznego lecz uczciwego pedanta Dominie Sampson, lub wreszcie natchnionéj postaci cyganki Meg Merrilies? *Antykwaryusz*, ten Oldbuck, co wśród starych książek siedzi z swym kotem jak Maryusz na ruinach Minturny, że nie wspomnę o dziadku Ochiltree, już zasłużył na policzenie do najlepszych obyczajowych powieści tą piękną figurą starego rybaka, który zaraz po pogrzebie syna wraca do naprawy swéj skołatanéj łodzi i mówi: „Cóż chcesz, żebym czynił? Czyż ma człowiek dać z głodu umrzeć czworgu dziatek, dla tego że jedno się utopiło? Wam dobrze, co, gdy przyjaciel umrze, możecie siedzieć w domu z chustką u oczów, ale nam biednym trzeba iść na powrót do pracy, choćby serce biło tak ciężko jak ten młotek.“ Daléj ukazał się *Czarny Karzeł i Old Mortality*, który u nas *Purytanami* nazwano, a który tak z dokładnego pojęcia historyi, jak z obrazów obyczajowych, równie dla bohaterskiego charakteru młodzieńca Mortona, jak dla wesołéj natury odważnego Cuddie, niezawodnie na czele wszystkich innych po-

stawionym być może. Anglicy zwą go *Marmionem* romansów Walter Scotta. W 1818 wyszedł *Rob Roy* i *The heart of Mid-Lothian* czyli, jak u nas, *Więzienie Edynburgskie*. Dość będzie, gdy pierwszy przypomni tę śmieszną figurę sędziego Jarvie, który porwany od łotrów, nie może swéj magisteryalnéj powagi i urzędowych wyobrażeń żadnym zgodzić sposobem ze zbójecką społecznością; a drugi to siostrzańskie cierpienie i męztwo, które Jeanie i Effie Deans postawiły w rzędzie najwdzięczniejszych wizerunków. *Legenda Montrose* już dla samego Dugalda Dalgetty wartą jest wspomnienia. Jednocześnie z ostatnią w 1819 wyszła *Narzeczona z Lammermoor*. Tu Scott się na nowy szlak zapuścił. Fatum, które ciężyło nad rodziną Lajusa i Atreusza, które Makbeta do niezawodnéj gnało zguby, tu po raz pierwszy wprowadzoném zostało w zakres domowéj powieści. *Ivanhoe* rozwinął szeroki obraz zaludniony tłumami krzyżowców, rycerskiemi czynami Ryszarda Lwie serce, awanturniczemi przygodami Robin Hooda i Tucka, z pomiędzy których w świetle piękności chodząca występuje Rebeka. *Klasztor* i *Opat* mniéj pochlebne znalazły przyjęcie. Pierwszemu zaszkodziło niezgrabne wprowadzenie cudowności. Drugi zaledwie od zapomnienia ratuje piękny obraz królowéj Maryi. Do pary ostatniemu autor szeroko nakreślił w *Kenilworth* wizerunek Elżbiety. W przedstawieniu Amy Robsart ujął on za delikatny pędzel malowania kobiecych postaci, pod którym tak uroczo wypromieniły się w *Piracie* dwie siostry Minna i Brenda. *Przygody Nigela* przesuwają przed oczami doskonałe panorama dworu i czasów Jakóba I. Rok 1823 przyniósł aż trzy nowe romanse: *Peveril z Peak*, *Źródło Ś. Ronana* i *Quentin Durward*, — dwa pierwsze słabe, trzeci wybornie malujący zapasy Ludwika XI z Karolem Zuchwałym. *Redgauntlet* i *Powieści z wojen krzyżowych* były ostatniemi, które napisał w świetnych czasach swéj fortuny. Odtąd znać wszędzie i pospiech i zmęczenie. *Woodstock* a w kronikach Canongatu *Piękna dziewica z Perth* są jeszcze objawami dawnéj siły i twórczości. Lecz *Anna Geierstein*, *Hrabia Robert* i *Zamek niebezpieczeństw* dają się tylko wytłómaczyć pospiechem i potrzebą zarobku,

która z prawdziwym uszczerbkiem jego sławie wydała także nędzną ramotę przesądu i nieświadomości, tytułem *Żywot Napoleona* ochrzconą. Do téj epoki również należą *Powieści Dziadka*, *Historya Szkocyi*, *Listy o Demonologii* i *Życie Drydena.*

Komu to przelotne wyliczenie dzieł Walter-Scotta przywiedzie przed oczy choćby połowę postaci przez niego nakreślonych, ten przyzna, że od Szekspira, nikt tyle wspaniałych, oryginalnych, pełnych życia charakterów i obrazów nie natworzył. Nie wiele wprawdzie miał szczęścia w uosobistnianiu bohaterów. Osbaldiston i Waverley nieme tylko odgrywają role. Lepiéj mu się wiodło z bohaterkami. Oprócz wyżéj wyliczonych dość będzie przypomnieć sobie Dianę Vernon, Edithę Plantagenet, Julię Mannering. Lecz w czém mu się najpomyślniéj udawało, to w tworzeniu podrzędnych, potocznie mówiąc, pospolitych indywidualności. Wyprowadził na scenę taką ich mnogość, a przecież każdy odrębny, samoistny, jakby żywcem z natury wzięty. Nikt lepiéj zachować odcieniów nie zdołał. Weźmy naprzykład dumnych z pochodzenia. Mannering, przywiązany do staréj psów rasy, jakżeż różny od Lady Tillietudlem pieszczącéj się z krzesłem, na którém król Jegomość raz usiąść raczył, — a Cosmo Bradwardine w zardzewiałych zbrojach i herbach zanurzony, jakżeż podobny i niepodobny do Monebarnsa, który tak często przypomina swego przodka, drukarza, że mu synowiec dowodzi, iż w jego żyłach chyba atrament drukarski płynąć musi. Skarżono się w obcych krajach na sążniste rozmowy. Więcéj ciekawi wypadków zawsze je przeskakiwali. W nich to jednak leży największa sztuka autora. Każda osoba gada wedle swego stanu i pojęć, Mannering jak żołnierz, Pleydell jako prawnik. Bez wątpienia przechodzą one w ckliwość niekiedy, zwłaszcza, gdy jak w *Narzeczonéj z Lammermoor* śmieszności starego służącego Balderstona ciągle przerywają tok strasznéj tragedyi. Lecz pamiętać należy na prawo kontrastów. U Szekspira, śród najokropniejszych wypadków, prostacy ciągle błazgonią. Dominie Sampson nie częściéj swe koncepta powtarza jak Sanszo w *Donkiszocie.* Przytém w tłomaczeniu wszystkie zręczne zwroty, cały

językowy dowcip upada. W czém się zupełnie Scottowi nie udawało, to w prowadzeniu cudowności. Jego złe duchy są potworami, upiorami dobre. Obcowanie z nadziemią jest u niego tylko astrologią, cygaństwem lub obłąkaniem zmysłów. Biała Dama z Avenel tylko w operze, gdzie właśnie jéj nie ma na scenie, sprawia niejakie wrażenie.

Jakiś Francuz wyprowadził długi szereg milionów, wynikający z obrachunku kapitału, który dzieła Walter-Scotta we wszystkich krajach w obieg puściły, już przez zatrudnienie tylu rąk i pras drukarskich, już przez zaprowadzoną zmianę w guście, w architekturze, w ubiorze, w sprzętach, zgoła we wszystkiém, co dziś nosi na sobie średniowieczny charakter; lecz byłaby to tylko drobna skazówka wpływu, który jeszcze obrachować zbyt trudno.

Scott na oko pokazał tylko oblicze duchowniejszych czasów. Sama duchowość nie była jego rzeczą. Lecz by znowu się rozpłomienić, potrzebowała silnego przypomnienia kształtów, które niegdyś najpiękniéj i najdzielniéj ją wyobrażały. Tego on właśnie dokonał.

Lord Byron (1788—1824).

Tyle już powiedziano o życiu i pismach tego nadzwyczajnego poety, tak liczne i wyborne przekłady z jego utworów znajdują się w języku naszym, że dość będzie jeźli tu przebiegnę główne tylko wypadki jego żywota i ograniczę się do ogólnych uwag nad kierunkiem dzieł jego, parę zaledwie drobnych wyjątków w tłomaczeniu z nich przytaczając. Urodził się w Londynie 22 stycznia 1788 r. z Jana Byrona, kapitana gwardyi, i Katarzyny Gordon, bogatéj dziedziczki ze szkockiego pochodzenia. Ojciec był marnotrawcą i nierządnikiem. Matka opłaciwszy nieszczęśliwe z nim śluby całą prawie swą fortuną, gdyż jéj tylko 200 f. s. na rok pozostało, usunęła się do Aberdeen dla wychowania jedynego syna. Dziwnym zbiegiem wypadków, bo nagłą śmiercią kilku osób ze starszéj linii, młody Byron w 11 roku życia ujrzał się lordem Newsteadu i panem siebie samego, — „to jest nieszczęścia dziedzicem.“ Matka sprzedawszy swą chudobę w Aberdeen, co ledwie 75 f. s. przy-

niosło, pospieszyła nową objąć posiadłość. Tak skromne było przybycie, że jéj u bram niepoznano i nikt nie wyszedł na spotkanie niezapowiedzianych dziedziców. Newstead, opactwo z XII wieku, darowane przy zniesieniu klasztorów przez Henryka VIII jednemu z Byronów, zachowało w sobie to religijno feudalne znamię, które pierwsze marzenia poety natchnęło uroczystą posępnością. Na czas jego małoletności posiadłość została wypuszczoną w dzierżawę, a on sam oddany na naukę najprzód do Dulwich, późniéj do Harrow, a w końcu do Cambridge, gdzie mało dbając na przepisane kursa, szedł za własnym popędem, całe noce trawił na czytaniu starych książek, a rówienników dziwił błyskami ognistéj imaginacyi. Jak Burns, z którym pomimo różnicy stanów wiele miał podobieństwa, pierwszą pobudkę do poezyi znalazł w miłości. Zaledwie liczył lat ośm, a już serce jego było przylgnęło do rowieśniczki Mary Duff i to tak silnie, że gdy w lat kilka późniéj dowiedział się o jéj małżeństwie, wypadek ten, jak sam powiada, uderzył go gdyby piorunem. Wkrótce potém zapaliła się jego młodzieńcza dusza dla kuzynki Parker „najpiękniejszéj z powiewnych istot pod słońcem.“ Wczesna jéj śmierć przerwała te serdeczne związki. W r. 1803 w sąsiedztwie swego zamku poznał Mary Chatworth. Ten, po którym Byron tytuł Lorda odziedziczył, zabił był jéj ojca w pojedynku. Młodemu więc sercu poety uśmiechały się śluby, które miały zmazać zobopólne krzywdy i zagoić rany dwóch sąsiednich domów. Lecz ona nie raczyła spojrzeć okiem miłości na młodszego, kulawego i szalonego chłopca. Uważała w nim przyjaciela, „brata i nic więcéj,“ i wkrótce téż innemu poślubioną została. Nic bardziéj nie odziera uroku ze skarg i marzeń poety, jak poszukiwania komentatorów objaśniające jego zawody miłośne rzeczywistym wizerunkiem ukochanéj przezeń osoby, lub suchém acz prawdziwém wyłuszczaniem wypadków. Jak dla wieszcza tak dla czytelnika powinno to zostać wiecznie ideałem. I tu jeźli wspominam o tych wczesnych zawodach nieletniego Byrona, to dla tego jedynie, iż w nich leży początek całéj jego ponurości i zniechęcenia.

Pierwsze swe natchnienia i żale zebrał razem i wydał

w roku 1807 pod tytułem: *Godziny spoczynku.* Zbiór ten przyjęto ostrą krytyką w Przeglądzie edymburskim. Do żywego dojęty autor odciął się jeszcze uszczypliwszą satyrą: *Angielskie Bardy* i *Szkockie krytyki.* Walka piśmienna obudziła powszechną ciekawość. Imie Byrona poczęło z ust do ust przechodzić. Innego, świetność tak znakomitéj wygranéj, byłaby skusiła, jak się zwykle w Anglii dzieje, na drogi politycznéj ambicyi. Lecz on rzekł: „Bywaj zdrów kraju kochany!“ — i puścił się w podróż do cudzoziemskich krajów, nie dbając ku jakim brzegom popłynie, „byleby nazad nie płynął.“ W przeciągu lat dwóch zwiedził południe Europy, Grecyą i Turcyą. Już Anglia o nim zapomniała, gdy nagle zjawia się w Londynie, zadziwia literatów dwoma pieśniami *Childe Harolda*, a polityków i swych whigowskich krytyków, sadowiąc się obok nich na ławie w izbie Lordów, i napadając ostremi mowami na torysów. Jeszcze nie ochłonięto z pierwszego wrażenia, kiedy bogaty poczet szybko po sobie idących powieści wschodnich (*Giaur* i *Dziewica z Abydos* wyszły w 1813, *Korsarz* i *Lara* w 1814) postawił go daleko na przodzie wszystkich znakomitości, wyżéj nad wszelkie pochwały, a z drugiéj strony uczyniwszy bożyszczem modnego świata pociągnął w niebezpieczny wir szaleństw i omamień. Wyższym prowadzony duchem ocknął się niebawem i z odrazą wyrwał z upajających dymów pochlebstwa i uciechy. By go uleczyć do szczętu i podratować podszarpany majątek, przyjaciele poradzili mu małżeństwo. Nie z pojęcia świętości tego stanu, nie z miłości nawet, ale tylko, aby się wydostać z wirującego koła i swe rozbiegi byle jakiemi ukrócić obowiązki, uciekając przed zniechęceniem i niesmakiem, pojął za żonę Miss Milbanke, bogatą jedynaczkę z północnéj Anglii. Już przy ołtarzu ślubnym, jak się sam oskarża, „powtarzał przysięgi, których nie rozumiał.“ Skutek wypadł najnieszczęśliwiéj. Co zupełna sprzeczność charakterów przygotowała, to usłużni przyjaciele natrętnemi radami i plotkami doprowadzili do końca. Po roku zatargów, kłopotów wszelkiego rodzaju, — bo jeźli muza poety oniemiała, to kredytorzy nie umilkli, — żona go odjechała, unosząc z sobą jedyny owoc ich małżeń-

stwa, tę Adę, któréj obrazem słodził on późniejsze smutki tułactwa na obcéj ziemi i pocieszał swe ostateczne chwile na śmiertelném łożu. Próżne były zabiegi o zgodę. Lady Byron, jak żona Miltona, wrócić do męża nie chciała. Świat przyklasnął jéj postanowieniu. Zawsze szczęśliwy, gdy może dumne upokorzyć czoło, tém okrutniejszy dla zachwianéj potęgi im więcéj wprzód jéj hołdował, uderzył teraz w człowieka i w poetę wszystkiemi jadowitemi strzałami swéj nienawiści i w końcu zmusił go do odwrotu na obce brzegi.

Jeszcze przed wyprawą na to nowe tułactwo, Byron obudzony w swéj twórczéj sile gromadzącemi się nad głową chmurami, napisał był i wydał *Oblężenie Koryntu* i *Parizinę*. Przebiegając teraz wsławione Europy okolice, zostawiał wszędzie po sobie długie szlaki ognistego przelotu. Jako orzeł drasnął swym szponem świeże bojowisko pod Waterloo, i wsiąkające krwi strumienie wypchnął znowu na powierzchnię. Trzykrotnym wieńcem określił czarne Renu zamczyska, i przedarłszy się przez Alpy, nie spoczął aż w burzy na Lemanu jeziorze. Tu owiał go swym wpływem duch Jana Jakóba. Namiętny odludek porewolucyjnéj ciszy poczuł się na pokrewieństwie z sentymentalnym samotnikiem przedrewolucyjnych czasów, i orzeźwił nieco swe serce stygnące dla miłości i cnoty. Jeszcze czas był do powrotu. Pani de Stael, korzystając z tego usposobienia, chciała go powrócić krajowi i żonie. Ale napróżno. Los go gnał coraz daléj. Byron rzucił tylko za sobą nową (trzecią) pieśń *Harolda*, *Więźnia Chillonu* i *Manfreda*, i na nowe przygody pospieszył za ostatnie Alpów przedmurze.

Z tym wypadkiem poczynają się najsmutniejsze jego życia koleje. Z licznych dzieł i pamiętników świat wie aż do najdrobniejszych szczegółów: gdzie, w jakich okolicznościach, pod czyim wpływem rodziły się te bogate poety utwory, które przedstawiają najdziwniejszą grę kontrastów, a przeto wiek nasz najlepiéj malują. Dość więc wspomnieć, że wiedziony po rozmaitych stronach we Włoszech niekiedy ciekawością, częściéj kaprysem, a najczęściéj zalotami, przesiadując w Wenecyi, Rawennie i Pizie, dobiegając raz do Rzymu, to do Specyi i Genui, napisał

po kolei: *Lament Tassa*, *Beppo*, *Mazeppę*, *Marina Faliero*, *Sardanapala*, *Dwóch Foscari*, *Wernera*, *Kaina*, a w końcu, że tyle innych poematów i dramatów pominę, dopełniwszy *Childe Harolda* czwartą pieśnią, przeszedł do *Don Juana* jako do śmielszego jeszcze wykładnika znękanéj duszy i osieroconego serca. Napróżno pisał do niego Goethe: poznaj siebie jak ja cię poznałem. Napróżno jakaś umierająca chrześcianka kazała mu powiedzieć, iż w ostatecznéj przed śmiercią chwili myśląc o nim, widziała duszę jego pełną cnoty i wiary już wyzwalającą się z pod ciężaru występku i rozpaczy. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Zapuszczał się coraz daléj niepowrotnym manowcem. Kiedy ulgi nie starczyło w skargach i przekleństwach, rzucał się w awanturnicze przygody, wszędzie wyzywając niebezpieczeństwo w zapasy i jak Brutus wskazując swe piersi piorunowéj strzale. I padła ta strzała, ale nie taką, jaką tuszył koleją.

Zagmatwany przez brata hrabiny Guiccioli w niefortunne powstanie z 1821 r., chcąc wyjść z trudnego we Włoszech położenia, a przytém popychany klasycznemi wspomnieniami i miłością dla powstającéj Grecyi, postanowił zebrać resztę swych zasobów i pobiedz jéj w pomoc. W tym celu wyprawił się z Genui w towarzystwie kilku przyjaciół 13 lipca 1823. Zaraz na wstępie przyjęła go burza i musiał nazajutrz napowrót do portu genueńskiego zawinąć. Pobiegł natychmiast do pałacu hrabiny Guiccioli. Już jéj tam nie było. Patrząc na opustoszałe komnaty, które jeszcze dniem wprzód były pełne ruchu i życia, zawołał w żałości do towarzysza swego Gamby: a gdzie my sami za rok będziemy? Dzień w dzień, następnego roku, ciało jego ojczysta pokryła ziemia. Po rozmaitych przygodach i opóźnieniach wylądował nareszcie w Missolungi 4 stycznia 1824 r. Wszystko tam zastał w niezgodzie i zamięszaniu, zbrojny motłoch i walczących z sobą naczelników, nieufność, podstęp, zdzierstwo na wszystkie strony. Właśni jego przyjaciele, rodacy, Stanhope, Trelawney, do przeciwnych przystawali obozów. Poznał iż w ludowych powstaniach trudniéj o zgodę wewnątrz, niż o zwycięztwo nad wspólnym wrogiem. W trzy miesiące jednak, to wpływem swym, to pieniędzmi,

zdołał przywrócić nieco ufności i porządku. Lecz na tych troskach i trudach nadwerężone już jego zdrowie mocno ucierpiało. Dnia 9 kwietnia po przejażdżce w deszcz ulewny ze swymi Suliotami, dostał nagłéj febry. Nie pomogły wszystkie środki. Pod wieczór 19 kwietnia głucho rozlegające się strzały armatnie dały znać, że wielki wieszcz żyć przestał. Ciało jego przewiezioném zostało do Anglii przez Stanhopa. W Londynie tłumy ludu wyszły na jego spotkanie, ale Westminster się nie otworzył. Złożono go w familijnym grobie, we wsi Hucknall, przy Newstead Abbey.

Po napisaniu tylu tomów, po zużyciu tylu szkiełek krytycznych, dotąd wielbiciele Szekspira zgodzić się nie mogą, co rzeczywiście chciał w obrazie Hamleta wystawić, czy niedołęztwo woli, czy wielką duszę w zapasach z fatalnością i zbyt ciasnem przeznaczeniem, czy bezwładną ironię, czy pod maską szaleństwa chytrość do potęgi dążącą. Podobne losy zdają się być Byronowi naznaczone. Jeźli się spytamy jego spółczesnych, a osobliwie rodaków, to nie było ohydniejszego ateusza, zatwardzialszego sceptyka. Nienawidź bliźniego twego, a kochaj się w jego żonie, oto wedle nich treść jego wyobrażeń. Jeźli poradzimy się zapału wykarmionéj na jego pieśniach młodzieży, a zwłaszcza cudzoziemców, to wieki nie wydały wspanialszéj postaci. Jeźli wreszcie weźmiemy własne jego o sobie świadectwo, to miasto obrońcy, którego szukaliśmy, znajdziemy wszędzie najsroższego oskarżyciela, Prometeusza, który sam swe wnętrzności sępowi targać pomaga. Szczęściem, że sąd ostateczny historyi o człowieku, nie zależy ani od mściwéj spółczesności, ani od żarliwości stronników, ani téż od niego samego czy się wynosi, czyli zbyt poniża. Jest on wypływem stosunku ducha czasu i przemiennych okoliczności do odwiecznych praw bożych. I jakież były to czasy? Brak wiary powszechny. Wszystko co było jéj godłem runęło albo walało się w pyle pogardy. Lud, w całém swem wszechwładztwie spróbował sam się rządzić, polały się krwi strumienie, rozpasały się wszystkie zbrodnie, znikły całe stany społeczeństwa, i tylko pozostał zamęt, niemoc i zwątpienie. Przyszedł potem wielki wojownik, ognistą koleją zwycięztw zbudował olbrzymią mo-

narchię i w jednéj chwili runął z całem dziełem swojem. Dawne kształty poczęły występować na nowo, ale martwe, bez ducha, bez żywotności. Zdało się, że po tym krwi potopie, po tylu ofiarach i nędzach, nic nie zostało, tylko przerażenie jak po śnie okropnym. Wczoraj wracało, ale bez życia. Jutro nie obiecywało jednego promienia nadziei. Świat pełen trwogi oczekiwał nowego millenium.

Zdało mu się, że nagle zagasnął blask dzienny,
A gwiazdy w nieskończoność biorąc lot niezwykły,
Zbłąkawszy się, olśnąwszy, uciekły i znikły,
Bez nadziei powrotu. Ziemia lodowata
Wisiała ślepa pośród zaćmionego świata.
Ranki weszły, minęły, ale dnia nie było,
I wszystkie namiętności zatłumiła trwoga.
Serce rodu ludzkiego jedną żądzą biło,
Cały ród ludzki prosił o jedno u Boga,
O światło. [1])

Ileż to razy tak się dzieje na świecie po wielkich a niespodzianych klęskach. Ciemność pada na głowę. Najdzielniejsze umysły nie mogą omylonych swych rachub pogodzić. Najzręczniejsze dłonie nie mają siły zerwane wątki zasnuć na nowo. Jeno dusza pobożna obwija się w swe białe skrzydła, modli się, prosi o światło i czeka. Ale cierpliwość, to cnota nieznana namiętnościom. Wieszczowi potrzeba ideału. Kiedy go znaleźć nie może, wpada w szaleństwo, w bluźniercze skargi, w przekleństwa. Silna wiara zdołałaby go uchować, ale wtedy musiałby zamilknąć, albo śpiewać na pustyni, a namiętny poeta potrzebuje poklasku. Takie były czasy, w których żył Byron, takie téż i jego dzieła.

Rozróżnić należy epokę, w któréj się zaciera pojęcie bożego wpływu i opatrznego ciągu w dziejach człowieczeństwa, od następnéj, w któréj się jeszcze na powrót to pojęcie nie rozwyraźniło. Pierwsza zwykle poprzedza historyczny kataklizm, druga bezpośrednio idzie po nim. Podobne do siebie jak zmierzch wieczorny do porannego mroku, rozchodzą się one i w pobudkach i w następstwach. Jak w jednéj, tak

[1]) *Ciemność*, przekład Mickiewicza.

w drugiéj, zbłąkana dusza ludzka mianuje wszystko igraszką, ślepym trafem, szyderstwem. W zamian postradanego zmysłu, bystrzeje w niéj pojętność wszelkich sprzeczności, różnic, kontrastów. W każdéj rzeczy widzi raczéj ujemną niż dodatnią stronę, przeczenie w podle twierdzenia, obok poświęcenia marność, obok mądrości ślepy trafunek, obok woli fatalność, a niezdolna zrobić wyboru, wybiega bujać po obszernym oceanie kaprysu i zwątpienia. Niemoc przestąpienia po za swój moment, odnalezienia dziejowego łańcucha, ogarnięcia przeszłości miłością a przyszłości nadzieją wyraża się w pierwszéj epoce płochym optymizmem, w drugiéj rozpaczliwą ironią, i w tem ich różnica.

Optymizm, o którym tu mowa, szydzi ze wszystkiego, obala wszystkie wyższe prawdy, całą pracę i zasługę ludzkości, targa wszelki z niebem związek, pomiata wszelką tradycyą i dogmatem, a osadziwszy duszę pod dzwon szklanny, tłomaczy ścisłym rachunkiem cały jéj mechanizm, całe przeznaczenie, bo wszystko mu wiadome, bo co tylko ująć się nie da w matematyczny wymiar, to jest dla niego próżnem urojeniem. Wiary, nadzieje, tęsknoty, ten ból wieczny, co ludzkości spocząć nie dając, do coraz wyższych prowadzi ją przeznaczeń, dla niego są przedmiotem śmiechu albo wykroczeniem godnem pomsty publicznéj. Taki pyszałek, zawsze pewny swego, dowcipny, rubaszny, zawsze z siebie zadowolniony, jest zwykle złowieszczą przepowiednią zamętu i zniszczenia. Takim był Wolter i jego szkoła.

Ironia, jaką tu mam na myśli, już jest co innego. Już jest ona poczuciem się na miłości, zatęsknieniem do wiary. Czuje, że czegoś jéj nie dostaje, kłopoce się, kołata, cierpi, a niezdolna zapełnić braku, wyrzeka na świat, odstrycha się od ludzi, najczęściéj sama siebie wini i całą zemstę na samą siebie obraca. Rodzić się ona zwykła pośród świeżych zwalisk niedokonanego dzieła, przy nagłym upadku wielkich ludzi, w obec niespodzianego zawodu świetnych nadziei. Widzi w koło siebie pierwsze po gwałtownem wstrząśnieniu niedołężne ludzkości usiłowania do podźwignienia się, do zrozumienia swych przeznaczeń, uśmiecha się z boleścią,

a przeczuwając, jak długie i jak często marne będą pracujących mozoły, szydzi z ich lękliwéj ostrożności, z pełzania po ziemi, i ucieka do lasów, do pierwotnych towarzystw, wyłamuje się z pod prawa i z pod ckliwości pospolitych czasów, staje się wygnańcem, odludkiem, awanturnikiem. Takiéj ironii wyobrazicielem był Byron.

Zaiste, boleśnem jest, że człowiek obdarzony tak potężnym geniuszem nie przejrzał daléj. Miasto być ostatnim wyrazem zniechęcenia i zwątpienia, mógł był zostać przewodnikiem na drodze powracającéj ufności i budzącéj się wiary. A przecież nie winujmy go zbytecznie. Nie z niego złe pochodziło. Było wszędzie, w całéj atmosferze. Oprócz ogólnego zwątlenia i niedowiarstwa, jeszcze było pełno złych namiętności, jawnych przeciw prawom bożym i ludzkim rokoszów, które po każdem wstrząśnieniu długo wałęsają się samopas, jako w lasach zbójce po każdéj wojnie. Młodzież narzekała, że się zrodziła zapóźno, nazajutrz po wielkich wypadkach. W tych nie miała udziału, a podobnych prędko spodziewać się nie mogła. Każdy powtarzał, że go życie nudzi.

> Pusta pierś czując otchłanie do koła,
> Chce je zaludnić i o boleść woła.
> Lepiéj raz przepaść w zaburzone fale
> Niźli żyć gnijąc po trochu na skale. [1])

Otóż w takiem zaplątaniu się i zakołowaceniu myśli i uczuć, nie jest bez opatrznego powołania ten, kto rozwięzując każde zaciśnięte usta w krzyk, choćby nawet złorzeczenia, zaludniając każdą czczość choćby nawet męczarnią, wynurzając każdą stłumioną boleść choćby w łzy rozpaczy, poddając szaleństwu ostatnie jego słowo, wywodzi je wszystkie jakby z jaskini i czyni im własne ich dusze widomemi. Byron niezawodnie przez przyspieszenie pochodu tych omamień, przez wydobycie na wierzch wszystkich skarg i żalów, przyspieszył porę trzeźwości i skruchy. Rzadko pewnie między nami znajdzie się taki, któregoby uczuciom w młodości Byron nie był najwymowniejszym tłómaczem, ale pewnie jeszcze trudniéj byłoby

[1]) *Giaur*, — przekład Mickiewicza.

napotkać takiego, któryby temu wczesnemu wysłowieniu się bólów wewnętrznych nie zawdzięczał rychłego potem nawrócenia. Dla każdego prawie był on niegdyś bożyszczem, dla każdego dzisiaj jest on już tylko pomnikiem przeszłych błędów lub przestrogą na przyszłość. Ale przeto nie przestajem go kochać, bo był w nas i z nami, bo z nami walczył, cierpiał i płakał. Walter-Scott osadowił się w ruinach przeszłości i ztamtąd, bez troski na teraźniejszość, dawne budził pieśni. Goethe gdzieś się po za świat usunął i zdala cudowne zbierał wzory z przesuwających się po ziemi tłumów. Ale Byron nadstawił swoją pierś by wszystkie bole naszego wieku przez nią przepłynęły. Dla tego on jedynie pozostanie wyobrazicielem swéj, szczęściem już nie naszéj epoki. On nam wskazał braki; my już krzątamy się około ich zaspokojenia. Jemu nie starczyło czasu. Niechże nam nie braknie na sprawiedliwości i na współczuciu dla niego.

Childe Harold i Don Juan są dwie skrajne olbrzymie postacie, między któremi ciągnie się długi poczet podobnych do siebie, jakby z jednéj rodziny bohaterów. Konrad, Alp, Giaur, Manfred, Sardanapal nawet, są odcieniami jednéj osoby, a w tym pierwowzorze łatwo odkryć samego poetę. Ktoby więc chciał poznać wszystkie jego duszy tony, całą przestrzeń, którą przebiegł, snadno poprzestać może na porównaniu tych dwóch głównych poematów. Z tego to porównania wywięzuje się najsilniejszy akt oskarżenia przeciw Byronowi. Zrozumieć można, że począł od Harolda, ale że tak począwszy, skończył na Don Juanie, to jest prawie nie do pojęcia. Jakoż, jeżeli z boleścią, to i z nadzieją jeszcze idziemy za ognistym pędem Harolda. Jest coś uroczystego, poważnego w tym biegu szaleńca, coś tkliwego i ujmującego w tych samowolnych potwarzach i udręczeniach, któremi sam siebie katuje. Co jest przesady, to z chęcią kładziemy na karb młodości, co przesytu i zniechęcenia, to nam się wydaje tylko udanem, tylko chęcią wyszczególnienia się z pospolitości. Pomijamy to, a puszczamy się z nim chętnie na obszary morza, spoczywamy śród wonnych gajów Cintry, wywołujemy ducha wojny na polach Albuery, uniżamy się przed zagadką życia i losów ludz-

kich na ruinach Grecyi, z pośród wyżyn alpejskich wzdychamy z nim za ojczyzną, za Adą, marzymy śród nocy letniéj nad brzegami Brenty, z nabiegłą na czole żyłą stajemy przed konającym Gladiatorem, błąkamy się zadumani w pośród gruzów kolizejskich, szukamy ochłody nad jeziorem Nemi, śpiącem jako wąż w kłąb zwinięty, i napowrót puszczamy się na morze,

Nie mniéj kochając ludzi, lecz naturę więcéj.

Cóż z tego, że w *Don Juanie* jeszcze jaskrawsze bogactwo obrazów, jeszcze dziwniejsza giętkość języka i wierszowania, kiedy to, co w Haroldzie zdało się chwilowem obłąkaniem, tu już w istną swawolę przechodzi, bez jednego westchnienia za przeszłością, bez jednego promienia na przyszłość. Gorączka młodości stała się już chroniczną chorobą. Szczerość zdrobniała w gadatliwość, śmiałość w rubaszność, nienawiść w obojętność. Harold z ludzi był, choć od nich uciekał. Don Juan wraca do spółeczeństwa, ale tylko dla tego, by mu pokazać, że z niego nie jest. Harold zadaje sobie wszystkie wielkie pytania, o bycie, o szczęściu, o mądrości, a gdy ich rozwiązać nie może, wydaje krzyk rozpaczy. Don Juan zaledwie je napomknąwszy co tchu bieży umorzyć je w wesołości i rozpuście. Przy Haroldzie zdaje się po prawicy siedzieć duch dobry, anioł światłości, który go podnosi, choć go wyrwać nie może z objęcia szatana. W Don Juanie zły duch przeszedł z lewéj na prawą stronę, i tylko dla igraszki, dla kontrastu, czasem mu pozwala obwinąć się w skrzydła anielskiego opiekuna. Tam było dziko, tajemno, jak w nocy miesięcznéj. Tu jaskrawo, płomienisto, światło rażące a nikłe, jak w sztucznych ogniów wulkanicznéj łunie. A jednak Don Juan nie jest ani zatwardziałym ateuszem, ani systematycznym rozpustnikiem. Owszem, zdaje się on często być młodszym od Harolda. Niedbałość, lekkomyślność, igraszka; oto cel jego jedyny. Przeskakuje ciągle z jednéj ostateczności do drugiéj. Don Juan jest *par excellence* poematem kontrastów. Mówią, że go autor chciał w końcu zrobić metodystą. To pewna, że tu stał kres ostateczny. Sam geniusz poety, który w tym szale pod koniec wszystko już był wydzwonił z siebie, i w ostatnich pieśniach widoczne zdradzał zmęczenie, wskazywał drogę

do nawrotu. Było to nieszczęściem Byrona, że zaraz z samego początku obwołano, iż w każdym ze swych bohaterów on sam siebie i swe przygody wystawia. Podobały się młodemu zapaleńcowi dziwactwo, szaleństwo, a osobliwie tajemniczość, które mu przypisywano. Począł więc żyć wedle wysoko i fantastycznie wyciągniętéj miary swych utworów; a tak poeta człowieka, a człowiek znowu poetę na coraz niebezpieczniejsze prowadził przepaście.

Wzniosłość w obrazowaniu jest pono najcelniejszym przymiotem jego poezyi. Czy bowiem stary świat wywołuje z pod gruzów, Rzym lub Ateny, czy nowe nieznane towarzystwo buduje gdzieś w zapomnianym zakątku ziemi, jak w poemacie *Wyspa*, wszędzie opisy są wspaniałe, porywające, pełne rzeczywistości. Komuż nie przyjdzie zaraz na pamięć ta nadobna, choć martwa postać Grecyi, którą on do dziewicy tylko co zgasłéj porównywa. Ulubione dziecie oceanu, jak się sam nazywa, ciska się zawsze na jego łono z niewymowną rozkoszą. Postać Harolda z głębin morza powstaje i na morskich téż rozwiewa się otchłaniach tém cudném pożegnaniem, którego tu pierwszą strofę, dla objaśnienia rytmu zarazem, choć w dorywczym przekładzie pozwalam sobie zamieścić.

Pędź, pędź daléj twe wały, modry oceanie!
Napróżno flot tysiące twoją przestrzeń orze;
Człowiek gruzem ląd znaczy: — jego panowanie
Razem z brzegiem się kończy; — na wodnym przestworze
Zniszczenie twém jest dziełem; człowiek po swym torze
Nie zostawi i cienia na twojéj głębinie,
Chyba ślad własnéj zguby, na chwilę, — gdy w morze
Wpadnie jak kropla deszczu, pluśnie w jęk — i ninie
Bez trumny, dzwonu, grobu, niewiedziany zginie.

A z jakąż on uciechą z ciasnych między skałami zakątków wysyła swych korsarzów na te wodne obszary, „kędy bez granic buja duch swobody.“ Byron, zwykle niedbały na drobnostki, życie i przygody żeglarskie w najmniejszych szczegółach z upodobaniem malował. Dowodem tego znany opis rozbicia okrętu w *Don Juanie*, jak najściśléj osnowany na rzeczywistém wydarzeniu.

Już się samo przez się rozumie, że nie dramatyczność ale

liryczność była mu przyjaźniejszą, pokrewniejszą formą. On też we wziętość wprowadził ten gorączkowy, przerywany sposób pisania, który rzuca jedno słowo, a każe się całego obrazu domyślać, kładzie kilka kropek i bez zwrotu przeskakuje do innych miejsc, czasów i uczuć, zostawiając czytelnikowi zapełnienie odstępu. Jestto doskonały sposób na uniknienie ckliwości w przejściach. Jakiś podróżny, gdy Giaura zobaczył ciągle przerywanego asteryskami, powiedział, iż mu to przypomina Holendrów, którzy opanowawszy wyspy drogich korzeni na oceanie indyjskim, połowę drzew wycięli, by tym sposobem pozostałe jeszcze szacowniejszemi uczynić. Wszystkie też jego poemata są na strój liryczny nawiedzione. Tyle ód, pieśni, a osobliwie melodye hebrajskie, już okazują go mistrzem w tym rodzaju. Z tych ostatnich, jako najkrótszych między jego poezyami, przytaczam trzy następujące:

She walks in Beauty.

Idzie w Piękności, jak noc która kroczy
W cichém gwiazd gronie przez bezchmurne kraje;
Co cień i światło w sobie kras jednoczy,
To w jéj obliczu i w jéj oczach taje,
I razem spływa w taki stan uroczy,
Jakiego niebo dumie dnia nie daje.

Mniéj jednym blaskiem, więcéj jednym cieniem,
Zgasłby w połowie ten wdzięk, który słania
Każdym jéj kruczych warkoczów pierścieniem,
Lub przez twarz światło łagodne przegania,
Gdzie myśli świadczą pogodnym promieniem.
Jak czystą, lubą, jest głąb ich mieszkania.

A na tém czole, na téj cichéj twarzy,
Spokojnéj, nieméj, a wymownéj tyle,
Uśmiech co nęci, ogień co się żarzy,
Zwiastują w cnocie zbiegłe życia chwile,
Duszę, co wszystkich swym pokojem darzy,
I serce ufne w niewinności sile.

My soul is dark.

Ma dusza smutna! O nastrój twą lutnię,
Znieść tylko mogę jéj głos brzmiący smutnie,
I wraz przelotem harmonijnéj ręki
Dobądź dla ucha te co koją dźwięki.

Jeźli w mém sercu nadzieja spoczywa,
Znowu ją na jaw wywiedzie twe granie,
Jeźli w mych oczach tkwi łza jaka tkliwa,
Spłynie i palić w mózgu mi przestanie.

Lecz dobądź nutę z boleści wyjękłą,
Bo ton wesela zraniłby mą duszę;
Wierz mi, Minstrelu, że ja płakać muszę
By przepełnione serce mi nie pękło;
Gdyż je z młodości karmiła tęsknota,
W bezsennych nocach dręczył ból żywota,
I dziś, gdy biedne już o szczęściu nie śni,
Pęknie od razu lub się podda pieśni.

Sun of the Sleepless.

Słońce bezsennych! Księżycu ponury,
Którego promień we łzach drżący z góry,
Pokaże ciemność lecz jéj nie rozproszy,
Jakżeś podobny pamiątce rozkoszy!
Tak świeci przeszłość, gwiazda dni co zbiegły,
Ale nie grzeje blaskiem mdłych promieni,
A smutek czuwa i widzi w przestrzeni
Jéj promyk jasny, lecz zimny..... odległy!

Lecz to są tylko pyłki w porównaniu z temi wybuchami ognistéj lawy, któremi Byron w większych swych poematach rozrywa ciemności zalegające polityczny horyzont naszych czasów. Nic téż okazalszego i myślą i tokiem lirycznym nie ma w całéj literaturze angielskiéj, jak te urągania na pobudkę, któremi Byron uśpione uczucia narodowości i wolności wstrząść usiłuje, na przykład gdy się pyta spodlonego Greka: Powiedz, ten wąwoz czy nie Termopile, a ta zatoka czy nie Salamina? Czyż który z nowoczesnych poetów ma choć jeden wiersz zbliżający się do owego, w którym Byron, budząc Greków do walki, powiada że ta,

Gdy się raz zaczyna
Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna.

To jedno, to współczucie z cierpiącą ludzkością, to ściganie jéj przeznaczeń, stanowi go, mimo całéj osobistéj ułomności, rzeczywistszym wieku wyobrazicielem, niż cały szereg wieszczów od Szyllera do Lamartina. Lecz co mu najwięcéj wziętości osobliwie u młodszych zwolenników zyskiwało, to

obrazy udręczeń gwałtownéj, nieszczęśliwéj, a prawie zawsze występnéj miłości. Ona jest sprężyną i treścią wszystkich jego wschodnich poematów. Ona jest pierwszym i ostatnim promieniem w duszy jego bohaterów,

> Aniołów dobrem, Wszechmocnego darem,
> Nadzieją w niebie, i wszystkiem na ziemi.

Giaur pragnie śmierci co najprędzéj, a jednak powiada, że gotów żyć znowu byleby z Leilą. Zda się, jak gdyby autor wpuszczał ten jedyny promień w ciemnice ducha swych zapaleńców, by ciemność jeszcze okropniejszą uczynić. Tém jedném każdy z nich usprawiedliwiony,

> Bo choć miał dziką drapieżność jastrzębia,
> Choć latał niszcząc i lejąc krwi strugi,
> Ale się uczył kochać od gołębia.

Ztąd godziłoby się spodziewać, iż przynajmniéj bohaterki jego będą miały w sobie coś wyższego, coś niebiańskiego. Tymczasem są to czarowne wprawdzie postacią, ale duszą mdłe, bierne, niemyślące istoty, aż porwane wirem szału i fatalności, padają ofiarą dla tego jedynie, by rzucić niejaki urok i powód występkom swych kochanków. Zuleika, Paryzyna, Haidee, Aurora Raby, są zupełnie różne postacie pod zmysłowym objawem, w odmiennych nawet położeniach, a przecież wszystkie jednakie biernością ducha. Wszędzie ta sama niewolnicza podrzędność niewiasty. Nigdzie wybitnego charakteru. Jakaś tylko zmysłowa tkliwość. Wprawdzie zazdrość, zemsta, lub rozkaz kochanka przemienia te gołębie potulności w tygrysią zajadłość. Ale to jest tylko zmianą dekoracyi, nie zaś długiéj w sercu walki wypadkiem. Zmień nieco okoliczności, a dostateczném będzie, by Gulnarze dać w dłoń lutnię Medory, a Medorę uzbroić sztyletem Gulnary. Jedynym może wyjątkiem jest Myrrha w *Sardanapalu.* Jest coś w niéj samoistnego, spokojnego, grecko-posągowego, co wspaniale odbija wśród zniewieściałości assyryjskiego dworu. Zstępuje ona jako bogini z Olympu, by w królewskim swym kochanku obudzić uczucie powinności, i przepasać mu biodra do walki. Nie jest przecież bez zasługi ta gwałtowność niczém nie pohamowanéj, a rozpaczliwéj miłości w bohaterach Byrona. Nią bo-

wiem poeta budzi w nich sumienie, a to wyzwala ich z rzędu pospolitych zbrodniarzów. Wiedzą oni, że są złymi, poczuwają się do winy, spowiadają się ze zgryzot swoich. Nie chcą jednak słuchać o pokucie, o nadziei, bo żaden nie pragnie zbawienia, ale tylko spoczynku, nicestwa, każdy z Giaurem woła: już za późno! Ginąć musi, bo myśli, że nikt odrobić nie zdoła, co już raz zrobiono. Nie darmo poeta wybierał swe treści z podań wschodnich. Fatalność takowa przystać tylko mogła Muzułmanom lub zbisurmanionym Grekom.

Z téj bliskości, że nie powiem tożsamości charakterów, gdyż wedle słów jednego z dzisiejszych pisarzy wszyscy jego bohaterowie są pobratani

Tysiącem zbrodni, a z cnót tylko jedną,

(choćby newet ta jedyna cnota zwala się przyznaniem do winy, sumieniem,) łatwo wnieść można, że nie było żywiołu do dramatu. Jakoż *Manfred* jest tylko ciągłym monologiem. Dialog Lucyfera z Kainem nie wydaje się niczém inném, jeno walką sprzecznych uczuć w téjże samej wątpiącéj, wahającéj się duszy. Główna osoba w jego sztukach najczęściéj wpada w rozmyślanie, marzy, rozpamiętywa. Nie miał przeto wziętości na teatrze. Jedyna sztuka dotąd utrzymująca się na scenie angielskiéj, *Werner*, winna swą popularność najprzód doskonałéj grze aktora Macready, który sobie tę rolę przez przyjaźń dla Byrona od samego początku przyswoił, a powtóre tego rodzaju melodramatyczności, jaką *Rozbójnicy* Szyllera a *Clavigo* Goethego upowszechniły. Sam autor wyznawał, że bynajmniéj dla teatru nie pisał. Znajdziesz jednak w jego sztukach pełno dramatycznych położeń, scen zajmujących, ale w ogólności grzeszą zbytkiem poezyi a niedostatkiem akcyi. Czytając *Dwóch Foscari*, ani domyśleć się można, jak ta tragedya czyni mało wrażenia na scenie. *Marino Faliero* niepowrotnie upadł od pierwszego przedstawienia. A jednak stary doża silnie zarysowany. Przypomnienie *Wenecyi Ocalonéj* Otwaya było za nadto mocne. Porównywając bowiem Jaffiera, poduszczonego niesprawiedliwością i niezasłużoną niedolą swéj rodziny do ujęcia za oręż, nikt z widzów nie mógł się zgodzić, aby Faliero równie dostateczną posiadał przyczynę do

spisku w potwarzy na swą młodą żonę przez jakiegoś młodzika napisanéj. W *Przeobrażonym Wyrodku* jest tylko jedna prawdziwie dramatyczna scena, to jest ta, w któréj duchy starych Rzymian zachodzą drogę Bourbonowi przypuszczającemu szturm do wiecznego miasta. Ze wszystkich, *Sardanapal* najwięcéj kunsztu i w charakterach i w prowadzeniu rzeczy przedstawia. Jest on niejako rozwiązaniem zagadki całéj duchowéj organizacyi samego poety. Młody, odważny, pełen dzielnych przymiotów, gubi się, tonie w pochlebstwach i łatwém dogadzaniu swym namiętnościom. Zarówno wrogi jak i przyjaciele uważają go jako pogrążonego bez ratunku w więzach zniewieściałości. On sam wie dobrze, że w piersiach bije mu jeszcze żywe źródło cnoty i pochop do bohaterskich czynów, ale zbyt dumny, by się rozsłaniać przed ludźmi i zarabiać na dobre imie, gardzi ich opinią. Jedna tylko Myrrha zna tajemnicę jego duszy. Nadchodzi niebezpieczeństwo. Wszędzie w nim sprzeczność ta sama, odwaga obok zniewieściałości, pogarda śmierci a przy tém obawa zbyt ciężkiego hełmu, chce zginąć jako król w pierwszym szeregu, ale nim stanie na czele swych zastępów, przypatruje się w źwierciadle, czy mu zbroja do twarzy przypadła. Taką samą koleją kontrastów Byron pogardza ludźmi, a poświęca się dla nich; wydziera się z objęcia rozkoszy, pędzi na najdziksze boje i ginie właśnie dla tych, których z całym wstrętem niewyrozumiałości ogłaszał, że byli

Dziś do niczego niezdatni — prócz zbrodni;
Zmazani całą szkaradą co brudzi
Nie wiele wyższych nad zwierzęta ludzi,
Tylko rozwożą przez sąsiednie państwa
Z nowym towarem stare oszukaństwa;
W tém tylko widać Greków dowcip dawny,
I z tego tylko Grek na wschodzie sławny.[1])

A przecież tenże Grek obudziwszy w sobie dawne cnoty i męztwo przodków, dobił się znowu do swobody, a pomnąc nie na poprzednią pogardę, lecz na późniejsze poświęcenie, odkajdanioną prawicą najprzód między najpierwszemi zapisał

[1]) *Giaur.*

imie Byrona na pomniku narodowéj wdzięczności. Tak i cała społeczność wiele a może i wszystko przebaczy wielkiemu wieszczowi, bo choć zdawał się nią pogardzać i uciekać od niéj, przecież cierpiał z nią razem, i (jak Moore nieco z przesadą powiada) wskazywał po ruinach własnego serca tór przyspieszonemu pochodowi wielkich przeznaczeń ludzkości.

Wilhelm Wordsworth (1770—1850). [1])

Mistrz ten dzisiejszéj literatury angielskiéj, uczestnik w zasiewie i zbiorze jéj plonów, zwiastun jéj świetnych losów na przyszłość, zbyt mało dotąd u nas jest znanym. Urodzony 7 kwietnia w 1770 przeżył trzy pokolenia poetów, w pierwszém wyszczególniając się osobną szkołą, w drugiém walcząc o pierwszeństwo z najcelniejszymi, w trzeciém daleko wyścigając swych współzawodników. Od roku 1793, w którym obudził powszechną uwagę swym poematem *Przechadzka Wieczorna*, aż do śmierci, która nastąpiła 23 kwietnia 1859, ubiegło dobrze więcéj niż pół wieku, a jednak sława jego, rzecz rzadka w fortunie popularnych poetów, ani na chwilę niezachwiana, ciągle wzrastała, i miarkując po dzisiejszym tonie literatury, ciągle wzrastać się zdaje. Dziwny a pocieszający to wypadek. Wordsworth pod względem geniuszu nie może się do pierwszego liczyć rzędu. Burns miał więcéj świeżości i ognia. Walter Scott posiadał sztukę, inwencyę, obfitość w daleko wyższym stopniu. Byron gwałtownością uczuć i błyskawicami myśli prześcignął wszystkich tak rączo, że krytyka zgubiła miarę porównywania. Nawet niższa konstellacya poetów, jak Shelley, Moore, Rogers, Campbell, często bogatszym świeci promieniem. Ale duch poezyi Wordswortha jest jako gwiazda polarna, która, choćby ciemniejsza od innych, jest przecież wskazówką dróg i mistrzynią wszelkiego biegu. I cóż

---

[1]) Życiorysy niniejsze były pisane w 1846 i 1847. Od owego czasu kilka znakomitych dzieł poetycznych przybyło literaturze angielskiéj, kilku sławnych wierszopisarzy umarło, inni wzmogli się we wziętości, parę nowych imion zaświeciło na już tak bogatym horyzoncie. Obecnie więc wypadło mi przynajmniéj co do dat uzupełnić tę pracę, ale w ogólnym poglądzie nie przekraczam nigdy roku 1844, w którym Campbell umarł.

go na tém wysokiém stanowisku upotężniło? — oto, że wychodząc z uczucia obowiązku, wszędzie wielkie, kojarzące kładąc zasady, natrafił na kiernnek, którym duch Anglii pojść koniecznie musi, i wywiesił godła przyszłych jego zdobyczy. By to wykazać, trzebaby objąć wszystkie jego dzieła. Kilka uwag i przykładów zaledwie wskażą najogólniejsze znamiona.

Lubo pierwsze z jego płodów noszą datę 1786 r., w istocie jednak dał on się dopiero poznać w 7 lat późniéj dwoma poematami, z których jeden ma tytuł: *Obrazy z piechotnej podróży między Alpami*, a drugi (o czém już wspomniałem): *Przechadzka Wieczorna*, *Wiersz napisany do młodéj kobiety, nad wybrzeżem jeziór północnéj Anglii.* Wypisuję cały ten tytuł, bo on napomknął późniéj nazwę szkole, na któréj czele stał Wordsworth. Lecz zasady téj szkoły, od jeziora *the lake school* mianowanéj, w pełni odkryły się dopiero w *Zbiorze Ballad Lirycznych*, których pierwszy tom wydał w 1798, a drugi w 1800 roku. W przedmowie do drugiego tomu autor objaśnia swój zamiar i swe pojęcie poezyi. „Zamiarem moim — mówi on — jest doświadczyć, jak dalece celom poezyi odpowiedzieć zdoła ujęcie w miarowy układ rzeczywistéj mowy ludzi w stanie silnego uczucia.“ Wedle niego przedmiot, acz najpospolitszy, należy do poezyi, a prostaczy język, potwierdzony uczuciem i doświadczeniem ludu, zdawał mu się daleko silniejszym, trwalszym, filozoficzniejszym niż sztuką ogładzana mowa przez poetów. Teorya takowa, jakkolwiek użyteczna oddziaływaniem przeciw tak przymuszonemu stanowi, w jakim ówczesna literatura angielska zostawała, wychodzi przecież z fałszywéj zasady. Poezya jest czémś więcéj niż niewolniczém naśladowaniem natury. Musi ona i powinna uczyć się akcentu prawdy choćby w najpowszedniejszych zdarzeniach i u najpospolitszych ludzi. Ale zarazem wzniosłém jéj powołaniem jest uzupełniać, uogólniać, podnosić, idealizować, zostawując wszędzie indywidualne piętno duszy, która pojęła i przedstawiła obraz z natury pochwycony. Inaczéj, jakem to już raz powiedział, wszelkie *fac simile*, wszelkie dagerotypowe odbicie przedmiotu, każdego człowieka mowa, byle w passyi czy uniesieniu, byłyby już poezyą, a tak nie jest. Naślado-

wanie musi być zidealizowaném podobieństwem, skojarzeniem poety z przedmiotem, przez co ten nabiera właśnie coś wyższego, nową otrzymuje cechę. W malarstwie, weźmy nawet rodzaj, w którym najwięcéj na ściśłém podobieństwie zależy, co czyni portrety Tyciana, Van Dyka, Reynoldsa tak szacownemi? — oto daleko mniéj rzetelność w odbiciu natury, choć zgadujemy, że i ta musiała być arcydokładną, niż znamiona idealizującego ducha tych wielkich artystów. Poezyi nie ma bez poety. Szczęściem Wordsworth inaczéj uczył, a inaczéj sam pisał. Zwyciężył wbrew własnéj teoryi. Są wprawdzie w tych jego wcześniejszych poezyach miejsca grzeszące bezbarwną pospolitością, wyrażenia zbyt trywialne, ale wydają się one jak gdyby tylko z przymusu dla teoryi wstawiane, bo wszędzie objawia się wyższy strój natchnienia. Szydzono z jego *Chłopca Idioty*, tak jak u nas ze *Świtezianki*, a niektóre jego wyrażenia przekręcano z uśmiechem na katedrach, tak jak u nas owe: ciemno wszędzie, głupio wszędzie, co to będzie, co to będzie! Lecz zarazem czytano, a w końcu powszechnie przyklaśnięto. W 1807 wydał on dwa nowe tomy swych ballad. Już w nich coraz mniéj śladu pierwotnéj teoryi, a prawdziwy duch poezyi w coraz większém jawi się świetle. Następująca ballada z datą 1798 roku zdaje się być jednym z najwierniejszych przykładów równie przywar jak i zalet téj jego pierwszéj maniery:

Dzikie jéj oczy, a naga głowa,
Słońce spaliło włos kruczy,
Na brwiach osiadła rdzy skaza płowa;
Gdzieś się z za morza przywłóczy;
Drobniutkie dziecie trzyma przy łonie,
Byłaby samą inaczéj:
I czyli znajdzie gdzie na zagonie,
Pośród swéj drogi tułaczéj,
Stóg co ogrzewa, czy głaz u drzewa,
Siada i gada, — i śpiewa.

„Zwą mnie szaloną, o dziecie moje,
Lecz nie, w mém sercu nadto wesela;
Jam tak szczęśliwa, gdy głos nastroję
W żałośne pieśni, a znam ich wiela:

Więc się nie strachaj, moje nieboże,
Przytul się do mnie, przytul bez trwogi:
Ja cię bezpiecznie tutaj ułożę,
Jakby w kolebce będziesz, mój drogi:
Ja z tobą dzielę szczęścia za wiele,
Bym cię w czém skrzywdzić mogła, aniele!

Pomnę, był niegdyś mój mózg w pożarze,
A w głowie ciężki ból, skamieniały;
U piersi wisząc, szatańskie twarze,
Jedna, dwie, aż trzy, — wskroś mnie szarpały;
Lecz w tém błysł nagle widok radości,
Przyszedł, ozdrowił, zbudził, — jam wstała,
Ujrzałam chłopca, co przybył w gości,
To me tu dziecie ze krwi i ciała;
O! memu oku szczęsny widoku!
On był, — i sam był, — tam przy mym boku.

Ah! ssij, ssij jeszcze, moja pieszczoto,
To mi krew chłodzi, to mi mózg ziębi;
Twe ustka, czuję, — niemi ah! oto
Ból z mego serca wyciągasz głębi:
Ciśnij mnie twoją rączką, bo ona
Coś mi tu zwalnia, co jak pas śmierci,
Gdzie twe paluszki, tu, wedle łona,
Tu mnie tak ciężko dusi i wierci.
Gałąź się żywa powiewem zrywa:
Ot! nam z ochłodą wietrzyk przybywa.

Kochaj mnie, kochaj, moje pachole,
W tobie jedyne matki rozkosze;
Nie bój się wałów morskich na dole,
Gdy po skał zrębie ciebie przenoszę;
Wzniosła opoka mnie nie uszkodzi,
Ni spad potoku choć się rozjuszy,
Bo nad przepaścią i śród powodzi
Ty na mém ręku bronisz méj duszy;
Więc śpij u łona, bom uszczęśniona;
Dziecie bez matki więdnie i kona.

Przeto się nie bój, — dla twéj opieki
Jak lew odważna będę w potrzebie;
Przez zaspy śniegów, przez bystre rzeki,
Zawsze bezpiecznie powiodę ciebie;

Ja ci indyjską altankę splotę,
Najmiękksze liście znam na posłanie;
I gdy do śmierci me dziecie złote
Mnie nie opuści, wiernem zostanie,
To przy mnie wzrośnie, i tak radośnie
Śpiewać mi będzie jak ptaszek wiośnie.

Nie bacz, co mówią na mnie oszczerce,
Jam twego ojca ślubną jest żoną;
I żyć uczciwie będziem, me serce,
Sami we dwoje pod drzew osłoną.
Gdy on śmiał rzucić swe dziecie hoże,
Przy mnie by nigdy nie zdołał zostać:
On cię już dzisiaj skrzywdzić nie może,
Lecz sam, ah biedny, jak straszna postać!
We dwoje skrycie codzień o świcie
Będziem się modlić za jego życie.

Dziwów nauczę mego chłopczyka,
Jak sowa śpiewa, kiedy mrok wita;
Cóż to me dziecie usteczka zmyka?
Znać, żeś już piersi miało do syta.
— Gdzieś ty, gdzieś drogie me własne dziecie?
Cóż to za brzydkie oczy w tém ciemnie?
Ah! wzrok tak dziki nigdy na świecie
Nigdy nie wyszedł — nigdy — odemnie!
Jeźli kochane tyś obłąkane,
To już na wieki smutną zostanę.

Zaśmiéj się do mnie, drogi baranku;
Jam twoja matka; ma miłość stała
Wszak doświadczona? Jam bez ustanku
Wszędzie ci ojca wkoło szukała.
Znam ja trucizny, znam i korzenie,
Które na pokarm ziemia nam niesie;
Więc się mnie nie bój, lube stworzenie:
Gdzieś twego ojca znajdziemy w lesie.
Wróć do twéj krasy, i daléj w lasy!
Tam żyć będziemy po wszystkie czasy.“

By wszystkim swym pojęciom i rozmyślaniom obszerniejszy otworzyć zawód, począł Wordsworth pisać szeroki poemat, którego pierwsza część wyszła w 1814 r. pod tytułem:

Wędrówka (*The Excursion*). Już tu styl daleko poważniejszy. Ustąpiła poprzednia prostotliwość, a natomiast przybyła metafizyka. Trzeba bowiem pamiętać, że szkoła Jeziór winna swe poczęcie filozofii i poezyi niemieckiéj. Jak na literaturę z czasów Elżbiety Włochy, z czasów Anny Francya, tak na teraźniejszą Niemcy przemożny wpływ wywarły. Poeta tak swój wiersz poczyna:

O prawdzie, cnocie, wdzięku, miłości, nadziei,
O smutku i bojaźni podbitéj przez wiarę,
I o błogosławieństwach pociechy w nieszczęściu,
O mocy charakteru i umysłu sile,
O radości w najszersze rozpostartéj kręgi,
O samoistnéj duszy, która się bezpiecznie
W własną kryje samotność, podległa jedynie
Sumieniowi i prawu ze wszech najwyższemu
Téj mądrości bez granic, która rządzi wszystkiem, —
Śpiewam. Godnych słuchaczów żądam, choć nie wielu.

Budowa poematu jest nader prosta, może nawet za pospolita. Ubogi szkocki kramarz wędruje z poetą po górach, moralizuje, rozbiera wszystkie władze duszy i uczucia serca, wszędzie przedewszystkiém hołd naturze oddając. Po drodze zachodzą do pustelnika, który po długiéj i nieszczęśliwéj walce wśród ludzi usunął się od świata. Potém wszyscy trzéj wstępują do pastora miejscowego. Ten stylem *Rejestru Parafialnego*, o czém była wzmianka, kiedym o Crabbem mówił, opowiada o śmierciach i zmianach zaszłych w jego odludnéj dolinie. Poemat kończy się opisem przechadzki nad jednėm z jeziór północnych. Pełno znajduje się w nim powtarzań i męczących drobiazgowemi badaniami ustępów. Ale również co chwila czytelnik napotyka na miejsca prześliczne. Opisy sielskich obrazów są pełne wdzięku i kolorytu. Najpowszedniejszym przedmiotom, jak na przykład gdy opisuje wrażenia głuchego wieśniaka, nadaje autor urok zadziwiający. Oto wyjątek z księgi czwartéj. Myśl pospolita, ale wykład jasny i poetyczny.

W duszy człowieka przemieszkuje władza,
Która zapory, co ją zaćmić pragną,

Tak przeobraża, że sprzymierzeńcami
Jéj majestatu stają się i wznoszą
Blask jéj rodzimy. Jako pełny księżyc,
W głębokiéj ciszy letniego wieczoru,
Wschodząc za gęstym i wysokim gajem,
Goreje światła ogniem niepożerczym
Wśród drzew zielonych, i złocąc w około
Ich cień lesisty, czarną ich zasłonę
Zmienia w osnowę świetną jak blask własny,
I włącza w siebie potęgą promieni;
Tak równa w duchu niebiańskim człowieka
Mieszka potęga, tak cnota się zwiększa
I uwydatnia sama, — tak jéj cichy,
Luby, spokojny, sam żywi się ogień
Z tłoczących brzemion śmiertelnego życia,
Z błędów, z zawodów, i z grzechu samego,
I — miłosierna tak chce sprawiedliwość, —
Nawet z dręczących ucisków rozpaczy.

Może jeszcze więcéj upospolicony temat poeta w księdze siódméj oddaje w ten sposób:

Tak mdleje, ćmi się i umiera wszystko
Czém świat się pyszni. Gwiazdy ludzkiéj sławy
Z swoich okręgów spadają w otchłanie;
Marnieją róże i kwiaty królewskie,
Książąt, cesarzów, korony i palmy
Wszystkich mocarzów więdną w pył spalone;
Nawet najniższa chudoba nie zdoła
Ostać się długo. Sam człowiek ubywa,
A wkrótce po nim gaśnie ród tych, którzy
We wdzięku ciała, w myśli, w sercu, w duszy,
W godności, w trudach byli jak najwięcéj
Jemu podobni. Z dostojeństw i stanów,
Z bractw, z stowarzyszeń, — co nowe bogactwa
Na starych skarbów stosie gromadziły,
Ufne, bezpieczne w stokroć potwierdzonych
Swych przywilejach, — szydzi śmiech złośliwy
Chciwéj zawiści, ciskany z za tajnych
Wałów zniszczenia. Jedne schyłkiem wolnym
Giną, a drugie gwałtownym upadkiem;
Ich cnoty, szczęście, zasługi, powaga
Nikną, a suknia natury zielona,
Czechło ludzkości wszelkiéj przeznaczone,
Stroi pomniki i pamięć ich kryje.

Wordsworth pisał coraz więcéj i coraz lepiéj. W 1815 wydał powieściowy poemat p. t. *Biała Łania z Rylstone*, osnuty na dziejach jednéj nieszczęśliwéj rodziny w czasie wojen domowych. Lubo w utworze tym nie brak wzniosłych ustępów, napiętnowanych zwykłą temu autorowi głębokością myśli, akcya tak się ciężko wlecze, osoby w nią wprowadzone tak mało mają wyrazu rzeczywistości, a cudowność, w któréj owa biała łania główną gra rolę, tak jest rażącą, iż od razu każdemu jawnem się staje, że dramatyczność i sztuka rozwijania powieści coraz bardziéj zajmującemi wypadkami, nie wchodzi w zakres talentu tego, jak sam się mianował, filozofa-poety. Najdogodniéj mu zawsze było w krótkich czy dydaktycznych, czy opisowych, czy lirycznych wierszach. Te mnożył z zadziwiającą obfitością. Niebawem uzbierało się 6 grubych tomów, do których w 1842 dodał jeszcze tom siódmy. W wydaniu tém podzielił on wszystkie swe dzieła wedle systematu sobie właściwego, i tak znajdujemy poezye młodości, uczucia, imaginacyi, fantazyi, — urządzenia często zbyt samowolne, ale wskazujące wyraźnie całe szczeblowanie jego uczuć i pojęć aż do nieśmiertelności i Boga. *Laodamia*, *Lilia Wodna*, *Dumanie przy Tintern Abbey*, *Poczucie się w dzieciństwie do nieśmiertelności*, i tyle innych poematów tak dobrze w Anglii znajomych, są jednym ciągiem wirującéj myśli ku niebu, ufającéj, wierzącéj, pewnéj że tam następuje nagroda lub kara po próbie doczesnéj. Jest to słup ognisty, który go wszędzie prowadzi. O téj zawsze przytomnéj mu myśli mógł był powiedzieć, co rzekł o tęczy:

Kiedy krąg nieba tęcza obleka
Serce z radości mi rośnie!
Tak było w życia mojego wiośnie,
Tak jest i teraz gdym wzrósł w człowieka,
Niech i tak będzie, gdy się doczeka
Wiek mój starości, lub umrzeć wolę.
Dziecię jest ojcem człowieka;
I daj mi Boże, niech w jedném kole
Rodzeństwa uczuć dni me zespolę.

Rozmaitość przedmiotów i czasów, ani na chwilę nie od-

suwa téj jego tęczy duchowéj; bo czy w *Dumaniu przy Tintern Abbey*, sam jako chrześcijanin się odzywa:

Uczułem
Obecność czegoś, co mnie wzniosłych myśli
Radością wstrzęsło, niebiańskie pojęcie
Czegoś daleko głębiéj przezroczego,
Co mieszka w świetle, w słońcach zachodzących,
W okrągłem morzu, w żyjącem powietrzu,
Na jasnem niebie, i w duszy człowieka.
Uczułem ducha i ruch, który wiedzie
Wszystkie myślące jestestwa i wszystkie
Przedmioty wszystkich myśli, i faluje
Po wszech okręgach stworzenia; —

czy kładzie w pogańskie usta Protezylausza tę przestrogę dla Laodamii:

Naucz się wznosić w coraz wyższe kręgi
Szlachetną żądzą; na to w sercach ludzi
Miłość wybiegła do takiéj potęgi,
Na to się często aż w szaleństwo budzi,
By się sam siebie człowiek wyrzec zdołał; —

na każdem miejscu znajdujemy świadectwo i hołd oddany wielkim prawdom i najwznioślejszym człowieka nadziejom. Nie przestaje on na marzeniach i na ogólném twierdzeniu, ale często zachodząc w szranki obecności, rozbudza swą ojczyznę, i do wyższych celów ją nawołuje. Następujący sonet do Miltona jest jedną z tysiąca jego skarg przeciw obecnemu stanowi Anglii.

Ty-byś żyć w téj godzinie powinien, Miltonie;
Anglia cię potrzebuje; zamierzchłem ponuro
Bagnem jest wód stojących: ołtarz, oręż, pióro,
Rycerstwo starych zamków, domowe ustronie,

Straciły swe dziedziczne wiano szczerozłote
Wewnętrznéj szczęśliwości. My dziś egoiści.
O! wróć, niech duch twój znowu wzniesie nas, oczyści,
I da nam obyczaje, moc, swobodę, cnotę.

Twój duch był jako gwiazda, sam mieszkał na niebie;
Tyś miał głos uroczysty, wymowny jak morze,
Jasny jako toń niebios, piorunny w potrzebie;

Tak wolny po powszednim szedłeś życia torze
W majestacie boskości, a jednak w pokorze
Najniższe obowiązki kładłeś sam na siebie.

Jeźli w poetycznych upomnieniach Wordswortha jest co wydatniejszego nad inne, to przestroga zawarta w końcu powyższego sonetu. Nie wolność nieograniczona, ale posłuszeństwo i pokora w karbach obowiązku stanowi szczęście człowieka. Gdzieindziéj budzi on ducha, by w coraz wyższe wstępował kręgi, tu uczy, iż zarazem powinien swe rozbiegi hamować, ograniczając się co najcieśniéj więzami obowiązków. Do téj kardynalnéj przestrogi wraca co chwila, i na wszystkie sposoby. W związku z tém przeświadczeniem, oto jego tłómaczenie, dla czego ze wszystkich form poetycznych najwięcéj sonet ukochał:

Mniszka, co piękny żywot w klasztorze zamyka,
Mędrzec w książek warownéj oblężony celi,
Pustelnik, co nie spojrzy za próg pustelnika,
Tkacz przy krośnach, za pieckiem dziewcze przy kądzieli,

Nie jęczą, ale żyją swobodni, weseli.
Dnie całe brzęczy w ciasnym dzwonku naparstnika
I zasklepia się pszczoła, którąście widzieli
Jako aż na szczyt Alpów w rączy lot pomyka.

Bo zaiste więzienie nie jest już więzieniem,
Gdy się sami w niém zamkniem i byt nasz ożeniem
Z pokorą, z samotnością. Ztąd moje rozkosze,

Gdy mnie sonet kwiecistém związe ogrodzeniem,
Bo wiem, że tym, co lubią wolność, lecz po trosze,
Co zbytku jéj nie cierpią, uciechę przynoszę.

Gdyby Wordsworth nie miał innéj zasługi, prócz téj jednéj, że podobną prawdę pojmował i śmiało ogłaszał, to jużby wart był dostojeństwa, które mu tu przyznaję. Jakoż w naszym wieku, po tylu wstrząśnieniach i burzach, w obec powszechnéj samowolności i rozprzęgu, kto powraca urok jakiejkolwiek powadze, kto uczy ludzi być cichemi i pokornego serca, ten ich łączy, kojarzy i wiedzie na opuszczone drogi prawdziwéj wielkości. Był czas, gdy duch ludzki przyciśnięty,

ze wszech stron zaparty, miał prawo, potrzebował się wydobyć z pod jarzma, choćby nawet ze szkodą zwierzchnictw uzacnionych przeszłością. Lecz dziś rozbieganemu na wszystkie bezdroża, marnotrawiącemu najdroższe swe skarby na przedsięwzięciach nigdy się urzeczywistnić niezdolnych, gwałtem potrzeba znowu wskazać granice, za które bez ciężkiego upadku nie godzi mu się przekraczać. Wysnute z własnego przekonania pojęcie i nieprzymuszone uszanowanie tych granic, oto cel dla zdobyczy naszych czasów. Skierowanie woli ludzkości ku jéj granicy, powiedział filozof, jest dopełnieniem jéj wolności, gdyż granica znana przestaje być ograniczeniem, a staje się miarą. Zrozumiał Wordsworth i tę miarę i nagłą potrzebę, zwłaszcza w obec szkodliwego wpływu, jaki na lekkomyślnych duszach poezye Byrona wywarły, i wieszczym polotem przebiegając po obszerném kole wolności, wszędzie porozstawiał skazówki gdzie niebezpieczeństwo. Niechaj go jednak nikt nie posądzi o hołdowanie wstecznym ideom, choćby w mierze najmniejszéj, lub o brak zapału dla wolności. Rewolucya francuzka nie znalazła w nim obojętnego świadka. Śpiewał on na pierwszy jej odgłos:

Daj Boże, by wolności nieprzełomne wały
Przez niecną zdobycz, zdzierstwo i pychę przegnały;
Daj, niech zmiotą rozpusty złotobarwne leże
I tyranii warowne skał żebrami wieże;
Daj, niech się pod ich piersią, pod swobody wodzą,
Jak pod skrzydłami Nilu, narody odmłodzą;
Niech one każde ziemskie, pyszne z berła dziecie,
Które do nich śmie wołać: daléj nie pójdziecie!
W swym gniewie z brzegu strącą, i z niem całe grono
Pochlebców i służalców na wieki pochłoną.

Również wspomnieć się godzi, że między jego sonetami znajduje się kilka rzewnych żalów za Polską, i kilka wieńców dla Kościuszki. I Byron czuł tak głęboko, a jeszcze gwałtowniéj wyrażał swój zapał dla wyswobadzającego się ducha ludzkości. Oba byli uczestnikami tego ruchu w umysłach, który rewolucya francuzka wywołała. Lecz Byron z upadkiem Napoleona zwątpił o wszystkiem. Zdało mu się, że cała ta walka była tylko igraszką, szyderstwem, i nic po sobie nie zosta-

wiła jeno rozpacz i zniszczenie. Spokojniejszy, filozoficzniejszy, co więcéj, religijniejszy Wordsworth, *spectator haud particeps*, zapewnie tyle nie cierpiał co tamten, ale za to z wysokości swego stanowiska widział i wskazywał cały postęp, i wszystkie prawne zdobycze, które tylu ofiarami w tym boju ród ludzki osięgnął. Ztąd w nim wszędzie taka pogoda, spokój, jak Coleridge zowie: Deep self-possession, an intense repose. Ztąd pokorne poddanie się wyrokom opatrzności; ztąd klątwa na wszystko, co jest samolubstwem, chciwością, gnuśnością, awanturnictwem, samopasnością; ztąd wreszcie to wywyższanie obowiązków, choćby najdrobniejszych, do miary prawdziwego bohaterstwa i chwały. Tradycya, dogmat, wszelka powaga są dla niego pełne uroku. Dla tego nie waham się powiedzieć, że duch katolicki drgnął znowu w pismach Wordswortha. Przebija on się co chwila, nie tylko w żywotnych, prawdach, jako wyżéj wskazałem, ale i w tym mistycyzmie, o który go krytycy angielscy tak srogo obwiniają, co więcéj w samych nawet wyrażeniach. Jeden z jego sonetów tak się poczyna:

W tym skalistym wąwozie każda się framuga
Zda być konfessionałem.

Przezwano go téż poetą klasztornym. Macaulay porównywając go z Byronem powiada, że co Wordsworth opiewał jako zakonnik, to Byron wyrażał jako człowiek światowy z mniejszą głębokością uczucia, ale za to z większą jasnością i energią. Ruch przeto katolicki, który dziś się w każdym kierunku wśród Anglii objawiać poczyna, błysnął najprzód poetyczną jutrzenką na wysokościach ducha Wordswortha. Byrona czytają wszyscy, ale nikt już nie naśladuje. Przeciwnie, na pismach najmłodszego pokolenia wszędzie widoczny ślad wpływu, jaki na nich wywarł mniéj zadziwiający, ale za to dobroczynniejszy geniusz Wordswortha. Pełno jego myśli otrzymało już poświęcenie na aksiomata weszłe w potoczne przysłowia, a mnóstwo wyrażeń już wrosło w mowę powszednią. W tym względzie, po Szekspirze i Miltonie, żaden poeta tak przemożnie nie wpłynął na język angielski.

Życie jego prywatne mało przedstawia wątku do biografii,

bo było ciche, prawie klasztorne. Poezya od młodości była główném jego zatrudnieniem. Ożeniwszy się wcześnie, osiadł nad jednem z jezior północnych. Tak nawykł do spokoju i samotności w tém zaciszu (Rydal Mount nad jeziorem Rydal), że gdy tam chciała wkroczyć kolej żelazna, protestował sonetem. W 1843 po śmierci Southeya otrzymał on zyskowny urząd poety nadwornego, który aż do śmierci piastował, chociaż się nigdy na dworze ani pokazał.

Z umysłu postawiłem przy sobie te trzy wielkie imiona Walter-Scotta, Byrona i Wordswortha. One bowiem oznaczają cały postęp, są niejako treścią całéj nowszéj lteratury angielskiéj. Wedle nich możnaby podzielić wszystkich innych autorów. Pierwszy odbudował świat średniowieczny w całym jego przepychu. Drugi był namiętnym wyobrazicielem tego ducha, który dręcząc się i rozpaczając, że już dawnych kształtów wypełnić nie zdolny, nie mógł jeszcze natrafić na przeznaczoną sobie formę. Trzeci, godząc tego gorączkowego ducha z tém, co przeszłość niezatracalnego zostawiła, wskazał mu ideał, do którego ma dążyć, i narzeczoną mu formę, którą ma poślubić. Walter-Scott miał najwięcéj nauki, Byron najwięcéj geniuszu, Wordsworth sumienia i wiary. Pierwszy był historykiem, drugi zapaśnikiem w obecności, trzeci proroczym zwiastunem dalszych Anglii przeznaczeń.

Samuel Coleridge (1772—1834).

Obdarzony najświetniejszemi zdolnościami, byłby mógł w pierwszym stanąć rzędzie, gdyby nie smutne w życiu przygody, ciągła prawie choroba, a ztąd bezład i niecierpliwość, które mu niczego swobodnie dokonać nie dozwoliły. Należy on więc do poetów, których sławę miarkować potrzeba nie tyle po dokonanych dziełach, co po wielkości talentu, jaki one zdawały się zapowiadać. Był synem ubogiego pastora w jednéj z pomniejszych parafii w hrabstwie Devonshire. Oddany na naukę do jednego z dobroczynnych zakładów w Londynie, wcześnie się odznaczył w gorliwém czytaniu książek. Sam o sobie powiada, że od 8 do 14 roku życia swojego był istnym *helluo librorum*. W tém odumiera go ojciec i zosta-

wia w zupełnéj nędzy i samotności. Młody zapaleniec nie wiele myśląc, postanawia zapisać się na czeladnika do szewca. Bractwo Św. Kryspina, już w tych czasach uświetnione chwałą Gifforda i Bloomfielda, miało nowego zyskać poetę, gdy szczęściem naczelnik szkoły, odkrywszy ów rozpaczliwy zamiar, dał mu stopień wysoki i wysłał do uniwersytetu w Cambridge. Niedługo jednak Coleridge w nim pozostał. Stawszy się podejrzanym zwierzchności z przyczyny niepohamowanego zapału do rewolucyi francuzkiéj, usunął się nie zdając nawet egzaminu. Prześladowano go, jak sam późniéj w znanéj odzie do Francyi powiedział, dla tego

Że błogosławił tryumf wyzwolonéj Francyi,
A zwieszał głowę płacząc nad Anglii imieniem.

W pierwszém rozżaleniu powziął dziką myśl i zaraz uskutecznił. Wszedł na prostego żołnierza do dragonów. Wiadomo jak uciążliwa jest służba szeregowych w wojsku angielskiém, bez podobieństwa awansu, bez możności opuszczenia jéj przed terminem zaciągowym. Wkrótce téż poznał on całą jéj twardość. Napisał na stajennéj ścianie pod siodłem: Eheu quam infortunii miserrimum est fuisse felicem! Spostrzegł to kapitan szwadronu, a znać większe posiadając poważanie dla łaciny niż chorąży Northerton w *Tom Dżonsie* Fieldinga, przywołał do siebie biednego szeregowca, i wybadawszy kim był, dał mu uwolnienie ze służby. Wsparty od krewnych i przyjaciół, Coleridge począł teraz myśleć o ogłoszeniu drukiem pism swoich. Jakoż niebawem wydał swe *Poemata młodości* i dramat *Upadek Robespiera*. Autor, w religii socynianin, republikanin w polityce, nie mógł się powszechności podobać. Postanowił przeto stare i wedle niego spróchniałe społeczeństwo opuścić, i zamierzył z swymi przyjaciołmi Southeyem i Lovellem przenieść się do Ameryki dla założenia tak zwanéj Pantisokracyi. Brak funduszów zniweczył te zamiary. Poważniejsze przytém uczucie radziło im zostać na ojczystéj ziemi. Coleridge, Southey i Lovell pojąwszy w małżeństwo trzy siostry Fricker z Bristolu, zaczęli każdy wedle swego usposobienia myśleć co najszczerzéj o ustaleniu swych losów. Coleridge zawsze gwałtowny, rzucił się do polityki. Pisał broszury

niezmiernie zuchwałym tonem, twierdząc że zawsze trzeba prawdę głośno mówić, ale osobliwie wtedy gdy to jest niebezpieczeństwem. Założył przytém pismo peryodyczne wierszem i prozą pod tytułem: *Strażnik.* Dziwactwo i gwałtowność artykułów przy niełądzie w wydawaniu umorzyły to przedsięwzięcie za dziewiątym numerem. Autor uczuł potrzebę usunięcia się na ustronie. Osiadł w Stowey, w bardzo pięknéj, górzystéj części hrabstwa Somerset. Towarzystwo Wordswortha, który wtedy w téjże mieszkał okolicy, wywarło wpływ na nim najpomyślniejszy. Najcelniejsze téż jego poemata należy odnieść do téj szczęśliwéj acz zbyt krótkiéj epoki. Tu bowiem napisał *Odę do przechodzącego roku*, *Odę do Francyi*, *Trwogi w samotności*, *Mróz o północy*, *Powieść starego marynarza*, pierwszą część *Christabeli* i tragedyę *Zgryzoty sumienia.* Wielbiciel ducha literatury niemieckiéj, zapragnął głębiéj się w niego wtajemniczyć i wyprawił się w 1798 do uniwersytetu w Goetyndze, dla dokończenia przerwanych swych nauk. Za powrotem w 1800 znalazł Southeya i Wordswortha usadowionych w krainie jezior północnych. Osiadł z pierwszym. Tu jego sposób myślenia zupełnie się odmienił. Z jakobina stał się rojalistą, z unitaryana głęboko wierzącym w troistość boską. W przekładzie obu części *Wallensteina*, które wydał niebawem, znajduje się pełno amplifikacyi i dodatków świadczących o téj całkowitéj zmianie w pojęciach, jak naprzykład:

O! nigdy groźnie nie poganię wiary
W gwiazd i aniołów potęgę. Nietylko
Duma człowieka zaludnia przestworze
Życiem i rządów tajemnych zwierzchnictwem;
Bo i dla serca, co miłością pała,
Ten świat powszedni, widoma natura,
Są zbyt ciasnemi. Głębsza myśl w legendzie
Dziecku śpiewanéj leży, niż w mądrości,
Któréj się uczym przez resztę żywota.
Bo baśń jest światem, domem i rodzinném
Miejscem miłości, co śród wieszczek, duchów
I talizmanów bawi się i wierzy
Z zapałem w bóstwa, będąc boską sama.
Jasne postacie starożytnych wieszczów,

Dawnéj religii niebiańskie piękności,
Siła, nadobność, majestat co mięszkał
Wśród dolin, w lasach, na górach sosnowych,
Przy cichéj rzece, nad źródłem kamiennėm,
W toniach, w przepaściach, — wszystko to zniknęło,
I już nie żyje dziś w wierze rozumu!

Zmiana ta jeszcze bardziéj zbliżyła go do Wordswortha. Ostatni, w drugim tomie swych ballad wydał bezimiennie kilka jego znakomitszych utworów, jak *Stary marynarz* i *Miłość*, oświadczając, że publiczność nie znajdzie zapewnie żadnéj w stylu różnicy, bo wyobrażenia obudwóch co do poezyi prawie są jednakie. Coleridge tymczasem rzucił się w inny zawód szukać chwały i zarobku. Podjął się najprzód redaktorstwa dziennika *Morning Post*, a wkrótce potém w nagrodę za przychylność dla rządu, dostał posadę sekretarza przy gubernatorze w Malcie. Lecz na żadném miejscu długo wysiedzieć nie mogąc, po dziewięciu miesiącach urzędowania wrócił do Anglii, by znowu oddać się niepewnym losom peryodycznego piśmiennictwa. Nowe jego czasopismo pod tytułem: *Przyjaciel*, pełne kart wymownych ale razem przesycone mistycyzmem niemieckim, ustać musiało za piętnastym numerem. W 1816, za poradą Byrona wydał choć nieskończoną *Christabel*, i tu, z wyjątkiem dramatu *Zapolya* i kilku mniejszych ulotnych wierszy, kończy się jego zawód poetyczny. Natomiast prozą pisał coraz więcéj, w rozmaitych przedmiotach, jako to, *O biblii jako najlepszym przewodniku do politycznego kunsztu i przezorności*, — *O pomocach do czystego rzeczy pojmowania*, — *O żalach i skargach klassy średniéj*, — *O kościele w związku ze stanem*, i wiele innych dzieł, między któremi najciekawszém jest: *Biografia literacka*, w dwóch tomach. Zamyślał przy tém o napisaniu wielkiego, religijno-politycznego dzieła, którego treścią miało być zebranie wszystkich dowodów, że chrystianizm jest jedyném, powszechném i nieustającém objawieniem od Boga. Również układał sobie zarys na wspaniałą epopeję o zburzeniu Jerozolimy, przedmiot, który wedle jego zdania był jedynym, ostatnim dla poematu bohaterskiego, i wyłącznie zdolnym tak zająć

chrześciaństwo, jak niegdyś Grecyę zapalały homerowskie pieśni o oblężeniu Troi. Lecz niedołęztwo woli, brak stałości i nieszczęsna choroba, która zrobiła go niewolnikiem u opium, stanęły na przeszkodzie. Czuł on głęboko to nieszczęście, które przy najświetniejszych zdolnościach nie dozwoliło mu żadnego większego dokonać dzieła, i oto jak rzewnie w tym wyraża się przedmiocie, odpowiadając Wordsworthowi na udzielony sobie wiersz ostatniego pod tytułem: *Wzrost indiwidualnéj duszy.*

Ach! gdym z osamotnioném słuchał ciebie sercem,
Tętno mego jestestwa wszczęło bić na nowo;
I jak gdy życie wraca w topielca, tak we mnie
Radość życia znów wschodząc zbudziła tłum cierpień,
Miłości ostre bole, którym się w ocknieniu,
Jako hałaśnym dzieciom, krzyk z serca wyrywa;
Krnąbrne trwogi, co bały spotkać się z nadzieją,
Nadzieja co się w trwodze ledwie poznać mogła;
Uczucie, że na próżno młodość i wiek męzki
Przeszły, — że geniusz dany, nauka zdobyta,
Wszystko próżne, com tylko po gajach nazbierał,
I wszystko co cierpliwa praca zbudowała,
I wraz z tobą rozwiła; że to tylko kwiaty
Rzucone na me ciało, i na moich marach
Ze mną w téj saméj trumnie, w ten sam grób niesione.

W takich zgryzotach przepędzał kilka lat ostatnich, coraz mniéj sposobny do pióra, coraz w większém poddaństwie u opium. Natomiast rozmowa jego miała być zawsze dziwnie uroczą. Nikt od czasów Johnsona takiego na słuchaczach nie wywierał wpływu. Zaraz też po jego śmierci zjawiło się pełno przypomnień z jego opowiadań, sądów, opisów, zgoła tego, co Anglicy kładą pod rubrykę tak nazwanéj *table talk* czyli pogadanki przy stole.

Coleridge i Wordsworth z jednéj wywodzili się szkoły, na jednych wzrośli pojęciach. W stylu jednak i traktowaniu przedmiotów nieskończenie się różnią. Pierwszy zawsze gorączkowy, zawikłany w bogactwie obrazów i myśli. Drugi spokojny, jasny, dobitny. Lecz jeźli ten nad tamtym miał niezawodną wyższość w objęciu całości, w wysokości zamiaru, w ścisłości wyrażeń, — to znowu Coleridge prześcigał Wordswortha

śpiewnością, dziwnie uroczą muzyką, lirycznością swych utworów. Shelley kładzie jego ody między najpierwsze ozdoby języka angielskiego. Inny krytyk powiada: że jego subtelnie snute wyrażenia, z całą grą tęczowych nieba kolorów na sobie, zdają się bezpośrednio wyrastać z myśli lub z uczucia, jak kwiat z łodygi, albo płomień z palącéj się oliwy. Tém to on rozbraja najsurowszą krytykę. Tam gdzie nawet myśl nie zupełnie jasna, to styl i rytm zawsze czarujący. Dziwnym i ciemnym wyda się może w przekładzie wiersz następujący pod tytułem *Czas rzeczywisty i urojony.* W oryginale brzmi on przecudownie lubo i tam myśl zakrawa na zagadkę.

Śród szerokiéj płaszczyzny na wierzchołku góry,
(Niewiem gdzie, — czarodziejskiéj była błoń urody,)
W żagle, jak skrzydła strusia, rozpiętemi pióry
Dwoje uroczych dzieci wciąż gnało w zawody.
Siostra i brat! Lecz choć brata
Daleko siostra przelata,
Wciąż twarz swą zwraca, pogląda w zaplecze,
Słucha za chłopcem co się z tyłu wlecze:
Bo on, niestety — ślepy na oczy!
I choć równą idzie nogą,
Szorstką jak i gładką drogą,
Nie wie czy pierwszy, czy ostatni kroczy.

Między dłuższemi jego poematami najlepiéj wykończonym najzrozumialszym i najtkliwszym jest *Miłość* czyli *Genowefa.* najfantastyczniejszym *Kubla Khan*, ułożony, jak sam autor twierdził we śnie, — a najoryginalniejszym *Stary marynarz.* W tym ostatnim osnowa rozwija się z bardzo na pozór drobnéj okoliczności. Okręt płynie po morzu. Za nim leci ptak albatross. Majtkowie, którzy dopiero co skołatany statek wydobyli z pomiędzy lodów, cieszą się tym nowym przybyszem uważając go za znak szczęśliwy do dalszéj podróży, witają go w imieniu Boga, „jak gdyby to była jaka dusza chrześciańska.“ Ptak leci a leci. Znudzony kapitan zabija go. Odtąd wszystkie nieszczęścia zwalają się na okręt. Pod rozpalonem niebem bieg jego zatrzymuje cisza morska. Cała załoga wymiera wyjąwszy kapitana. Staje się pusto na około „jak gdyby nawet i Boga tam nie było.“ Duchy, sny, okropność powol-

nego konania, wreszcie cudowność, które autor po kolei wprowadza, nadzwyczajne sprawiają wrażenie. Straszna tajemnica i morze dziwów, nie mniéj przerażające jak to co zaczarowany okręt otacza, zdaje się okrążać czytelnika i od zwykłego oddzielać świata. Niezawodnie autor miał w tém myśl jeszcze daleko wyższą, ale ją ciemności Apokalipsy otaczają. Jeszcze trudniejszym do wytłomaczenia byłby pomysł i cel poematu *Christabel*. Wiadomo jak wysoko Byron go cenił. Powiadają nawet że utwór ten dał i Byronowi i Walter Scottowi pierwszą myśl i wzór do poetycznych powieści, któremi wnet oba, acz w nierównym stopniu i w odmiennych kierunkach, zasłynęli. Tym sposobem Coleridge miałby prawo do tytułu najoryginalniejszego poety w swym czasie. W *Christabeli* chciał on głównie wystawić związek i wpływ świata duchów na świat ziemski. Dwie tylko wyszły części. Oto zakończenie pierwszéj:

Patrz, — już Christabel budzi się z omdlenia;
W członkach krew drgnęła, — oblicze się zmienia
W tkliwo łagodne, gładka się powieka
Zsuwa na oczy; — z pod niéj łza przecieka,
Tak pełna, że wskroś rzęsy opromienia.
Często uśmiechać zda się, jako dzieci
Gdy nagłe światło w oczy im zaświeci;
I raz się śmieje, to znowu łzy roni,
Jak pustelnica, co w dzikiéj ustroni
Nadobną młodość ukrywszy zawcześnie,
Modląc się zawsze, modli się i we śnie.
Patrz, — w niespokojność coś ją znów potrąca,
To krew, w swobodny obieg wracająca,
Być może w stopy łechce ją pieściwie;
Pewnie śni błogo o jakimś tam dziwie,
Śni o swym Stróżu Aniele, a może
Widzi jak matka otula ją w łoże;
Lecz czyli widzi matkę, czy anioła,
Znać wie, że w szczęściu i smutku na ziemi
Święci wspierają, gdy człowiek zawoła,
Bo się przegina niebo nad wszystkiemi.

Między pomniejszemi do najpiękniejszych policzyć należy: *Wiersz na śmierć Chattertona*, *Religijne dumania*, *Genevieve*, *hymn do Mont Blanc*. Przejął on wiele od Wordswortha

w ukochaniu tajemnic natury, co się jakiemuś Francuzowi podobało nazwać *un naturalisme outré*. Oto co o jéj wpływie mówi w swéj tragedyi *Zgryzoty sumienia*, po wystawieniu całéj okropności więzień i sposobów używanych ku poprawie winowajców:

Innym ty trybem uzdrawiasz, naturo,
Twe obłąkane, sprośne, krnąbrne dziecie;
Ty nań wylewasz twe wonne balsamy,
Tonie słoneczne, twe wdzięki, słodycze,
Melodye lasów, powiewów, strumieni,
Aż się ta dusza zmiękczy i nie mogąc
Dłużéj znieść w sobie zgrzytnego rozstroju
Z twoim powszechnym tanem i minstrelstwem,
W płaczu serdecznym zawraca ku cnocie.
Tak krnąbrne duchy uzdrawia, nastraja
Błogie dotknięcie wdzięku i miłości.

Mróz o Północy dziwnie piękną przedstawia panoramę natury i tak się kończy:

Więc wszystkie pory będą lube tobie,
Czy zielonością lato przyobleka
Powszechną ziemię, czyli szczygieł śpiewa
Wśród puchów śniegu na nagiéj gałęzi
Staréj jabłoni, gdy z pobliskiéj strzechy
Dym w słońcu taje, czyli krople rosy
Ciche w swym spadku powiew w ton rozdźwięczy,
Czy je mistrzostwo mrozu tajemnicze
Zawiesi w ciche kryształy, spokojnie
Dla spokojnego księżyca świecące.

Do wyższego kierownictwa, do stanowiska, które Wordsworthowi przyznać należy, Coleridge żadnego prawa nie ma i nie rości. Czasem jednak uderzy w duchowy strój swego przyjaciela. Mówi naprzykład w krótkim wierszu pod tytułem: *Miłość, Nadzieja i Cierpliwość.*

Tak Miłość z lichwą Nadziei powraca,
Co ta wprzód dała. Ale cięższa praca
Późniéj nadchodzi, i Miłość z Nadzieją
Zbyt obciążone pod brzemieniem mdleją.
Wtedy to one niemą, wiecznie młodą
Siostrę — Cierpliwość — obaczą przy sobie

Z siłą posągu, z posągu pogodą,
Co obie wesprze pracując za obie.

Najczęściéj jednak sam on temu zadaje kłamstwo swemi niewczesnemi skargami na losy. Raz się skarży, że go za prędko młodość odbiegła, to znów, że uprzejmość przy nim udaje miłość nieobecną. Następujący przykład, którym zakończę, jest struną w jaką on najczęściéj uderza.

Młodość — powiewu gra w kwiatach wesoła,
W których zwieszona ssie nadzieja pszczoła,
Obiem posiadał. Na majowe gody
W gronie poezyi, nadziei, przyrody,
Chodziło życie, — póki byłem młody.....

Kwiat jest z miłości, — miłość jak kwiat płonie;
Przyjaźń to drzewa obrończe konary;
Płynęły na mnie, jako deszczu tonie,
Swobód, przyjaźni i miłości czary,
Nim byłem stary.

Nim byłem stary; — jakżeż mi żałośnie
To *nim* powiada że już po méj wiośnie.
Młodości moja! Wszak przez długie lata
Ty i ja jedném byliśmy dla świata?
To tylko podstęp, figlarko, z twéj strony,
Bo być nie może byś już uleciała;
Jeszcze wieczorne nie jękły ci dzwony!
Zawszeć bo była z ciebie maska śmiała,
I teraz w jakieś przebrałaś się dziwy,
By mnie zwieść zgrabnie żeś już uleciała!
Lecz nie oszuka mnie ten włos twój siwy,
Ten krok zwątlony, ta postać zgrzybiała,
Bo na twych ustach jest kwiecie wiośniane,
A łza lśni słońcem twych oczów przejęta.
Życie jest myślą, — więc śnić nie przestanę,
Że ja i młodość jeszcześmy bliźnięta.

Perłami rosy poranek się żarzy,
Łzą smutny wieczór. Gdy nadzieja kogo
Już opuściła, życie jest przestrogą,
Które nas smuci i z nami się swarzy,
Kiedyśmy starzy; —
Które nas smuci i z nami się swarzy,

Wciąż się i nudnie żegnając do drogi,
Jak z bliskich krewnych jaki gość ubogi,
Którego wygnać żal ci, choć uparty
Nie zna że dawno znudził gospodarzy,
I bez uśmiechu jedne prawi żarty.

Robert Southey (1774—1843.)

Jeżeli Coleridge za mało pisał, to Southey za wiele. Poeta, krytyk, publicysta, antykwaryusz, historyk, więcéj nadrukował niż sam Walter Scott. Z własnych jego wyznań dowiadujemy się, że między 20 a 30 rokiem życia swojego takie mnóstwo wierszy swych spalił, iż to co ogłoszone mniejszą stanowi połowę. Równie jak jego towarzysze począł swój zawód od republikanizmu i socynianizmu. Innym świat odmianę w zdaniu darował, jemu zaś nigdy, bo został dworakiem, egoistą, fanatykiem. Pierwszym przez niego napisanym poematem, lubo nieogłoszonym aż późniéj przez zdradę na wydrwienie jego apostazyi, był *Wat Tyler*. „W dzieciństwie mojem,“ — tak się potem z tego grzechu tłomaczy autor, — „gdy moje serce pełne było poezyi i romansowości, wpadłem w polityczne opinie, które wtedy rozszerzała rewolucya francuzka. Więcéj jeszcze niż nierówność stanów, obrażał mnie nierówny podział własności, a osobliwie ten straszny odstęp, który istnieje między moralném i umysłowém ukształceniem jednego a drugiego człowieka.“ Z tego wnieść można jaka była treść tego dzieła. Z temi samemi pojęciami i zapałem napisał następnie poemat *Johanna d'Arc*. Między innemi scenami Dziewica Orleańska zstępuje do piekieł i rzuca klątwę na „morderce narodów,“ od pierwszego Nimroda aż do zwycięzcy pod Agincourt. Daléj, pojawił się *Thalaba*, powieść arabska, ułożona wierszem nierymowym ale dość zręcznie w rytm liryczny zasnutym, bo jak sam mówi, zdało mu się, że styl arabeskowy przystał powieści arabskiéj. Jest to opowiadanie przygód bohatera sieroty, który cnotą, miłością i męztwem zwycięża swych nieprzyjaciół; coś podobnego jak Bruce w Szkocyi, albo Waza szwedzki. Opis, na początku, matki wędrującéj z sierotą po pustyni wśród czarnéj nocy, jest pono najpiękniejszym z całego poematu. *Madoc*, ogło-

szony w 1805, bierze swoją osnowę z tradycyi, że w XII wieku jeden z książąt Gallii, zebrawszy bandę awanturników wyprawił się na morze, że osiadł w Ameryce, i że dotąd jego potomstwo żyje nad jedną z południowych gałęzi rzeki Missouri. Najcelniejszy a przedostatni poemat Southeya nosi tytuł *Przekleństwo Kehamy*. Bohaterem jego jest hindostański rajah, który jak Faust posiada siłę czarnoksięzką. Rzecz się odbywa częścią w raju na ziemi, częścią pod wodą, to znowu w siódmém niebie, a nawet i w piekle. Całą mitologię bałwochwalstwa indyjskiego roztoczył autor z nielitościwą dokładnością szczegółów. Wszystko tu nadzwyczajne, nadludzkie. Jedyną osobą, która nosi postać i przymioty człowiecze jest Neallinay. Ona téż jedna przemawia do naszego uczucia. *Rodryk, ostatni z Gotów*, zamyka poczet większych, historycznych i filozoficznych poematów Southeya. Przedmiot dla poety stosowniejszy, obraz mniéj wypracowany, mniéj przeciążony nauką, wiersz polotniejszy. Rodryk, zwyciężony od Maurów, ucieka na puszczę. Długą i ciężką pokutą stara się niebo przebłagać. W końcu wychodzi z swéj kryjówki, jako nieznany rycerz wstępuje w szeregi, którym niegdyś jako król przewodniczył, i raz jeszcze dawną świetność orężowi Gotów powróciwszy, znika na zawsze. Piękny jest opis tułaczéj wędrówki tego gockiego Leara.

Niezwykły widok ludzkiego oblicza
Mięszał go, trwożył. Przez długie szedł miasto
Z dzikiem spojrzeniem, z obłąkaną twarzą,
Jakby szaleniec. Kto go spotkał, — zbaczał,
Lub się dziwował. Zatrzymał go jeden,
Wcisnął jałmużnę do ręki i prosił
Złą mową gocką, by mu obłąkany
Pobłogosławił. Osłupiałą twarzą
Rodryk wziął datek, — mdłe, bezmyślne oko
Rzucił na pieniądz, a ujrzawszy na nim
Swoje królewskie znamie i oblicze,
Drgnął, rzekł coś szybkim, konwulsyjnym głosem,
Co najprzód zdał się śmiechem, lecz wnet skonał
Stłumionym jękiem. Na dźwięk przeraźliwy
Maur się cofnął, i imie Allaha
W pomoc wzywając poszedł w drogę daléj.

Jakaś chrześcjanka, przędąc przed swym progiem
Spostrzegła starca i litością zdjęta
Złożyła kądziel, wbiegła do komory
I wziąwszy chleba zaklęła by wrócił.
W bezwładne ręce kładąc mu bochenek
Rzekła: Chrystusie, za Matki przyczyną,
Zmiłuj się nad nim. Wzrokiem co się istną
Zdał być głupotą popatrzył, — w słup stanął,
Wlepił w nią oczy, — i w tém mu się nagle
Łzy z nich rzuciły, i płakał jak dziecie.

Po przyjęciu urzędu poety nadwornego w 1813, Southey napisał *Carmen Triumphale i Widzenie sądu ostatecznego*, panegiryki tak dowcipnie przez Byrona wyśmiane. Oprócz drobnych wierszy, ostatnią jego pracą poetyczną była powieść *Wszystko dla miłości* czyli *Pielgrzym Kompostelski.*

Wyszukując w angielskich poetach do przekładu polskiego te ustępy, któreby najrzetelniéj własne ich uczucia i charakter przedstawiały, najmniéj takowych znaleźć zdołałem w Southeyu, chociaż tak wielką obfitość wierszy po sobie zostawił. Obraca się on bowiem wciąż w kole oderwanych pojęć, wybiera przedmioty z światów nam nieznanych, jego bohaterowie nie wydają się być ludźmi ale upiorami, widziadłami sennych marzeń, i to nie takiemi jakie zdrowemu człowiekowi we śnie się czasem zjawiają, ale jakie chyba po zażyciu opium lęgną się w rozognionym mózgu. Jakież na przykład może w nas zajęcie obudzić, jakiemu z naszych uczuć dać wyraz bohater w *Przekleństwie Kehamy*, który sobie zadaje najdraźliwsze męki, przechodzi otchłanie czarów, szatańsw i okropności bez końca, by zdobyć siłę, za pomocą któréj mógłby strącić Brahmę i Wisznu w przepaść nicości. Wszakże w tym to właśnie utworze z miłem zadziwieniem napotkałem te oto kilkanaście wierszy, tchnących większą prostotą i rzeczywistszem uczuciem niż najsłynniejsze w jego poematach:

To grzech, kto mówi że miłość umiera.
Śmierć z życiem inne namiętności grzebie,
Bo wszystkie próżność, złudzenie, chimera.
Pycha nie będzie mogła mieszkać w niebie,

Sknerstwo i w piekło nawet nie zawita;
Ziemskie te żądze, wzrosłe z ziemskiéj siły,
Muszą tam ginąć kędy się zrodziły;
A jedna tylko miłość niepożyta,
Wieczną światłością płonie bez odmiany,
Jak z nieba przyszła tak do nieba wraca.
Gość to zbyt często na ziemi troskany,
Podstęp ją zwodzi, dręczy krwawa praca,
Lecz bolem w istność oczyszcza się boską,
A potem w niebie pokoju używa.
Miłość tu sieje i z trudem i z troską,
Ale w niebiosach są błogie jéj żniwa.
O! kiedy spotka tam na lepszym świecie
Matka stracone tu w kolebce dziecie,
Jakąż za wszystkie trosk i cierpień chwile,
Nocy bezsennych, dni męczeńskich tyle,
Za łzy i bole wszystkie, jakąż za to
Znajdzie tam radość, i z jaką nadpłatą!

Dodać także należy że niektóre z ballad napisanych w młodości przez Southeya zyskały niemałą wziętość, jak np. *Staruszka z Berkeley*, *Lord William*, *Maria Szynkareczka*, *Źródło w St. Keyne*. Kochał się on zawsze w przedstawianiu figlów diabelskich, w lucyperach i asmodeuszach. On to na współkę z Coleridgem ułożył jednę z najpopularniejszych dziś ballad angielskich pod tytułem *Przechadzka Diabła po ziemi*, która tak się zaczyna:

Diabeł o świcie wstał z lawy łoża,
Idzie obejrzeć po ziemi,
Jak na swój folwark: czy trzodka hoża,
Czy wszystko bujnie się plemi?

Górą, doliną, jarem, to mostem,
Kręci się, skacząc jak fryga,
I w tył i naprzód śmiga swym chwostem,
Jak trefniś laską swą śmiga.

Następująca strofa téj ballady przeszła już w przysłowie, ale tę pono Coleridge napisał:

Patrzy: tam chatka, skromna i cicha,
Za nią wozownie dwie spore.
Zaśmiał się, bo mu najmilszą Pycha,
Która udaje Pokorę.

Nie wiedzieć czemu Southeya liczą zawsze do *szkoły jezior*. Wprawdzie był przyjacielem Wordswortha, przemieszkiwał nad jeziorami, ale sposób jego pisania był wbrew przeciwny regułom tego poetycznego bractwa. Wyszukuje on zawsze przedmioty co najmniéj pospolite. Wszędzie pełno nauki, książkowéj mądrości. Poematów jego czytać niepodobna bez encyklopedycznego słownika. Zawsze się z nich można wiele nauczyć, ale ogrzać, rozpłomienić trudno. Wyglądają téż one jakby tłomaczenia z obcego języka. Rzadko gdzie spotkać natchnienie. Najprzychylniejsza krytyka zaledwie mu dar wymowy przyznać zdoła, ale zarazem nie odmówi mu licznych zasług, z których może najgłówniejszą jest, że po tak długiéj przerwie uderzając w ton epiczny, począł pierwszy w tym okresie pisać poemata z systematycznie obmyślonym naprzód planem i pod kierunkiem jednéj przewodniéj myśli w każdym utworze, wprowadzając wszędzie cudowność czyli przemożny wpływ świata niewidomego nad widomym. Ale nie starczyło mu talentu, by sprawić głębokie wrażenie i stać się wzorem dla innych, i dla tego nie on lecz Coleridge otrzymał dostojne miano chrzestnego ojca przy wejściu Walter Scotta i Byrona w świat poetyczny.

Najznakomitszém jego dziełem w prozie jest: *Życie Nelsona*. Styl jasny i jędrny, opowiadanie spokojne, — widać tu wszędzie pisarza pełnego zasobów naukowych, znającego doskonale swój przedmiot do najdrobniejszych szczegółów, a jednak wiodącego rzecz swoją wprost do celu, bez popisu, bez chełpliwości z nagromadzonych bogactw. Bezpośrednim związkiem z tą pracą połączyć można jego biografie admirałów angielskich, znajdujące się w Encyklopedyi Lardnera. *Żywot Wesleya*, sławnego założyciela sekty metodystów, należy także do dzieł jego celniejszych. W ogólności miał on osobliwy pociąg do przedmiotów i rozpraw religijnych. Zamierzał był nawet napisać historyą wszystkich zakonów i bractw katolickich. Macaulay, który sam w Edymburskim Przeglądzie, skreślił z pewną jak na protestanta bezstronnością dzieje św. Ignacego Loyoli i św. Franciszka z Assiżu, zaleca najmocnéj swym rodakom aby ten niedokonany zamysł Southeya uskutecznili.

Historya Brezylii, a następnie *Opis kampanii przeciw Napoleonowi w Hiszpanii i Portugalii*, mniéj przyjazne znalazły przyjęcie, bo pierwsze przepełnione jest niepotrzebną erudycyą, a drugie skażone stronnością i pochlebstwem. Zdał się dobrze wiedzieć Southey, iż niebezpieczném jest zbyt się naprzykrzać publiczności. Często więc bezimiennie występował. *Listy z Anglii przez Don Manuella Alvarez Espriella*, są pełne dowcipu, ostrych krytyk i ciekawych opisów. W podobnym rodzaju są jego *Rozmowy o postępie i przyszłych losach społeczeństwa.* Zmyślony cudzoziemiec, Montesinos, rozprawia z duchem Tomasza Morus o upadku religii, o rozprzęganiu się towarzystwa, o złych skutkach z wyłącznego oddawania się przemysłowi i handlowi, zgoła zaczepia wszystkie żywotne kwestye dla Anglii. Najdzielniejsze ze wszech miar wrażenie zrobiło jego dzieło *The Doctor.* Jest to dziwny zbiór krytyk, opisów, — często niezgrabnych konceptów i zagadek, ale częściéj jeszcze dowodów najwszechstronniejszéj erudycyi. Nie prędko domyślono się kto był autorem, tyle w tém dziele przy znakomitym talencie znajduje się dziwactwa i błahéj wystawności. Zapomnianemi prawie są dzisiaj pomniejsze jego pisma, jak *Listy z Hiszpanii*, *Pobyt w Portugalii*, *Omniana*, ale za to krytyczne jego artykuły w Quarterly Review są dotąd liczone do najlepszych w tym przeglądzie.

Southey nie był, nie mógł być popularnym. Trzeba się jednak w naszych sądach o nim strzedz uprzedzenia, które u wielu jego zatargi z Byronem zrodziły. Bez zaprzeczenia, znaczne położył on zasługi. Jemu to w wielkiéj należy się części ten zwrot ciekawości i uczonych poszukiwań ku starym katolickim, osobliwie klasztornym kronikom, który nie mało pomógł do ruchu religijnego dziś tak w Anglii widocznego. Zrodził się raczéj na benedyktyna, niż na królewskiego poetę. Nie na dworze Jerzego, ale w Monte Cassino było jego miejsce. Zamykał się też najczęściéj w warowni swego księgozbioru. Zbyt nieustanna praca nabawiła go ciężkiéj choroby. Sparaliżowany przeżył ostatnie lata w zupełném zbezwładnieniu władz umysłowych. Czuwała nad nim w tém nieszczęściu czuła opieka drugiéj jego żony Karoliny Bowles, znanéj au-

torki tylu tkliwych poezyi. Jéj małżeńskie poświęcenie zasługuje, by tu choć słówko o jéj pismach powiedzieć. Wydawała je pod rozmaitemi tytułami: *Ellen Fitzarthur* (1820), *Powieść zimowa i inne poemata* (1822), *Dzień urodzin i inne wiersze* (1836), *Samotne godziny* (1839). Z drobniejszych jéj utworów przytoczę następujący:

Śmierć Ubogiego.

Zniż twe czoło, stąpaj cicho,
Kornie, nizko schyl się pycho!
Bo choć żaden dzwon nie kwili,
Nieśmiertelny duch w téj chwili
Idzie spocząć w niebie.

Ty, co w świetnym chodzisz dworze,
Wejdź bogaczu tu w pokorze,
Bo w tej lichéj chacie leży
Na barłogu, bez odzieży,
Ktoś większy od ciebie.

Patrz, pod strzechą tą zbutwiałą,
Śmierć goduje. Wejdź, wejdź śmiało,
Bo tu tłumu nijakiego,
Żadne warty tu nie strzegą
Zamkowych podwoi.

Tu podłoga zimna, śliska,
Tłum dworaków się nie ściska;
Jedna tylko — cień niewieści —
Konającą głowę pieści
I w milczeniu stoi.

To nie sług szepty i gwary!
Dziecie płacze. Ojciec stary
Głuchym jękiem piersi sili,
Krótki, ciężki dech — po chwili
Słowo — i już kona.

I dopiero tu w mąk pocie,
Teraz wyżéj nad gwiazd krocie;
Najnędzniejszy tutaj z ludzi
Nieśmiertelnym tam się budzi
Wśród Boskiego łona.

Percy Bysshe Shelley (1792—1822).

Shelley był lepszym człowiekiem niż się z pism swoich wydaje, lepszym nawet, niźli to z głównych wypadków jego życia miarkować można. Łączył uprzejmość i serdeczność w obejściu z nieograniczoną dobroczynnością dla ubogich, marzył tylko o szczęściu ludzkości, a wierzył najszczerzéj we wszystko co pisał. Tak głoszą jego wielbiciele. Takie téż o nim zdanie przemaga dotąd w Anglii nad sądami wręcz przeciwnemi. Z bezwzględną czcią dla niego trudno się zgodzić, ale jeszcze trudniéj z bezwarunkowém potępieniem. Jeźli bowiem nie podpada wątpliwości, że sam był sprawcą nieszczęść, które mu przepełniły krótkie życie, to znowu wyznać należy, że dziwny zbieg fatalnych okoliczności ciągle go pchał po stroméj i śliskiéj drodze, jaką niebacznie wybrał sobie w pierwszym rozpędzie młodości. Błąd tkwił nie tyle w sercu co w umyśle. Prawie w dzieciństwie jeszcze wymarzył on sobie dziką teoryę, któréj trzymał się uporczywie do końca. Zgubiła go przytem niepowściągliwość fantazyi, któréj poduszczeń nawet tam niewolniczo słuchał, gdzie ona nie wchodzi jeno w towarzystwie zwątpienia i rozpaczy. Już z tego domyśleć się można, że między nim a Byronem musi zachodzić niejakie podobieństwo. W istocie jest, i znaczne, a nietylko w pismach lecz i w życiu od samego początku. Oba pochodzili z wysokiego rodu. Jeźli Byron posiadał nieco wyższy tytuł w hierarchii arystokratycznéj, to Shelley miał daleko bogatszego ojca. Tym był Sir Timothy Shelley, jeden z najzamożniejszych baronetów angielskich. Urodzony w cztery lata po Byronie, to jest 4. Sierpnia 1792., równie jak on odznaczył się wczesną zdolnością i chęcią do nauk. Oba nadobnego oblicza, przy wątłym organizmie, zwracali na siebie uwagę od pierwszego wejrzenia i przejmowali uszanowaniem. Shelley słabowity, chwiejny w chodzie, uginający się jak kwiat pod wiatru podmuchem, z przezroczą twarzą niewieściego wdzięku, z rzewnem okiem, z czołem nabiegłém myślą i od jéj ciężaru schyloném,

Tak był przejrzysty duchem, że się zdało
Jak gdyby myślą tchnęło samo ciało.

Lecz już w szkołach objawiło się w czém różniły się usposobienia dwóch późniejszych przyjaciół i współuczestników w chwale poetyckiéj. Byron pochopny w zawieraniu przyjaźni, gotów do zabawy i do pogadanki w każdéj chwili, wzbudzał od razu miłość i uwielbienie we wszystkich swych współuczniach tak w Harrow jak w Cambridge. Shelley zaś lękliwy, zamknięty w sobie, unikający towarzystwa, stał się w Eton dla swych kolegów dziwowiskiem, jeźli nie postrachem. Już w przygotowawczéj szkole Sion House, do któréj oddano go w dziesiątym roku życia, zbyt ostre postępowanie nauczycieli a dokuczliwość starszych studentów roździaźniły go w zaciętość przeciw wszelkiéj władzy. Otóż, gdy przeszedł do Eton, nie chciał się poddać żadnym regułom. Oburzało go osobliwie tak nazwane *fagging*, czyli prostaczym a pochodnim zapewnie od tego u nas wyrazem *fagasowanie*. Protestantyzm bowiem, który tyle przeciw Jezuitom wyrzeka, że zbyteczną karnością i wprawianiem do ślepego posłuszeństwa tłumią wszelką samoistność w młodzieży, utrzymuje dotąd po arystokratycznych wyższych kolegiach, jak Eton i Harrow, dawny zwyczaj, że każdy starszy młodzieniec ma pod swą opieką ucznia z niższéj klasy, którego wolno mu cieleśnie karać i używać do najpośledniejszych posług. Musiał więc Shelley niebawem zakład ten opuścić. Wspomnienie doznanych tam udręczeń natchnęło mu późniéj następujący ustęp w poemacie *Bunt Islamu:*

Roiły mi się w myśli same wielkie dzieła,
Gdy cienie z méj młodości raz pierwszy opadły.
Pomnę godzinę, która duch mój z snu ocknęła;
Był to majowy ranek. Jam, chodząc wybladły
Po murawie usłanéj blaskiem śrebrnéj rosy,
Płakał nie wiedząc czemu. W tém boleśne głosy
W pobliskiéj szkole jękły, i jak dźwięk wezbrany
Jedném echem cierpienia wzbiły się w niebiosy.
Był to zgrzyt ofiar w walce z twardemi tyrany.

Wtedym załamał ręce. Ziemię słońcem błogą
Rosząc łzy gorącemi, spojrzałem do koła
Czy kto z łez tych nie szydzi? Nie było nikogo.
Więc rzekłem bez obłudy: Jeźli duch mój zdoła,

Będę mądrym i prawym, litośnym, i zgoła
Wolnym, bom zmęczon patrząc jak przemoc obrzydła
I sobkostwo świat gnębi a nie zna wędzidła.
Gdym łzy wstrzymał, me serce wraz się ukoiło,
I zmężniałem odwagą, dobrocią i siłą.

Z zakazanych min wiedzy skrzętnie od téj chwili
Naukę gromadziłem wciąż w ducha warownie,
Nie dbając co tyrańscy mistrzowie uczyli;
I pancerz dla méj duszy ukułem hartownie
Z skarbów mnogo zebranych wtedy potajemnie,
Na walkę między ludźmi. Codzień tchnieniem śmiałém
Potęga i nadzieja wzmagały się we mnie,
Aż mię samotność takim ogarnęła szałem
I ckliwością, że z czczego pragnienia omdlałem.

Wszedłszy z takiém usposobieniem do uniwersytetu oxfordzkiego, począł tam coraz śmieléj dobywać kruszec „z zakazanych min wiedzy“, może się jeszcze nie domyślając, że więcéj w nim było trucizny niż drogiego metalu. Uczył się i pisał bez żadnego planu. Raz zajmował się chemią i metafizyką, to znów zagłębiał się w astrologię i czarnoksięzkie bałamuctwa, a obok tego sypał szalone wiersze bez liku. Te ostatnie, po większéj części politycznéj osnowy, wydał pod tytułem: *Szczątki Małgorzaty Nicholson.* Była to warjatka sławna z zamachu na życie króla Jerzego III. Jeźli już te wiersze obruszyły na niego cały uniwersytet, jakiż krzyk zgrozy musiał powstać, gdy siedmnastoletni zuchwalec, ułożywszy tabellę z bezbożnych zasad Dawida Hume, wyzwał profesorów na publiczną dysputę, a zwłaszcza gdy wkrótce potém rzucił w tę twierdzę prawowierności anglikańskiéj rozprawę *O Konieczności Ateizmu.* Wydalony z uniwersytetu za te dotąd niesłychane tam bezprawia, zaciął się jeszcze silniéj przeciw wszelkiéj powadze. Nie śmiejąc udać się do zagniewanego ojca, osiadł w Londynie. Równym wiedziony pociągiem do metafizyki jak do poezyi, powziął teraz myśl skojarzenia ich w jeden utwór, i w skutek tego zamiaru napisał ateistyczny poemat *Queen Mab.* Poemat ten, z wiersza i toku przypominający *Thalabę* Southeya, najeżony najdzikszemi pomysłami socyalnemi i politycznemi, które osobliwie

w przypiskach wszelką miarę przechodzą, zwrócił na siebie uwagę powszechną bogactwem melodyi i tą atletyczną siłą, która zdawała się zapowiadać, że z czasem, gdy szaleństwa młodości wyszumią, wielki wieszcz narodowi przybędzie.

Tu nadchodzi epoka, która najpobłażliwszemu nawet biografowi musi nasunąć niejedną przykrą wątpliwość co do wiarogodności świadectw, przedstawiających nam Shelleya jako wzór dobroci i szlachetnych uczuć. Już poprzednio kochał się on był w pięknéj i wykształconéj kuzynce, obiecując że pojmie ją za żonę, skoro dojdzie do wieku. Wygnany z uniwersytetu, wykluczony z rodzinnego koła wnet zapomniał o niéj, a porwawszy z pensyi prawie dziecko, córkę jakiegoś wzbogaconego właściciela kawiarni, uciekł z nią do Gretna Green i tam ją sobie poślubił. Rozjątrzony ojciec odmówił mu nadal wszelkiego zasiłku. Znalazł się przecież litościwy krewniak, który młodą parę od niedostatku ratował. Shelley osiadł z żoną w hrabstwie Cumberland. Tam poznał się z Wordsworthem, Southeyem i kilku innemi literatami, ale gnany wewnętrznym niepokojem, przeniósł się wkrótce do Irlandyi, potem na wyspę Man, następnie do księstwa Galii, i tak wciąż tułając się nie znajdował nigdzie ulgi a żonę dręczył. Po trzechletniem téż z nią pożyciu, porzucił ją obarczoną dwojgiem dziatek. Rozerwanie to sprowadziła nie tyle niezgodność charakterów co zmienność poety. Dowiódł tego niebawem. Zaznajomiwszy się z słynnym socyalistą Godwinem i jego córką, rozmiłował się od razu w filozoficznym systemacie pierwszego a we wdziękach ostatniéj. Godwin był jednym z najdzielniejszych szermierzy, którym rewolucya francuzka podała broń przeciw społecznym urządzeniom starego świata. Liczne jego pisma, a zwłaszcza powieść *Caleb Williams*, przerażały Anglików bezwzględnością wyobrażeń, ale zarazem przyciągały ciekawość uderzającym talentem autora. Córka odziedziczyła po ojcu zdolność, lecz na nieszczęście i jego przekonania. Shelley więc znalazł się od razu w swéj atmosferze. Obie strony uważały ślub i przysięgę małżeńską jako czczą, śmieszną, a nawet gorszącą ceremonię. Bez dalszych przeto zachodów, wyjechał z swą nową to-

warzyszką za granicę. Po kilkotygodniowéj podróży wrócił do Londynu w sierpniu 1814. Nie mając sposobu do życia, już zaczął się kształcić na lekarza, gdy właśnie w porę wynaleźli prawnicy, że ojciec żadną miarą wydziedziczyć go nie może. Nastąpiły układy, w skutku których otrzymał od ojca znaczną pensyę, bo 800 f. s. rocznie. Tak uposażony osiadł nad Tamizą w pobliżu wspaniałych borów windsorskich. Tu napisał poemat *Alastor* czyli *Duch samotności.* Przedstawiając w nim poniekąd własne dzieje, wprowadza na scenę młodzieńca, który osamotniwszy się zupełnie, żyjąc tylko z naturą i z światem nadziemskim, zaczyna w końcu tęsknić za podobną do siebie istotą, a gdy takiéj znaleźć nie może, umiera przedwcześnie. Rozwijająca się coraz dolegliwiéj choroba piersiowa zmusiła znowu Shelleya do wyjazdu w kraje cieplejsze. W lecie 1816 osiadł nad brzegiem genewskiego jeziora. Tam poznał się z Byronem. W willi Diodati spędzał u niego wieczory z panną Godwin. Rozmowa toczyła się zwykle o duchach. Czytywali na przemian niemieckie powieści o strachach, czarach i upiorach, opowiadali sobie przygody własnego wymysłu, a że panna Godwin, jeszcze wtedy dwudziestu lat nie mająca, najwięcéj zajęcia w tego rodzaju zabawce okazywała, Byron namówił ją, aby jednocześnie z nim jaką powiastkę o widmach napisała i wydrukowała. Tak się urodził *Vampire* Byrona. Panna Godwin wywiązała się z swéj obietnicy obszerniejszym i dziwaczniejszym jeszcze romansem p. t. *Frankenstein.* Wydała ona późniéj wiele innych powieści, ale ta, pomimo ohydnego przedmiotu, pozostanie najwybitniejszym dowodem jéj talentu. Jak jéj ojciec w romansie *St. Leon* wprowadza czarnoksiężnika, który wynajduje kamień filozoficzny i odkrywa sposób odmładzania się do nieskończoności, tak ona w swym *Frankensteinie* wystawia młodzieńca pracującego lat wiele nad ulepieniem olbrzyma i nadaniem mu życia. Sztuka udaje mu się nareście, ale potwór zamiast wdzięczności, najstraszliwiéj prześladuje swego życiodawcę. Wymaga od niego aby mu stworzył taką samą jak on istotę na żonę, a gdy Frankenstein ulepiwszy potworną niewiastę tłucze ją z przerażenia w oczach ziejącego chucią

wyrodka, ten podwaja swą zemstę, i po kolei zabija przyjaciela swego dobroczyńcy, pozbawia go ojca, i wreście zadławia mu żonę w sam dzień ślubu. Tymczasem, gdy w takie okropności bawi się towarzystwo zebrane w Diodati, inna, boleśniejsza bo rzeczywista tragedya odbywa się w Anglii. Opuszczona małżonka Shelleya walczy od dwóch lat z nędzą. Ojciec jéj, jeszcze łatwiéj straciwszy cały majątek niż go nabył, umiera w niedoli. Napróżno biedna niewiasta wyciąga ręce do rodziny lekkomyślnego męża. Nie znajdując nigdzie ani pomocy, ani pociechy, wpada nareście w rozpacz i obłąkanie, i topi się w sadzawce jednego z głównych parków londyńskich. Było to 10 listopada 1816. Około tego czasu Shelley powrócił był do Anglii i osiadł w Marlow, w hrabstwie Buckingham. Dowiedziawszy się teraz o śmierci żony, i otrzymawszy ostrzeżenie od prawników, że jeźli nie zawrze ślubów małżeńskich z panną Godwin, dzieci ich nie będą mogły odziedziczyć po nim majątku, przezwycięża natychmiast swój wstręt do tego, jak głosił, gorszącego obrządku, i bierze z nią ślub 30 grudnia tegoż roku. Smutna ta historya narobiła hałasu, ale wnet o niéj zapomniano. W ogólności Anglicy którzy tak srogo ścigali mniejsze wykroczenia Byrona, bardzo łaskawie obchodzą się z Shelleyem. Macaulay zabawnie opisuje jak w Anglii surowość moralności względem sławnych ludzi, a osobliwie literatów, raz tylko na lat siedem się przebudza, i wybrawszy na oślep ofiarę, chłoszcze ją bez miłosierdzia, a nasycona tą zemstą znowu zasypia. Otóż zdaje się, że cały swój gniew wywarłszy na Byrona, spoczęła teraz, a przez siedem lat następnych jéj snu, Shelley miał czas przesunąć się z całym orszakiem swych grzechów prawie niespostrzeżony. Biografie Shelleya przypisują wszystkie jego błędy zbłąkanéj wyobraźni i zwichnionemu początkowo wychowaniu. Możnaby dodać jeszcze na jego obronę, że w ciągłéj żyjąc gorączce, przy takim teściu jak Godwin, z taką towarzyszką jak autorka *Frankensteina*, nie miał czasu ani uspokoić się, ani wejrzeć w siebie. Ale z tém wszystkiém nie podobna mi było iść w ślad za estetykami angielskiemi, którzy wszyscy, ilu tylko zdarzyło mi się czytać, tak hojni w komentarze nad najdrobniejszym

szczegółem tyczącym się innych poetów, ledwie dotykają głównych wypadków z życia Shelleya, a natomiast obficie czerpią pochwalne okresy z biografii, którą w 1840 wydała druga żona (zmarła w 1851) jako przedmowę do ogólnego zbioru pism jego, i we wspomnieniach ogłoszonych przez przyjaciela Hogg, współuczestnika w rozprawie *O konieczności Ateizmu.* Postępując ich torem, nie znalazłoby się ani klucza do dzieł tak zagadkowych, ani uzasadnionego powodu do wyrozumiałości dla oburzających teoryi, które w nich się mieszczą.

Mylę się, gdy powiadam, że Shelley uniknął kary. Padł nań cios, ale nie z wyżyn opinii publicznéj, lecz z urzędowéj ręki lorda Kanclerza, który odebrał mu opiekę nad dziećmi, dając za powód jego niemoralność i bezbożność. Cios był może zbyt surowy. Naród wziął stronę poety. W tym to wypadku, równie jak w przedwczesnym i tragicznym końcu Shelleya, tkwi zapewne przyczyna téj pobłażliwości, która dotąd sądy Anglików na jego stronę zniewala. Żywo dotknięty w swych rodzicielskich uczuciach, narzeka on najprzód w gorzkich ale silnych wierszach na gwałt mu zadany przez zbyt bezwzględnych wykonawców prawa, a następnie wydaje poemat *Bunt Islamu*, w którym wystawia zwycięztwo prawdy i wolności nad uciskiem, fałszem i obłudą, a tem mianował wszelki rząd i religię na świecie. W 1818 choroba piersiowa zmusiła go do opuszczenia cichéj ustroni w Marlow i wydalenia się za granicę. Na początku wiosny już był w Rzymie. Tam, jak sam mówi, siadując na ruinach Łaźni cesarza Caracalli, oczarowany modrem niebem włoskiem, upojony wonią potężnie budzącéj się wiosny, ułożył dramat swój *Prometheus Unbound.* Jeżli zmiana klimatu orzeźwiła siły i umysł człowieka, nie wpłynęła ani na wyobrażenia filozofa, ani na dzikie porywy poety. Coelum, non animam mutavit. Łatwo domyśleć się do jak przepaścistych ostateczności musiał on posunąć temat tak odpowiedni jego usposobieniom. Przedstawiając odwieczną walkę woli ludzkiéj z przeznaczeniem, zaprzecza Bogu mądrości i dobroci, widzi w nim tylko pierwiastek złego, z którym człowiek winien toczyć zaciekły bój bez ustanku. Każdy król jest krwiożerczym tyranem, każdy

kapłan sprośnym obłudnikiem, jedyną prawdą ateizm, jedyną świętością anarchia. Na szczęście Shelleya, wszystkie jego posępne filozoficzne marzenia jak najsnadniéj się oddzielają od ustępów ozłoconych poezyą. Same się one wyróżniają. Więc i z *Prometeusza* nie trudno wybrać wiele miejsc prawdziwem natchnieniem odznaczonych. Ostatniem większego rozmiaru dziełem jego jest tragedya *Cenci*, którą wydał w 1819. Przedmiot straszny i odrażliwy, ale tem właśnie pociągnął ku sobie poetę ubiegającego się wciąż za potwornością. Tu jednak widoczny jest przełom na lepsze. Sam powiada w przedmowie, że dotąd zajmował się tylko widziadłami, że marzył o tem co być powinno a nie o tem co jest, że młodość i niecierpliwość popchnęła go w błąd niejeden, ale że teraz zstępuje z dumnéj postawy zarozumiałego mentora ludzkości i poprzestać pragnie na rzetelnem odwzorywaniu przeszłości kolorami, których mu serce dostarczy. W istocie, malowidło jest jeszcze zbyt czarném i przerażającém, charakter starego Cenci taką mięszaniną obrzydliwości i szaleństwa, że się wymysłem zgorączkowanéj wyobraźni wydaje, ale już znać grę rzeczywistą namiętności ludzkich; nieszczęśliwa Beatrice, osobliwie w scenie przed śmiercią, porusza najgłębsze uczucia wybuchami prawdziwéj i wzniosłéj boleści, zgoła dzieło to uważać można nie tylko jako najpotężniejszy utwór Shelleya, ale może jako najdzielniejszy dramat w literaturze angielskiéj od czasów Otwaya. Czy poeta, raz wstąpiwszy na tę drogę, byłby się coraz pochopniéj posuwał ku doskonałości, twierdzić trudno, zwłaszcza że ostatnie jego wiersze nie potwierdzają tak pocieszającego przypuszczenia. Są to drobniejsze utwory i może poprzednio już były napisane, a przynajmniéj naszkicowane. *Hellas* i *Czarownica Atlasu* pełne są znowu dzikich wyrzekań przeciw władzy i religii. W powieści *Rosalind i Helena* autor usiłuje podać małżeństwo w ohydę. Wprowadza dwie niewiasty równie nadobne jak wykształcone. Ta, która żyje w małżeństwie uświęconém religią, staje się ofiarą samych udręczeń, i w końcu umiera przywiedziona do rozpaczy tyranią starego i obrzydliwego męża; gdy przeciwnie żywot drugiéj, połączonéj bezślubnie z towarzyszem własnego

wyboru, snuje się jedném pasmem szczęścia i zacności. Znać już widoczne zwątlenie w tych ostatnich poezyach. Silniéj, jaśniéj i barwniéj, autor te same pomysły w poprzednich wyraził. Do téj epoki odnosi się jeszcze kilka ulotnych wierszy, urywkowe przekłady z Kalderona i Goethego, i elegia na śmierć Keatsa, pod tytułem *Adonais*, w któréj raz jeszcze natrafił na prąd prawdziwego i rzewnego uczucia.

Zgon i pogrzeb Shelleya dziwnie się składają z całą nadzwyczajnością jego żywota. We Włoszech odnowił był znajomość z Byronem. Przemieszkując w rozmaitych miejscach nad morzem odwiedzał go często, a puszczał się zwykle drobną łódką choćby na wzburzone fale. W lipcu 1822 właśnie z nim się rozstał, by podążyć morzem do Liworno i powitać tam przybywającego przyjaciela, poetę Leigh Hunt. Jednego tylko wziął z sobą towarzysza i jednego majtka. W powrocie (8 lipca), gdy już miał zawinąć do zatoki w Spezzia, łódka nie wiadomo z jakiéj przyczyny przewróciła się, i wszyscy trzéj utonęli. Morze wyrzuciło na brzeg ciało poety. Trudność przesłania zwłok do Anglii podała Byronowi i kilku obecnym przyjaciołom myśl szczególną. Zwyczajem starożytnych spalono je. Popioły przewieziono do Rzymu i pochowano na cmentarzu protestanckim koło piramidy Cestiusa.

Jeźli niefortunny żywot Shelleya dostarcza tyle wymownych przestrog w zakresie moralności i wiary, to również w żadnym innym czy niedoszłym czy zwichniętym poecie nie znajdzie nikt tak dobitnych przykładów jakim trybem marnieją najhojniejsze ducha uposażenia. Obdarzony twórczością niemal wyrównywającą geniuszowi Byrona, jakąż spuściznę krajowi zostawił? Oto prawie same ułomne formą a treścią oburzające dzieła, dla tego tylko nieszkodliwe, że albo litość albo odrazę wzbudzają. On, co wszędzie szukał pierwotnych przyczyn i wszystko na ostateczne żywioły rozkładał, nie zrozumiał do końca ani własnego powołania, ani czém jest poezya. Nie pojął że ona się jawi nie w samowolnych ale w pomimowolnych ducha porywach. Żadna siła umysłu, żadna potęga woli, wprawić ją w lot nie zdoła po obcych i jéj istocie

nieprzygodnych szlakach. Są wierszopisarze, którzy niedorosłemi skrzydły, jak strusie, tylko po ziemi bieg swój przyspieszają. Shelley miał orle, ale sam je wiąże i obcina, każe falom natchnienia wstecz płynąć, swobodny lot poezyi wpiera w przyrządy sztucznego ruchu, a najwznioślejsze swe pochopy nagina i wprzęga do ciężaru wymędrkowanych na zimno teoryi politycznych i socyalnych. Jak Frankenstein prześladowcę olbrzyma, tak on na swe nieszczęście utworzył sobie argusa, któryby mu nakładał więzy, ilekroć zdarzyłoby mu się zapragnąć prostoty i swobody po drogach słonecznych. A jeżli kiedy wyrwie mu się z piersi potok tłumionego uczucia, to natychmiast go powściąga jako dziecinną igraszkę, ledwie przydatną dla kontrastu. Po jasnych nieba obszarach bujać nie chce, a na ziemi utrzymać się nie może. Nie znajduje bowiem na niéj żadnych pierwiastków, z którychby zdołał złożyć obrazowe swych systematów przedstawienie, gorąca zaś i nadzwyczaj płodna imaginacya nie dozwala mu poprzestać na suchém i bezbarwném filozofowaniu. Brak więc swobody w stronę jedynie poezyi właściwą nagradza sobie tém swawolniejszemi rozbiegami w kierunkach, w których nietylko uczuciu ale i pojęciu ludzkiemu trudno zdążyć za nim. Szuka jakiegoś nadzmysłowego świata, jakiéjś próżni, którąby mógł zaludnić istotami, jakich nigdy nie było i być nie może. Zaiste, każdy poeta tworzy sobie świat własny, świat odrębny, ale składa go z istniejących żywiołów. Shelley zaś usiłuje ustawić sobie udzielne możnowładztwo z samych widziadeł i urojeń. Co nie natęża umysłu aż do szaleństwa, co nie rozpala wyobraźni aż do widmo-twórczéj gorączki wydaje mu się nędzną pospolitością. Gwałtowność i szum wpadającego powietrza do *vacuum* bierze za natchnienie, ubiega się wciąż za dziwactwami, gra w zagadki, bawi się w dysonanse, nurza się w otchłanie niepodobieństw, spaja gwałtem pomysły wręcz sobie przeciwne, stawia obok siebie obrazy zaćmiewające się i niszczące nawzajem. I nie dziw, — skoro kto odrzuci właściwe żywioły i stroje poezyi, musi natomiast uciekać się do sztucznych przyborów by swym utworom nadać choć na pozór wyższe dostojeństwo. Nie dbając czy wzruszy, byleby tylko

zadziwił, Shelley nawet wrażenia nie sprawia, jeno chwilowe osłupienie.

Oprócz tragedyi *Cenci*, w żadnym z jego większych utworów nie znać ani ogólnego planu, ani nawet rysunku w pojedynczych obrazach. Płomieniste ich tło rzadko kiedy daje rozpoznać kształt lub postać jaką, ale najczęściéj zmienia całe przedstawienie, jakby przy wulkanicznym wybuchu, w chaos ognia i dymu. Jeżli olśnione oko czasem nie od razu spostrzega brak wszelkiego ładu i składu w tych obrazach, to także i dla tego, że jedne z drugich w takiéj mnogości i tak szybko się wysuwają, iż nie ma czasu na żadnym się zatrzymać. Nawet udatniejsze, to jest krótsze jego poezye posłużyć mogą za rażący w tym względzie przykład. Zaczyna od niezwykłego, a najczęściéj dziwacznego wyrażenia, z tego wysuwa obraz, wnet go jednak urywa, bo mu się nowy nastręczył przy dobieraniu końcówki, zbacza więc w tór odmienny, ale wiersz strofę dopełniający albo rym wyszukany wiedzie go znowu na inną kolej, otwierającą ciąg nowych obrazów, i tak w bezustannéj gmatwaninie, podobnéj chyba do splotów dzikiego powoju lub do arabesków, poeta gubi nić przewodnią, zapominając zkąd wyszedł i nie wiedząc dokąd idzie. Związku, i to nieraz z trudnością, dopatrzeć się tylko można między dwoma najbliższemi obrazami. Skoro się weźmie nieco odleglejsze, chociażby jedną tylko strofą oddzielone, częstokroć trudno pojąć jaki bieg myśli zdołał z jednego w drugi zaprowadzić i co może stać po środku. To mnożenie i przeciąganie obrazów jest główną wadą jego toku. Nigdzie całkowitego i kształtnego gmachu nie buduje, ale posuwa w nieskończoność arkady za arkadami, przypominające połamane dziś i poprzerywane wodociągi rzymskie, które oddalonemu oku dla tego tylko wydają się jednym szeregiem, że się własnemi ruinami łączą.

Shelley jest mistrzem słowa. Równego mu nie ma współczesna literatura angielska, a dzielniejszego może nigdy nie miała. Nikt zręczniéj od niego nie umie naginać stylu do wszystkich wymagalności jak najkapryśniejszéj myśli. Wiersz, rytm i rym ma na każde zawołanie. Niektóre z jego poezyi

są samą najczystszą i najdźwięczniejszą melodyą, nieustępującą w rozmaitości i śpiewności najdoskonalszym wzorom greckim. Ale i tu psuje on powabność lub uroczystość toku swawolą zarozumiałości, dobiera epitetów najmniéj właściwych, puszcza się w najzawilsze składnie, wymyśla zwroty na złamanie karku, a wszędzie jak w myśli tak w formie byle zadziwić. Igraszka taka uchodzi w *Don Żuanie* lub *Beniowskim*, bo właśnie z planu tam wypływa i wyjątkowo jest użytą, ale jako ogólna reguła staje się potwornością, zwłaszcza w dziełach, których przedmiotem są najważniejsze dla ludzkości zadania. Powodziło mu się téż najszczęśliwiéj w drobniejszych poezyach. Ile tylko razy sięga po wyższy przedmiot, obszerniejszéj dotyka się treści, i daje sobie czas do rozmysłu, zaraz brnie w systemata i tonie w chaosie. Udatność więc jego utworów ma się zwykle w odwrotnym stosunku do ich zamiaru i rozmiaru. I w obszerniejszych jego poematach znajdują się tu i owdzie wspaniałe i ślicznie wykończone ustępy, jak na przykład kilka sielskich opisów w *Alastorze* lub podróż po rzece, którą się prawie kończy *Bunt Islamu*, ale te giną w plątaninie wywodów filozoficznych. Kto więc chce poznać talent Shelleya w najwyższéj jaką osięgnął świetności, niech czyta pomniejsze jego poezye, jak *Oda do zachodniego wiatru*, *Obłok*, *Czułoziół* (*The sensitive plant*), *Wiersz napisany w Euganeńskich górach*, *W smutku nad zatoką neapolitańską*, *Do Skowronka*. W opisach posuwa szczegółowość często aż do drobiazgowości, lecz głównie w nich celuje. Jeden z jego sposobów, który niekiedy silne sprawia wrażenie, zależy na ożywianiu martwych przedmiotów i na użyczaniu im myśli i uczuć ludzkich. Na przykład, w *Odzie do zachodniego wiatru* zmienia suche liście w duchy uciekające przed czarownikiem urok na nie rzucającym. Dobitny wzór téj jego właściwości przytaczam z *Cenci:*

Pomnę: o dwie mile
Z téj strony zamku, droga nagle schodzi
W głęboki wąwóz. Ciasna, kamienista,
Krótkiemi zwroty spuszcza się aż w przepaść.
Nad głębią wisi potężny łom skały,

Który od wieków światu niepamiętnych
Trzyma się ściany ze znojem i trwogą,
By w otchłań nie paść. Lecz ta trwoga właśnie
Zdaje się na dół spychać go powoli.
Tak nędzna dusza lgnie, lgnie bez ustanku
Do ściany życia, lgnąc chyli się na dół,
A chyląc czyni coraz okropniejszą
Tę czarną otchłań, w którą runąć nie chce.
A pod tą skałą, ogromną jak rozpacz,
Tęskliwa przepaść ziewa ze znudzenia;
Bystry w niéj potok słyszysz, lecz nie widzisz
Jako w jaskiniach szaleje. Most łączy
Brzegi przepaści. Pnąc się z skał na skały,
Gną się, krzyżują, cedry, cisy, jodły,
Których konary, jak zmotane włosy,
Splotami bluszczu tworzą dach cienisty.
Zmierzch tu w południe, przy zachodzie słońca
Noc najczarniejsza.

Obraz przemykających godzin w *Prometeuszu* również pełnym jest życia i wdzięku:

Skały pękły. Na smugi purpurowéj nocy
Wybiegają rumaki z tęczowemi skrzydły,
Depcąc mgliste powietrze. Naglą je w zawody
Jakieś dzikie woźnice stojące w rydwanach.
Jedne wstecz patrzą, jakby gnały ich złe duchy,
Chociaż nic prócz gwiazd bystrych nie widać. Znów inne,
Z pożerczym ogniem w oku, chylą się wciąż naprzód,
Pijąc chciwemi usty wiatr ich lotem wzbity,
Jakby przedmiot ich żądzy, dognany w ucieczce,
Wpadł im wreście w ramiona. Jasne ich kędziory
Sieją iskry jak komet płomieniste włosy.
Tak wszystkie suną w przestrzeń.
                                To są, o coś pytał,
Nieśmiertelne godziny. Jedna czeka na cię.

Dłużéj nad wadami Shelleya niż nad niedostatkami któregokolwiek innego autora zastanowiwszy się, winienbym na zakończenie dać w przekładzie jaką z najcelniejszych jego poezyi. Ale trudno znaleść wolnéj od skaz, które wytknąłem. Anglicy uważają za wzór czystego a wzniosłego natchnienia tylko dwa jego wiersze, to jest: *Do Obłoku* i *Do Skowronka*. Wybredniejsi jedynie ostatniemu przyznają tę zaletę.

Przytaczam więc go w całości, choć i rytm nie powabny dla naszego ucha, i wrażenie zepsute zbytecznêm przeciągnieniem nie zawsze spoistych obrazów.

Do Skowronka.

Witaj swobody duchu natchniony,
Nigdyś ty nie był ptaszyną;
Czy z samych niebios, czy z chmur osłony,
Obficie z serca pełnego płyną
Twéj nieprzemyślnéj pieśni samodzielne tony.

Coraz to wyżéj pod nieba szczyty,
Jak obłok światłem nabity,
Wznosisz się z ziemi, i skrzydłem złotém
Mknąc przez bezdenne błękity,
Raźnie lot wzbijasz śpiewem, a śpiew wzmagasz lotem.

Kiedy się słońce za ziemię zsunie,
A nad niém obłoków krocie
Spiętrzą się w płomień, igrasz w téj łunie,
Pięknego jutra zwiastunie,
Jak radość w pierwszym na świat swobodnym wylocie.

Na swéj purpurze litéj przecudnie
Wieczór cię lekko kołysze.
Jak gwiazda niebios w samo południe,
Tyś niewidzialny, ale ja słyszę
Ucieszny głos twój, którym rozśpiewywasz ciszę.

Śrebrne ma strzały księżyc w kołczanie,
Ostro je miota po świecie,
Lecz blednie, niknie, skoro dzień wstanie,
Nie znać go prawie, a przecie —
Że wciąż stoi nad wami, wszyscy to czujecie.

W twój ton powietrze i ziemia dzwoni,
Jak gdy w noc czystą z obłoku,
Który sam jeden przypłynął z boku,
Księżyc promienie swe roni,
Aż się niebo przepełnia blaskiem śrebrnych toni.

Czém, kim ty jesteś, i czy kto drugi
Tobie podobny? nikt nie wie;

Lecz z chmur tęczowych nie tak błyszczące
Sieją się krople po łące,
Jak deszcz melodyi, który wylewasz w twym śpiewie.

Tyś jak wnurzony wieszcz w myśli dzieje,
Co nuci samotne hymny,
Aż świat, na jego skargi wprzód zimny,
Wraz się w spółczucie rozgrzeje,
Dzieląc z nim wszystkie trwogi i wszystkie nadzieje.

Jak wysokiego rodu dziewica
Na wieży w późny zmierzch gości,
Kojąc swą duszę pełną miłości
Muzyką, która zachwyca
Tak słodko, że miłością drży cała wieżyca.

Jak świętojański robaczek toczy
Po rosie swój krąg jaskrawy;
Choć nikt nie patrzy, on blask uroczy
Sieje na kwiaty i trawy
Co go kryją by żadne nie padły nań oczy.

Jak róża w liście swe otulona,
Gdy wonne wdzięki jéj łona
W przelocie ciepły wietrzyk rozsłoni,
Aż rabuś ze zbytku woni
Pod ciężarem na skrzydłach i mdleje i kona.

Luby dźwięk deszczu, co pluszcze z wiosną
W trawę perłami osnutą,
Kwiaty co pod nim budzą się i rosną,
Wszystko co świeżą, radosną,
Jasną ma istność, wszystko przewyższasz twą nutą.

Powiedz nam duchu, czy ptaku może,
W jakieś ty myśli zaklęty?
Zalety wina, wdzięków ponęty,
Nikt nigdy w tony tak hoże
Nie przybrał, jak twych boskich zachwytów odmęty.

Na co się hymny weselne zdały,
Na co tryumfów chorały?
Mdłe to przechwałki, przy tym podziwie,
Którym czci pieśń twą świat cały;
Bo w nich zawsze brak jakiś razi nas dotkliwie.

Gdzie zdrój twych szczęsnych natchnieni? I jaki
Kraj cudów w sobie go mieści,
Smugi czy góry, czy niebios szlaki,
Jaka miłość, wdzięk niewieści,
I jaka nieświadomość smutków i boleści?

Nuda dosięgnąć nigdy nie może
Twych bystrych uciech zachwytu,
Żaden cię smutek z radości szczytu
Nie zwiedzie na swe bezdroże.
Kochasz, lecz nigdyś nie znał miłości przesytu.

Głębsze, prawdziwsze śmierci widzenia
Musisz mieć w jawach czy we śnie,
Niż my, co o niéj marzym boleśnie;
Bo gdy tu wszystko się zmienia,
Zawsze przezroczą tonią płyną twoje pienia.

My patrzym naprzód, to znów za siebie,
Bolejąc nad tém co zgasło,
Najszczerszy śmiech nasz jak na pogrzebie;
Na pochmurném naszém niebie,
Najpodnioślejszym pieśniom smutek daje hasło.

Gdybyśmy nawet zrzec się zdołali
Nienawiści, pychy, trwogi,
Ani łzą jedną nie mącąc fali
Płynącéj przez żywot błogi,
Jeszczebyśmy nie zaszli na twych uciech drogi.

Niż dźwięków rytmy, których tak wiela,
Niż wszystkie takty wesela,
Niż w książkach ogrom bogactw znikomy,
Lepszego wzoru wieszczom udziela
Twój strój, piewco, co wzgardzasz nędznemi poziomy.

Daj mi twą błogość, wszak masz jéj tyle,
Naucz mię tylko połowy,
A w szał tak dźwięczny usta wysilę,
Że świat posłucha méj mowy,
Jak ja cię oto słucham w tę uroczą chwilę.

Samuel Rogers (1763—1855).

Stara to i od wieków, zwłaszcza w żalach poetyckich, powtarzana skarga, że geniusz jest zadatkiem nieszczęścia. By-

ron, który wszystkim rozpaczliwym skłonnościom użyczył tak wymownego głosu, dał i téj skardze nowy pochop i rozległe w naszych czasach przyjęcie. Rozwodząc się w trzeciéj pieśni *Childe Harolda* nad wewnętrznemi udręczeniami wielkich zdobywców, reformatorów, filozofów, proroków, wieszczów, zgoła wszystkich tych, którzy kiedykolwiek dzierżyli władzę nad narodami, powiada:

Gdyby skrytość choć jednéj z tych piersi rozkować,
Nie chciałby żaden z ludzi świecić ni panować.

Bodajby tak było ze zdobywcami. Ale właśnie między niemi jak najmniéj znajduje się przykładów drażliwości uczuć i sumienia. Jeźli który z nich uczuł się nieszczęśliwym, to chyba wtedy, gdy mu się nie powiodło, lub gdy nie starczyło pola jego ambicyi. Tém trudniéj zgodzić się na to, aby niedola miała być z konieczności udziałem tych, którzy nie przemocą i postrachem, ale myślą i pieśnią władają nad światem. Mógłżeby najwspanialszy dar Boga nieść z sobą przekleństwo? Miałożby to być bezwzględną prawdą, że wielkie serca

są jak ule zbyt wielkie,
Miód ich zapełnić nie może, stają się gniazdem jaszczurek.

Tak smutnéj konieczności nie zdoła poprzeć żaden wywód rozumowy, ani żadna znakomita liczba przykładow z historyi wyjętych. Owszem, pogoda jest przyrodzoną atmosferą filozofów, prawodawców, mężów stanu, celem ich nauki, warunkiem ich wpływu. Ale weźmy najdrażliwszą część człowieczeństwa, okrzyczaną w przysłowiu jako *irritabile genus vatum.* Tu rozróżnić należy czyste a płodne wzruszenie, które genjusz w duszy sprawuje, od mętnego wzburzenia namiętności, — przypływowe wzbieranie fal morskich, od nawałnicy. Jeźli geniusz podnosząc wszystkie władze w człowieku, wzmaga i namiętności, to téż posiada zarazem odpowiednią siłę do poskramiania onych lub kierowania ku dobremu. Rozmiar tu większy, ale stosunek ten sam co gdzieindziéj. Dojrzałością zaś geniuszu, jak to sztuka grecka dowiodła, jest uspokojenie. Nie idzie za tém, iżby w ogóle poetyckie bractwo mieściło w sobie większą liczbę szczęśliwych niż inne powołania.

Dzieje się raczéj na odwrot. Tém przeto usilniéj godzi się zapobiegać zwłaszcza w naszych czasach, by ztąd nie wyprowadzano ogólnéj, ani nawet przeważającéj reguły, i aby konieczną przypadłością geniuszu nie mianowano tego, co jest po prostu skutkiem powszechnéj ułomności ludzkiéj, wspólną nam wszystkim dolą, własną winą człowieka lub okupem wszelkiego wyższego położenia. Prawda, *non est magnum ingenium sine melancolia*. Lecz tęsknota nie jest nieszczęściem. Przeciwnie, w niéj znak nieśmiertelności, przeczucie i rękojmia doskonalszego bytu, pobudka nietylko do dzieł wielkich ale i do czynów zacnych. Poeta głębiéj czuje i szerzéj obejmuje wszystkie utrapienia ludzkości, ale natomiast ileż ma bystrzejszego poglądu w wyższe jéj przeznaczenia, ile pociech, ile dróg by się wyzwolić z obecnych ucisków a lepszą dojrzeć przyszłość. Zresztą, możeż być nieszczęściem współczucie z cierpieniami bliźnich? To téż prawdziwa niedola poczyna się dopiero wtedy, gdy się człowiek od nich odsunie, sam w sobie się zamknie, czyste natchnienia geniuszu odrzuci a podda się podszeptom dumy, wypiętrzonéj zawiedzioną ambicyą lub urażoną próżnością. Początkiem zaś zawodu i uraz zwykle bywają, nie obojętność i złość ludzka, ale uroszczenia samego poety, który gdy straci miarę sił swoich, sięga wciąż wyżéj nad swą zdolność, domaga się czci nad swą zasługę, a skoro nie znajduje odpowiednéj swemu pragnieniu lub ją postrada, odwraca się od świata z nienawiścią i wzgardą. Ztąd to najczęściéj przyczyną udręczenia w poetach nie jest nadmiar geniuszu ale onego niedostateczność. Zapytajmy się doświadczenia, poszukajmy w dziejach, byłże Dante lub Shakspeare *dziedzicem nieszczęścia?* Ponurość szczególniéj bywa przypisywaną poetom angielskim, być może głównie dla tego że w nich przemaga zmysł tragiczny. Między niemi jednak tylko pośledniejsze, nierozwinięte lub skrzywione talenta przeradzały się niekiedy w posępną drażliwość. Chaucer i Spenser byli wesołego usposobienia, również Fletcher, Ben Jonson i cały poczet dramatyków otaczający Shakspeara, najpogodniejszego ze wszystkich. Miltona powaga i surowość pochodziła z wyobrażeń religijnych i politycznych, a właśnie

poezya rozjaśniała mu oblicze, nawet wtedy gdy już oczy na niém zagasły. Poeci następnego wieku byli aż nadto wesołymi. Miałażby dopiero w nasze czasy rozpacz ściągnąć się ze wszech wieków i cały widnokrąg poezyi zachmurzyć? Oczewiście, wzbiera ona w każdéj epoce przejściowéj, po ogromnych katastrofach, kiedy jedno trzęsienie ziemi wszystko obaliło, a lada chwila drugie przyjść może i zgruchotać budowy zaledwie z gruzów powstające. Więcéj też było teraz ponurości w umysłach na całym świecie, i nietylko w narodach jak nasz pogrążonych w odmęcie niedoli, ale, rzecz dziwna, i w owéj Anglii, co właśnie w tym czasie stanęła u szczytu swobody, pomyślności i potęgi, — tak to solidarność ducha między ludami nawet wśród wręcz przeciwnych losów nie ustaje. Atoli między angielskiemi poetami w tym okresie wyrzekającemi że pieśń czarodziejska zaklęła ich przy powiciu w męczeństwo, jednemu tylko Byronowi geniusz w pełności przyznać można. Wmawiał on w siebie rozpacz, i nakoniec przyswoił ją sobie. Byłyż jednak nieszczęśliwemi chwile, w których współcierpiał z ludzkością? Bynajmniéj. Wtedy właśnie wyzwalał się z swych osobistych udręczeń, koił się nadzieją, stawał się lepszym jako człowiek. Coleridge, Keats, Shelley, jeźli między geniusze liczyć się mogą, w samym pierwszym rozbłysku zagaśli. Pierwszy stał się ofiarą chorobliwéj niecierpliwości i zgubnego nałogu. Drugi, draśnięty na wstępie swego zawodu zbyt ostrą krytyką, umarł z suchot w 25 roku życia. Jaką koleją Shelley zmarnował swe zdolności, dopiero co wyłuszczyłem. Ale tym trzem pochmurnym postaciom iluż pomiędzy współczesnemi poetami uroczyście pogodnych drogę zachodzi. Jeden szczególniéj może za wzór posłużyć, — Samuel Rogers.

Rogers żył lat przeszło 92. Od wcześnéj młodości pisał wiele i znakomicie. Ledwie zarobił sobie na wziętość, zjawili się nadzwyczajni poeci i sławę jego zaćmili. Żadna jednak skarga na zaniedbanie z ust mu się nie wyrwała, żaden cień zazdrości nie przemknął przez jego pisma. Owszem, najserdeczniéj przyklaskiwał swym młodszym współzawodnikom, udzielał im rady, częstokroć hojnie wspierał, a sam nie prze-

stając pisać, ani potępiał nowéj szkoły, ani odstępował dla niéj od raz przyjętego a sobie właściwego toru. Syn bankiera, nie porzucił kantoru, ale spokojnie pomnażając swą fortunę, dochody swe obracał ku wspomaganiu ubogich, osobliwie artystów i literatów, ku nabywaniu arcydzieł malarstwa i snycerstwa, i ku uposażaniu zakładów naukowych i dobroczynnych. On to ratował Sheridana, i pieczołowitém staraniem ostatnie dni mu osłodził. On Byrona, Moora i innych po Apollinie braci, nieraz z przykrego położenia wyprowadził. Nawet sprawy obce i dalekie, zwłaszcza nieszczęśliwe, pociągały ku sobie jego czułą troskliwość. Gorliwym i statecznym był przyjacielem Polski. Do funduszów zbieranych czy na popieranie sprawy naszéj, czy na zasiłek dla wychodźców, zawsze pierwszy się przykładał. Należał do najdawniejszych członków, jeźli nie do założycieli Towarzystwa literackiego Przyjaciół Polski. Gromadzili się w jego domu, napełnionym najwyborniejszemi wzorami sztuki, artyści, literaci, uczeni, ludzie zasłużeni wszelkiego powołania i narodowości. Chętnie i hojnie swych gości podejmował, ale téż i chętnym wszędzie był gościem. Brzydził się jednak dworactwem i wielkich panów się nie czepiał, przekładając nadewszystko osobistą niepodległość. Żadnego więc urzędu ani zaszczytu nigdy przyjąć nie chciał. Niepoczesnéj postaci, nizki, drobny, z głową na bok przechyloną, co złośliwemu Byronowi dało powód do mówienia że był złą ukrzyżowania kopią, pozostał całe życie bezżennym, a przecież umiał cenić przymioty i wdzięki płci pięknéj, i pełno uroczych postaci niewieścich w swych pismach nakreślił. Wesoły, dowcipny w towarzystwie, nigdy nikogo ostrem słowem nie uraził. Biografowie przytaczają pełno zręcznych jego żartów, lecz między niemi tylko trzy i to łagodne sarkazmy. Natomiast czuł głęboko każdą boleść czy pojedyńczego człowieka, czy zbiorową całéj ludzkości. Świadczy to osobliwie poemat *Życie ludzkie*, nawet w *Roskoszach Pamięci* nieraz łza przerywa wątek uśmiechu. Spokojny, pogodny całe życie, miłował tęsknotę, i gdybym powyżéj wyrażone twierdzenie, że ona nie jest nieszczęściem, potrzebował poprzeć zeznaniem jakiego poety, nie mógłbym

znaleźć przytoczenia dowodniejszego nad następujący wiersz Rogersa:

Chcesz nazwij mię szaleńcem, ogłoś za dziwaka,
Ale mi zostaw błogą tęsknotę na czole,
Bo taki w niéj jest urok, roskosz dla mnie taka,
Że choć wesołość nęci, ja smutnym być wolę.

Gdybyś znał co za lubość wzbiera wraz z tęsknotą,
Kiedy się z pełnych piersi wyrwie mi westchnienie,
Nie kusiłbyś się skraść mi skarbu, który cenię
Wyżéj niż wszystkich królów klejnoty i złoto.

Tak, między ścisłem wykonywaniem powszednich obowiązków a niestygnącą nigdy czcią dla ideałów, Rogers snuł jednolite pasmo dni swoich aż do samego ostatka. Do ostatka téż czerstwość umysłu dochował. Zabawiał się jeszcze niekiedy nowemi i coraz ozdobniejszemi wydaniami swych dzieł, ale już nic nie pisał. Na przystrojenie jednego z tych wydań, które kosztowało autora przeszło 500,000 złtp., wysilili swą sztukę najcelniejsi malarze i rysownicy. Naglony nieustającą czynnością umysłu i serca, oraz uprzejmością towarzyską, bywał do najpóźniejszego wieku na wieczornych zebraniach. Miał zwyczaj sam piechoto wracać z nich do domu, nawet gdy noc była słotna i zimna. Razu jednego upadł na bruk, i odtąd chromał a parę lat ostatnich musiał na krześle w swoim gabinecie przepędzić. Spozierając jeszcze na arcydzieła rozwieszone na ścianach swéj sypialni, to przypatrując się obłokom szybującym po zimowém niebie, to wreście powtarzając ustępy z ulubionych wieszczów, zgasł spokojnie 18 grudnia 1855.

Rogers zgonem swoim zamknął poczet tych wielkich wieszczów, którzy z końcem przeszłego wieku zabłysnęli nad Anglią i aż do naszych świecili czasów. Był z nich ostatnim ale był i pierwszym równie datą urodzenia jak i autorstwa, z wyjątkiem Burnsa, którego do téj konstellacyi liczyć nie należy, bo na drugim krańcu widnokręgu osobno świecił. Staranne otrzymawszy wychowanie, wykształcony na starożytnych wzorach uczuł wcześny pociąg do poezyi i począł rymy składać. Był wtedy w literaturze wyrocznią Johnson.

Małoletni poeta niczego więcéj nie pragnął jak żeby mu się przedstawić i rady co do swych wypracowań zasięgnąć. Po dwakroć do jego drzwi pukał. Raz nie zastał go w domu, drugi raz młodzieńcowi brakło odwagi i od progu uciekł. Za trzecim razem nie śmiał już zakołatać ale przede drzwiami rękopism swój złożył. Może na szczęście przyszedł za późno po sąd surowego arystarchy, który był ciężką wtedy złożony chorobą i wkrótce potem, to jest 13 grudnia 1784, umarł. Ostro napomniany, lub zgoła zniechęcony, jak to przytrafiło się niejednemu szukającemu rady u Johnsona, byłby zapewne nie tak spieszył się z wydaniem swych początkowych wierszy, a może i całkiem pisać zaprzestał. Teraz, nie pytając się już nikogo, ogłosił niebawem kilkoarkuszowe quarto, zawierające *Odę do Przesądu* i parę drobnych poematów. Było to w 1786 to jest w tym samym roku, w którym Burns dał się pierwszy raz poznać swym rodakom. Wtedy Wordsworth nie był jeszcze na uniwersytecie, Coleridge i Southey zaledwie do szkół wchodzili, Campbell i Moore byli dziećmi, a Byron jeszcze się był nie urodził. Obrzucony pochwałami i czując w sobie dojrzewający talent wziął się następnie do dzieła większego rozmiaru. Dzieło to miało nie tylko rozgłosić po świecie imie swego twórcy, ale i stać się niejako jego przydomkiem, bo choć późniéj wiele a często jeszcze lepiéj pisał, skoro kto teraz wspomni Rogersa, to nie inaczéj jeno jako autora *Roskoszy Pamięci*.

Utwor ten ukazał się w 1792. Pojęcia wzbudzone rewolucyą francuzką, poczynały w Anglii krążyć, otwierała się inna epoka w literaturze, nowa szkoła w poezyi pociągała już ku sobie wszystkie młode i śmiałe umysły, i zwierała swych wyznawców w coraz spoistszy poczet. Rogers stanął z swem dziełem na samym przełomie. Pora była niepomyślna, położenie trudne dla autora, który ukształciwszy się na klasycznych wzorach nie chciał się puścić nieznanym prądem, a znowu za nadto miał głębokiego uczucia by szukać odznaczenia w oporze wszelkiéj reformie. Nie powitało go więc ani uniesieniem, ani krytyką, żadne stronnictwo. Jedni spodziewali się że talent jego rozwijając się pójdzie wzbierającym nurtem

nowéj szkoły, drudzy że się wyburzy i zawróci do rutyny Popego i klasyków ośmnastego wieku. Zgoła było jakby sprzysiężenie milczenia, a przecież, chociaż ani hałaśne pochwały przyjaciół ani szyderstwa przeciwników nie narzucały jego dzieła uwadze publicznéj, *Roskosze Pamięci* stały się w lat parę najpopularniejszą książką w obiegu. W istocie, poemat ten budową swą, rytmem, troskliwem opracowaniem, należał jeszcze do ośmnastego wieku, ale duchem już od niego odstawał, i jeżli w układzie przypomina Akensida *Roskosze Imaginacyi*, to swobodą i prostotą zdaje się zapowiadać Wordswortha. Niektóre ustępy, jak naprzykład opis koczowiska cyganów, wspomnienia Sabaudczyka o górach ojczystych, obraz młodzieńca opuszczającego dom rodzicielski, odznaczają się taką prawdą uczucia, że literatura angielska policzyła je do najcelniejszych swych wzorów. Są w tym utworze wiersze które niemal każdy wykształcony Anglik umie na pamięć. Choć urok ich spoczywa najwięcéj w wysłowieniu, przytaczam w przekładzie dwa najczęściéj powtarzane. Autor tak przemawia do Pamięci:

Kiedy radości słońce za ziemię się zsunie,
I gdy złudne nadziei meteory zgasną,
Gdy się widnokrąg skryje w obłoków całunie,
Jeszcze przez nie twa gwiazda przedziera się jasno;
I obleka, jak księżyc, wdzięczne nocy łono
Pożyczonego światła lubością przymgloną.

Gdzieindziéj znowu na ten sam przedmiot wraca:

Znikają sny nadziei, lżejsze niż powietrze,
Gdy im przelotny obłok stanie na przeszkodzie;
Jeden promień trzeźwego rozumu wnet zetrze
Fantazyi śnieżne wzory i zamki na lodzie;
Lecz ni przemoc ni podstęp nigdy sztuką żadną
Wspomnień jednéj poczciwéj godziny nie skradną.
Te pamiątki, gdy wzlata drżący duch od ziemi,
Ścieszkę mu kolejami ścielą promiennemi,
I wejście do téj błogiéj złocą mu krainy,
Gdzie tryumf znajdzie cnota, a chwałę jéj syny.

W 1798 Rogers wydał nowy tom poezyi pod tytułem *List do przyjaciela i wiersze różne*. Jak w pierwszym tak

i między ostatniemi znajduje się pełno udatnych opisów i opowiadań. Widać wszędzie przemagającego ducha nowszych czasów. Zdobywszy wysokie dostojeństwo w literaturze, już się nie kwapił z ogłaszaniem prac następnych, ale je wciąż ogładzał i doskonalił. Dopiero więc w 1812 wystąpił z powtórnym zbiorem poematów, między któremi główne zajmują miejsce *Urywki z Podróży Kolumba*. Urywkowości téj przyczyną jest sam przedmiot. Podróż bowiem morska nie przedstawia wątku ani do epopei ani do ciągłéj a dramatycznością ożywionéj powieści. To co się w duszy Kolumba działo, jego nadzieje i trwogi, oddać tylko może monolog lirycznego toku. Poemat téż rozwija się szeroko nakreślonemi obrazami i widzeniami, niekiedy tylko zarywa w ton epiczny, lub dramatyczną jaką scenę przedstawia, jak naprzykład bunt majtków podżegnionych przez złe duchy. Do najcelniejszych w nim miejsc należą: opis trzech wypływających w podróż okrętów, pierwszy widok nowego świata, i widzenie na samym końcu. W 1814, w jednym tomie z *Larą* Byrona wyszła Rogersa wierszowana powieść *Jacqueline*, za czem powiedziano, że się zjawiła „jak zorza przez noc przywiedziona,“ i to najlepiéj wyraża jéj charakter. Ostatnie dwa jego dzieła były: *Życie ludzkie* (1819) i *Italia* (1822). Pierwszy z tych poematów, pełen tkliwości, prowadzi człowieka od kolebki aż do grobu, wystawiając boleści i uciechy wspólne całemu rodowi ludzkiemu. Drugi, opisowy, roi się legendami na ziemi włoskiéj zebranemi. Najwyższa tu panuje prostota, ku czemu wielce pomaga wiersz nierymowy. Jeden przykład wystarczy. Autor opisuje Modenę. W pałacu Orsinich zatrzymuje się przed obrazem niewiasty przecudnego wdzięku, malowanym przez Zampierego. Artysta wystawił ją siedzącą, nieco naprzód pochyloną jak gdyby miała przemówić, lecz podniesiony palec ku ustom na wpół odemkniętym zdaje się jakąś tajemnicę wyrażać. Pod obrazem stoi stara dębowa skrzynia, zdobna ślicznemi rzeźbami weneckiego dłuta, ale już prawie stoczona przez robaki. Otóż poeta tak opowiada co się dowiedział o znaczeniu tego obrazu i téj skrzyni:

Urodna jedynaczka, była od kolebki
I radością i chlubą pieściwego ojca.
Młoda matka umarła wydając ją na świat.
Gdyby nie ten skarb drogi, cóżby mu zostało?
Ojcu przeto Ginevra była wszystkiém w życiu,
I pod jego wciąż okiem wzrastała szczęśliwie.
Gdy doszła lat piętnastu, miał ją narzeczoną
Młody Francesko Doria, jedynak w swym rodzie,
Od dziecka jéj towarzysz i pierwsza jéj miłość.

Właśnie jak ją tu widzisz, cudną w ślubnym stroju,
Tchnęła ona dobrocią i uciechą samą.
We wszystkich ustach były jéj lube igraszki.
Lecz teraz nadszedł ważny dzień ów i godzina,
Więc śmiejąc się, to marszcząc, po raz setny może
Sędziwa ją piastunka naucza powagi,
Lecz ona słucha tylko wesołości serca,
Które z ręką lubemu dziś daje na wieczność.

Radość była niezmierną. Już wszyscy siadają
Do weselnéj biesiady, lecz gdzież panna młoda?
Szukają. Nigdzie niema. Ojciec wreście rzecze:
„Znać, że pragnie doświadczyć ile ją kochamy.“
I wznosi pełny puchar, ale drżą mu ręce.
Wnet przestrach się przesuwa od gościa do gościa.
Wszakże tutaj przed chwilą z Franceskiem igrała,
I odbiegła ze śmiechem, wciąż wstecz poglądając,
Bo mu na palcu drobny wycisnęła ząbek.
Lecz nikt teraz, niestety, znaleść jéj nie może.
I od téj chwili nic już nie dało się odkryć,
Gdzie i jako przepadła. Znudzony czczym bytem,
Doria w weneckie kraje poszedł, i niebawem
Zbył się ciężaru życia w walce przeciw Turkom.
Orsini żył, i jeszcze długo tam widziano
Starca, który się tułał, jakby szukał zguby,
Nie znalazłszy, znów szukał — sam nie wiedząc czego.
Kiedy nareście umarł, pałac jego pustką
Stał przez czas jakiś, w końcu przeszedł w obce ręce.

Minęło lat pięćdziesiąt. Wszystko zapomniano.
Dnia jednego, gdy słudzy przetrząsali pałac,
Wśród starych sprzętów w jednéj galeryi pod szczytem
Wpadła im w oczy skrzynia zbutwiała. I rzekło
Jakieś młode i puste dziewcze jak Ginevra:
„Wywleczcie tę staruszkę z jéj ciemnego kąta.“

A więc ją wydobyto, i gdy ją niesiono,
Padła i pękła, a z niéj wysypał się szkielet,
Świecący tu i owdzie perłą to szmaragdem,
Strzępki lamy wisiały na złotych manelach,
Wszystko zresztą już znikło prócz ślubnéj obrączki
I drobniutkiéj pieczątki, spuścizny po matce,
Gdyż na niéj imie matki i córki *Ginevra*
Było ryte kunsztownie. — Tam więc grób znalazła.
W téj to się skrzyni z pustéj schowała igraszki,
Szczęśliwa z najszczęśliwszych i pełna uciechy,
Gdy w tem zamek puściwszy zdradziecką sprężynę
Zatrzasł ją tam na wieki.

Prostota taka tem bardziéj jest ujmującą, że Rogers z wielką starannością wykończał zawsze swe dzieła. Sam się przyznał że *Życie ludzkie* kosztowało go dziewięć lat pracy a *Italia* szesnaście. Z drobniejszych jego poezyi warto jeszcze wymienić: *Loch Long*, *Torso*, *Westminster*. Za niemałą zasługę policzyć mu można, że z postępem wieku nie słabnął w gorącości uczuć, i coraz głębiéj przejmował się duchem wyzwalającéj się poezyi angielskiéj z dawnych więzów, nie tracąc nic bynajmniéj z subtelnego zmysłu, który wyostrzyło w nim zamiłowanie w poprawności klasycznéj. Dobrze on zawsze naprzód plan swój obmyśla i idzie wprost do celu, patrząc przed siebie, nie jak owi aż nadto liczni w naszym wieku poeci, którzy na wzór wioślarzy, w jedną obróceni stronę, w drugą — łódź swą kierują. Ani też naśladował tych, co chyłkiem modzie hołdując, mniemają że unikną spostrzeżenia, jeżli pomysły, wiedzione na ofiarę przed jéj ołtarz pokryją przepychem błyskotliwych ozdób. Jak w mowie tak i w pismach zawsze poważny a łagodny, sumiennie szczery a umiarkowany, nigdzie nie razi ani oschłością ani szorstkością protestancką, owszem wieje przez jego dzieła jakiś duch świeży, osobliwie gdy w *Itali* wchodzi na bogatą niwę wielkości i tradycyi katolickich. Poezye Rogersa może nie przedstawiają nic takiego, coby mogło iść w porównanie z arcydziełami potężniejszych i polotniejszych jego współuczestników w chwale tego okresu, ale też i najostrzejsza krytyka prawie skazy w nich nie znajdzie. Nie odznaczają się one ani inwen-

cyą Walter Scotta, ani fantazyą Coleridga, ani konwulsyjną energią Shelleya, ani głębokością Wordswortha, ani namiętnością i wyobraźnią Byrona, lecz prześcigają wszystkie inne jasnością, poprawnością, słodkim a nie mdłym, i wdzięcznym bez nużącéj jednostajności tonem. Znać w nich wszędzie gorącego lubownika muzyki i sztuk pięknych. Nie można tedy prawdziwiéj o nim powiedzieć niż własnemi jego słowy, które tu z poematu *Italia* przytaczam prozą by nie stracić ani osłabić żadnego wyrazu: „Natura odmówiła mu wiele, lecz mu dała przy urodzeniu to, co on ceni najwięcéj: namiętną miłość dla muzyki, snycerstwa, malarstwa, dla poezyi, téj mowy bogów, dla wszech rzeczy albo wielkich, albo nadobnych, dla zachodzącego słońca, dla jeziora między górami, dla światła poczciwéj twarzy, i dla tego, co to wszystko przewyższa, dla szlachetnego czynu.“

Tomasz Moore (1779—1852).

Żadnego osobnego wiersza Polsce nie poświęcił, ale wszystko czém wzrusza Irlandyę, czy sławiąc jéj urodę i dawną wielkość, czy opłakując późniejszą jéj niedolę, tak do naszych losów przystaje, jak gdyby wprost do nas przemawiał. Ztąd tak rozległą ma u nas wziętość. Równéj nie miał w naszym kraju żaden z poetów angielskich. O Miltonie już zapomnieliśmy. Gust do Popego przeszedł wraz z przewagą klasycznéj szkoły. Shakspeara dopiero teraz uczymy się poznawać. Byron działał potężniéj, ale na mniejszą liczbę czytelników. Wzruszał głębiéj duszę młodzieży, drażnił boleści, przynaglał do wczesnego rozczarowania lub do pojenia się wymarzonemi smutkami. Tem większy przeto wstręt i obawę budził w starszych i rozważniejszych. Moora zaś wszyscy z równém upodobaniem czytali, starzy i młodzi, klasycy i romantycy, mężczyźni i kobiety, a nawet dzieci bawiono obrazami z *Lalla Rookh* jak niegdyś powieściami z *Tysiąca nocy i jednéj.* Mnożyły się przekłady, najprzód nędzne prozą, późniéj doskonalsze wierszem, a wnet przyszły wyborne jak Odyńca, Gaszyńskiego i tylu innych. Nie było może ani jednego między młodymi poetami przed rewolucyą listopadową,

któryby nie tłomaczył lub nie naśladował Moora, chociaż nie wielu znało jego dzieła w oryginale. Tyle téż jego wyrażeń, tyle zwrotów mowy, tyle porównań, wèszło w skład, że tak powiem w zdawkową monetę ówczesnego wierszopisarstwa, że dziś odczytując jego utwory, co chwila nastręcza się jakieś przypomnienie z pisarzów naszych. Najzaciętsi nawet byroniści ulegali temu wpływowi, i nie taili się z tém, tak to miło znaleźć powód do rozmarszczenia się z przybranéj ponurości. Moore był Anglikiem, przyjacielem Byrona, czerpał jak on swe natchnienia ze wschodu, więc się nie broniono kojącym urokom jego muzy. I lubo trudno przystać na zdanie tak często powtarzane, że jak Byron poetą piekła, tak Moore był niebios poetą, być może że i u nas rzewny lirnik Erinu przyłożył się nie mało do oddziałania przeciw posępnościom rozpościeranym przez *Childe Harolda* i *Manfreda*, nasuwając i najzgryźliwszym samotnikom swobodniejsze myśli, i oczy ich wlepione w podziemia zwracając ku dziennym jasnościom. Przemawiał więc i zawsze przemawiać będzie do dusz polskich dwoma najwięcéj ujmującemi je przymiotami: blaskiem wschodniéj imaginacyi i tęsknotą uciśnionego kraju. *Lalla Rookh* czarować będzie równie przyszłych jak obecnych pokoleń poetyczną skłonność ku bajkom, skazkom, legendom, a *Melodye irlandzkie* nigdy nie przestaną być rzetelném i wzniosłém wyrażeniem najtrwalszego ze wszystkich uczuć i téj najuporniejszéj ze wszystkich nadziei, która niedolę Irlandyi najdawniéj a męczeństwo Polski najświetniéj opromienia.

Tomasz Moore urodził się w Dublinie 28 maja 1779. Rodzice jego byli oboje żarliwemi katolikami, a wiara katolicka doznawała jeszcze wtedy wiele ucisków pod berłem angielskiém. Z tego powodu wybuch rewolucyi francuzkiéj zdał się im hasłem wybawienia z niewoli. Do najdawniejszych wspomnień swego dzìecińśtwa liczył Moore pamiątkę publicznéj uczty, podczas któréj siedząc na kolanach prezydującego przyklaskiwał drobnemi rączkami następującemu toastowi, z nadzwyczajnym zapałem wniesionemu: „Oby powiew wolności z brzegów Francyi rozwinął w zieloność nasz dąb irlandzki.“ Wrażenia te wpłynęły silnie na usposobienie poety. Kiedy

w 1792 parlament otworzył katolikom bramy uniwersytetu dublińskiego, czternastoletni Moore począł tam swoje nauki i wkrótce się odznaczył znakomitemi postępami w klasycznéj literaturze. W 1799 posłano go do Londynu. Miał się uczyć prawa, ale zaczął od ogłoszenia przekładu Anakreona. Niebawem, to jest w 1801, ogłosił tomik oryginalnych wierszy, po większéj części erotycznych, pod przybranem a odpowiadającém jego małemu wzrostowi nazwiskiem Thomas Little. W późniejszym wieku miał dość szczerości i wytrawności by pokrywać często powtarzanym żalem te *juvenilia*, a dość geniuszu, by wnet poważniejszemi dziełami zatrzeć je w pamięci współczesnych. W r. 1803 otrzymał urzędową posadę w Bermuda. Nierzetelność urzędnika, który go czasowo zastępował, naraziła go na znaczne pieniężne straty. Aby jakkolwiek powetować tę finansową klęskę, wydał za powrotem do Anglii dwa tomy poezyi pisanych w czasie czternastomiesięcznéj podróży. Były to ody, listy, obrazy, w których już okazują się wielkie zdolności, obfity dowcip i styl nadobnie wykształcony, lubo przyzwoitość znajdowała w nich jeszcze niejeden powód do nagany. Sam powiada w przedmowie, że jeźli publiczności brak czasu by czytać takie drobnostki, to on żałuje że go miał za nadto by je pisać. Następnie rzucił się na nowe pole. Zaczął satyrami zapełniać dzienniki i wspierać stronnictwo liberalne. Jeźli w nich brak mu siły Drydena i moralnéj wzniosłości Popego, to natomiast przechodzi wszystkich satyryków swego kraju polotnością dowcipu i obfitością kształtów jak najrozmaitszych.

Nie tu jednak była rodzima jego talentu dziedzina. Minstrelstwo narodowe oddawna nęciło go ku sobie. Jeszcze w 1806 począł dorabiać słowa do najpopularniejszych nut irlandzkich, które dotąd służyły najczęściéj za powłokę niezgrabnym i karczemnym wierszom. Zaraz za ukazaniem się pierwszych jego prób w tym kierunku, zwróciła się powszechna uwaga ku niemu. Dokładne przystosowanie nowych, a prawdziwą poezyą natchnionych słów, do staréj i wszędzie dobrze znanéj muzyki irlandzkiéj, zyskało im równie gorące przyjęcie w pałacach bogatych Anglików, jak w najlichszych

chatach zubożałéj Irlandyi. Zachęcony nadzwyczajném powodzeniem swych *Pieśni Irlandzkich* przeciągnął je w nowy poczet poszytów, którym dał tytuł *Melodye Irlandzkie.* Tu wzniósł się jeszcze wyżéj. Cudownie uroczą śpiewność zespolił z natchnieniem a często nawet z gromkiemi uniesieniami patriotyzmu. Skwapliwie uczono się tych śpiewów w miarę jak jeden poszyt po drugim z zadziwiającą szybkością wychodził. Jest ich ośm części, a każda z nich zawiera 12 melodyi. Nucąc je, i ciemiężcy i uciemiężeni mimowolnie spotykali się w jedném uczuciu. Dziś już wątpić się nie godzi, że się przyłożyły bardzo wiele do obudzenia w Anglii lepszych usposobień dla Irlandyi, co wkrótce wywiązało się emancypacyą katolików. Na tém téż poetyczném dziele najwyższa zasługa i chwała Moora spoczywa. Lecz powszechną sławę w Europie zyskała mu dopiero *Lalla Rookh*, którą drukiem w 1817 ogłosił. Poemat ten, pełen połysku, woni i czarodziejstwa wschodniego, napisał autor w czasie swego pobytu w jakimś zakątku hrabstwa Derbyshire, gdzie przez dwie zimy wśród śniegów téj górzystéj okolicy w małym przemieszkiwał domku. Ciekawy to szczegół dla badaczów poszukujących od czego zależą natchnienia poety, czy od podobieństwa czy od przeciwieństwa obecnych wrażeń z przedmiotem, który opiewa.

Z jaką łatwością Moore przenosił się myślą z pomiędzy lodów pod skwarne słońce, z taką samą przechodził z jednego rodzaju poezyi w drugi. Właśnie gdy tworzył najtkliwsze swe melodye i bujał po kwiecistych łanach Kaszmiru, pojawiały się najuszczypliwsze jego satyry. Do najobszerniejszych i najsłynniejszych należą: *The Twopenny Postbag* i *The Fudge Family in Paris.* Pierwsza, złożona niby z przejętych listów, obraziła katolików niewczesnemi żartami i wycieczkami przeciw Rzymowi. Już w liście, prozą przezeń wystosowanym w 1810 do katolików irlandzkich, znać wpływ protestanckich patronów, u których najczęściéj w Anglii gościł. Po wydaniu *Lalli Rookh* wyjechał do Paryża. Tu widok śmiesznych Anglików, którzy tak długo w domu zaparci, tłumnie teraz stolicę Francyi nawiedzali, podał mu myśl do drugiéj z powyżéj wspomnianych satyr, składającéj się także z listów. W niéj,

gromiąc bezprawia dokonywane przez Święte Przymierze, nieraz wspomina Polskę z czcią i uczuciem, osobliwie w liście siódmym. Groźnemu owemu sprzymierzeństwu mocarstw poświęcił późniéj osobny zbiór bajek pod tytułem *Fables for the Holy Alliance.* W pierwszéj z nich wystawia, jak cała ta olbrzymia spółka, zgromadzona na ucztę w pałacu zbudowanym z lodu na Newie, zapada się od jednego promienia wolności. Wstęp do innéj taką myśl zawiera:

Czuła Katarzyna Polaków wycina,
Wzywając Boga Dobroci;
Zbratani z nią zbójcy, w imie świętéj Trójcy,
Skryci w nabożność despoci,
Z litości nad Polski duszą,
W ułomki ją kruszą.

W tę samą kategoryę wchodzi jeszcze *Tom Crib's memorial to Congress.* W 1819 udał się Moore znowu za granicę w towarzystwie Lorda Johna Russell. Wrażenia w podróży zebrane ogłosił w kształcie dziennika p. t. *Rhymes on the Road.* Zabawna ta mięszanina opisów i dowcipnych urywków wyszła również jak powyżéj nadmienione dzieła satyryczne pod przybraném nazwiskiem Tomasza Brown.

Zabawiwszy czas niejakiś we Włoszech z Byronem, Moore osiadł w Paryżu, gdzie pozostał aż póki się jego finansowe trudności w Anglii nie ułożyły, to jest do końca 1822 roku. W czasie tego pobytu we Francyi utworzył ostatni swój poemat *Miłości Aniołów*, z równym poklaskiem jak *Lalla Rookh* przyjęty, ale o wiele pośledniejszy. Odtąd, z wyjątkiem fraszek politycznych głównie w *Times* umieszczanych, pisał tylko prozą. *Epikurejczyk* jednak posiada jeszcze wiele téj jaskrawéj fantazyi i tego złocistego toku, który tyle wdzięku nadał jego rymowanym płodom. *Żywot Sheridana* ogłoszony w 1825, *Wspomnienia z życia Byrona* wydane w 1830, *Historya Irlandyi* krótko zebrana, *Żywot lorda Edwarda Fitzgerald* i kilka pomniejszych biografii, zalecają się ozdobnym, ale już prostotą miarkowanym stylem. Znane są spory, które powstały z powodu, że na prośbę rodziny Byrona spalił powierzone sobie przezeń korespondencye i pamiętniki, wyciągnąwszy z nich tylko materyały do swego biograficznego dzieła.

Nagrodzony rządową pensyą 300 f. s. za wierność whigom, skoro ci ster spraw publicznych objęli, — Moore osiadł w spokojném zaciszu niedaleko Bowood, rezydencyi zacnego swego patrona lorda Lansdowne. Tam to nasz Niemcewicz, który niejednym przymiotem jak i wadą pism swoich ma uderzającą z nim styczność, odwiedził go w 1832, a ujrzawszy wesołego, w ślicznie urządzonym i pełnym książek domku, te w liście opisującym szczegóły swéj wizyty skreślił wyrazy: „I ja miałem także moje małe, wiejskie, skromne mieszkanie, byłem także z niego kontent, już go nie obaczę więcéj..... niech się dzieje wola Boża.“ Na dziesięć lat przed śmiercią Moore wydał sam jak najdokładniejszy zbiór dzieł swoich, zamieszczając w każdym tomie, a jest tomów 10, obszerną przedmowę, wyświecającą jak który utwór powstał i jakie miał powodzenie. Ostatnie lata poety były pokryte smutkiem. Ciągłe straty familijne, a przytém dokuczliwa słabość usunęły go zupełnie od świata. Umarł w swym domku wiejskim 26 lutego 1852, doszedłszy blisko lat 73. Zostawił po sobie pełno wspomnień, zapisków, dzienniczków podróży, z których lord John Russell ułożył pamiętniki w 8 tomach. Oczekiwane z wielką niecierpliwością zawiodły publiczną ciekawość. Drobne anekdotki, płoche dowcipki, zapiski kreślone po każdéj wizycie, uczcie lub balu, stanowią główną ich osnowę. Rzadko gdzie spotyka się mowa o poważniejszych przedmiotach lub charakterystyka osób z któremi żył. Jeźli kogo wspomina, to samych bogaczów i wielkie panie. Ich téż towarzystwo przedewszystkiém cenił, na odwrot Rogersowi, który zwykł był mawiać, że tylko między równymi serce i umysł znajdują prawdziwą przyjemność i korzyść. Lord John Russell za naczelną mu wadę poczytuje próżność bez granic, dodając jednak, że ona nie przechodziła nigdy w zawiść ku innym. Moore był od młodości zepsutém dzieckiem wielkiego świata. Pochlebiano mu, fetowano go, zręcznie nawet używano za narzędzie polityczne. W kraju rodzinnym prawie nie bywał, ożenił się z protestantką, sam wyznaje, że wychowywał dzieci w protestantyzmie, nie dziw przeto, że w późniejszym wieku stracił wiele z gorącości uczuć patriotycznych, a wiary ojców

swoich nigdy dostatecznie nie poznał. Przeżywszy swe potomstwo, ujrzał się pod zachód dni swoich smutnym i samotnym, sprawdzając owe tkliwe wiersze, które niegdyś jakby w przeczuciu skreślił:

Widziałem, gdy poranek błyszczał światła chwałą,
Łódkę, która z falami igrała w zawody;
Przyszedłem, gdy się słońce na zachód schylało,
Łódka tam jeszcze była, lecz nie było wody.
I nadziejom młodości taka grozi zmiana,
Rączy strumień roskoszy wnet od nas odbieży,
A ta fala, na któréj igraliśmy z rana,
W wieczór samych zostawi u wyschłych wybrzeży.

Moore trzema głównie dziełami przejdzie do potomności i usprawiedliwi wziętość, jaką miał u współczesnych. Te są: *Miłości Aniołów*, *Lalla Rookh* i *Melodye irlandzkie.* Wątpliwość może tylko co do pierwszego zachodzić. Czuł sam autor jak przedmiot był trudnym, a nawet niebezpiecznym, i zaraz w przedmowie ostrzega, że powieść swą osnuł nie na podaniu biblijném, ale na jednym *fałszywie wytłómaczonym* wierszu z *Genesis.* Zamierzał umieścić ją jako ustęp w utworze większego rozmiaru, lecz dowiedziawszy się, że Byron pisze dramat podobnéjże treści, przerobił na inny kształt swą pracę i pospieszył z jéj wydaniem, aby (jak mówi) uprzedzając tak strasznego współzawodnika, zabłysnąć na chwilę przynajmniéj światłem tego złudnego słońca, które przed wschodem prawdziwego czasem się na horyzoncie pokazuje. Dziwny to zbieg dwóch tak różnych duchem poetów w wyborze tego samego a tak nadzwyczajnego przedmiotu. Moore zaręcza że był przypadkowym. Pomimo tego jednak bliźnięce te ich utwory wydają się jak gdyby były owocem zakładu, tak jak *Vampire* i *Frankenstein.* Byron w swojém *Niebo i Ziemia* mniéj razi bezbożnością niż naprzykład w *Kainie.* Moore powściągliwszym jest w *Miłościach Aniołów* niż w opiewaniu własnych. Być może, iż idąc nad samym przepaści brzegiem, oba na większéj mieli się ostrożności. Z tém wszystkiém aniołowie Moora nie budzą współczucia, bo raz się wydają nieujętnemi istotami z samego światła i woni, drugi raz uwodzi-

cielami, którzy by ukryć swe skrzydła przebrali się w romansowych pasterzy.

W *Lalla Rookh* występują już istoty żywiéj nas zajmujące, bo bliższe rzeczywistości. Zanadto idealne, żeby je ludźmi nazwać można, wzbudzają przecież ciekawość wchodząc do akcyi powikłanéj wypadkami mniéj więcéj prawdopodobnemi. Autor całe mistrzostwo swéj sztuki wytężył na przyozdobienie sceny. Roztoczył zdumiewający przepych wschodnich barw i fantazyi. Zadziwia równie obfitością i dokładnością szczegółów jak zręcznością w onych użyciu i zestawieniu w jedną harmonijną całość. Jakiś Anglik, który długo w Indyach przebywał, powiada że czytając ten poemat wydaje się jakby się na wielbłądzie lub słoniu podróżowało. Jest podanie, że Irlandczycy pochodzą od Fenicyan. W saméj rzeczy, mają wiele południowych znamion i w twarzy, i w żwawości ruchów, i w umyśle. Otóż zdałoby się, jak gdyby genjusz południa, od wieków na północy więziony, odżył w powieści Moora. Wróciwszy do krainy słońca, szaleje w upojeniu roskoszy po smugach i toniach odzyskanéj ojczyzny, po tęczach i promieniach rodzinnego nieba. Długie jednak wygnanie zatarło w nim zmysł i pojęcie tego tajemniejszego świata, który się w łonie ludzkiém ukrywa, a który tworzy w Azyi tak odmienne charaktery od europejskich. W *Lalla Rookh* tylko dekoracya jest wschodnią. Osoby działające, o ile zbliżają się do rzeczywistości, o tyle nabywają więcéj właściwości europejskich niż azyatyckich. Z czterech części, z których się *Lalla Rookh* składa, *Prorok Korassanu* najmniéj sprawia zajęcia, bo choć zakrój wyższy niż w innych, powieść gmatwa się wśród wypadków i osób najmniéj prawdopodobnych, często nawet słabnie w pochodzie, tracąc dwa naczelne autora przymioty, jasność i rzutkość. W *Czcicielach Ognia* oba te przymioty poeta w zupełności odzyskuje. *Światło Haremu* ma wiele pięknych wierszy ale wątku mało. Najkrotsza, *Raj i Peria*, najpełniejszą jest treści i najwdzięczniejszą tokiem. Sam wstęp przypomni całą osnowę:

Ranek zabłysnął. Tęskna Peria stoi
Przed progiem wzniosłych Edenu podwoi.

I gdy strumienie żywota usłyszy,
Co jak muzyka dźwięczą w raju ciszy;
I gdy na skrzydłach swych światło obaczy,
Co przez pół-zwartą bramę padło na nie;
Rzewnie zapłacze, że jéj ród tułaczy
Przez krnąbrność stracił tak błogie mieszkanie.

By odzyskać postradane siedlisko, Peria po kolei przynosi: kroplę krwi bohatera ginącego za ojczyznę, ostatnie westchnienie dziewicy umierającéj z poświęcenia dla kochanka i pierwszą łzę skruszonego zbrodniarza. Dopiero za trzecim darem, jako niebu najdroższym, otwierają się przed nią na rozcież rajskie podwoje. Pomysł prześliczny, szkoda tylko że autor chybia w stopniowaniu nadając większą wagę drugiemu darowi nad pierwszym.

W ogóle, *Lalla Rookh* najwydatniéj odkrywa i zalety i niedostatki Moora. Tu się one równoważą, tu więc najsnadniéj daje się objąć natura jego geniuszu. Nigdy on nie sięga w głąb przedmiotu, ale go tylko opływa, oblewając światłem po wierzchu. Czuły jedynie na zewnętrzną stronę, omija wszystko, co nie jest uroczem aż do cudowności. Jeżli zdarzy mu się spotkać przedmiot ułomny lub upośledzony, to co prędzéj rzuca nań śrebrną zasłonę jak na twarz Proroka Korassanu. Gdyby przynajmniéj nadobne postacie oddawał z prawdą życia, lecz pełnych wizerunków nie umie kreślić. Zajmują go jeno pojedyncze wdzięki, jak gdyby inwentarz ich spisywał, nawet nie wdzięki, tylko jakieś oderwane ich własności, niby ulotnione powaby. Chwyta uśmiech, dźwięk głosu lub rumieniec, i igra z nim aż do znużenia, zapominając o osobie, bez któréj one są czczym blaskiem lub marnem echem. Spostrzegamy promień, słyszymy odgłos, ale człowieka przed sobą nie widzim. Do najpełniéj nawet odwzorowanych, lecz wyłącznie samych pokaźnych i czarujących postaci, nie godzi się poezyi ograniczać. Zmalałaby nieskończenie jéj dziedzina. Nie byłoby przestrzeni ani dla dramatyczności, ani dla imaginacyi. Wkrótce zabrakłoby nowych kształtów, a drobna liczba wciąż powtarzających się obrazów sprowadziłaby znużenie i ckliwość. Poeta, który wyrywa jaki przedmiot, wypadek lub osobę z przyrodzonego otoczenia, nie zdoła długo utrzymać

zajęcia, choćby te pojedyńczości jak najwznioślej uidealizował. Tylko w połączeniu z sąsiedniemi i pod tchnieniem wiecznie pałającego, nigdy niewyczerpanego serca ludzkiego, zdobywają one ruch, głębokość i rozmaitość życia. Któż jednostajności w poezyach Moora nie widzi? Ratuje go jedynie żwawość, z jaką się w swém ciasném kółku obraca, ześlizgując się z jednego promienia na drugi. Wprawdzie, i kontrastów mu nie brak. Obok drżących z radości skrzydeł i uśmiechów, pełno wszędzie łez i westchnień. Wszelako nie są to objawy wewnętrznego świata, po których skazówce poeta winien sięgać do tajemnic duszy, jeno nikłe po wierzchu cienie dla podniesienia blasku i uroku. Łza tu służy by odbić promień, westchnienie by poruszyć woń z kwiatu lub przemienić się w dźwięk na arfie eolskiéj. Od światła, które bije z duszy, zwłaszcza jeźli się wylewa na oblicze łuną namiętności, Moore odwraca oczy, rzekłbyś z obawy by połysku zewnętrznéj powłoki nie zgasiło i nie zmusiło go do zajrzenia w ukryte pod nią źródło. Porównaj go z Byronem, a spostrzeżesz całą od bieguna do bieguna przestrzeń między poetą namiętności a poetą fantazyi, i poznasz od razu na jakie przepaście jedna a na jakie mielizny druga prowadzi, skoro się nie kierują miarą i prawdą rzeczywistości. Najpoważniejszy nastrój w Moorze przechodzi w igraszkę. Byron jeżli się kiedy uśmiechnie to zarazem zgrzyta zębami. Tamten bawi się z swym przedmiotem, głaszcze go, pieści się z nim, aż go w złudzenie nie rozpowietrzni. Ten porywa swą ofiarę, owiewa ją tchem śmierci, a potém odwraca się od niéj ze wzgardą i obrzydzeniem. Drzewo życia dla Moora zawsze zielone i w wiośnianym kwiecie, — Byron nagie i odarte z kory póty kaleczy, aż mu się nie ozwie jękiem i przekleństwem. Jeden szuka wszędzie szatanów, drugi ściga samych aniołów. Gdyby się mogli zejść po środku drogi, możeby napotkali człowieka. Mówię tu o rodzaju poezyi, bez względu na nierówny stopień geniuszu dwóch poetów i na doniosłość moralną ich wpływu. Ktoby zaś w literaturze téj epoki chciał znaleźć równego Moorowi pod względem talentu, a wręcz sprzecznego w sposobie, niech Crabbego weźmie. W istocie stali oba, jak wy-

sunięte czaty, na przeciwległych stanowiskach obozu literackiego. Crabbe wpadł w jedną ostateczność biorąc nagość za prostotę, Moore o mało nie przekroczył w drugą, nakładając ozdoby na ozdobach, i w krasie zewnętrznéj upatrując zdrój życia. Od popadnięcia w wytworność trefnisiów poetycznych zeszłego wieku, przeciw którym Crabbe wywarł wpływ tak stanowczy, uchowała go bystra lotność f ntazyi i niezrównany zmysł harmonii. W sferze, w któréj się zamyka, wyczerpnął wszystkie możebne kombinacye barw i dźwięków. Co za bogactwo porównań, jaka czystość tonu, jaka jasność pomimo tej nieoznaczoności, która jest tak uroczym przymiotem muzyki, ale która nie dozwala jéj mienić się jeno młodszą siostrą poezyi. Moore téż jest więcéj muzykiem niż poetą. Czaruje, upaja, wprawia w senną lubość, rodzi w duszy wieszcze nastrojenie, ale jéj „po imieniu" nie wita, nie wyostrza myśli, nie potęguje ducha.

I *Melodye irlandzkie* są prześliczną muzyką, tem wspanialszą, że utrzymaną we właściwem sobie zadaniu, gdyż odziewa tu ona harmonią tonów jak najwyrazistsze myśli. Poeta natrafił na źródło prawdziwego i uroczystego uczucia, to zaś dało mu jędrność i prostotę. Dotknąwszy się rzeczywistości, zmężniał, spoważniał, a wrodzonemu polotowi nic nie zaszkodził, owszem okazuje większą sprężystość niż w późniejszych utworach, bo nie trwoniąc sił na bujaniu po fantastycznych kręgach, wzbija się wprost do góry. Gdyby był nie zaprzestał coraz głębiéj w tym zdroju czerpać, byłby może stworzył epopeję irlandzką. *Lalla Rookh* usłała mu kwieciem i czarodziejstwem wschodu szeroką drogę do wziętości, i ze wszystkich dzieł jego najwięcéj czytelników zawsze mieć będzie, ale pod względem poezyi jest już schyłkiem ku zwątleniu, a *Miłości Aniołów* prawie upadkiem. Szczyt więc, do którego się wzniósł z poziomu lekkich i satyrycznych wierszy, a z którego zsunął się następnie w mgły fantazyi, szczyt promiennem i czerstwem powietrzem owiany, stanowią *Melodye.* Nie wszystkie przecież zasługują na jednakową pochwałę. Znaczną część należałoby zaliczyć w oddział piosnek ulotnych i anakreontyków. Nawet między najcelniejszemi nie-

które za nadto jeszcze rażą romansową czułostkowością. Zarzucano także Moorowi zbyt idealną miłość ojczyzny. W rzeczy saméj, z jego łez za przeszłością nie wynurza się stanowczo myśl o przyszłości. Więcéj wszędzie wątłego żalu i pogrobowéj tęsknoty za minioną chwałą niż pobudek do hartu i dzielności w obecnym czasie. Niekiedy nawet wydaje się jak gdyby już nie myślał o niepodległym bycie ojczyzny, ale tylko błagał jéj władzców o sprawiedliwość i pokój. Tak się naprzykład odzywa do Erinu zaraz w trzeciéj z porządku melodyi:

Łzą i uśmiechem twoje oczy płoną,
Jak tęczą na twych niebiosach zwieszoną.
Ćmiąc się w radości, lśniąc w smutku powodzi,
    Twe słońce płacze gdy wschodzi.

Cicha łza twoja nigdy nie przeminie;
Ni mdły twój uśmiech wzmoże się, Erinie,
Aż się twe różne barwy tak nie sprzęgą,
    Jak w tęczy, pokoju wstęgą.

Polski śpiewak byłby zamiast pokoju niezawodnie wolność postawił. Moore, pojony pochlebstwami i obietnicami Anglików, boi się za silnie uderzyć w strunę patriotyczną, oszczędza ciemiężców, a uciemiężonym ciche łzy i tajemną żałobę zaleca. Taką też nad grobem jednego z męczenników irlandzkich daje ziomkom radę w czwartéj melodyi pierwszego oddziału:

Nie wspominaj nazwiska, niech w cieniu spoczywa,
Gdzie zimne, nieuczczone jego zwłoki leżą;
Z oczu naszych niech ścieka łza cicha i tkliwa,
Jak rosa, co tam pada na mogiłę świeżą.

Choć nocna rosa cicho osiada na grobie,
Wnet na nim ziemię w bujną zieloność poruszy,
Tak i łzy, które ronim w tajemnéj żałobie,
Pamięć jego na zawsze umają nam w duszy.

Nie do obecnych lecz do nader dawnych czasów, nie do Anglii lecz do Duńczyków zwraca się, gdy następującą myśl w samym wstępie w wojennéj pieśni wyraża:

Czyż dla tego natura odziała tak błogo
I w tak czarowne barwy twe góry i łany,
By na nich niecne ślady tyran ył swą nogą,
I ziemię tłoczył srogiemi kajdany?

Swobodo, któréj uśmiech świeci nam na niebie,
Powiedz dumnym ciemiężcom, tak ufnym w swéj sile,
Że nam snadniéj w krwi broczyć i sto lat dla ciebie,
Niźli w kajdanach spać choć jedną chwilę.

Aby nie wybierać, wziąłem z umysłu trzy początkowe melodye na okazanie, że zarzut zbytecznéj oględności ma niejaką podstawę. Atoli osłona tak jest tu przejrzystą, że każdy odgaduje od razu co w istocie miał poeta na myśli. A ileż natomiast jest gdzieindziéj dobitnych zwrotów do czasu, w którym żył. Raz narzeka:

Wolność, złożona dziś we snu łoże,
Wtedy się tylko znów w życie budzi,
Gdy serce pęknie któremu z ludzi,
Co znieść niewoli nie może.

To unosi się w radośne przepowiednie i nowe życie Erinowi zwiastuje:

Upadają narody, a tyś wiecznie tak młody.
Gdy zachodzi słońc tyle, twoje zejdzie za chwilę.
Choć stał nad twą kołyską mrok niewoli tak blisko,
Jeszcze tobie przecudnie błyśnie swobód południe.
Z długich cieniów, Erinie, twoja gwiazda wypłynie,
I gdy wzbije się jasno, najdumniejsze zagasną.

Trzeba przytém pamiętać, że Moore pisał te pieśni w czasach, w których nadzieje Irlandyi raz się wznosiły, drugi raz upadały, i ztąd różnica w jego tonie. W jednéj melodyi radośnie opiewa zwycięztwa Wellingtona, zwie go zaszczytem Irlandyi, wyswobodzicielem narodów, w drugiéj przeklina pochód téj chwały, która stąpa po ruinach wolności i cięższe jeszcze niż przedtém jarzmo wkłada na ludy. Tu z uniesieniem chwyta za arfę przysięgając, że aż do ostatniego tchu głosić będzie wielkość i szczęście świata już na wieki wyzwolonego, owdzie znowu zrywa wszystkie na niéj struny, zarzekając się pieśni na zawsze:

„Nie shańbią cię kajdany,“ rzecze minstrel młody,
„Twój duch z boleścią męztwo zespoli.
„Arfo, na któréj ziomkom grałem w dniach swobody,
„Nie zabrzmisz nigdy w niewoli.“

Według przyjętego prawidła szukając wiersza, któryby najrzetelniéj objawiał duchowe jestestwo poety, nie znajduję nic wyrazistszego nad następującą melodyę. Tak ona doskonale odbija sprzeczne jego uczucia i treść żywota, że możnaby ją wyryć mu na grobowcu. Nią też życiorys ten zamykam.

O nie wiń Barda, jeżli tam przebywać woli,
Gdzie się roskosz uśmiecha, na sławę niedbała.
On zrodzon do dzieł większych, i w szczęśliwszéj doli
Dusza byłaby świętszym ogniem mu gorzała.
Struną, która się zwiesza na lutni ospale,
Byłby dzielny łuk ciskał wojownika groty.
Temi usty, co kwilą dziś miłośne żale,
Byłby pełny nurt buchał z serca patrioty.

Lecz runęła ojczyzna, zgasło chluby życie.
Złaman duch, który nie chciał zgiąć się ani skłonić.
Jéj dzieci na zwaliskach muszą wzdychać skrycie,
Bo zdradą jest ją kochać, a śmiercią — jéj bronić.
Nic nie znaczą jéj syny, póki nie umieją
Zejść w zaprzańców, i shańbić swych przodków imiona.
Pochodnię, która wiedzie dostojeństw koleją,
Chwytać muszą ze stosu, gdzie ojczyzna kona.

Więc nie wiń Barda, jeżli w miękkim śnie roskoszy
Chce te, co się nie goją, zapomnieć katusze.
Daj mu tylko nadzieję, niech choć chmurkę spłoszy
I nad krajem kir przedrze, a ujrzysz w nim duszę.
Wtedy on przed ołtarzem swéj ojczyzny złoży
Wraz wszelką płochość z serca i obłęd młodzieńczy,
I mirtem, co mu głowę w liść oplata hoży,
Jak laurem Harmodjusza, swój oręż uwieńczy.

Choć zgasł blask twój, Erinie, choć nikną nadzieje,
Twe imie w jego pieśniach usłyszą potomni.
Nawet w chwili gdy radość w sercu mu szaleje,
On ciebie i krzywd twoich nigdy nie zapomni.
Żałosny głos twój wstrzęsie cudzoziemca łany,
Za morza przejdą jęki twéj arfy tułacze,
I sam wróg wstrzyma rękę, co kuje kajdany,
Gdy usłyszy pieśń jeńca, i przecież zapłacze.

Tomasz Campbell (1777—1844).

Znajdzie się pewnie pióro polskie, które godnie uczci pamięć Campbella obszernym i dokładnym życiorysem. Jam już o nim tyle razy wspominał i jako o niezłomnym zwolenniku sprawy naszéj i jako o literacie, że tu mi pozostaje tylko ułożyć w ciąg chronologiczny główne wypadki jego życia, wymienić dzieła i przytoczyć w przekładzie parę wyjątków z poezyi, które Polsce poświęcił.

Urodził się w Glasgowie 27 lipca 1777, z dawnego ale zubożałego w ostatnich wiekach domu. Ojciec jego prowadził za młodu zyskowny handel z Ameryką, lecz straciwszy majątek, byłby na stare lata popadł w nędzę, gdyby nie wsparła go zabiegłość żony, która przyjmując studentów na pensyę, utrzymywała przyzwoicie całą rodzinę i łożyła na staranne wychowanie syna. Ten zaraz w szkołach począł się odznaczać tak pilnością w naukach jak łatwością w układaniu zgrabnych i gładkich wierszy. Już wtedy za poemat *O początku złego* otrzymał publiczną nagrodę. W uniwersytecie stał na czele wszystkich uczniów w języku greckim. Przekładem niektórych scen z *Obłoków* Aristofanesa zdziwił najsurowszych między profesorami sędziów. Tu nie zawadzi uwaga, że wszyscy znamienitsi poeci angielscy naszego wieku, czy klasycy czy romantycy, celowali w znajomości starożytnych języków. Przeszedłszy z Glasgowa na uniwersytet edymburski, Campbell długo się wahał w wyborze między duchownym a prawniczym zawodem. W końcu zrzekł się obu, a zajął się to przysposabianiem uczniów do szkół i do uniwersytetu, to robotą literacką, jaką mu się zdarzyło znaleść u księgarzy. Wśród tych mozołów, nad niemiłą zwykle i niewdzięczną pracą ślęcząc dnie i noce w ciasném a ciemném mieszkaniu przy Alison square, napisał *Roskosze Nadziei*, które wydał w 1799. Miał wtedy lat 21. Jakie poemat ten sprawił wrażenie i jaką natychmiast wziętość zyskał, już z tego wnieść można, że cztery wydania rozkupiono zaraz w pierwszym roku. Poeta zbierał pochwały, a księgarz pieniądze, bo za nabycie na wyłączną własność zapłacił mu tylko 60 f. s. To przypomina

owe 5 f. s. które Milton za *Raj Utracony* dostał. W 1800 udał się Campbell do Niemiec. Do Ratyzbony przybył właśnie w chwili, w któréj zwycięzkie wojska francuzkie pod to miasto podstępowały. Z wałów przypatrywał się bitwie na pobliskich polach stoczonéj. Zajęła go osobliwie szarża wykonana przez jazdę Klenaua. Wtedy zapewne obudził się w nim ten duch, który miał stworzyć tyle wojennych hymnów i pieśni. Była to najpłodniejsza w jego życiu epoka. Z nad Elby i z nad Dunaju przesyłał wciąż wiersze do dziennika *Morning Chronicle.* Jeden z tych wierszy, *Wygnaniec Erinu,* naraził go za powrotem do Anglii na podejrzenia ze strony rządu, który jeszcze nie był ochłonął ze strachu powstaniem Irlandyi wznieconego. Około tego czasu *Hohenlinden* i *Ostrzeżenie Lochiela* przysporzyły poecie niemało sławy. W 1803 przeniósł się do Londynu na stałe mieszkanie. Tu, dla zarobku, musiał się często oddawać pracom nieodpowiednim swéj skłonności i talentowi. Dostarczał artykułów *Encyklopedyi edymburskiéj.* Wydał także *Historyę Anglii od wstąpienia na tron Jerzego III do pokoju w Amiens*, w trzech tomach. Mimochodem jednak wstrząsał serca ziomków wojennemi pieśniami jak owe *Wy Marynarze Anglii* i *Bitwa na Baltyku.* Wzbudzona niemi wdzięczność narodowa poczynała się domagać u rządu by mu swobodniejsze życie zapewnił. Nareszcie w r. 1806 Fox wyrobił mu roczną ze skarbu pensyę. W 1809 r. wystąpił Campbell z nowym poematem *Gertruda z Wyoming.* W nadobnym tym utworze znać już przeważający wpływ szkoły romantycznéj. Pobyt jednak w Londynie nie sprzyjał wieszczéj jego twórczości. Porwała go fala, na któréj tyle zdolności w naszych czasach rozprasza się i niszczeje. Gorączkowe, nęcące powabem upajającéj acz przelotnéj głośności, a jak w Anglii zyskowne współpracownictwo w dziennikarstwie i literaturze peryodycznéj, odwodziło go od prac wytrawniejszych. W wirze tym nabył drażliwości, która z wiekiem coraz bardziéj szorstką się stawała. Gwałtem wciągany w koło wielkiego świata, musiał także spłacać dług modzie, co jeźli wpłynęło nieco na jego powierzchowność, jak to gdzieindziéj wspomniałem, nie nadwerężyło wcale wewnętrznéj jego

prostoty. Ile razy tylko mógł, wymykał się dla odetchnienia do Francyi lub do Niemiec. Powróciwszy z jednéj z takich wycieczek, wydał w 1819 nader szacowne dzieło w 7 tomach pod tytułem *Wzory zebrane z poetów angielskich*. Dokładność i malowniczość życiorysów w połączeniu z trafnością uwag krytycznych, nadają temu dziełu nieprzemienną wartość. Wiersze jeszcze umieszczał czasami w *New Monthly Magazine*, którego naczelne redaktorstwo sprawował od 1820 do 1830. Z tych *Ostatni Człowiek*, znany z przekładu Niemcewicza, w sile nie ustępuje osnutéj na tym samym prawie pomyśle poezyi Byrona *Ciemność*, a jakżeż wznioślejszą naukę przedstawia. W 1824 ukazało się kilka razem poematów Campbella, między któremi *Theodric* główne zajmuje miejsce. Niepomału krzątał się on w owych latach około założenia uniwersytetu w Londynie. Nim jednak ujrzał dojrzewający owoc swych zabiegów w tym kierunku, uniwersytet glasgowski wybrał go swym rektorem. Godność to wprawdzie tylko honorowa, ale piastowana najczęściéj przez możnych panów, rzadko kiedy spada na ubogich literatów. Zaszczyt tém był okazalszym, że go ponowiono przy następnym wyborze w 1829. Powstanie listopadowe wstrząsnęło całą organizacyą duchową Campbella. Ożył, odmłodniał, wrocił do wiosennych swych natchnień i nadziei. Porzucił wszystkie zajęcia a oddał się sprawie naszéj. Pod jego przewodnictwem powstało Towarzystwo literackie Przyjaciół Polski. Poruszając dzienniki, szturmując wciąż do rządu i parlamentu, prowadząc sam najrozleglejszą korespondencyę, by zachęcić wszystkie ważniejsze miasta do mityngów i stowarzyszeń dla popierania usiłowań polskich, wydając pismo peryodyczne *Polonia*, nie zaniedbywał przyzywać dawnéj poetycznéj potęgi i ostatni raz swą lutnię dla Polski nastrajał. Skołatane zdrowie zmusiło go w 1834 do opuszczenia tego kłopotliwego stanowiska. Już odtąd mało mógł pracować i od świata niemal całkiem się usunął. Lekarze wysłali go do Algieru. Po powrocie ztamtąd wydał zajmujący opis swéj podróży. Ogłosił także poemacik *Pielgrzym z Glencoe*, słaby, widocznie napisany daleko dawniéj i zapewnie odrzucony, a teraz na jaw wydobyty by na-

tręctwo jakiegoś nierozważnego przyjaciela lub księgarza zaspokoić. Przedmiotem jego przecież jest wypadek niezmiernie dramatyczny, bo podstępne wyrżnięcie mieszkańców doliny Glencoe za czasów Wilhelma III w 1692. Pisał jeszcze żywot Petrarki, biografię sławnéj aktorki Siddons, i do ostatka dni swych układał wielkie dzieło o literaturze greckiéj, którego ramy, na samym wstępie w zawód literacki zakreślone, wypełniał przez całe życie, dając przykład rzadkiéj wytrwałości. W 1843 osiadł w Boulogne, i tam téż umarł 15 czerwca 1844. Zwłoki sprowadzono do Londynu i pochowano w Westminster Abbey. Pogrzeb odbył się z niezwykłą świetnością. W żałobnym orszaku, złożonym z najznakomitszych literatów, artystów, członków obu izb, ministrów i ludzi stanu, zwracała wszystkich oczy deputacya Polaków, może najgłębiéj opłakujących stratę, która dla nich na chwilę nawet oblicze nadziei smutkiem przesłoniła. Dr. Beattie ogłosił późniéj wybór z jego korespondencyi, z pełnym szczegółów życiorysem.

W porównaniu z płodnością współczesnych rymotworców, poetyczna spuścizna po Campbellu wydaje się nader skromną. Wszystkie jego wiersze, dziś razem zebrane, jeden mały tom obejmuje. Wcześnie zaczął swój zawód i rychło w nim ustał. Prawda nakazuje także wyznać, że nie spełnił oczekiwań, pierwszym utworem wzbudzonych. Ale wszystko co zostawił, odznacza się równie namaszczeniem poetyczném jak wzniosłością moralną. To doskonałe skojarzenie umysłu z sercem, stałych i zacnych przekonań z obfitością natchnienia, stawia go wyżéj nad świetniejsze i zuchwalsze geniusze téj epoki. Nigdy on nie tworzy ze zwyczaju, dla rozrywki lub igraszki, ale z najczystszych sumienia pobudek. Nie ubiega się za żadną osobliwością, nie szuka siły w sztuczném natężeniu, woli wiersz prozaiczny, niż ustrojony w błyskotki lub wymęczony w wytworność. Zajęty jedynie dostojnością swego powołania, nie narzuca się światu wymysłami osobistych żalów i skarg samolubnych. Tyle miał przeciwności w życiu, tak ciężko nieraz musiał dla zarobku pracować, a cierpkiego wiersza nigdy ani przeciw ludziom ani przeciw losom nie ogłosił. Dzielnie w duchu skupiony, poziera wciąż w niebo, podnosząc się do

Boga wiarą i nadzieją, jakby dwoma skrzydłami, z dolegliwości i ucisków świata. Nie znajdziesz w nim nigdzie ani rozerwania ani rozstrojenia, nie napotkasz szyderstwa, jeno poważne, nieustanne przeczenie złemu, a cześć i podnietę dla wszystkiego co zacne i cierpiące. Wszędzie nawołuje do obowiązków, do twardego życia i ofiary. Nie zmruża oka na żadną zdrożność, nie wchodzi w układ z żadnym fałszem; żywo pojmując wszelką biedę ludzką, starannie chroni się wystawności uczucia, westchnienie u niego nie na ustach, lecz w głębokości serca się rodzi, a każda łza jest prawdziwie *sanguis animae.* Potęga słowa odpowiada w nim wszędzie sile myśli. Trafność wyrażenia, ogłada, poprawność, tak mu są przyrodzone, że jeźli miejscami grzeszy zawiłością, to nigdy przymusem lub naciąganiem. Niektóre z jego wierszy przeszły już w potoczną mowę ludu, stały się przysłowiami. Zgoła, obok Wordswortha, wyobraża on najszlachetniejszą stronę tego okresu. Jeźli posiada mniéj twórczości niż tamten, to znowu szerzéj obejmuje myślą i uczuciem współczesne człowieczeństwa losy. Wieszcz i obywatel zarazem, nie zamyka się w odrębności narodowéj, choć nikt chwały ojczystéj wznioślej od niego nie opiewał, ale szuka braci po całym świecie, i zasnuwa węzeł wzajemnéj odpowiedzialności między ludami. Tacy jak on pisarze nie odkrywają nieznanych dotąd światów, ale bogacą i uzacniają ten, który ich otacza, nie nadają swego nazwiska żadnemu nowemu rodzajowi poezyi, nie doskonalą rymotwórczéj sztuki, ale kształcą społeczeństwa. Stróże narodowego ducha, prostują jego drogi wśród zwątpień, pokus i omamień, i z jednego wieku w drugi podają sobie pochodnię życia, — *quasi cursores vitae lampada tradunt.*

Rzadko się zdarza aby który poeta zaraz przy pierwszém wystąpieniu okazał obok uderzających zdolności taką dojrzałość ducha, jak Campbell w *Roskoszach Nadziei.* Utwór ten wydaje się raczéj owocem sędziwego wieku niż kwieciem wiosennego natchnienia. Niewprawę i wybujałość młodości zdradza tylko zbytek przenośni, nie zawsze wymiarkowana należycie ścisłość w porównaniach, brak dostatecznego spojenia między ustępami, co poniekąd z saméj natury dzieła pocho-

dzi, i nadmiar zwrotów i obrazów spowszedniałéj klasyczności. Zarys wspaniały, lecz należycie nie wypełniony. W wielu miejscach treść nie odpowiada tytułowi. Ale męzkość tonu i potęga przekonania góruje nad wszystkiem, i nie daje nam zważać na usterki i niedostatki. Poeta obejmując tęczą nadziei utrapienia tak pojedyńczego jak zbiorowego człowieka, wskazuje za każdym krokiem niebo i nieśmiertelność. Jedną miarą wydziela swe sądy na wszystkie zbrodnie. Jeźli gromi najeźdzców Polski, to również nie przebacza własnym ziomkom i piętnuje zasłużoną sromotą barbarzyństwa ich w Hindostanie. Te dwa ustępy, jeden poświęcony Polsce, drugi Indyom, są główną ozdobą poematu. Estetycy angielscy równą im przypisują wartość. Dla Polaka nie może być wątpliwości w wyborze. Ograniczę się więc do pierwszego w następującym przekładzie:

Święta Prawdo! Z rąk berło nagle ci wypadło,
I twéj siostrze, Nadziei, zniknął uśmiech z twarzy,
Gdy spiknione na Wolność trzech tyranów stadło
W bój pchnęło swych kozaków, knechtów i husarzy,
Sztandar strachu powiewom rannym się najgrawa,
Grzmotom bębnów wtóruje trąb chrapliwych wrzawa;
Gwałt, mord i krwawy zamęt idą na ich przodzie,
Zwiastując wojnę Polsce i świata swobodzie.

Wbiegł ostatni wódz polski na szańce Warszawy,
Widzi tylko zniszczenie wśród ojczystych błoni.
„Drogą ziemię — zawoła — zbaw Boże łaskawy!
Żadnaż z nieba prawica mężnych nie osłoni?
Lecz chociaż wróg spustoszył nasze błogie łany,
Wstańcie rodacy, jeszcze żyje kraj kochany;
W jego imie przysięgę wznieśmy tém żelazem,
Że każdy dlań żyć będzie lub z nim umrze razem.“

Rzekł, — wnet garstka rycerzy na głos bohatera,
Męstwem nie liczbą silna, staje u przedmurza,
Wolnym a pewnym krokiem w dzielny szyk się zwiera,
Cichy jak ranny powiew, lecz straszny jak burza.
Przez chorągwie pomyka lekko szmer stłumiony;
„Zemsta lub śmierć“, brzmi hasło. Wszechmocnemi tony
Pieśń narodowa duszę upaja roskoszą,
A ostatnią pobudkę jęki dzwonów głoszą.

Napróżno, garstko mężnych, twe piorunne strzały
Szeregi po szeregach wciąż wrogom zmiatały.
W księdze czasu najkrwawszy to obraz i zakał,
Polska padła bez zbrodni, nikt po niéj nie płakał,
Nigdzie litośnych wrogów, ni przyjaciół żadnych,
Ni sił własnych ni wsparcia, wszędzie gwałt i zdrada;
Więc upuszcza strzaskaną włócznię z rąk bezwładnych,
Zwiera oczy, i z górnych lotów w jarzmo spada.
Nadzieja na czas światu przestała być wróżką,
I Wolność z bolu jękła, kiedy legł Kościuszko.

Słońce zaszło, a jeszcze rzeź tam nie ustała,
Wzrasta aż do północy mordercza nawała.
Już i most Pragi w ogniu. Rzeka krwią kipiąca
Z rykiem o jego barki swe fale roztrąca.
Szturm się wzmaga, ostatni szaniec już upada,
Dziki krzyk wznosi zewsząd strach i rozpacz blada.
Pękają i w nurt lecą palące się przęsła,
Miłosierdzia tysiączne próżno żebrzą dłonie,
Ziemia drży, niebo krocie meteorów zionie,
Na krzyk ten cała zgrozą natura się wstrzęsła.

Gdy Wolność legła w grobie, sprawiedliwe nieba,
Gdzież był oręż co broni i zbawia gdzie trzeba?
Gdzież twoje ramie, Zemsto, gdzież twa chłosta sroga,
Co w pył ścierała wrogów Syonu i Boga,
I co zgniotła Amona, gdy w żelaznym wozie,
Grzmiącym jak piorun, jeździł i w dumie i w grozie?
Gdzież burza, co snem zdjęta czekała w odwodzie
Póki Faraon wojsko wiódł krawędzią ziemi,
A gdy odszedł, kazała wzdąć się strasznéj wodzie,
I rzuciła ocean w głąb za idącemi.

Duchy potężnych mężów, którzy krwią zrosili
Leuktrę i Maraton, uzbrójcie w téj chwili
Człowieka znów w wasz oręż! Świata przyjaciele,
Wzniećcie bój w jego sprawie i stańcie na czele!
Pomścijcie krzywdy Polski, męki i łzy krwawe,
I uczyńcie jéj ramie tak szczęsném jak wasze.
O! niech wróci do walki za Wolności sprawę,
I raz jeszcze miecz dla niéj Tell i Brus przypasze![1])

---

[1]) Robert Bruce.

Wnet ujrzą twe ciemiężce, kraju nieszczęśliwy,
Że człowiek śmie być wolnym, że nie brak mu duszy.
Noc bez gwiazd, noc zniszczenia, twoje tęskne niwy
Krótko omraczać będzie. Wnet Prawda świat wzruszy,
Wróci mu światło, stawi na słonecznym kresie,
I jako Prometeusz ogień z nieba zniesie.
W proch się rozpadnie brzemie Ucisku olbrzymie,
I wraz spełznie ze świata jego byt i imie.

Czego nie dostawało *Roskoszom Nadziei* to *Gertruda z Wyoming* posiada w pełnym wdzięku, świeżość młodzieńczą, uroczą tkliwość, prostotę wieśniaczą, pasmo wypadków ujęte w przedziwną całość, szczęśliwie pochwycone rysy charakterów, i tok wyzwolony zupełnie z rutyny klasycznéj. Rzecz dzieje się w kwitnącéj osadzie, wśród odwiecznych borów i dziewiczych łąk Pensylwanii. Składają ją wychodźcy z rozmaitych stron Europy. Urząd sędziego sprawuje między nimi Albert, rodem Anglik, który postradawszy młodą żonę widzi całe swe szczęście w nadobnie wzrastającéj swéj dziecinie. Cichość ich domową przerywa jednego razu przybycie indyjskiego wodza Outalissi. Ten przyprowadza z sobą kilkoletniego chłopca, którego rodzice zginęli przy obronie jednego z sąsiednich okopów przeciw Indyanom z nieprzyjaznego Anglikom pokolenia. Albert przyjmuje go do swego domu, bo to syn rodaka i dawnego przyjaciela, i wychowuje go razem z swą córką. Między rowiesnemi dziećmi budzi się wczesna miłość, chociaż tego uczucia nazwać jeszcze nieumiały. Ale wtém odwołuje rodzina dwunastoletniego Henryka do Anglii. Dopiero po upływie lat wielu wraca on, by się połączyć z ukochaną dziewicą. Właśnie pod ten czas poczęła się wojna amerykańska. Ledwie Henryk poślubił sobie Gertrudę, zjawia się znowu Outalissi z ostrzeżeniem, że Mohawkowie, wyciąwszy całe jego plemie, gotują się do napadu na okoliczne osady. Wnet znaki niemylne potwierdzają to ostrzeżenie. Zbliża się do Wyoming wojenna nawała. Następuje bitwa. Dzielnie walczący Henryk nie zdołał od śmierci zasłonić najdroższych sobie istot. Albert i Gertruda giną. Indyanie całą osadę niszczą do szczętu. Wypadek to prawdziwy. Zdarzył się w 1778. Opis morderczéj walki Campbell skreślił z tą niezrównaną siłą, która tak wzmaga

się w nim, ilekroć wojenne zapasy ma opowiadać, jak w duszy bohatera na szczęk oręża lub pierwszy wystrzał. Nic podobnego nie ma w nowoczesnéj literaturze angielskiéj, chyba obraz bitwy w *Marmionie* Walter Scotta. Niemniéj szczęśliwie oddał pogodne strony swéj powieści. Wiernie pochwycił powaby sielskiéj swobody i wdzięki pierwotnéj natury. A jakże delikatnym pędzlem maluje budzącą się miłość między Henrykiem i Gertrudą. Pędzel znowu zamienia na dłuto, gdy wystawia dwie posągowe, majestatyczne postacie: sędziwego Alberta i niemniéj patryarchalnego Outalissi, tak różne rodem i wykształceniem, a tak zbliżone do siebie zacnością i męztwem. Powieść jest prosta, zarys nieobszerny, wypadków mało, ale poeta zręcznemi rzutami światła i cienia napełnia swój obraz wspaniałym ruchem i wywołuje tłum najrozmaitszych wrażeń.

Najbliższy powyższemu rozmiarem ale nie wartością jest poemat *Theodric*. Treść wzięta z domowego wypadku, dość zgrabnie zasnuta ale niedostatecznie przy końcu rozwikłana, nie sprawia wrażenia. Campbellowi najswobodniéj w żywiole wojennym, jak naprzykład gdy opiewa bohaterstwo Szkocyi w *Ostrzeżeniu Lochiela*, lub dawne rycerstwo Irlandyi w *Dziecku O'Connora*. Często kilku śmiałemi pociągami pióra umie uprzytomnić cały ruch bojowy. Pod tym względem uznano *Hohenlinden* jako arcydzieło. Cóż dopiero mówić o tych wojennych pieśniach jak *Bitwa na Baltyku* i *Wy Marynarze Anglii*, które już się stały hymnami narodowemi, i pierwsze zajmują miejsce po *God save the king*. Powtarzają je zawsze Anglicy z równém uniesieniem czy przy uroczystościach czy w boju, czy przy ucztach na lądzie czy w burzy na pokładzie okrętowym. Niemi każdy majtek żegna swą ojczyznę, niemi ją wita. One téż nadały Campbellowi dostojeństwo narodowego poety. Żaden inny wieszcz w téj mierze równać się z nim nie może, bo żaden inny nie wsiąkł tak w serce i pamięć swego ludu.

Campbell miał zamiłowanie w pisaniu ballad. Stanowią one znaczną część jego poezyi. Przedmiot niejednéj mógł był mu posłużyć do poematu, ale wstrzymywała go zawsze jakaś

trwożliwa wątpliwość, czy nie osłabnie w przestronniejszych rozmiarach. Jakżeż jednak śmiałym bywa w pomysłach. Trzeba było niepospolitego ducha by powziąść taką myśl jak w *Ostatnim człowieku*, niepospolitéj odwagi by ją w obraz ułożyć, i niepospolitéj sztuki by się tak wybornie z trudnego zadania wywiązać. Dreszcz przejmuje czy się z téj otchłani, którą poeta roztwiera przed nami, nie wydrze jęk rozpaczy lub przekleństwo, aż tu przeciwnie, ostatni z adamowego plemienia, otoczon szkieletami wymarłych narodów i całą okropnością ziemi rozpadającéj się w gruzy, stoi niewzruszony, i gasnącemu na wieki słońcu powiada, że nic nie zdoła zaćmić jego nieśmiertelności i wstrząsnąć wiary w Boga, bo kiedy wszystkie słońca spełzną w ciemność, duszę jego rozpromieni ten, który wydarł żądło śmierci a grobowi zwycięztwo. Równie wzniosłą naukę powtarza Campbell w kilku innych poezyach. Możnaby szczególniéj polecić tłomaczom polskim następujące: *Wiersz napisany w Argyleshire*, *Widok z St. Leonards*, *Sen*, *Mężowie Anglii*, *Uświęcona ziemia* (Hallowed Ground). Między politycznemi rymami Campbella znajdują się pełne zapału odezwy do Greków, Hiszpanów, Niemców, ale te wszystkie ustępują w sile poezyom poświęconym Polsce. Z tych ostatnich jedną napisał zaraz po wybuchu powstania listopadowego, drugą po onego upadku pod tytułem *Potęga Rossyi*, trzecią dedykował Burdettowi w hołdzie za jego szlachetne ozwanie się w sprawie naszéj przy wniosku Evansa w izbie niższéj na dniu 7 sierpnia 1832. [1]) Lubo wiersze te, pod naciskiem okoliczności i w politycznych celach kreślone, posiadają więcéj wymowy niż poetycznych zalet, więcéj polemicznego niż lirycznego tonu, dla nas są niepożytéj wartości. W nich znajduje się jakoby testament jego polityczny, a nawet i poetyczny, jeźli weźmiemy na uwagę te osobliwie słowa, w których przekazuje pochwałę Polski młodszym wieszczom i godniejszym lutniom. Długość ich jednak dozwoli mi tylko pierwszy tu umieścić na zakończenie téj nader niedostatecznéj biografii, gdyż ją musiałem w odpowiednim stosunku do in-

---

[1]) Patrz Tom I. str. 78.

nych życiorysów, nie zaś wedle wdzięczności serca polskiego kreślić.

Do Polski.

I jamże dożył chwili, gdy z orężem w dłoni,
O nieśmiertelna Polsko, tyś znowu powstała!
Niech się przed twą chorągwią wszech-rycerstwo kłoni,
Przed nią precz w cieniu znika trójkoloru chwała.
Ah! dla ust nienatchnionych treść ta jest zbyt wzniosłą,
Którą serce nad pieśni potęgę mi wzrosło.
Majestat czynów polskich nawet wiarę dziwi,
Lecz mi wątpliwość losów w piersi dech wstrzymuje;
Zazdroszcząc tym, co biegną na grad kul szczęśliwi,
Czuję właśnie tém więcéj że na próżno czuję.
Polacy! Gniew wre we mnie, kiedy was służalce
Biednemi zwą litośnie. Anglia-ż waszéj walce
Urąga się czczym żalem, i cara złodzieja
Nienawidząc, miast karcić, sojusze z nim skleja?
Francya, z duszą w burbońskiém i jarzmie i kale,
I ta Germania, która nie ma duszy wcale, —
Drżą przed olbrzymem wszystkie w pokornéj postaci,
Gdy wy go sami jedni trzymacie na wodzy!
Nie, — choć krew was ubiega, wy w sławę bogaci,
My, niezdolni wam pomódz, my to — my ubodzy!
Na przekór losom, Polska w wielkiém oku świata
Zyskała nieśmiertelność; i choćby nóż kata
Przebił jéj łono teraz, morderca nie zdoła
Zedrzeć jéj wieńca chwały z nadobnego czoła.
Choćby ją sćwiertowano i na proch spalono,
Gdzie proch padnie, tam będzie ziemia uświęconą.
Lecz porzuć, duszo moja, te myśli złowieszcze.
Duch Polski jest tą wieczną iskrą, którą jeszcze
Niebo rozdmucha w płomień na złość tyranowi.
Wnet Polska, gdyby orzeł, pióra swe odnowi,
I zabłyśnie przybrana w nowe skrzydła chwały,
Jaką po Maratonie Ateny błyszczały.
Wymowa tam znów zagrzmi i sztuka zakwitnie,
Świecąc jak teraz świeci polska broń zaszczytnie.
Niech grom we mnie uderzy, niech zdroje żywota
Przetnie mi zbytek szczęścia, i niech zorza złota
Roztoczy swe promienie na mym świeżym grobie
W dniu, który Polskę ujrzy w zwycięztwa ozdobie.
Będzie to dzień wspaniały. W warszawskiéj katedrze
Ledwie się tłum pobożnych wśród proporców przedrze,

Wzięte wrogom bez liku. Patrz, jak tam w podzięce
Grono nadobnych niewiast w niebo wznosi ręce.
W środku klęczą rycerze. Mur tarczami płonie.
Na ołtarzu króluje w kadzideł osłonie
Bóg w hostyi utajony. Ciemne sklepień stropy
Aż drżą brzmieniem organów. Na grobowców rzędzie
Spią w rzeźbie bohatery: Zbawca Europy
Sobieski, — Poniatowski, — Kościuszko tam będzie.
Blask przepychów, żar gromnic, dźwięczne Alleluja,
Przejmą urokiem duszę rozmodloną łzawie,
Tak, że zachwyt w cudowne marzenia wybuja,
I wszystko w koło zda się jakby snem na jawie.
Lecz jeźli los to w przyszłość odsunie daleką,
I wprzód w otchłaniach mordu strugi krwi pocieką,
Nie myślcie, gdziebądź kraj wasz, wy ludzie wyrodni,
Czy czynem, czy ustępstwem, wy sprawcy téj zbrodni,
Że ta krew brata Abla, co dziś marnie płynie,
Próżno przeciw tak czarnéj świadczyć będzie winie.
Niemcy, wy się na srom ten i hańbę patrzycie
Mdłém, fosforyczném okiem flegmatycznéj twarzy,
Jeźli kraj wasz w minstrelstwa i nauk zaszczycie
Zdobył sławę, to wstyd dlań tém większy, że marzy,
Drzemie w złoconém jarzmie. W każdém u was łonie
Duch książkowego muła w pyłkach wiedzy tonie.
Umiecie konstytucye czcić nad kuflem piwa,
W klasycznym o wolności wyśpiewując rymie,
Lecz śluby, że zerwiecie ucisku ogniwa,
Nikną w bachijskiéj pieśni i fajczanym dymie.
Żadnaż przezorność światłem nie wniknie przez ołów
Głowy z metafizycznych sklepionéj żywiołów?
Żadnymże nie przekona was zgoła sposobem,
Że grób Polsce skopany jest i dla was grobem?

Patrz! Gdy przednia straż Francyi, Polak, lancę zaciął,
I na koń z nią już wskoczył, do boju gotowy,
Francya się od zdradzonych odwraca przyjaciół, —
Głaszcze niedźwiedzia, który sprawia na nich łowy,
Kupuje krótki pokój, o haniebne targi!
W zamian za złorzeczenia i jęki i skargi,
Które na nią miotają w ciężkiéj zgonu chwili
Ci, co jéj zaufali i wiernie służyli.
Francyo! Tysiące mężnych dziś w grobowym pyle,
Tyle głów w bluszcz owitych, rannych piersi tyle,
Co chlubną gwiazdę Legii w twych wojnach zdobyły,
Na twą cześć ciska niemą klątwę z pod mogiły.

To wiarołomstwo zdziera więcéj sławy z ciebie,
Niż dwadzieścia przegranych bitw w kraju potrzebie.
A Anglia? Czyż już w nędzę upadła tak nisko,
Czyż już trętwa, zgnębiona, przeszła w pośmiewisko,
Że siedzi pełna gniewu, lecz pełniejsza trwogi,
Kiedy mord się już wdziera tuż w sąsiada progi.
Nie mord z skrytym w płaszcz nożem i maską na twarzy,
Co śmierć na szubienicy za swą zbrodnię waży,
Lecz mord publiczny, który występuje hardo,
Pysznie, dumnie, z królewską dla prawa pogardą,
I rozlewa krwi więcéj, niż razem rozlały
Na rusztowaniach wszystkie świata trybunały.
W oczy nam swe przechwałki ciska car morderca,
Gniew w nas kipi, wrą próżném oburzeniem serca,
Wzdychamy, marszczym czoła, rumieni się lice,
Ale brak nam odwagi rzucić rękawicę.
Gdyby to był spór drobny, wątpliwe zamachy,
Lub na gościńcu świata jaki rozbój błahy,
Lub kłótnia pospolita dwóch narodów w wojnie,
Anglia z wysoka patrzeć mogłaby spokojnie
Na zdzierców i zdzieranych, i nim wytchnąć zdoła,
Nosić oliwny wieniec z godnością u czoła.
Ale to jest ciemności ze światłem bój nowy,
To o prym walczy ziemi przeciwna potęga,
To ucisk, co opasał świat już do połowy,
Jak daleko knut w przestrzeń a nóż w głąb dosięga,
I ostrzem, które we krwi naszych braci broczy,
Z daleka nam szyderczo połyskuje w oczy,
A światu butnie głosząc jarzmo polskiéj ziemi,
Gdy jeden naród depce, pogardza wszystkiemi.

Dumne twe niegdyś czoło czyż od téj sromoty
Nie rumieni się, Anglio? Czyż flot nie masz dosyć
Z flagą sławy, co górnie jak skowronka loty
Nad piorunnemi statki zwykła się unosić?
Rozgrzyj zuchwalca morze krwią dziczy, strąć pychę,
I wypędź z oceanu jego barki liche.
Oto właśnie gdy śpiewam, widzę z tych skał złotą
Twą flagę, o mój kraju, królu patryoto!
Cichy okręt wojenny sunie się przez tonie,
Z krańca niebios wybiegła za nim tęcza płonie,
Przez maszty, liny, żagle, prześwieca z daleka,
I jedną łuną chwały olbrzyma obleka.
Przyjm tę wróżbę, ma duszo! Czasem wyobraźnia
Prawdziwie przyszłą losów kolej rozwyraźnia.

Z tą tęczą myśl ma niebios obietnicę sprzęga,
A ten okręt — to Anglii obrończa potęga.
Lecz gdyby nikt was nie wsparł, Polacy, wy śmiałe
Dusze daleko wyżéj jeszcze nastroicie,
Nad wszelki przykład, litość, naganę, pochwałę,
By siać sławę w przestworze i zbierać obficie.
Nie proście już o pomoc ludów, co nie pomną
Jak dawny dług i wdzięczność winny wam ogromną.
Choć Polska grób jak Łazarz roztworzyła sobie,
Nie wyszła zeń żebraczką. Nie! w najcięższéj dobie,
W przepaściach niebezpieczeństw, w ciemnicach niedoli,
Rozpacz nigdy się z Polski mianem nie zespoli.
Ma kres złe wszelkie: wicher, pożar, zatop, plaga,
Nawet przemoc nie może brnąć we krwi bez granic;
Wolność w końcu mieć musi kraj, co się nie wzdraga
Cierpieć, każdy ból dla niéj poczytując za nic.
Tyrani, ciał morderce, woli téj nie skruszą,
Która dziedzicznie włada narodową duszą.
Przechodząc z ojca w syna, tém goręcéj płonie,
Im świeższym tchnie żywiołem w coraz młodszém łonie.
Jéj spuścizną jest serce. Przodkowie polegli
W sierocych wnukach walczą zacięciéj i biegléj.
Polska, choć w sławne męże oddawna bogata,
Wznosi swe syny w coraz większe bohatery.
Orzeł jéj, który pierwszym jest wśród godeł świata,
To potęgi jéj ducha wizerunek szczery.
Jéj pochwałę, mdlejącą na mych ustach smutnie,
Podejmcie młodsi wieszcze i godniejsze lutnie.

Na Campbellu kończę ciąg ten życiorysów. Należałoby mi powiedzieć że przerywam, gdybym miał był zamiar wymienić całą zamożność poetyczną literatury angielskiéj w téj epoce. Ale zadaniem mojem było tylko wskazać jéj główny kierunek, doprowadzając go do kresu, od którego staje się już niewątpliwym.

Wszędzie muszą być wyjątki, więc i tu są zboczenia, ale mniemam, że dość wyłuszczyłem uwag i objaśnień, dość przywiodłem przykładów, iżby mi wolno było następujące postawić wnioski: 1. że poezya angielska wyswobodziwszy się z rutyny klasycznéj i naśladownictwa obcych wzorów, zgoła z przymusu i przesady XVIII wieku, coraz głębiéj czerpie w źródle uczuć

i natchnień rodzinnych, przez co mężnieje i coraz świeższéj nabywa twórczości; 2. że stopniowo wyzwalając się ze zmysłowości i realizmu, dotąd w niéj przemagającego, to jest opuszczając tory, na które pchnęli ją tak wielcy pod każdym innym względem mistrzowie z czasów Elżbiety i reformacyi, przeobraża się z każdém pokoleniem w duchowniejszą, i niemal podaje się już prądowi téj żywéj i czystéj wiary, od któréj przed trzema wiekami odstąpiła; 3. że wychylając się z ciasnoty domowego egoizmu i zarozumiałości, im szerzéj poczyna ogarniać postronne narody braterskiém uczuciem, tém silniéj swemu wskazuje, że nie złotem i parą, ale poświęceniem i trudem ciągłéj ofiary ustala się i własna potęga i moralne przewodnictwo nad światem.

Cechy te niemniéj są widoczne w poetach drugiego rzędu, owszem nieraz występują w nich wydatniéj niż tam gdzie przepych większy i sztuka doskonalsza. Między ich dziełami znalazłby się niejeden utwór godzien starannego ocenienia, niejeden wiersz stosowny do przekładu. Dostarczyliby bogatego wątku i estetykowi i tłomaczowi: Leigh Hunt, Lamb, Jan Wilson, Clare, Lewis, Keats, Milman, Sotheby, Bowles, Jakób Montgomery, Frere, Pollok, Procter (Barry Cornwall), Ebenezer Elliott, Hogg, Allan Cuningham, Savage Landor, Tomasz Hood, Sheridan Knowles, Talfourd, — a z pomiędzy autorek: Felicya Hemans, Letitia Landon, Maria Howitt, Joanna Baillie, Maria Mitford. Zastęp to niemały, chociaż w nim jeszcze tyle nazwisk głośnych w Anglii nie zamieściłem, a opuściłem tych wszystkich, którzy w tym okresie dopiero wsławiać się zaczynali, jak Tennyson, Reade, Milnes, Robert i Elżbieta Browning, Karolina Norton, Mackay, a nawet Bulwer i Macaulay, lubo ci oba daleko się więcéj w prozie odznaczyli.

Mając więc przed sobą tak liczny szereg autorów, wolałem nieco dłużéj zastanowić się nad najznakomitszymi, niż po trochu wspominać o każdym. Wątpliwość zachodziła tylko gdzie mi się zatrzymać należało. W dziedzinie literackiéj trudno stawiać słupy graniczne, a jeszcze trudniéj stanowić stopnie między jéj pracownikami. Skoro się nie zamierza

każdego po imieniu wywoływać, przestanek musi być zawsze mniéj więcéj dowolnym. W niniejszéj pracy wydał mi się najstosowniejszym przy Campbellu, zwłaszcza żem począł od Cowpera. Są to pokrewne dusze i niejako odpowiednie sobie mianowniki na dwóch kresach téj epoki. Czém jeden był na jéj początku, tem drugi na końcu, jeźli zejście wszystkich tych, którzy jéj przewodniczyli, za jéj zamknięcie uważać zechcemy. Obu bowiem odznacza ta sama powaga, sumienne przejęcie się swem powołaniem, głębokość rzeczywistego uczucia i rzetelność w każdem słowie. Koło, które Cowper zakreślił, Campbell rozszerzył i wypełnił. Co tamten w obrębie domowych uczuć rozwinął, to ten przeniósł na całą rodzinę narodów. Hasło, podane przez pierwszego, drugi podjął i następnym czasom przekazał daleko potężniejszém wieszczeniem, bo głosem nadziei ukrzepionéj prawie w pewność, że Anglia mając sobie wskazany przez swych wieszczów wznioślejszy kierunek, uposażona przez nich mocą oczyszczenia siebie i odrodzenia w duchu, siew prawdy dobrą wolą rozplemi, i że otrząsnąwszy się z oschłości i odrębności, poczuje się do braterstwa z innemi, zwłaszcza uciśnionemi narodami, a w rozumieniu Campbella wypadek ten wiązał się najściśléj i spływał w jedną dobę z nieodzownóm wyswobodzeniem Polski.

NIEKTÓRE NAKŁADY
księgarni Jana Konstantego Żupańskiego w Poznaniu.

	Tal.	Sgr.
Baliński, K., Hasło polskie, poemat. Poznań 1862	—	15
Do J. O. księcia Władysława Lubartowicza Sanguszki. Odpowiedź na rachunek sumienia z roku 1848. Poznań 1851	—	5
Gruszczyński, S., Dr. fil., naucz. wyż. przy szkole realnéj w Poznaniu. Nauka o zdaniu, zawierająca rozbiór zdania pojedyńczego, złożonego i okresu, oraz prawideł szyku, ułożona na klassy średnie gimnazyów i szkół realnych, tudzież dla seminaryów nauczycielskich i wyż. szkół żeńskich. Poznań 1861	—	20
Kochanowski, Jan. Lutnia po zgonie tego wieszcza. Przyczynek do piśmiennictwa Zygmuntowskich czasów, odczyty w gronie Koła towarzyskiego na dniu 2. Lutego 1852. r. przez J. Rymarkiewicza. Poznań 1857	—	10
Kosiński, Amilkar J. Zbiór korrespondencyi z lat 1815—1820. tyczącéj się formacyi siły zbrojnéj narodowéj w W. X. Poznańskiém, oraz stosunku W. Xięstwa do monarchii Pruskiéj. Poznań 1861	1	10
Lelewel, J. O monecie polskiéj. Rzecz pierwotnie po francuzku wydana w dzienniku „La Pologne illustrée". tłumaczona przez Eustachego Januszkiewicza. Poznań 1862	—	15
— — Trzy konstytucye polskie 1791., 1808., 1815., porównał i różnice jich rozważył w roku 1831. Poznań 1861	—	12½
Lenartowicz, T. Cesarz. Wedle francuzkiéj prozy. Legenda I. Poznań 1861	—	20
— — Zachwycenie i Błogosławiona, z 9 rycinami Antoniego Zaleskiego rytowanemi na stali. Poznań 1861	10	—
— — Oprawne w skórkę z złotym brzegiem i wycłskami	13	—
— — Tak samo w płótno	12	—
Pamiętniki z ośmnastego wieku, tom II., zawierający: I. Pamiętnik Józefa Zajączka, albo historya rewolucyi, czyli powstanie 1794. roku, przekładu Hugona Kołłątaja „Histoire de la Pologne en 1794 par un temoin oculaire; II. Pamiętnik Filipa Lichockiego, prezydenta krakowskiego, z r. 1794., po raz pierwszy wydany i opatrzony dokumentami i opowiadaniem mało znanych szczegółów do téj epoki; III. Dodatki: Mappy i Plan bitwy pod Racławicami, Plan bitwy pod Szczekocinami, Plan bitwy pod Maciejowicami. Poznań 1862	3	15
Pamiętniki Stanisława Augusta Poniatowskiego króla polskiego i jego korrespondencye z cesarzową Katarzyną II. Po polsku i po francuzku	—	20
Posiedzenie Izby niższéj w Anglii dn. 2. Lipca 1861. roku. Poznań 1861	—	7½
Słowo polskiego duchowieństwa do polskiego obywatelstwa, albo zmartwychwstanie Polski w obliczu chrześciańskiego sumienia. Poznań 1861	—	7½
Szyc, Joachim. Jeografia dawnéj Polski. Dla użytku młodzieży. Poznań 1861	—	20
Wspomnienia z roku 1788. po 1792. Poznań 1862	1	—
Wstęp do naukowego czytania Ewangielii Św., napisał Roux Lavergne. Przełożył na język polski i rozszerzył słowem przedwstępném do dzisiejszych wypadków zastósowaném Ludwik Miłkowski. Poznań 1862	—	25
Zaborowski, Julian. Początki planimetryi ułożone dla szkół na wzór niemieckiéj książki p. L. Kambly, profesora przy gymnazyum Św. Elżbiety w Wrocławiu. Z 135 wśród tekstu umieszczonemi figurami. Poznań 1857	—	20
Żychliński, L. Rzut oka na kwestyą narodowości. Pozn. 1862	—	15